

„MISTERNIE ZAPLANOWANA INTRYGA”
JOHN GREEN
AUTOR GWIAZD NASZYCH WINA I ŻÓLWI AŻ DO KOŃCA

NIE ODGADNIONY

MAUREEN
JOHNSON

PIERWSZA CZĘŚĆ TRYLOGII
AUTORKI BESTSELLERÓW WEDŁUG „NEW YORK TIMESA”



NIE ODGADNIONY

MAUREEN JOHNSON

Przełożył Paweł Łopatka



Poradnia K



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: TRULY DEVIOUS

Projekt okładki dla polskiej edycji: JOANNA RENIGER
Opracowanie typograficzne i skład: JOANNA RENIGER
Redaktor prowadzący: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK
Redakcja: JOANNA TARGOŃ
Korekta: MAGDALENA GERAGA

Copyright © 2018 Maureen Johnson
Translation © 2018 Paweł Łopatka
Copyright © 2018 by HarperCollins Publishers
Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2018
Jacket art by Leo Nickolls
Jacket design by Katie Fitch

Wydanie I

ISBN 978-83-66005-06-8

Poradnia K Sp. z o.o.
ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa
e-mail: poradniak@poradniak.pl
www: www.poradniak.pl
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

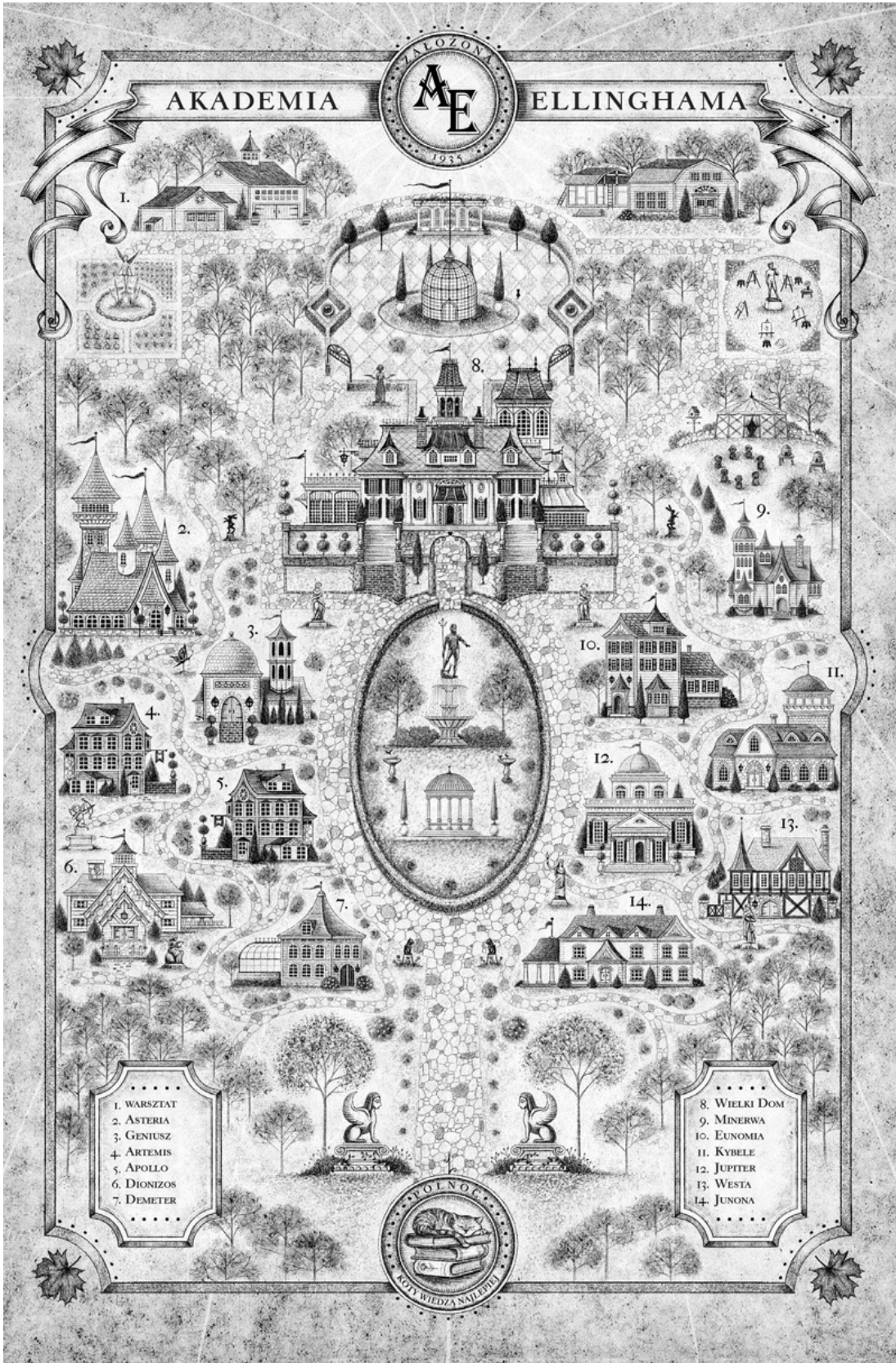


TYM, KTÓRYM CHOĆ RAZ SIĘ ŚNIŁO,
ŻE ZNAJDUJĄ ZWŁOKI W BIBLIOTECE

AKADEMIA



ELLINGHAMA



- 1. WARSZTAT
- 2. ASTERIA
- 3. GENIUSZ
- 4. ARTEMIS
- 5. APOLLO
- 6. DIONIZOS
- 7. DEMETER

- 8. WIELKI DOM
- 9. MINERWA
- 10. EUNOMIA
- 11. KYBELE
- 12. JUPITER
- 13. WESTA
- 14. JUNONA



FBI

Fotografia listu nadesłanego do rezydencji Ellinghamów 8 kwietnia 1936 roku.

SPÓRZ. ZAGADKA, CZAS SIĘ BAWIĆ.
UŻYĆ SZNURA, SPŁUWĘ SPRAWIĆ,
OSTRE NOŻE LŚNIA TAK CUDNIE.
TRUTKA WOLNA; DZIAŁA TRUDNIE.
OGIEN CIESZY, A POD WODE,
CÓŻ, NIESPESZNO JEST NIKOMU.
WESZAĆ MOŻNA, ALI PO CO,
KIEDY TRZEBA IŚĆ DO DOMU.
LEB ROZBITY, UPADK PASKUDNY.
PĘDZI AUTO, A TU MUR OKRUTNY.
WYBUCH - ANI CHYBI
UCIECHA TO GORAÇA,
JEDNAK NIM SENS KARAĆ
NIESFORNEGO CHŁOPCA!
CÓŻ POCZAĆ, STRASZNY MAM AMBARAS.
JAKI TY: KRYĆ SIĘ, CZY BRAĆ NOGI ZA PAS.
HA, HA.

WASZ
NIEODGADNIONY



13 kwietnia 1936, 18:00

Wiesz, że nie mogę cię wypuścić...

Los Dottie Epstein został przesądzony rok wcześniej, gdy wezwano ją do gabinetu dyrektora.

Szła tam nie pierwszy raz.

Dottie, czyli Dolores Epstein, nie wzywano z byle powodu, jak bójka, ściąganie, obłany egzamin czy nieobecność. Posyłano po nią z przyczyn znacznie poważniejszych: prowadziła na własną rękę eksperymenty chemiczne, podważała wiedzę nauczycieli o geometrii nieeuklidesowej i czytała na nudnych lekcjach, by nie marnować czasu.

– Dolores – powtarzał dyrektor. – Nie zachowuj się tak, jakbyś zjadła wszystkie rozumy.

– Ale zjadłam – odpowiadała. Nie z arogancji; szczerze.

Tym razem nie miała pojęcia, co takiego przeszkrobała. Wprawdzie w poszukiwaniu pewnej książki włamała się do biblioteki, była jednak święcie przekonana, że nikt o tym nie wie. Zdążyła już poznać każdy kąt tej szkoły, rozpracować każdy zamek, zajrzeć do wszystkich schowków, szaf, zakamarków. Nigdy nie miała złych intencji. Robiła to, by coś znaleźć, albo ot tak, dla sportu.

Gdy dotarła do gabinetu, pan Phillips, dyrektor, siedział za swym wielkim biurkiem. Ale był tam ktoś jeszcze – szpakowaty mężczyzna w wytwornym popielatym garniturze. Siedział z boku, skąpany w blasku słońca, pasiasty od cienia żaluzji. Wyglądał jak postać z filmu – i poniekąd nią był.

– Dolores – rzekł dyrektor – oto pan Albert Ellingham. Wiesz, czym się zajmuje?

Wiedziała rzecz jasna. Jak wszyscy. Albert Ellingham rozporządzał American Steel, „New York Evening Star” i Fantastic Pictures. Był bajecznie bogaty. Spra-

wiał wrażenie człowieka, który nigdy się nie myli.

– Pan Ellingham chce przekazać ci coś wspaniałego. Jesteś dzieckiem szczęścia.

– Siądź, Dolores – powiedział Ellingham, wskazując wolne krzesło naprzeciw biurka Phillipsa.

Gdy usiadła, sławny pan Ellingham wychylił się do przodu i wsparłszy łokcie na kolanach, splótł mocne, opalone dłonie. Dottie nie widziała jeszcze opalenizny w marcu. Był to najbardziej rzucający się w oczy przejaw dobrobytu pana Ellinghama, który mógłby mieć na własność nawet samo słońce.

– Wiele o tobie słyszałem – zaczął. – Pan Phillips mi opowiadał, jak bardzo jesteś bystra. Czternastolatka, a już w jedenastej klasie. Sama nauczyłaś się łaciny i greki, prawda? Robisz tłumaczenia, jak rozumiem?

Dottie przytaknęła nieśmiało.

– Nudzi ci się czasem w szkole? – spytał.

Dottie niepewnie spojrzała na dyrektora, lecz on uśmiechnął się i kiwnął głową, aby dodać jej otuchy.

– Czasem – odpowiedziała. – Ale to nie z winy szkoły.

Mężczyźni zaśmiali się na to, więc Dottie trochę się rozluźniła.

Nie bardzo, tylko odrobinę.

– Założyłem szkołę, Dolores – ciągnął pan Ellingham. – Nowego typu szkołę, w której osoby wyjątkowe jak ty mogą uczyć się we własnym tempie, własnymi metodami i tak jak im odpowiada. Nauka w moim przekonaniu jest fantastyczną zabawą.

Pan Phillips wbił wzrok w blat biurka. Dyrektorzy na ogół nie traktują nauki jak zabawy, nikt jednak nie sprzeciwiłby się wielkiemu Albertowi Ellinghamowi. Skoro on uważa naukę za zabawę, to nauka jest zabawą. I trzeba byłoby mu przytaknąć, gdyby stwierdził, że nauka to słoń w zielonej sukni i na wrotkach. Mając pod dostatkiem gotówki i wpływów, bez trudu narzuca się słowom sensy.

– Wybieram trzydzieścioro uczniów z różnych środowisk, by uczyli się w mojej szkole, i chciałbym, abyś się wśród nich znalazła – ciągnął pan Ellingham. – Nie będziesz mieć w nauce żadnych ograniczeń i zapewnię ci dostęp do wszystkiego, czego potrzebujesz. Odpowiada ci to?

Dottie zachwyciła się propozycją, ale też zaraz dojrzała w niej nieunikniony problem.

– Rodzice nie mają pieniędzy – odpowiedziała otwarcie.

– Pieniądze nie powinny być przeszkodą w nauce – odparł uprzejmie pan Ellingham. – Moja szkoła jest darmowa. Jeśli tylko się zgodzisz, to będziesz w niej moim gościem.

Zabrzmiało to tak pięknie, że aż niewiarygodnie – ale pan Ellingham nie kłamał. Przysłał jej bilet na pociąg i pięćdziesiąt dolarów kieszonkowego. Już po kilku miesiącach Dottie Epstein, która nigdy nie była poza Nowym Jorkiem, mknęła w góry stanu Vermont, wśród tyłu drzew, ilu nie widziała nawet we śnie.

Wielka fontanna w szkole skojarzyła jej się z fontanną w Central Parku. Budynki z cegły i kamienia wyglądały nieziemsko. Pokój Dottie w Domu Minerwy – duży, ale przytulny – miał kominek (w górach panowały chłody). Książki, mnóstwo świetnych książek, brało się bez ograniczeń i czytało do woli bez żadnych kar bibliotecznych. Nauczyciele byli mili. Do dyspozycji było porządne laboratorium. Lekcje botaniki odbywały się w cieplarni. Tańca uczyła Madame Scottie, która biegała w trykocie i szalach, a na jej rękach od góry do dołu porzękiwały bransoletki.

Pan Ellingham mieszkał na kampusie z żoną Iris i trzyletnią córeczką Alice. Czasem w weekendy na podjazd wtaczały się luksusowe auta, z których wysiadali wystrojeni ludzie. Dottie rozpoznała co najmniej dwie gwiazdy kina, polityka i sławną piosenkarkę. Na te weekendy przyjeżdżały z Burlington i Nowego Jorku orkiestry – i z Wielkiego Domu płynęła muzyka aż do rana. Gdy goście pana Ellinghama przechadzali się wokół szkoły, paciorki na sukniach kobiet migotały w świetle księżyca. Dottie nie zbliżyła się tak do sławnych osób nawet w Nowym Jorku.

Pracownicy starannie sprząтали, ale teren szkoły był olbrzymi i pełen rozmaitych kryjówek, więc goście wszędzie zostawiali ślady. A to kieliszek do szampa, a to atlasowy pantofel. Bezmiar niedopałków, piór i koralików oraz inne pamiątki po sławnych i bogatych. Dottie zbierała te osobliwości i przechowywała je w „muzeum”. Najcenniejszym jej znaleziskiem była srebrna zapalniczka. Urzeczona płynnością mechanizmu, pstrykała nią bez końca. Rzecz jasna miała zamiar ją zwrócić, ale chciała nacieszyć się nią choć trochę.

Ellingham dawało uczniom swobodę działania, nauki i poruszania się, więc Dottie spędzała dużo czasu sama. W Vermoncie było całkiem inaczej niż w Nowym Jorku – nikt tu nie zląził po schodach przeciwpożarowych, nie wspinał się po rurach wodociągów. Dottie przywykła do lasu, do myszkowania na obrzeżach kampusu. Na jednym z pierwszych takich wypadów, po przyjeździe do Ellingham jesienią, odkryła tunel. Zaznajamiała się z lasem. Dotąd nie widziała niczego, co można by porównać z tym gęstym baldachimem liści i głęboką ciszą, którą od czasu do czasu mącił tylko szelest. Wtem usłyszała znajomy dźwięk, nikły metaliczny odgłos pod stopami. Poznała ten brzęk od razu. Tak samo dźwięczał wąż w chodniku, kiedy się na nim stanęło.

Uniósłszy pokrywę wjazdu, Dottie zobaczyła wiodące w dół betonowe schody. Znalazła się w ciemnym tunelu z cegieł, suchym i dobrze utrzymanym. Zaintrygowana coraz bardziej, przyświecając sobie srebrną zapalniczką, dotarła do masywnych drzwi z zasuwany okienkiem na wysokości oczu. W Nowym Jorku podobnych było zatrzęsienie, uznała więc, że kryją tajny bar^[1].

Drzwi nie zamknięto na klucz... Tunel wyglądał groźnie i wprost domagał się zbadania. Więc Dottie zaczęła badać. Drzwi wiodły do pomieszczenia z wysokim stropem. Na ścianach pokrytych półkami piętrzyły się butelki wina i najróżniejszych wódek. Dottie obejrzała ozdobne etykiety na barwionym szkle; etykiety po francusku, niemiecku, rosyjsku, grecku i hiszpańsku... istną bibliotekę alkoholi.

W jedną ze ścian wbudowano drabinę. Dottie wspięła się po niej i otworzywszy wąż u góry, znalazła się w niewielkim, sklepionym budynku ze szklanym dachem. Na posadzce leżały dywaniki i poduszki, masa popielniczek i kilka zabłąkanych kieliszków do szampana. Stając na okalającej wnętrze ławie, uzmysłowiła sobie, że jest na wysepce pośrodku sztucznego jeziora na tyłach Wielkiego Domu Ellinghamów.

Tajny zakątek! Najcudowniejszy w świecie. „Tu będę czytać”, postanowiła Dottie – i odtąd spędzała tam wiele czasu, zwinięta w kłębek na futrzanym dywanie, ze stertą książek u boku. Nigdy nikt jej nie przyłapał i czuła, że nawet pan Ellingham nie miałby jej tego za złe. Był przemiły i tak pogodny.

Prawdziwa oaza spokoju.



Ten kwietniowy dzień był przedziwny, tak mglisty, że aż zatarły się kontury drzew i całe Ellingham spowił mleczny opar. Dottie stwierdziła, że aura sprzyja lekturze kryminału. Sherlock Holmes byłby wymarzony. Znała wszystkie opowieści o Sherlocku, ale uwielbiała do nich wracać, a mgła przywodziła na myśl tę londyńską z historii o najsłynniejszym detektywie.

Dobrze wiedziała już, kiedy najlepiej wyprawiać się do domku pod kopułą. Było poniedziałkowe popołudnie, nie mogła więc natknąć się tam na nikogo z rezydencji. Pan Ellingham wyjechał nad ranem, a jego żona po dwunastej. Dottie wzięła ze szkolnej biblioteki zbiór opowiadań o Sherlocku Holmesie i wyruszyła do kryjówki.

Patrząc na świat przez szklaną kopułę, tego dnia czuła się jak we wnętrzu chmury. Wyciągnęła się na podłodze, przykryła futrzanym dywanem i otworzyła książkę. Po chwili przepadła wśród londyńskich ulic – bo nadszedł czas zabawy!

Dottie tak się zaczytała, że nagły hałas pod podłogą wprowadził ją w osłupienie. Ktoś był w składziku alkoholi i właśnie szedł po schodach w górę. Zbliżał się. Nie mając czasu na ucieczkę, Dottie nakryła się dywanem i przywarła z całych sił do ziemi. Chciała wmieszać się w stertę poduch. Złać z podłogą. Być wybrzuszaniem dywanu.

Usłyszała jęk podnoszonej pokrywy wjazdu i łomot, gdy pokrywa uderzyła o posadzkę. Tajemniczy ktoś przedostał się do środka i stanął zaledwie o krok od jej twarzy. Prosząc Boga, by ten ktoś na nią nie nadepnął, Dottie starała się skurczyć.

Tamten odsunął się od niej i położył coś na ziemi. Niepostrzeżenie uniósłszy kraj dywanu, zobaczyła, jak dłoń w rękawiczce wyciąga coś z worka i układa na posadzce. Odważyła się znów unieść dywan, aby się lepiej przypatrzeć. Dostrzegła latarkę, lornetkę, kawałek sznura i coś błyszczącego.

Połykiwały kajdanki, identyczne jak jej wujka policjanta.

Latarka, lornetka, sznur, kajdanki?

Skok adrenaliny gwałtownie przyspieszył tętno Dottie. Działo się coś złego.

Opuściła kraj dywanu na głowę i skuliła się w sobie jeszcze bardziej, z twarzą wbitą w podłogę, z rozplaszczonym nosem. Tajemniczy osobnik kręcił się po pomieszczeniu kilka minut. Wtem zapadła cisza. „Czyżby sobie poszedł?” – pomyślała Dottie. Na pewno by usłyszała, jak odkłada na miejsce pokrywę włazu nieopodal jej głowy.

Własny oddech parzył jej twarz. Nie miała pojęcia, co się dzieje, ale czuła się jak zamroczona. Zaczęła liczyć w myśli. Gdy dotarłszy do pięciuset, nie usłyszała hałasu, postanowiła znów powoli unieść skraj dywanu. Tylko na szerokość palca. Jeszcze odrobinę.

W zasięgu wzroku nie było nikogo. Znów lekko uniosła dywan. Wciąż nic. Już miała go podnieść, kiedy...

– Witaj – odezwał się głos.

Dottie poczuła, jak jej serce przywiera do podłogi.

– Bez obaw – rzekł głos. – Możesz się pokazać.

Teraz już nie było sensu się ukrywać. Dottie wypełzła spod okrycia, kurczowo ściskając książkę. Spojrzała na tajemniczego gościa, a potem na przedmioty na podłodze.

– Są potrzebne do gry – oznajmił ten ktoś.

„Do gry? No tak, oczywiście. Ellinghamowie ubóstwiali gry. Stale bawili się z gośćmi... w wymyślne poszukiwania skarbów albo łamigłówek. Pan Ellingham zaopatrzył kwatery uczniów w gry planszowe takie jak monopole i czasem nawet sam przychodził pograć. Latarka. Sznur. Lornetka. Kajdanki. Możliwe, że to gra – myślała Dottie. – W monopole przecież tak samo są dziwaczne rekwizyty”.

– Co to za gra? – spytała.

– Skomplikowana – odrzekł tamten. – Ale będzie wspaniale. Muszę się skryć. Też się tu schowałeś...?

– By poczytać. – Podnosząc książkę, Dottie próbowała powstrzymać drżenie dłoni.

– O Holmesie? Uwielbiam go. Co czytasz?

– *Studium w szkarłacie*.

– Wyborne. Czytaj dalej. Śmiało, nie przeszkadzaj sobie.

Gość wyjął i zapalił papierosa, zaciągnął się, spoglądając na nią.

Dottie знаła tego kogoś z widzenia. Rzeczywiście mógł być uczestnikiem zawilej gry pana Ellinghama. Lecz jako mieszkanka Nowego Jorku Dottie widziała już tak wiele, że doskonale czuła, gdy coś było nie tak. Wyraz oczu. Ton głosu. Wujek glina wciąż powtarzał: „Kieruj się intuicją. Gdy coś lub ktoś ci się nie spodoba, czym prędzej bierz nogi za pas. Uciekaj i wezwij mnie, Dottie”.

Intuicja nakazywała jej uciekać. Acz ostrożnie. Zachowywać się normalnie. Otworzywszy książkę, usiłowała skupić się na słowach. Zawsze nosiła w rękawie ołówek do zapisków. Gdy gość odwrócił się i spojrzał przez szybę, wprawnym ruchem zepchnęła sobie ołówek prosto w dłoń i podkreśliła zdanie na stronie. Nie było to nic wielkiego, ot, wskazówka, którą ktoś może by zrozumiał, gdyby...

„Nikt by nie zrozumiał, a gdyby – strach pomyśleć”.

Wsunęła ołówek z powrotem w rękaw. Już nie mogła udawać, że czyta. Jej oczy przestały śledzić słowa. Wszystko w niej się trzęsło.

– Muszę odnieść ją do biblioteki – powiedziała. – Nikomu nie powiem, że pan tu jest. Nie znoszę, jak na mnie skarżą.

Osobnik uśmiechnął się do niej – ale niemiło, nieszczerze. Jego usta uniosły się w kącikach za wysoko.

Dottie uzmysłowiła sobie, że jest na środku jeziora, w połowie góry. Przebiegłszy myślą wszelkie możliwe scenariusze, czuła, jak rozegra się kolejnych kilka sekund. Jej serce zwolniło i nieomal rozsadzało łomotem głowę. Czas włókł się żółtym tempem. Znała niemało historii, w których śmierć występowała w roli głównej – jako energia wyczuwalna w pomieszczeniach. A teraz ów niemy przybysz wniknął tu, był obok.

– Muszę iść – szepnęła niewyraźnie, przesuwając się w stronę wjazdu. Gość ruszył jej śladem. Jak po szachownicy dążyli do nieuniknionego końca.

– Wiesz, że nie mogę cię wypuścić – rzekł gość. – Chociaż chciałbym.

– Możesz – odparła Dottie. – Potrafię dochować tajemnicy. – Ścisnęła Sherlocka Holmesa z myślą, że gdy go trzyma, nic złego stać się nie może. „Sherlock mnie ocali”. – Błagam.

– Przykro mi. – Głos gościa pobrzmiwał żalem.

W grze został jeszcze jeden ruch; Dottie wiedziała, że zgubny. Gdy jednak

nie ma już dokąd przemieszczać się na szachownicy, robi się to, co konieczne. Rzuciła się w kierunku wjazdu. Nie tracąc czasu na drabinę, upuściła książkę i dała susa w ciemną otchłań. Na oślep wyciągnęła ręce. Palce ślizgały jej się po szczelkach, ale nie zdołała się żadnego uchwycić. Spadając, napotkała w końcu straszliwy opór posadzki.

W nagłym przeblasku świadomości poczuła ból, niemal słodki, i zalało ją coś ciepłego. Tamten schodził po drabinie. Chciała się poruszyć, przesunąć, lecz bez skutku.

– Lepiej było ci tu nie przychodzić – rzekł gość. – Bardzo mi przykro.

Dottie pochłonęła ciemność. Nagła i nieodwołalna.

MORD NA GÓRZE – AFERA ELLINGHAMÓW, fragment

Akademia Ellinghamów mieściła się w połowie drogi na wzniesienie o urzędowej nazwie Góra Morgana, od zawsze zwane przez miejscowych Górą Siekiery lub Toporzyskiem, z racji przypominającego te narzędzia zgrubienia na wierzchołku.

W przeciwieństwie do wzgórz wokół, przyciągających narciarzy i urlopowiczów, góra była zalesiona i niezagospodarowana. Lubili ją turyści, samotnicy i obserwatorzy ptaków oraz entuzjaści górskich strumieni i wędrówek po leśnych ostępach. Do 1928 roku, kiedy to natknął się na nie Albert Ellingham, Toporzyska unikano. Nie wiodła tędy ani jedna droga, choćby najbardziej wyboista. Las był tu za gęsty, rzeka za głęboka. Zbyt często spadały głazy. Było stanowczo za dziko, by człowiek czuł się swobodnie.

Zgodnie z legendą Albert Ellingham trafił tutaj przez przypadek, próbując dostać się do Burlington, do jachtklubu. Jak w 1928 roku znalazł się na zboczu niezamieszkanego góry – dociec nie zdołano, niemniej dokonał tego i obwieścił, że to wyborny zakątek. Od dawna marzyło mu się powołanie szkoły, która działałaby w myśl jego własnych zasad i ideałów – takiej, gdzie nauka to zabawa, uczniowie są i biedni, i bogaci, wszyscy zaś zdobywają wiedzę wspólnie, w tempie, jakie każdemu odpowiada. Powietrze było czyste, tak jak i śpiew ptaków. Nic nie mogło przeszkadzać uczniom w realizacji ich planów.

Za trzykrotną wartość ceny wywoławczej Ellingham nabył wielką działkę. Tak dużą, że wyrównywanie dynamitem gruntów pod budowę szkoły trwało kilka lat. Wytoczono prowizoryczne drogi. Spółka telefoniczna okablowała okolicę i ustawiła przy drodze płatne automaty. Powoli, acz systematycznie łączono Toporzysko z resztą świata.

Akademia Ellinghamów, bo zastynęła pod tą właśnie nazwą, miała być czymś więcej niż szkołą – małżonkowie zbudowali tu też dom dla siebie, w samym sercu kampusu. A i ów dom był niezwykły. Najokazalszy w Vermoncie, pokaźny jak najpokaźniejsze w Burlington czy Montpelier.

Ellingham zapragnął mieszkać w swoim laboratorium, w swojej siedzibie wiedzy. Tereny wokół domu ozdobiono niezliczonymi posągami. Posiadłość przecinały ścieżki bez ładu, sensu i kierunku. Podobno Ellingham śledził jednego ze swych kotów i przekonany, że „koty wiedzą lepiej”, kazał ulubione przezeń szlaki wyłożyć kamieniami. Pogłoska – chociaż fałszywa – tak bardzo przypadła mu

do gustu, że zaraz pojawiła się kolejna, jakoby on sam rozpowszechnił pierwszą.

Były tam też tunele, fałszywe okna, drzwi donikąd... Architektoniczne igraszki, które bawiły Ellinghama do łez, a za sprawą których wydawane przez niego przyjęcia nie cieszyły się najlepszą sławą. Podobno nawet on nie znał położenia wszystkich miejsc ani tuneli – pozwoliwszy licznym architektom, by niektóre wkomponowali w przestrzeń wedle własnej woli. Krótko mówiąc, posiadłość była sielsko-bajkowa i taka by też pozostała, gdyby nie ów mglisty wieczór w kwietniu 1936 roku, gdy zaatakował Nieodgadniony.

Szkoły zdobywają rozgłos dzięki wykładowcom, drużynom sportowym, absolwentom.

Nie powinny jednak słynąć morderstwami.



1

– Te łosie tutaj to bujda – powiedziała Stevie Bell.

Mama odwróciła się do niej z miną, jaką przybierała często – znużoną, zobligowana jako rodzic przejąć się tym, co zaraz doda Stevie.

– Słucham?

Stevie wskazała coś za oknem autobusu.

– Widzisz? – wyciągnęła palec w stronę znaku z napisem „Łoś”. – Minęliśmy już pięć. To masa obietnic. Nie jedna.

– Stevie...

– Obiecywali spadające głązy. No i gdzie te głązy?

– Stevie...

– Według mnie reklama ma być zgodna z prawdą!

Wywołało to długą ciszę. Stevie nieraz rozmawiała z rodzicami o naturze prawdy i faktu, więc te słowa mogły jeszcze kiedyś zmienić się w burzliwą kłótnię. Ale nie dzisiaj. Dziś za obopólną cichą zgodą nie rozwijano już tematu.

Bo przecież do szkoły z internatem nie wyjeżdża się codziennie.

– Nie podoba mi się, że zabraniają wjazdu na kampus – rzekł ojciec Stevie po raz ósmy tego ranka. W broszurze informacyjnej Ellingham ujęto to bardzo precyzyjnie: „Nie próbuj wwozić ucznia/uczennicy do szkoły samochodem. Będziesz zmuszony/-a zostawić go/ją pod bramą przy drodze. Zasada ta dotyczy wszystkich bez wyjątku”.

Nie było w tym nic podejrzanego – powód wyjaśniono z detalami. Projektant kampusu nie przewidział miejsca dla zbyt wielu samochodów. Wiodła tam tylko jedna droga, nie było więc gdzie parkować. Wjeżdżało się i wyjeżdżało szkolnym autobusem. Nieco zraziło to rodziców Stevie, tak jakby sama już okolica,

do której trudno się dostać samochodem, była z natury podejrzana, a zakaz obejmował daną Amerykanom przez Boga swobodę wjeżdżania, gdzie dusza zapagnie.

Ale że zasady to zasady, Bellowie zajęli miejsca w autobusie – nowoczesnym, z dwunastoma fotelami oraz przyciemnianymi szybami i ekranem, na którym było widać nikiłe odbicie okien. Za kierownicą siedział starszy, siwy mężczyzna. Nie odzywał się, odkąd zabrał ich z przystanku przed kwadrans, a nawet wtedy rzucił tylko: „Stephanie Bell?” i „Siadajcie, gdzie chcecie, nikogo nie ma”. Choć Stevie słyszała, że Vermontczycy są powściągliwi, a obcych nazywają ludźmi z nizin, w milczeniu kierowcy było coś upiornego.

– Posłuchaj – szepnęła mama – gdyby ci się odwiedziało...

Stevie złapała się fotela.

– Nie odwiedzi się. Niedługo dojeżdżamy.

– Po prostu... – zaczęła mama i zrezygnowała. Takich rozmów miały już za sobą wiele. Ranek toczył się utartym torem, nie przynosząc niczego nowego. Stevie obejrzała się za siebie – mistycznie błękitny vermoncki horyzont nikał pożerany przez drzewa i urwiska tam, gdzie droga przecinała góry. Gdy jechali I-89, zostawiwszy w tyle Burlington, od skoku ciśnienia Stevie strzeliło w uszach. Czując, że rozmowa już się nie rozwinie, włożyła do uszu słuchawki. Kiedy miała włączyć podcast, matka musnęła jej ramię.

– To chyba nie pora na słuchanie tych makabr – rzekła.

– Historii autentycznych zabójstw. – Stevie nie zdążyła ugryźć się w język. Poprawka pobrzmiwała nadmiernym pedantyzmem. A mieli się nie sprzezać.

Stevie odłączyła słuchawki i zwinęła kabel.

– Odezwała się koleżanka? – zapytała mama. – Jazelle?

– Janelle – poprawiła Stevie. – Przysłała esemesa, że jest w drodze na lotnisko.

– Cieszę się – odparła mama. – Powinnaś się otaczać przyjaciółmi.

„Bądź miła, Stevie. Nie mów, że już masz przyjaciół. Masz ich mnóstwo. Nie ważne, że wielu z nich poznajesz na forach powieści kryminalnych”. Rodzice nie mieli pojęcia, że można się kolegować z ludźmi spoza szkoły i nie jest to żadnym dziwactwem, a Internet służy znajdywaniu podobnie myślących osób.

Rzecz jasna, Stevie miała też szkolne koleżanki, ale nie podtrzymywała tych znajomości jak należy, to znaczy nie bywała na pizama parties, nie malowała się i nie biegała po sklepach.

Tamto się teraz nie liczyło. Przyszłość była tutaj, w tych zamglonych górach.

– Możesz mi przypomnieć, czym interesuje się Janelle? – spytała mama.

– Inżynierią – odpowiedziała Stevie. – Buduje różne rzeczy. Maszyny, urządzenia.

Po chwili sceptycznego milczenia mama zapytała:

– A ten Nate pisuje?

– Ten Nate pisuje – potwierdziła Stevie.

Ta dwójka pierwszorocznych miała mieszkać w jej nowej bursie. Na temat starszych lat szkoła milczała. Kolejny temat, który Bellowie wałkowali przy stole od tygodni – Janelle Franklin pochodziła z Chicago. Była rzeczniczką uczniów biorących udział w państwowym programie zachęcającym kolorowe dziewczęta do aktywności w sferze nauki, techniki, inżynierii i matematyki. Stevie wiedziała o Janelle całkiem sporo, choćby to, że w wieku lat sześciu została przyłapana na (pomyślnej) naprawie tosterka. Znała też wszystkie jej upodobania: budowanie narzędzi i gadżetów, lutowanie i spawanie, prowadzenie na Pinterescie serwisów o technikach organizacji, okularniczkach, powieściach dla młodzieży, kotach, kawie i niezliczonych programach TV.

Stevie esemesowała już z Janelle. Zaczynało się więc niezłe. Miała koleżankę.

Drugim pierwszorocznym w Minerwie był Nate Fisher, który mówił niewiele i nie odpowiadał na esemesy, ale za to miał już wielkie osiągnięcia. Jako czternastolatek opublikował – najpierw w sieci, a później drukiem – książkę *Cykle księżycowego blasku*, liczącą siedemset stron imponującą powieść fantasy. Podobno aktualnie pracował nad jej sequelem.

Takie właśnie osoby przyjmowała Akademia Ellinghama.

– Muszą być niezwykle zdolni – podsumował ojciec. – Jak ty. Wiesz, że jesteśmy z ciebie dumni.

Stevie odczytała w zdaniu zakodowany komunikat. „Choć kochamy cię całym sercem, nasze ty dziwadelfko, nie mamy bladego pojęcia, dlaczego cię przyjmują do tej szkoły”.

I tak upłynęło całe lato: wyrażając raz po raz dumę z córki, rodzice ukrywali

wątpliwości podsycane niepojętą dla nich sytuacją, zwłaszcza że Stevie zgłosiła się do Akademii bez ich wiedzy. Do głowy by im nie przyszło, że mógłby uczyć się tam ktoś ich pokroju. Od blisko wieku w Akademii kształcili się twórczy geniusze, radykalni myśliciele i racjonalizatorzy. Nie wymagano podania i nie stawiano warunków. Jedyne wskazanie brzmiało: „Jeśli chcesz się u nas uczyć, uprzejmie prosimy o kontakt”.

Tyle.

Proste zdanie, które rozpałało umysł ambitnych uczniów w całych Stanach. Pytanie, czego się tam od nich oczekuje, było jak zagadka z baśni – ułożony przez czarodzieja rebus, który trzeba rozwikłać, by móc wejść do Jaskini Sekretów. Wszędzie należało spełniać surowe kryteria, rozwiązywać testy, pisać wypracowania, mieć referencje, a nawet oddać krew albo zanucić kilka taktów ze znanego musicalu. Do szkoły Ellinghama wystarczyło zapukać. Zapukać do drzwi w określony sposób, którego nie podawano. Trzeba było po prostu się wpasować. Akademia szukała osób wyjątkowych. Wykazując się szczególnym talentem, można było zostać jedną z przyjmowanych corocznie pięćdziesięciu osób. Program obejmował tylko dwa lata – trzeci i czwarty rok liceum. Nie pobierano czesnego. Przyjęty uczył się za darmo. Ale najpierw musiał się dostać.

Autobus skręcił na pas wyjazdowy i zatrzymał się na kolejnym przystanku, gdzie czekała jeszcze jedna rodzina. Drobniutka dziewczyna o długich, ciemnych włosach, z rodzicami – wszyscy bacznie wpatrzeni w komórki.

– Ma ładne włosy – rzekła mama Stevie.

Była to aluzja do włosów Stevie, które ta – w odruchu samoodnowy – własnoręcznie ścięła w łazience wczesną wiosną. Mama wybuchnęła płaczem na widok jej jasnych pukli w umywalce, po czym wzięła ją do fryzjera, by wyrównał jej włosy, nadał im formę. Włosy były kością niezgody do tego stopnia, że rodzice chcieli nawet zabronić Stevie wyjazdu, ale w końcu szczęśliwie się z tego wycofali. Mama była bardzo przywiązana do jej włosów, poniekąd więc też dlatego musiały zostać ścięte. A tak naprawdę to Stevie uznała, że w krótkich będzie jej po prostu lepiej.

Słusznie. Fryzura na chłopaka okazała się twarzowa i bardzo łatwa w utrzymaniu. Gdy Stevie farbowała włosy na różowo, niebiesko, a potem na różowo-niebiesko, miała z nimi ciągłe problemy. Wróciła więc do naturalnego chłodnego blondu i zwykłej, krótkiej fryzurki.

Po władowaniu toreb do bagażnika dziewczyna z rodzicami wsiedli do autobusu. Wszyscy troje mieli ciemne włosy, skupione twarze, duże oczy i okulary. Wyglądali jak sowa rodzina. Mamrocząc uprzejme powitania, zajęli miejsca za Bellami. Stevie знаła dziewczynę z przewodnika dla pierwszorocznych, ale zapomniała jej nazwiska.

Próbowała zignorować kuksańca mamy.

Dziewczyna znów zapatrzyła się w komórkę.

– Stevie.

Stevie wzięła potężny haust powietrza, czując, że zapowiada się przechylenie nad mamą i wołanie do dziewczyny, która siedzi za ich plecami w sąsiednim rzędzie. Obciach, z jakiego nie może niestety się wywinąć.

– Hej – rzuciła.

– Hej? – Dziewczyna podniosła głowę.

– Jestem Stevie Bell.

Dziewczyna przyjęła to do wiadomości.

– Germaine Batt – odparła.

I nic więcej. Stevie już zaczynała się prostować, w poczuciu, że wysiliła się aż nadto, ale mama znowu dała jej kuksańca.

– No zakolegij się – szepnęła.

Niewiele słów mrozi krew tak jak „zakolegij się”. Stevie przeszły ciarki. Zapra gnęła spadających głązów. Ale też wiedziała, że jeśli nie nawiąże rozmowy, zajmą się tym rodzice. A wtedy Bóg wie, czego się spodziewać.

– Z daleka jedzicie? – zapytała.

– Nie – odpowiedziała Germaine, podnosząc wzrok znad telefonu.

– My z Pittsburgha.

– Aha.

Stevie wyprostowała się w fotelu, spojrzała na mamę i wzruszyła ramionami. Nie mogła wymuszać na Germaine pogawędki. Mama pochwaliła ją spojrzeniem za starania.

Autobus zatrząsł się, zjeżdżając z autostrady na wąską wyboistą drogę wśród sklepów, farm i sztyldów dla narciarzy oraz entuzjastów dmuchanego szkła i cukierków na syropie klonowym. Zabudowa przerzedzała się stopniowo, ustępu-

jąc miejsca polom. Gdzieniedzie tylko stała wiekowa czerwona ciężarówka lub koń, samotny, jakby się zagubił.

Autobus piał się pod górę. Coraz wyżej i wyżej, w głąb lasu.

Wtem ostro skręcił w prześwit między drzewami, aż Stevie szarpnęło na bok i omal nie spadła z fotela. Przy ziemi zamajaczyła bordowa tabliczka ze złotym napisem: „Wjazd do Akademii Ellinghama”. Tak niepozorna, jakby szkoła chciała się ukryć.

Droga, którą teraz jechali, nie zasługiwała na to miano. Nawet nazwanie jej ścieżką byłoby na wyrost. Przemieszczali się wzdłuż sztucznej wyrwy w pejzażu – krętej blizny w lesie. Najpierw powiodła ich w dół, gwałtownie, ku jednemu ze strumieni okalających posiadłość. Zobaczyli tam konstrukcję, którą tylko od biedy byłoby można nazwać mostem, skleconą z drewna, sznura i wyobrażeń. Zaopatrzona w „poręcze” wysokości bodaj trzydziestu centymetrów, wyglądała, jakby miała się zapaść pod ciężarem niewiele większym od befsztyka.

Autobus przetoczył się po osobliwym moście, który gwałtownie zadrżał, aż Stevie zatrzęsała się w fotelu.

Później znowu ruszyli pod górę, spadzistą jak stok narciarski. Mknęli niepowstrzymani. Drogę zasłaniały cienie drzew. Gałęzie skrobały o boki autobusu jak dziesiątki szponów. Autobus wydawał zgrzytliwe odgłosy, mozolnie walcząc z coraz węższą drogą. Stevie czuła, że nic jej nie grozi, choć autobus sprawiał wrażenie, jakby miał za moment się rozlecieć. Nabrała pewności, że wycieczka z rodzicami jednak nie skończy się źle, że autobus się nie podda i nie stoczy tam, skąd wyruszyli, że nie runą teraz na oślep do rzeki, w słodką, zimną i wilgotną nicość... chociaż kto wie.

Podłoże wyrównywało się stopniowo, zza drzew wyłoniła się więc gładza droga i rozległe, zielone trawniki. Autobus zbliżył się do bramy, której strzegły dwa posągi na cokółach, skrzydlate stwory o uśmiechniętych twarzach i pustych oczach, każdy na czterech łapach i z ogonem.

– A to ci dziwne anioły – ogłosiła mama, opuszczając szybę, żeby się im przyrzec.

– Nie anioły – odrzekła Stevie. – Tylko sfinksy. Mityczne bestie. Sfinks zadawała zagadki ludziom chcącym dostać się do miejsca, którego strzegła – i pożerała każdego, kto źle odpowiedział. Edyp, zagadka, Sfinks... Nie mylić ze spank-

sem, podstawowym orężem w walce z kompleksami^[2].

Mama znowu rzuciła jej t o spojrzenie. „Marzyliśmy o towarzyskiej córce, która gania na bale i zakupy, a trafiło się nam dziwadło. Kochamy ją, ale co ona właściwie ma w głowie?”

Stevie współczuła rodzicom. Byli tak ograniczeni. Czuła, że nigdy w życiu nie zabawią się tak jak ona.

Wychyliwszy się, Germaine badawczo przyjrzała się Stevie wielkimi, błyszczącymi oczami. Minę miała zagadkową jak sfinks.

Stevie momentalnie ogarnęły wątpliwości. Nie powinna była zostać przyjęta. List trafił pod niewłaściwy adres, do niewłaściwej Stevie. Za sprawą czyjejs sztuczki, żartu, kosmicznej pomyłki. Lecz nawet gdyby ktoś ukartował całą tę nierealną sytuację – autobus właśnie podjeżdżał pod Akademię Ellinghama.



2

Stevie zobaczyła najpierw okrągły skwer z fontanną, posągami Neptuna, unoszącego dłoń w powitalnym geście wśród pluszczącej wody. Skwer otaczały gęsto drzewa. Przez gałęzie nieśmiało wyglądały domy, w przebłyskach dało się dojrzeć cegłę, szkło i kamień. Nad zielenią niczym gospodarz górowała posiadłość, Wielki Dom – obłędny gotycki dwór z dziesiątkami okien jak w katedrze, o arkadach ponad drzwiami i wieloszczytowym dachu.

Stevie na moment zatchnęło. Widziała setki zdjęć tej posiadłości. Znała mapy, kąty, perspektywy. Ale gdy stanęła na trawniku, wdychając świeże, rozrzedzone powietrze, gdy usłyszała plusk fontanny Neptuna i poczuła na twarzy promienie słońca... zakręciło jej się w głowie.

Kierowca wyładował jej walizki z brzucha autobusu, wraz z trzema torbami jedzenia, których wzięcia domagali się rodzice. Torby były krępująco ciężkie, po brzegi wypełnione wielkimi pojemnikami masła orzechowego i mrożonej herbaty w proszku oraz toną żelu do kąpieli, artykułów higienicznych i innych rzeczy kupionych na wyprzedaży.

– Mamy mu dać napiwek? – zapytała cicho mama, gdy bagaże stały już na ziemi.

– Nie – odpowiedziała Stevie z wymuszoną pewnością. Nie wiedziała, czy kierowca szkolnego autobusu powinien dostać napiwek. Robiąc research, nigdzie się nie natknęła na tę kwestię.

– Nic ci nie jest? – zapytał tato.

– Nic – odrzekła, wspierając się na walizce. – Tylko... tak tu pięknie.

– Niezwykłe – przytaknął. – Nie da się zaprzeczyć.

Duży wózek golfowy zatrzymał się obok, okrążywszy podjazd. Powitał ich mężczyzna – młodszy od kierowcy, po trzydziestce, mocno umięśniony, w wyswiechtanych bojówkach i koszulce polo z logo Akademii. Był schludny, więc rodzice rozluźnili się na jego widok, a widząc miny rodziców, rozluźniła się też Stevie.

– Stephanie Bell? – zapytał.

– Stevie – poprawiła go z miejsca.

– Mark Parsons – przedstawił się. – Zarządca posiadłości. Mieszkasz w Minerwie. To ładny domek.

Władował na wózek rzeczy Stevie i całą trójkę Bellów. Germaine i jej rodziców umieszczono w drugim i wysłano w przeciwną stronę.

– Wszyscy marzą o Minerwie – dodał Mark, gdy byli poza zasięgiem ich słuchu. – To najlepszy dom.

W posiadłości wiła się wśród zagajników masa gładkich kamiennych ścieżyn. Gdy jechali w głębokim cieniu między zabudowaniami szkoły, Stevie i jej rodzicom z wrażenia odebrało mowę. Niektóre budynki, bardzo okazałe, wzniesione z kamienia i czerwonych cegieł, łączyły się gotyckimi łukami, a ostre ich krawędzie łagodziły maleńkie wieżyczki. Jedne pyszniły się nagością, a inne spowijał bluszcz tak gęsto, jakby składano je w darze jakiemuś leśnemu bóstwu. To już nie był zwykły ogólniak, lecz prawdziwa Siedziba Nauki.

Za drzew widać było ustawione na polanach greckie i rzymskie posągi z zimnego białego kamienia.

– Ktoś tu bywa w sklepach ogrodniczych – odezwał się tato Stevie.

– Skądże – odparł Mark, gdy mijali rząd głów o srogich twarzach członków komisji na moment przed wydaniem wyroku. – Wszystko to autentyki. Posągi warte fortunę.

Prawdę mówiąc, rzeźb było za dużo. „Szkoda, że ktoś nie doradził Ellinghamowi, by nie kupował aż tylu. Ale przecież – stwierdziła Stevie – ktoś z jego pozycją może wszystko”. Wózek zatrzymał się przed niskim, dostojnym domem z ułożonych na przemian złocistych i czerwonych cegieł. Dom składał się z dwu części: okazałego budynku po prawej, o zwyczajnym wyglądzie, i długiej dobudówki z wieżyczką. Całość była obrośnięta dzikim winem, które przysłaniało płaskorzeźby – patrzące badawczo z połaci dachu i sponad okien ludzkie twa-

rze. Przez uchylone jaskrawoniebieskie drzwi do środka wlatywał wietrzyk i muchy.

Stevie weszła z rodzicami do świetlicy z kamienną posadzką i obszernym kominkiem otoczonym fotelami na biegunach. W chłodnym, zacienionym pomieszczeniu unosił się delikatny zapach palonego kiedyś drewna. Zdobila je nieco klaustrofobiczna tapeta w czerwone aksamitne wzory i wypchana głowa łosia w wieńcu z barwnych światełek. Obok kominka wisiał hamakowy fotel, a na posadzce leżały poduchy. Stała też sfatygowana, ale wygodna sofa – i ogromny stół gospodarski zajmujący niemal całe pomieszczenie. Na stole Stevie ujrzała skrzynkę na narzędzia i garść pasmanterii – koraliki i inne cacka służące do dekorowania albumów na pamiątki. Ze ściany tuż przy drzwiach wystawało osiem dwudziestoparocentymetrowych haków, stanowczo za dużych, by używać ich do wieszania ubrań. Stevie musnęła jeden koniuszkiem palca, zastanawiając się, do czego służą.

– Halo, dzień dobry?

Obróciwszy się, zobaczyła wychodzącą z niedużej kuchni kobietę z dzbankiem kawy. Opalona, miała ogoloną głowę z meszkiem jak skórka brzoskwini, była drobna, ale muskularna. Jej ramiona zakrywały jak rękawy eleganckie kwiatowe tatuaże. Miała na sobie luźny tiszert z napisem „Lubię kopać” i bojówki, z których wystawały mocne, owłosione nogi.

– Stephanie? – zwróciła się do Stevie.

– Stevie. – Znów musiała poprawiać.

– Doktor Nell Pixwell – przedstawiła się tamta, podając rękę wszystkim Bel-lom. – Mówcie mi Pix. Opiekuję się uczniami z Minerwy.

Stevie skorzystała z okazji, by przyjrzeć się drobiazgom obok skrzynki. Dotarło do niej, że to nie pasmanteria, tylko... zęby. Niezliczone. Tutaj. Na stole. Nie miała pojęcia, czy są sztuczne, czy prawdziwe, stwierdziła jednak, że to bez znaczenia. Stół zasypany zębami to stół zasypany zębami.

– Przyjemnie się wam jechało? – spytała Pix, prędko układając zęby w prze-gródkach skrzynki.

(Jeden z zębów zadzwięczał, uderzając o plastik).

– Przepraszam, musiałam to i owo posortować. Przybyliście najwcześ...

(Tu przerwał jej trzonowy).

– Macie ochotę na kawę?

Gromadka stłoczyła się w maleńkiej kuchni, gdzie po rozdaniu kubków z kawą Pix wyjaśniła rodzicom Stevie zasady wyżywienia w szkole. Śniadania dostarczano do pokoi, a obiady i kolacje jadało się w stołówce. Uczniowie zawsze mogli skorzystać z kuchni, poza tym mieli do dyspozycji serwis do zamawiania posiłków online. Kiedy wrócili do świetlicy, mama Stevie poruszyła oczywistą kwestię.

– Czy to zęby?

– Tak – odpowiedziała Pix.

Nie spodziewając się po niej rozwinięcia tej myśli, Stevie wkroczyła do akcji.

– Dr Pixwell specjalizuje się w bioarcheologii – rzekła. – Prowadzi wykopaliska w Egipcie.

– Nie inaczej – potwierdziła Pix. – Czytałaś mój życiorys?

– Nie – odparła Stevie. – Zęby, pani koszulka, oko Horusa wytatuowane na przegubie, w kuchni paczka herbaty rumiankowej z napisem po arabsku, prócz tego ma pani na czole nieopalony pasek od nakrycia głowy. Domyśliłam się po prostu.

– Imponujące – przytaknęła Pix.

Na moment wszyscy zamilkli. Głowę Stevie obleciała, bzycząc, mucha.

– Stevie ma się za Sherlocka – oznajmił ojciec. Lubił wygłaszać takie niby żartobliwe myśli, lecz mimo najlepszych chęci zawsze nasycił je zwątpieniem.

– Któż nie chce być Sherlockiem? – Pix uśmiechnęła się, napotykając jego oczy. – Gdy byłam młodsza, wołałam Agathę Christie, bo pisała dużo o archeologii. Ale Sherlock jest cudowny. Teraz was oprowadzę...

W tej chwili tą jedną uwagę Pix zaskarbiła sobie dożgonną lojalność Stevie.

Wszystkie sześć pokoi uczniowskich Domu Minerwy mieściło się w korytarzach po lewej stronie świetlicy: trzy na górze i trzy na dole. Na parterze była wspólna toaleta, wyłożona płytkami w zdumiewającym, nieużywanym już odzieniu.

„Mdły łoś – pomyślała Stevie – a i to od biedy”.

Korytarz kończył się wieżyczką z obszernymi drzwiami.

– Ciekawe miejsce – otwierając je, objaśniała Pix. – Do inauguracji szkoły Mi-

nerwa służyła gościom Ellinghamów, ma więc pewne cechy niespotykane w innych bursach... – Za drzwiami kryło się wspaniałe pomieszczenie: łazienka z wysokim stropem, o posadzce wyłożonej perłowosrebrnoszarymi kafelkami. Pośrodku stała duża wanna na pazurzystych łapach.

Przedstawiające stylizowaną winorośl i kwiaty witraże w podłużnych oknach zalewały łazienkę tęczowym blaskiem.

– To miejsce cieszy się powodzeniem podczas sesji egzaminacyjnych – powiedziała Pix. – Wielu chętnie uczy się w wannie, zwłaszcza gdy nastają chłody. Poza tym prawie się z niego nie korzysta z uwagi na pająki. A teraz obejrzyjmy twój pokój.

Stevie postanowiła zignorować to, co właśnie usłyszała o pająkach, i udała się do swego pokoju, Minerwy 2. Miał taki zapach, jakby przez kilka miesięcy prażył się na wolnym ogniu, było w nim aż gęsto od woni długiego niewietrzenia, świeżej farby i płynu do pielęgnacji mebli. By wpuścić nieco powietrza, otwarto jedno z okien wychodzących na front, ale wiatr jak na złość wiał niemrawo. Do środka wpadły dwie muchy i tańczyły w kółko pod wysokim stropem. Czerń kominka podkreślały jasnokremowe ściany.

Wnosząc bagaże Stevie, rodzice wypytywali, gdzie ustawić łóżko, czy da się wejść przez okno i kiedy zamyka się na noc drzwi wejściowe. Pix bez zająknięcia rozwiązywała wszystkie kwestie: okno otwierało się od góry i miało świetne, bezpieczne zamki, drzwi – zamykane w tygodniu o dwudziestej drugiej, a w weekendy o godzinę później – były monitorowane elektronicznie (poprzez identyfikatory uczniów) lub pilnowane przez Pix.

Mama już-już miała wziąć się do rozpakowywania toreb Stevie, kiedy Pix jej przerwała i ciągnąc wszystkich na zwiedzanie kampusu, na chwilę wprawiła Stevie w osłupienie. Na zewnątrz świergotały ptaki, a wiatr przywiewał z dala głosy. Podłoga lekko zaskrzypiała, gdy Stevie ruszyła do drzwi. Powiódłszy dłonią po ścianach, poczuła ciekawą fakturę; pokrywała je grubo farba, nakładana przez lata warstwami, by zamaskować ślady po poprzednich lokatorach. Nie tak dawno Stevie widziała w dokumencie o zabójstwie, jak zrywając warstwy farby, odsłania się ukryte przez kilkadziesiąt lat zapiski. I odtąd marzyła tylko o tym, by zmiękczyć parą i obdrzeć jakąś ścianę tylko dla sprawdzenia, czy coś na niej znajdzie.

Pomyślała, że pewnie wśród tych ścian zdarzyło się już niejedno.



13 kwietnia 1936, 18:45

Tego dnia mgła zaległa szybko – poranek rozkwitł jasny i przejrzysty, ale tuż po czwartej ziemię przesłonił gęsty, siwy opar. Tak właśnie objawiła się mgła, wspomiana potem przez lata. O zmierzchu świat spowijała perłowa ciemność, więc nie było nic widać dalej niż na metr. Przez mgłę podjechał pod posiadłość rolls-royce phantom. Zatrzymał się w połowie podjazdu przed Wielkim Domem. Zawsze stawał tak w pół drogi. Albert Ellingham pokonywał resztę drogi pieszo, by rzucić okiem na swe górskie włości. Wysiadał tylnymi drzwiami, zanim jeszcze zgasł silnik. Jego sekretarz, Robert Mackenzie, oczekiwał w aucie kilka sekund.

– Musisz jechać do Filadelfii – rzekł Robert do pleców chlebobdawcy.

– Nikt nie musi tam jechać, Robercie.

– Musisz jechać do Filadelfii. Warto by też spędzić ze dwa dni w oddziale w Nowym Jorku.

Ostatni autobus z ludźmi, którzy dokańczali budowę, minął ich, kierując się do Burlington i przydrożnych miasteczek. Zwolnił, by pasażerowie mogli pomachać chlebobdawcy.

– Pięknie się dziś spisaliście! – zawołał do nich Ellingham. – Do zobaczenia jutro!

Kiedy wraz z sekretarzem zbliżał się do domu, kamerdyner otworzył drzwi – i po chwili weszli obaj do wspaniałego westybulu. Ilekroć Ellingham wchodził do rezydencji, zachwycał się jej pięknem, patrzył, jak światło odbite od kryształów nabiera nowych odcieni, przenikając szkockie witraże sprowadzone za bajońskie sumy.

– Dobry wieczór, Montgomery – powiedział. Jego tubalny głos rozbrzmiał echem w otwartym atrium.

– Dobry wieczór, sir – odrzekł kamerdyner, odbierając od przybyłych palta i kapelusze. – Dobry wieczór, panie Mackenzie. Ufam, że mimo tej mgły przejażdżka nie była zbyt męcząca.

– Jechaliśmy wieki – odparł Ellingham. – Przez całą drogę Robert suszył mi głowę o różne spotkania.

– Proszę, nakłoń pana Ellinghama, by pojechał do Filadelfii – rzekł Robert.

– Pan Mackenzie życzy sobie, bym przekazał...

– Montgomery, umieram z głodu – przerwał Ellingham. – Co mamy na kolację?

– Na początek zupa krem z selera i filet z soli w sosie migdałowym, sir, później pieczeń z jagnięciny, zielony groszek z miętą, białe szparagi z sosem holenderskim i ziemniaki po lyońsku, a na koniec mrożony suflet cytrynowy.

– Wystarczy. Zjemy, gdy będziemy wolni. Już mi ślinka cieknie. Ilu mamy dziś rezydentów?

– Nadal są u nas panna Robinson i pan Nair, tyle że od rana niedysponowani, więc sądzę, że posili się pan tylko w towarzystwie żony i pana Mackenziego.

– Świetnie. Sprowadź ich i jedzmy.

– Żona, sir, jeszcze nie wróciła. Po południu wybrała się z panną Alice na przejażdżkę.

– I dotąd ich nie ma?

– Pewnie przedzierają się przez mgłę, sir.

– Niech paru ludzi czeka ze światłami przy podjeździe i podprowadzi ją pod dom. Gdy tylko wróci, zachęć ją, by coś zjadła. Niech nawet nie zdejmuje płaszcza. Przypilnuj, by od razu poszła do jadalni.

– Oczywiście, sir.

– Pospiesz się, Robercie – rzekł, oddalając się Ellingham. – Skoczmy do gabinetu na partyjkę szachów. Tylko się nie opieraj. Nie ma nic poważniejszego od rozgrywki.

Jak przystało na zawodowca, sekretarz zareagował milczeniem. Grywanie z chlebodawcą – wpisane w jego pracę – nie podlegało dyskusji, a „nie ma nic ważniejszego od gry” było jedną z wielu dewiz Ellinghama. Właśnie dlatego uczniowie mogli grać tu w co dusza zapragnie, a monopole, która pojawiła się

niedawno w Ameryce, była dla nich oraz domowników i służby obowiązkowa. Każdy musiał zagrać chociaż raz w tygodniu, a od pewnego czasu co miesiąc odbywały się zawody. Tak to żyło się w świecie Alberta Ellinghama.

Robert podniósł z tacki najświeższą pocztę i przeczesawszy ją wprawnym okiem, natychmiast odłożył część listów, a inne wsunął pod pachę.

– Filadelfia – powiedział kolejny już raz. Do jego obowiązków należało pilnowanie, by wielki Ellingham nie zbaczał z kursu. Robert w tym celował.

– No dobrze, dobrze. Zaplanuj to. Ach, omal bym zapomniał... – Ellingham wydobyl z biurka blankiet depeszy. Najbardziej lubił notować na takich jak ten skrawkach. – Rano obmyśliłem nową łamigłówkę. Ciekawe, czy ci się spodoba.

– Czy jej rozwiązanie brzmi: Filadelfia?

– Robercie – surowo upomniał Ellingham – chodzi o moją łamigłówkę i to, mam wrażenie, niezłą. Posłuchaj: „Co działa na dwa fronty, a gdy skryć się zechcesz, przed wrogiem może cię ochronić albo wskazać mu, gdzie jesteś?”. No i? Co to takiego według ciebie?

Robert westchnął i przerwał sortowanie listów, żeby się zastanowić.

– Działa na dwa fronty... – powtórzył. – Czyli szpieg? Albo zdrajca. Obłudnik.

Ellingham uśmiechnął się, zachęcając sekretarza gestem, by zgadywał dalej.

– Ale przecież – zastanawiał się głośno Robert – to nie osoba, tylko rzecz. Coś, co działa w dwie strony...

Rozległo się pukanie do drzwi. Ellingham zerwał się z miejsca, by otworzyć osobiście.

– To drzwi! – zawołał, otwierając mizernemu kamerdynerowi. – Drzwi!!!

– Sir... – zaczął Montgomery.

– Chwileczkę. Chodzi o to, Robercie, że drzwi działają dwustronnie...

– I albo są kryjówką, albo wskazują, gdzie się chowasz – dokończył Robert. – No tak, jasne...

– Sir! – domagał się uwagi Montgomery. Nieprzywykli do takich ponagleń z jego strony, obaj spojrzeli na niego zbici z tropu.

– Co takiego, Montgomery? – zapytał Ellingham.

– Telefon do pana, sir – odpowiedział kamerdyner. – Musi pan natychmiast podejść. Wewnętrzny. W pokoju kredensowym, sir. Proszę się pospieszyć.

Jego zachowanie było tak nietypowe, że Ellingham usłuchał go bez słowa. Poszedł za nim do kredensowego i wziął od niego słuchawkę.

– Mam twoją żonę i córkę – usłyszał.



3

Stevie Bell miała banalne marzenie: pragnęła stanąć nad zwłokami.

Nie chciała nikogo zabijać – nic z tych rzeczy. Pragnęła tylko rozwiązać zagadkę tego morderstwa. Marzyła o torebkach z napisem „Dowód rzeczowy” i kombinezonie ochronnym, jaki noszą eksperci od medycyny sądowej. Chciała bywać w pokoju przesłuchań. Dochodzić sedna sprawy. Uważała, że to normalne i że pragnie tego prawie każdy, mało kto jednak ma odwagę się do tego przyznać. W dawnej szkole wołała nie obnosić się z tą potrzebą. Dla kogoś, kto lubi liceum, dawna szkoła Stevie była idealna. Ani zła, ani dobra, taka, jak być powinna... Kilometry linoleum, buczące lampy, ciepła woń z bufetu skoro świt, zbyt prędko tłumione przez marazm przebłyski natchnienia i ciągły przymus niebycia sobą. I choć Stevie miała tam kolegów i koleżanki, nikt nie rozumiał jej umiłowania zbrodni. Napisała więc płomienny esej, przelewając wszystko na ekran, i wysłała na poły dla żartu, przekonana, że Ellingham jej nie przyjmie.

Tekst tak spodobał się w Ellingham, że przydzielono jej ten pokój.

Meble były drewniane i zaskakująco duże. Pokażnych rozmiarów komoda chybotąca pod dotykiem Stevie, odrapana tak bardzo, że nie ukryłaby tego żadna politura. Ale nie były to jedynie ślady zwykłego użytkowania – wycięto w niej czytelne słowa i inicjały. Stevie odkryła ze zdumieniem, że szuflady wcale nie są puste. Ktoś ułożył w nich już flanelowy koc w kratę, gruby fioletowy polar z herbem Akademii Ellinghama na przedzie, porządną latarkę z nową paczką baterii, niebieski flanelowy szlafrok i kilka rakiet z klamrami. Dopiero po wyjęciu ich z szuflady i bliższych oględzinach Stevie doszła do wniosku, że są to rakiety śnieżne, a wieszka się je pewnie na hakach, które zobaczyła przy drzwiach.

Wiedziała co prawda, że wyjeżdża do Vermontu, gdzie bywa zimno, ale nie

przeczuwała, że zdarzają się tu tak poważne katastrofy.

Zaczęła rozpakowywać pudła i torby. Wyjęła starą szarą pościel, pasiastą kołdrę, którą dostała na dziesiąte urodziny, dwie z najmniej pożątkłych poduszek wydobytych z szafy. W ostrym świetle tutejszego słońca wszystko wydało jej się... bure. Wprawdzie miała trochę nowych rzeczy, jak wymagane tu: półka na wannę i klapki na wycieczki do łazienki – ale one niezbyt ożywiały pokój.

Tak czy owak, wyglądał nie najgorzej. Jadąc tu, wyobrażała sobie, że pokój w bursie będzie jak mieszkanie Sherlocka Holmesa przy Baker Street – zapyziały, ale elegancki.

Włożyła słuchawki, by wreszcie wrócić do podkastu. Opowiadał o H.H. Holmesie, seryjnym mordercy z Chicago: „...odkrywano kolejne pomieszczenia w zamczysku zbrodni Holmesa: pokoje z doprowadzonym gazem, komnatę, gdzie wieszal swe ofiary, dźwiękoszczelną kryptę...”.

Otworzyła pudło oznaczone gwiazdkami. Zawierało coś, bez czego nie mogłaby się obejść: kryminały. (Starannie wyselekcjonowanych kilkadziesiąt). Czule ustawiła je na półce w kolejności, w jakiej chciała je oglądać.

„...zsyp prowadzący do pieców, w których zwłoki zapewne...”

Na samej górze Sherlock Holmes i Wilkie Collins. Później rozłożona na dwóch półkach Agatha Christie, wreszcie Josephine Tey z Dorothy L. Sayers. Dotarłszy do współczesności, na końcu Stevie umieściła prace o medycynie sądowej i psychokryminalistyce. Cofnęła się, by sprawdzić efekt, i poprawiła jeszcze to i owo, aż zgadzało się dokładnie wszystko. Książki nadawały sens przestrzeni Stevie.

Mając porządek w książkach, mogła zadbać o resztę pokoju.

„...kwas, rozmaite trucizny, stół do rozciągania...”

Stevie nie dbała o rzeczy codziennego użytku. Nie miała serca do ubrań, a że i tak nie było jej na nie stać, nosiła głównie dzinsy i zwykłe tiszerty. Marzył jej się tylko solidny sweter rybacki, jaki nosił detektyw w jej ukochanym skandynawskim kryminale, i praktyczna torebka na długim pasku, z jaką chodziła jej ulubiona detektyw z angielskich seriali.

Najcenniejszy wśród jej ubrań był winylowy płaszcz przeciwdeszczowy z lat siedemdziesiątych, znaleziony na dnie babcinej szafy. Pasował na nią jak ulał, więc ozdobiła go przypinkami na cześć ulubionych zespołów, podkastów i,

rzecz jasna, książek. Płaszcz miał głębokie kieszenie i solidny pasek, więc Stevie czuła się w nim pewna, silna i odporna na najgorsze deszcze. Nawet mama, która nie lubiła stylu Stevie, stwierdziła, że jej w nim do twarzy („Choć trochę koloru, nareszcie”).

Ledwie powiesiła płaszcz i zamknęła szafę – obróciwszy się, ujrzała zombie.



Stevie czytała, że aktor w filmie nie wygląda tak jak większość ludzi, bo kamera deformuje. Ktoś, kto prezentuje się dobrze w obiektywie, w życiu wydaje się wręcz przerysowany. Tak właśnie było z postacią, która stała w progu. Chłopak w białej lnianej koszuli i jasnoniebieskich szortach wyglądał, jakby właśnie zszedł z reklamy. Stevie nie pomyliłaby tej twarzy z żadną inną. Kiedy widziała go poprzednio, był ponury, umazany ziemią, zapłakany. Teraz uśmiechał się łagodnie. Miał subtelne, miękkie rysy – krągłe policzki, nieduży, zawadiacko zaokrąglony nos, dołeczek w brodzie. Przydługie brązowe włosy opadały mu swobodnymi falami. Brwi miał chyba wyregulowane, bo w przyrodzie trudno spotkać tak wygięte łuki. Umieśniony od stóp po szyję, zdumiewał nieproporcjonalnie przerośniętymi, napakowanymi wręcz łydkami.

– Czołem! – rzekł do Stevie.

Głos miał niski, spokojny – i zawieszony jak sos, gdyby sosy potrafiły mówić. „Szczęśliwie jednak nie umieją, bo choć głos ich pewnie brzmiałby miło, rozmowa z nimi byłaby przenudna”.

– Hayes Major – powiedziała Stevie.

– Mhm. – Zaśmiał się cicho i tak skromnie, że Stevie natychmiast poczuła, iż nazbyt skromny nie jest.

Hayes był gwiazdą YouTube’a. Na początku lata wypuścił serial online w dziesięciu odcinkach pod tytułem *Kres* – o człowieku ocalałym z inwazji zombie. Filmiki kręcił w podziemnym schronie, opowiadając przed kamerą, jak udało mu się przetrwać w Mieście Głodu, nadmorskim miasteczku, gdzie stały jeszcze opór garstki niedobitków. Serial, z początku mało oglądany, nie wiedzieć kiedy zdobył wielki rozgłos.

Stevie wiedziała, że Hayes będzie w szkole, musieli się więc kiedyś poznać.

Ale nie spodziewała się, że stanie w jej progach, gdy będzie rozpakowywała rzeczy. Do głowy by jej nie przyszło, że zamieszkają w jednym domu.

– Sorry, miałem rozmowę – rzekł Hayes. – Gadałem z ludźmi z LA.

Podniósł komórkę, jakby pokazując mikroskopijne Los Angeles w jej wnętrzu. Stevie nie zrozumiała, dlaczego ją przeprosza i po co w ogóle mówi, że oto przed chwilą miał telefon. Niemniej skinęła głową, jakby wszystko się zgadzało. Pomyślała, że tak pewnie zachowują się celebryci, a Hayes chyba się do nich zalicza. Najpierw rozmawiają przez telefon, a potem informują o tym cały świat.

– Więc czołem. Jest szansa, że mi pomożesz?

– W czym? – Stevie zamrugała oczami, zdezorientowana.

– Z rzeczami.

– Aha. – Spanikowana Stevie poczuła w krtani lodowaty ucisk. Zdażyła już wyjść na kretynkę i to ciężko zaskoczona. – Pewnie.

Poszła za Hayesem do świetlicy, gdzie czekały (ładniejsze i liczniejsze niż jej) torby i pudła. Wskazał jedno, ze słowami:

– Musisz z nim bardzo uważać.

Stevie uznała to za sygnał, żeby podnieść pudło. Było ciężkie, pełne jakiegoś sprzętu, który – niechlujnie spakowany – przy każdym jej ruchu ślizgał się na boki.

– Taaa. – Hayes wziął mniejszą torbę i ruszył z powrotem w stronę krętych schodów na końcu korytarza z prawej. – Dziwne lato, więc musiałem zadzwonić.

– Aha – odparła Stevie. – No tak, jasne.

Usiłowała wmanewrować pudło w ciasną, krętą przestrzeń. Schody głośno skrzypiały, pudło zahaczało o nie co rusz. Hayes szedł pierwszy, lecz Stevie utknęła, próbując skrócić pudłem w pionie i to tak, żeby nim za bardzo nie trząść. Zatrzymała się na chwilę w nadziei, że Hayes wróci, by jej pomóc, a gdy się nie pojawił, wzięła głęboki oddech i wytrwale wlokła pudło w górę, ocierając nim o ściany.

Hayesowi dostała się szóstka, na samym końcu korytarza. Poza tym, że panował tam większy zaduch i było dodatkowe okno, ich pokoje wyglądały identycznie.

– Super – usłyszała Stevie. – Postaw, gdzie chcesz. Dzięki.

– Zrobiłeś rewelacyjny serial, bardzo mi się podobał. – Minęła się z prawdą, bo serial wydał jej się ledwie przyzwoity.

W ramach przygotowań do wyjazdu Stevie obejrzała wszystkie odcinki. Krótkie, najwyżej dziesięciominutowe, okazały się w miarę dobre. Serial miał niezłą fabułę. Z aktorstwem Hayesa było nieco gorzej. Sprowadzało się do prezentacji kości policzkowych i niskiego, zmysłowego głosu. Jak wiadomo, czasami to wystarcza. Stevie zawsze trzymała się prawdy, ale wołała nie zaczynać pierwszej w nowym domu znajomości od uwag typu: „Twój serial jest średni i przereklamowany, a cenią cię tylko za wygląd i tembr głosu”. Mało kto chce usłyszeć takie słowa.

– Dzięki – odparł i wyszedł z pokoju, sugerując mową ciała, by wzięła się za resztę jego rzeczy.

„Fajnie. Odzywa się do mnie sam Hayes Major, gwiazda Internetu. Wprawdzie gwiazda Internetu Hayes Major każe nosić mi swoje ciężary – ale zawsze”.

Wracając na dół krętymi schodami, Stevie pomyślała, że, o dziwo, zna też życie uczuciowe Hayesa. Związany z vlogerką z YouTube’a nazwiskiem Beth Brave, autorką i gwiazdą cyklu *Beth nie ma*, latem na jakimś konwencji wywołał awanturę, szeroko nagłośnioną. Beth randkowała wcześniej z Larsem Jacksonem z *Tych facetów*. Gdy Hayes, Lars i Beth się spotkali, wybuchła kłótnia, którą zarejestrowały media; wszyscy troje wydzierali się na siebie w korytarzu. Internauci prześcigali się potem w spekulacjach, czy Beth weźmie udział w drugim sezonie *Kresu*.

Taki to żywot wiódł Hayes Major. Zupełnie inny od życia Stevie.

– Ci z LA... – powiedział niepytany, gdy wynosili następne pudła. – Mój serial tak się podoba, że myślą o ekranizacji...

Zawiesił głos, ale Stevie przerwała ciszę:

– Rety.

– Otóż to – przytaknął. – Mój agent chce, żebym od razu zaczął następny serial, bo takie mam teraz powodzenie.

Stevie ze strasznym mozołem znów wdrapała się po wąskich schodach.

– Też o zombie? – zapytała, łapiąc oddech.

– Sam nie wiem... Może połów to na łóżku. W sumie chyba wyczerpałem te-

mat...?

– W finale zmieniłeś się w zombie – odparła Stevie. – Więc sprawa jakby jest otwarta.

– Niby tak... – Ton Hayesa wskazywał, że rozmowa przestała go zajmować. – Wiesz, skoro już wróciliśmy, to jeszcze trochę podzwonię... Wielkie dzięki. Więc na razie.

– Na razie. – Otarła pot z czoła, wycofując się z pokoju. – Widzimy się... no wiesz... gdzieś tutaj.

Chłopak już wybierał numer.

Gdy Stevie szła korytarzem, a potem schodami na parter, uzmysłowiła sobie dwie istotne sprawy.

„Po pierwsze – skoro w Vermoncie jest ósma rano, to w Los Angeles dopiero piąta. W weekend! Nawet mimo nietypowego poczucia czasu w Hollywood, trudno sobie wyobrazić, żeby Hayes załatwiał o tej porze interesy. Po drugie – choć mieszkamy w jednym domu, Hayes Major nawet nie zapytał mnie o imię”.



13 kwietnia 1936, 19:15

– Mamy twoją żonę i córkę. Jeśli nie chcesz, żeby zginęły, stosuj się ściśle do naszych wskazań. Nie dzwoń po policję. Jak zadzwonisz, od razu się zorientujemy. Obserwujemy posterunek. Wyjmij z sejfu dwadzieścia pięć tysięcy. Przyjdź sam nad jezioro. Wsiądź z forszą do łodzi i płyn na wyspę. Dajemy ci piętnaście minut.

Połączenie zostało przerwane.

W pokoju kredensowym stało trzech mężczyzn: Albert Ellingham przy telefonie, a przy drzwiach Robert Mackenzie i kamerdyner Montgomery. Gdy Ellingham odłożył słuchawkę, zapadła tępa, obłąkańcza cisza.

– Montgomery – rzekł cicho Ellingham – każ pannie Pelham zapewnić uczniom bezpieczeństwo. Wszyscy wracają do siebie. Drzwi pozamykane na klucz. Zastony zaciągnięte. Nikt nie może zostać poza domem. Działaj. A ty, Robercie, idziesz ze mną.

Robert znów poczłapał za ruchliwym pracodawcą. Gdy dotarli do gabinetu, Ellingham zamknął go od środka na klucz i wyjrzał przez przeszklone drzwi. Mrok zasnuwał góry. Mrok zasnuwał wszystko.

Ellingham podszedł do jednego z regałów wbudowanych w ślepa ścianę. Wsunął do połowy książkę na najwyższej półce. Rozległo się wymowne kliknięcie i cała ściana ustąpiła. Ellingham uchylił regał, odsłaniając ogromny sejf. Wstukał szyfr i odblokował zamek. Tymczasem Robert zasłaniał w pośpiechu okna.

– Powinniśmy wezwać policję, i to czym prędzej – stwierdził.

– Znajdź jakąś lampę i zapal – rzekł Ellingham, wyciągając worki z gotówką.

– W posiadłości zostało jeszcze kilkunastu robotników – nalegał Robert, zasłaniając ogromnymi kotarami rozległą przeszkloną ścianę. – Można by ich zwołać w pięć minut, kazać otoczyć rezydencję i wysłać na drogi. Kilku ma du-

beltówki, a zręczni są wszyscy.

– Szkoda na to czasu, Robercie. Zabieram pieniądze nad jezioro. Zapal lampę i pomóż mi liczyć.

Zapytany później o tę sytuację, Robert Mackenzie odpowiedział, że istotnie nie mieli czasu do namysłu. Na tym polegał geniusz jego chlebodawcy: nie trwonić czasu na dywagacje ani snucie planów. Prędko chwycił jedną z lamp naftowych (stały w pokojach na wypadek częstych tu awarii prądu), zapalił, ukląkł na podłodze i zaczął przeliczać gotówkę. Okazało się, że jest dwadzieścia trzy tysiące i jeszcze parę dwudziestek.

– Za mało, potrzeba więcej. – Głos Ellinghama jak nigdy pobrzmiwał desperacją. – Do wyjścia zostało mi tylko pięć minut. Trzeba coś wymyślić.

Jeden z najbogatszych ludzi w Stanach biegał chwilę po gabinecie i wysuwając szuflady, szukał nieistniejących stert pieniędzy – lub czegokolwiek, co miałyby brakującą wartość.

– To musi starczyć – powiedział.

Torba pełna gotówki nie ważyła więcej niż dwadzieścia funtów.

Ellingham podniósł ją i otworzył przeszkłone drzwi.

Odczekawszy moment, Robert podał mu lampę.

– Wiesz, że mogą cię tam zgarnąć. Najpewniej zależy im na tobie!

– No cóż, więc mnie dostaną.

– I co dalej? – niepokoił się Robert. – To szaleństwo. Potrzebujemy pomocy.

Ellingham rozstrzygnął rzecz w sekundzie.

– Marsh! – powiedział. – Dzwon do niego. Nie mów, co się stało. Tylko sprowadź go pod byle pretekstem. Zwróć się tylko do niego, tylko do Marsha, rozumiesz?

Robert kiwnął głową. Ellingham wziął lampę i z torbą pieniędzy ruszył poprzez górską mgłę Vermontu. Przeszedł jakieś pięćdziesiąt jardów do niewielkiej przystani nad jeziorem. Włożył torbę do jednej z zacumowanych naprzeciw domu łodzi i pomału wszedł do niej, stawiając lampę na wolnym siedzeniu. Gdy odpychał wiosłem łódź na wodę, cały się trząsał. Jednak już po chwili dotarł do wysepki i zarzucił cumę.

– Jestem! – zawołał w ciemnościach.

Omiotło go światło latarki i na parę sekund oślepiło.

– Dawaj forszę – nakazał głos. – I wyłaź.

– Żona i córka... Gdzie są?

– Nie gadaj!

Ellingham rzucił torbę, która wylądowała na wąskim odcinku trawy wokół kopulastego budynku. Mimo że prawie nic nie widział, poszło mu całkiem nieźle.

Nieznajomy przystawił mu latarkę do twarzy, zmuszając go, by spuścił wzrok i zasłonił oczy. Ellingham wyczołgał się z łodzi na ziemię.

– Otwieraj! – zażądał tamten.

Ellingham wyjął z kieszeni klucze i otworzył drzwi obserwatorium. Było jego świątynią dumania – oazą spokoju. Mocno pchnięty do środka, upadł na posadzkę.

– Włóż forszę do włazu – usłyszał. Nieznajomy miał na twarzy chustę, jego słowa były więc stłumione. Mówił też z obcym akcentem, który starał się maskować, przeciągając słowa w osobliwy sposób. Ellingham szukał włazu po omacku, bo pod wpływem ostrego światła zwięziły mu się źrenice. Wreszcie znalazł go i otworzył, po czym wepchnął do środka torbę. Ta, spadając, postrącała z półek butelki, które roztrzaskały się z hukiem. Gdy się obrócił ku obcemu, znowu oślepiła go latarka.

Przez chwilę bił się z myślami. Czy powinien się na niego rzucić? Obalić go na ziemię i wałać jego głową o posadzkę, pytać przy każdym ciosie, gdzie są żona i córka? Owładnęły nim strach i wściekłość. Gdyby jednak ulegał impulsom, nie osiągnąłby takiej pozycji.

– Więcej – rzekł – w sejfie nie było. Brakuje niecałych dwóch tysięcy, ale więcej tu nie znaleźliśmy. Gdybym miał trochę więcej czasu... dostałbyś, ile tylko zechcesz.

Raptem dostał coś w głowę – i świat dookoła pociemniał.



4

Niezadowolona z wrażenia, jakie wywarła na Hayesie, Stevie chodziła po pokoju, obmyślając strategię wstępną. Stwierdziła, że przede wszystkim powinna być bardziej pewna siebie. „Gdy wstąpię do FBI, trzeba będzie podchodzić do ludzi, podawać im rękę, patrzeć w oczy, przesłuchiwać”. Hayes złapał ją po prostu z zaskoczenia.

Ale oto znów miała szansę się wykazać. Czyjaś stopa wkopywała właśnie na korytarz kosz na bieliznę, wypełniony po brzeg szkieownikami, ołówkami, farbami i pastelami. Tuż potem w drzwiach pokoju stanęła dziewczyna, najwyraźniej właścicielka stopy.

Miała na sobie wyblakły, skurczony tiszert z jakiegoś warsztatu samochodowego i starą spódniczkę cheerleaderki, ciemnoniebieską z czerwonymi plisami. Jej nogi pokrywały drobne sińce i skaleczenia – nic poważnego, wynik wspinania się po drzewach albo murach. Stopy ledwie osłaniały pospinane agrafkami przybrudzone czerwone balerinki. Najwięcej jednak o jej stylu mówiły włosy – niemyte i skołtunione, pozbierane w niewielkie kępki i obwiązane skarpeteczkami dla niemowląt. Na lewym ramieniu miała długi tatuaż, ogromny i wymyślny odręczny napis. Na prawym Stevie ujrzała szkice i notatki, zrobione różnymi kolorami tuszu.

– Gorąc jak skurczybyk – przywitała się dziewczyna. – Niemożliwe. Ciekawe, kurde, czy mają zamiar wstawić tu klimatyzację.

Stevie postąpiła krok naprzód, ale zrezygnowała z uścisku dłoni na rzecz niedbałego oparcia się o jedno z krzesel.

– Stevie – przedstawiła się. – Stevie Bell.

– Heja – odparła dziewczyna. – Ellie.

Żadna Ellie nie widniała w spisie uczniów. Ujęto tam jednak niejaką Element (czyli Żywioł) Walker. A ta dziewczyna sprawiała właśnie wrażenie żywiołowej. Wkopując teraz pudło zawierające boa z piór, ukulele, melonik i niezliczone plastikowe torebki pełne używanych kosmetyków – Ellie czy też Element zasypała podłogę brokatem.

– Może ci pomogę? – zaoferowała Stevie.

Ellie wzruszyła ramionami, choć była wyraźnie ucieszona propozycją. Jej rzeczy wyglądały znacznie mniej porządnie niż dobytek Hayesa czy Stevie: dwa stare kartonowe pudła, ogromny, szmaciany worek marynarski, złoty plecak i lumpiarska czarna torba na pranie. Wniesienie tego wszystkiego pod trójkę – obok łazienki z wieżyczkami – nie trwało długo.

– Pix! – ryknęła Ellie, wlokąc do swego pokoju ostatnie rzeczy, po czym poszła do świetlicy. – Gorąc po skurczybyku; skąd się to tu bierze?

(Stevie zanotowała w myśli, że „skurczybyk” nie bulwersuje nauczycieli).

– Jest lato – odparła Pix, wchodząc do świetlicy. – Hej, Stevie, rodzice są jeszcze na zwiedzaniu. Wkrótce wrócą. Upał nie potrwa długo, tak że będziesz marznąć, więc chyba masz powód do radości.

– Czemu nie wstawią klimy? – Ellie opadła ciężko na hamakowy fotel. W pół sekundy obróciła się do góry nogami i zwiesiła głowę nad posadzką, odkurzając ją kępkami włosów.

– Bo to stary dom ze starą instalacją – odpowiedziała Pix. – Bo mógłby wybuchnąć pożar. Jak było w Paryżu?

– Gorąco – odrzekła Ellie. – Pojechaliśmy na trochę do Nicei. Mama ma nowego chłopaka, a on ma tam chatę.

Paryż. Ellie była w Paryżu. Naturalnie Stevie wiedziała, że Paryż to prawdziwe miasto, do którego jeździ się naprawdę. Zeszłego lata jej liceum sfinansowało wycieczkę członkom Klubu Miłośników Francji – Stevie знаła więc trzy osoby, które się na nią wybrały. Wyjazd trwał zaledwie tydzień, a największą jego sensacją (opisaną w szkolnej gazetce) było potrącenie Toby’ego Davidsona przez rower – i fakt, że chłopiec omal nie stracił palca. („*Omala nie stracił palca. Historia Toby’ego Davidsona. Średnio ciekawa lektura*”).

Koło drzwi rozległo się szuranie. Odwróciwszy się, Stevie zobaczyła kolejne-

go ucznia. Wbrew obłudnie słonecznej pogodzie wyglądał, jakby złapała go ulewna burza. Miał wypchaną płócienną torbę i tiszert z napisem „Jeśli widzisz to wyraźnie, to stoisz za blisko”. Jego oczy były przedziwne, bladoszare, a ktoś, kto robił mu fryzurę, istną burzę jasnorudych włosów, miał z pewnością więcej serca niż talentu.

– Nate! – wyciągnęła rękę, napotykając jego oczy. – Jestem Stevie.

Nate spojrział na jej dłoń i na twarz, jakby chciał się przekonać, czy gest jest poważny. Z westchnieniem, które chyba miało być niesłyszalne, uściśnął rękę raz i prędko ją puścił.

Stevie postanowiła dać sobie spokój z podawaniem ręki.

Gdy Pix witała się z Nate’em, wręczając mu klucz do pokoju, Ellie – wciąż z nogami nad głową – przyglądała mu się bacznie.

– Nate jest pisarzem – poinformowała Stevie. – Napisał książkę. *Cykle księżycowego blasku*.

– Nie czytałam – odparła Ellie. – Ale to fajno. A ty?

– Czytałam.

– Nie o to mi chodzi – rzekła Ellie. – Tylko o ciebie; co porabiasz?

– A! – Stevie z miejsca wyparła pomyłkę. Nauczyła się tej metody od jednej ze swoich najulubieńszych ostatnio kobiet detektywów – Sam Weatherfeld z serialu *Burzliwa pogoda*. Sam nigdy się nie peszyła w podobnych sytuacjach; spokojnie rozmawiała dalej, nie siląc się na przekorę. Oto nadszedł już czas, by wyznać, kim jest naprawdę. Rozważała rozmaite określenia. „Śledcza” zabrzmiałoby arogancko i niemądrze – nie była ani stróżem prawa, ani prywatnym detektywem, no i jeszcze nigdy nie rozwiązała żadnej sprawy. „Maniaczka zbrodni” przywodziło na myśl egzaltowaną kolekcjonerkę wrażeń. „Dokumentalistka zabójstw” było nieadekwatne i stanowczo zbyt nudne... Ostatecznie postanowiła więc tylko wskazać, czym się zajmuje.

– Analizuję przestępstwa – powiedziała.

– Żeby je popełniać czy im zapobiegać? – zapytała Ellie.

– Zapobiegać, choć to na jedno wychodzi.

– Więc przyjechałaś z powodu tych zabójstw? – dopytywała Ellie. – Morderstw?

– Poniekąd – odparła Stevie.

– Super. Ktoś powinien się za to zabrać. Niezłe te morderstwa, co nie?

Wykonując wsteczne półsalto, Ellie podniosła się z hamaka. Spódnica podwinęła jej się z tyłu, odsłaniając pośladki.

Zaakceptowana przez nią tak po prostu, Stevie poczuła przez moment rozpierającą, ekstatyczną radość. Wystarczyło parę słów aprobaty od innej uczennicy – i już wiedziała, że sobie tu poradzi.

„Poza tym te morderstwa faktycznie były niezłe”.

Wtem dostrzegła coś kątem oka – ścieżką szli jej matka z ojcem wraz dwójkiem rodziców, prawdopodobnie Nate’a. Rodzice Nate’a byli jak pod linijkę, ubrani w świeżo odprasowane koszulki polo i długie szorty. Choć ich ubrania różniły się kolorem, wyglądali niemal identycznie. Ojciec Stevie opowiadał coś, gestykulując, a mama przytakiwała. Ojciec Nate’a słuchał, a jego matka świdrowała wzrokiem dom i całą okolicę.

Ekstatyczna radość uleciała pod naporem zimnego potu. „O czym mówią rodzice? O swoich poglądach na temat mediów? Czy o tym, że rząd chce zapanować nad życiem przyzwoitych Amerykanów? Że zmiana klimatu to bujda? A może coś jeszcze śmieszniejszego, jak cena papieru toaletowego w hurcie?” Te tematy lubili najbardziej, mogli więc poruszyć każdy z nich.

Stevie wypatrzyła Nate’a, wgapionego w drzwi w taki sposób, jakby obserwował zbliżającą się chmurę szarańczy. I on najwyraźniej czuł napięcie między rodzicami. Ellie drapała się po gołej pupie. „A ściślej – tam, gdzie ta część ciała łączy się z nogami. Formalnie rzecz biorąc, po udzie, a w świetle prawa po tyłku”.

Stevie chwyciła się fotela i cała zebrała się w sobie.

– Widziałeś łosia? – spytała Nate’a, próbując nawiązać rozmowę.

– Co? – odpowiedział; zdaniem Stevie trafnie.

Stłoczywszy się w progu, rodzice jedno za drugim przeszli wolno do świetlicy.

– ...unikając płatnych dróg – dobiegł Stevie głos ojca. Pewnie więc omawiali wyprawę do Akademii. I pewnie było to bardzo nudne, ale rzecz jasna niegroźne. Raptem cztery pary rodzicielskich oczu zwróciły się ku gołej pupie na posadzce. Ellie zmieniła pozycję na siedzącą o kilka sekund za późno. Skołtunionne włosy w skarpetkach stanęły jej na moment na sztorc.

Rodzice Nate'a nie dali nic po sobie poznać, Stevie nie umknęło jednak, jak trawia to jej rodzice. Ojciec aż się odwrócił, a usta mamy wykrzywił wstydlivy uśmieszek.

– Chodźcie zobaczyć, jak urządziłam pokój – Stevie wzięła ich pod rękę i poprowadziła biegiem przez korytarz.

– Jak ona, na Boga, się ubrała? – spytała matka za głośno, gdy Stevie zamykała za nimi drzwi pokoju.

– Takiego przebrania to jeszcze nie widziałem – dodał ojciec.

Rodzice Stevie żyli w przekonaniu, że strój człowieka odzwierciedla jego wartość. Dla nich ubranie było albo zwykłe (dobre), albo ładne (bardzo dobre), albo niepojęte. Ellie właśnie poszerzyła granice tej ostatniej kategorii.

– Podoba się wam kampus? – zapytała z uśmiechem Stevie. – Niesamowity, prawda?

Było to niezaprzeczalne, więc – dla ominięcia kwestii stroju Ellie – rodzice skupili się na tym górskim rajku pełnym rezydencji, fontann, dzieł sztuki i natury.

– Niedługo będziemy się zbierać – powiedział ojciec. – Jesteś... gotowa?

Na te słowa ni stąd, ni zowąd Stevie ścisnęło się serce. Choć wiedziała, że rodzice odjadą i nie da się ukryć, że tego pragnęła – w tej chwili zrobiło się jej aż gorąco i z trudem przełknęła ślinę.

– A więc – rzekła matka – masz wszystkie leki? Sprawdźmy.

Wyjęła i poddała oględzinom plastikową torebkę z lekarstwami Stevie.

– Masz sto dwadzieścia tabletek lexapro i trzydzieści ativanu^[3], ale ativan bierz tylko, gdy to będzie konieczne.

– Wiem.

– A kiedy będzie to konieczne, nie zapominaj...

– No przecież wiem, mamusiu...

– Wiem, że wiesz. I dzwoń do nas codziennie.

– Bądź grzeczna – uścisnął ją ojciec. – W razie czego dzwoń zawsze, bez względu na porę.

Miał płacz na końcu nosa. „Gorzej być nie może” – pomyślała Stevie. „Bellowie nie płaczą, nie okazują uczuć. Oby się to już skończyło”.

– Pamiętaj – szepnęła jej do ucha matka – że w każdej chwili możesz wrócić. Zaraz po ciebie przyjedziemy.

Na koniec uszczypnęła ją leciutko, komunikując: „To nie miejsce dla ciebie. Przekonasz się. Na pewno wrócisz”.



5

Po chwili nieplakania (a tylko gorączkowego mrugania powiekami) i wpatrywania się w lekarstwa przed schowaniem ich w szufladzie, Stevie wyszła z pokoju. Okazało się, że jest już Janelle Franklin, ale Nate gdzieś zniknął. Janelle nie była tak wysoka, jak sądziła Stevie. Ubrana w jednoczęściowy kombinezon w kwiaty, owinęła zaplecione włosy żółtozłotą chustą. Biegając do Stevie, żeby ją uściskać, zostawiła w powietrzu ślad lekkich, odświeżających perfum.

– Wreszcie na miejscu! – zawołała, mocno obejmując Stevie. – Nareszcie! Twój rodzice też są?

– Dopiero co odjechali. A twoi...?

– Nie – odpowiedziała Janelle. – Oboje mają dziś dyżur, więc zegnaliśmy się w tygodniu. Rodzinne kolacje z przyjaciółmi... Urządziliśmy nawet piknik... – radośnie trąkotała o spotkaniach poprzedzających wyjazd. Pochodziła z licznej rodziny mieszkającej w Chicago i całym stanie Illinois. Miała trzech braci, jednego na Uniwersytecie Stanforda, dwóch na MIT^[4]. Jej rodzice byli lekarzami.

– Chodź, pokażę ci pokój! – Złapała Stevie za rękę i poprowadziła do pokoju obok, który – wyjąwszy rozgardiasz – wyglądał prawie identycznie jak jej pokój. Ich kominki przylegały do siebie przez ścianę.

– Powinnam mieć coś większego, inaczej nic tu nie zbuduję – rzekła Janelle. – Ale chyba pozwolą mi korzystać z tego stołu w świetlicy. Pix mówi, że mogę tam lutować. Nie mieści mi się w głowie, że tu dotarliśmy!

– Mnie też – przytaknęła Stevie. – Jestem trochę ogłupiała.

– Pewnie przez zmianę ciśnienia – odpowiedziała Janelle. – Choć to nie aż tak wysoko. Najwyższy szczyt w Vermoncie liczy niecałe cztery tysiące cztery-

sta metrów, a gorzej czujemy się dopiero powyżej pięciu tysięcy, ale warto, byś nadrobiła ubytek tlenu, pijąc więcej wody. Proszę!

Rozpięła torbę i wyjmując świeżą butelkę wody, wcisnęła ją Stevie w dłoń.

– Myślę, że to raczej z nerwów – powiedziała Stevie.

– Możliwe. A woda na to też pomaga. No i głębokie oddychanie. Pij.

Stevie otworzyła butelkę i zgodnie ze wskazówką wypila spory łyk.

„Woda nie szkodzi” – pomyślała.

– Nate przyjechał? – zapytała Janelle.

– Mhm, tylko chyba poszedł na górę. Jaki on jest naprawdę?

– Właściwie taki sam jak w mailach – odparła Stevie. – I my naprawdę teraz tu jesteśmy. Chodźmy. Trzeba się z nim przywitać.

Janelle całkiem odmieniła atmosferę. Była jak żywe srebro. Kiedy gnała przez hol i po ciasnych krętych schodach w górę, Stevie ledwie za nią nadążała. Nate mieszkał w czwórce, na początku korytarza. Zza zamkniętych drzwi było slychać, że jest w środku.

Janelle zapukała. Gdy nie odezwał się od razu, wysłała esemesa.

Wreszcie drzwi się uchyliły i wyłoniła się zza nich podłużna twarz Nate'a. Po chwili milczenia i bezruchu wpuścił dziewczęta z omal bezgłośnym westchnieniem.

– Przytulasz się? – spytała Janelle.

– Niechętnie – odparł Nate i się cofnął.

– Więc się nie przytulał.

– To może salut? – zapytała Stevie.

– Przeżyję.

Stevie przywitała go salutem.

Pokój Nate'a wyglądał prawie tak jak ich pokoje, tyle że już panował w nim bałagan. Na podłodze leżały: zwój kabli spleciony jak szczyrce gniazdo i sterta książek. Chłopiec zaczął właśnie je układać, tak jak Stevie.

– Wi-fi jest do niczego – oznajmił na powitanie. – Zasięg komórki też.

Nogą obutą w converse'a kopnął kłębowisko kabli.

– Jeszcze nie próbowałam... – rzekła Stevie.

– Do niczego – powtórzył.

Stojące najbliżej Stevie pudło wypełniały... części. Elementy. Stołowe nogi. Jakaś metalowa tarcza. Janelle podeszła do niego i ogarnęła je wzrokiem.

– Co to jest? – zapytała. – Też budujesz?

Nate osłonił pudło ciałem.

– Łażę po... pchlich targach – odpowiedział, machając ręką, jakby chciał czym prędzej załatwić tę sprawę. – Zbieram różne rzeczy. Lubię zegary. I w ogóle.

Zamknął wieko pudła – i wszelkie dyskusje na ten temat.

Stevie spodobała się ożywiona, niezłomna wesołość Janelle, ale i zrzędlivość Nate'a. Miała po trosze z obu tych cech, więc wpasowywała się w nich idealnie.

– Zaczyna się zwiedzanie! – zawołała z dołu Pix. – Czekają przed domem! Chodźcie!

Nate najwyraźniej się wahał, a Janelle nie zamierzała się poddawać.

– Zdaje się, że to obowiązkowe – powiedziała.

Wszyscy troje wyszli przed dom, gdzie kręciła się, czekając, spora grupa uczniów. Hayes i Ellie byli już na drugim roku, więc rzecz jasna nie musieli teraz nigdzie chodzić.

Nietrudno było się domyślić, że grupa wędruje od domu do domu i zbiera kolejne osoby, a Minerwa to ostatni przystanek. Stevie spojrzała na kolegów – pierwszorocznych. Jadąc do Akademii, nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać – czy wszyscy uczniowie wyjdą w białych kitlach, czy w takich strojach jak Ellie.

Tymczasem wyglądali jak z najzwyczajszego ogólniaka. Kilka dziewcząt miało cudownie lśniące włosy i już połączyła je ta dziwna alchemia, która każe trzymać się razem osobniczkom o cudownie lśniących włosach. Jedna dziewczyna, w sukience vintage, jasnoczerwonej w białą kratkę, miała kocie okulary, oczy umalowane à la Kleopatra, czerwoną torebkę vintage, a we włosach fantazyjny stroik z czerwonych piórek. Była najbardziej elegancka, a gdy szli, jej obcasy tonęły w murawie. Inna, zielonowłosa, w tiszercie z logo NASA, zręcznie przemieszczała się po trawie na wózku inwalidzkim. Inna znów, o czarnych włosach ściętych na pazia, bladej skórze i w jaskrawoczerwonej szmince, przypominała gwiazdy niemego kina, ubrana w bezkształtną, acz bez wątplenia modną szarą suknię z szerokim, czarnym paskiem. Jeszcze inna, w zachwycającym

hidżabie w kwiaty, raz po raz fotografowała kampus telefonem. Jeden chłopak do końca zwiedzania nie wyjął słuchawek z uszu.

Oprowadzający ich uczeń o nazwisku Kazim Bazir mówił szybko i z przejęciem. Miał bystre, rozbiegane oczy i wesoły ton agenta nieruchomości, który zrobi wszystko, żeby upchnąć własny niedorzeczny domek w górach.

– Akademię zbudowali między 1928 a 1936 Albert Xavier Ellingham z żoną Iris – opowiadał Kaz. – Prawą część kampusu, gdzie stoją nasze domy, nazywa się mokrą z uwagi na skręcający tam, okalający posiadłość strumień. W części suchej są boiska, sale lekcyjne i reszta zabudowań. Cały kampus, rzecz jasna, jest suchy.

Nikt się nie zaśmiał. „Twardziele” – pomyślała Stevie.

Ellingham w promieniach słońca wyglądało cudnie. To było najwłaściwsze słowo. Blask padał na nie jak mżawka, zawisając w powietrzu kropelkami. Chmura kropel otoczyła fontannę, która tryskając radośnie na skwerku, tworzyła niegasnące tęcze. Światło wydobywało każdy zakamarek budynków z jaśnieoczerwonej cegły, tak że nawet rzygacze zdawały się uśmiechać. Pogłębiało zielen drzew. Posągom nadawało... Właściwie to nie miało na nie wpływu, wyjąwszy ujawnienie ich liczby.

– Myślicie, że z czasem zrobią się mniej upiorne? – spytał Nate, gdy mijali kolejną grupę nagich Greków albo Rzymian.

– Oby nie – odpowiedziała Stevie.

Prowadząc uczniów przez ścieżki, Kaz pokazywał budynki i objaśniał ich przeznaczenie. Albert Ellingham był zapalonym miłośnikiem kultury starożytnej. Świadczyły o tym nazwy domów: Eunomia, Geniusz, Jupiter, Kybele, Dionizos, Asteria i Demeter.

Gdy przechadzali się wśród zieleni, Stevie spojrzała w górę – na Wielki Dom. Nazwano go prosto i trafnie. Wielki Dom był postacią z tej bajki – pierwszym wzniesionym tu budynkiem, zaprojektowanym, by spełniać zachcianki mieszkającej tu rodziny i jednocześnie służyć jako centrum wiedzy. Stąd właśnie tamtego ranka wyjechały Iris i Alice Ellingham. Stevie liczyła okna na pierwszym piętrze.

– Co tam jest? – zapytała Janelle – że się tak zapatrzyłaś?

– Z któregoś z nich – odparła Stevie, wskazując dwa okna z lewej – wyglądała

Flora Robinson w wieczór, gdy doszło do porwania.

– Kim była Flora Robinson?

– Znajomą Ellinghamów. Przyjaciółką Iris od serca. Długo ją podejrzewano, bo dziwnie zeznawała. Jej przesłuchanie było nie z tej ziemi.

Z braku czasu temat Flory i jej opowieści został zawieszony. Zwiedzający zbliżali się do biblioteki, kamiennej budowli podobnej nieco do kościoła, z dużą rozetą, iglicą i kilkorgiem zaokrąglonych u góry czerwonych drzwi.

– Celowo zaprojektowano ją w ten sposób – rzekł Kaz. – Albert Ellingham traktował wiedzę jak religię, a biblioteki uważał za świątynie i dlatego wybudował kościół.

W bibliotece panowały chłód i cisza, a przez witraże sączyło się do środka barwne światło. Wszystkie budynki robiły wrażenie, ten jednak miał w sobie coś majestatycznego. Wnętrze przysłaniał niemal do połowy jakby okap, ale gdy się go minęło – patrząc w górę, można było zobaczyć na dwu otwartych kondygnacjach biegnące wzdłuż ścian półki pełne książek. Na piętra wiodły wymyślne, podobne do splątanej winorośli kręte schody z kutego żelaza. Choć budynek miał być najcichszy i najspokojniejszy, wydawał się... Stevie nie mogła znaleźć właściwego słowa. Zwariowany? We wnętrzu hulał wiatr i świstał pod sklepieniem. Żelazna winorośl zdawała się piąć po schodach naprawdę. Bibliotekarka, która wpadła tu przed chwilą, nie mogła złapać tchu. Miała na sobie profesjonalny strój kolarski i – jak wskazywało odgniecenie na jej krótkich czarnych włosach – dopiero co zdjęła kask.

– Hej! – przywitała się, zdyszana. – Nazywam się Kyoko Obi. Prowadzę bibliotekę i kółko rowerowe. Każdy z nas tu ma po dwa zajęcia. Przepraszam, dajcie mi sekundkę...

Łyknęła spory haust napoju z butelki opatrzonej logo szkoły.

– Na miejscu dysponujemy prawie pięciuset tysiącami książek – oznajmiła. – Przechowywane są zarówno w bibliotece, jak i magazynie. Poza tym mamy dostęp do milionów w formie cyfrowej. Współpracujemy z większością bibliotek Ligi Bluszczowej^[5], możemy więc dotrzeć do wszystkiego, co jest wam niezbędne. Zaspokojenie wszelkich waszych potrzeb należy do mnie.

Stevie rozważała to przez moment w myślach. Niewątpliwą zaletą mieszkania w Pittsburghu była działająca tam Biblioteka Carnegiego – jedna z najlep-

szych w Stanach. Stevie wypożyczała z niej tony książek i materiałów źródłowych. Tu jednak musiały kryć się rzeczy związane ze sprawą, nie do zdobycia nigdzie indziej. Chciała zostać, ale Kaz poprowadził ich dalej, aż na sam koniec kampusu, do dużego, okrągłego namiotu, który wyglądał na składany.

– To jurta, miejsce do nauki – poinformował Kaz, odchylając ciężką klapę służącą za wejście. Podłogę zaścielały piękne tkane dywaniki, stopy poduszek i pufy.

– Wiele osób tu sypia – rzekł Kaz. – Jurta przeznaczona jest na naukę, ale... tak naprawdę można tutaj robić wszystko.

Dziewczyna ścięta na pazia zaśmiała się porozumiewawczo. W pobliżu kręciła się inna, o srebrnych, krótkich włosach, których dłuższy kosmyk sterczał jej nad czołem. Miała lenonki i białe ogrodniczki, spod których wystawała krótka koszulka bez rękawów. Od kilku minut snuła się za Janelle, Stevie i Nate'em. Zza chmury wyszło słońce, zalewając wszystko palącym blaskiem lata. Dziewczyna stuknęła w oprawki i szkła ściemniały.

– Czary – powiedziała.

– Fotochromy – ze śmiechem odparła Janelle. – Samościemniające.

– Vi Harper-Tomo – przedstawiła się dziewczyna, wyciągając do niej rękę. – I owszem: zaczarowana.

Coś zaiskrzyło między nimi, wprawiając Stevie w niepokój. Ledwie poznała Janelle i ujrzała w niej niemal pewną kandydatkę na najbliższą przyjaciółkę, a już ktoś mieszał jej szyki.

Niebywałe.

Starając się o tym zapomnieć, zajęła myśli największą atrakcją zwiedzania – Wielkim Domem, dawną rezydencją Ellinghamów. Nie mogła się już doczekać, kiedy do niego zajrzą. Tak długo studiowała jego zdjęcia. Zapoznała się z planami pięter i historią... Tymczasem Kaz jakby nigdy nic go minął.

– Nie wchodzimy? – zapytała Stevie.

– Koniec zwiedzania! – ogłosił Kaz, prowadząc ich za otoczony murem ogród, a potem znów na polanę wśród drzew do rozległego współczesnego domu z surowego vermonckiego drewna i kamienia, o wysokim, spadzistym dachu, jakie mają górskie schroniska.

– To pracownia artystyczna – objaśnił. – Jedyne dom, który dobudowano

do pierwotnego kampusu. Nieustannie się rozrasta i właśnie go poszerzają.

Ziemia wokół pracowni była rozkopana, więc prace budowlane chyba dopiero się zaczęły. Stevie od razu spostrzegła, że budynek graniczy bezpośrednio z ogrodem okolonym murem – tym słynnym ogrodem, gdzie mieściło się jezioro, nad którym Ellingham zostawił okup.

Przez otwartą bramę wchodzili do ogrodu mężczyźni w kaskach ochronnych. Stevie chciała zapuścić tam żurawia, ale Kaz pokierował wycieczkę do pracowni artystycznej. „Przyjdzie jeszcze pora – pomyślała – żeby zwiedzić ogród”.

– Warsztat służy nie tylko sztuce – mówił, cofając się, Kaz. – Dzieje się w nim bardzo wiele... Prowadzone są tu lekcje jogi, tańca, niektóre zajęcia, odbywają się spotkania.

Kaz był w siódmym niebie, opowiadając o konstrukcji przyjaznej środowisku, o bambusowych podłogach i położeniu toalet kompostujących. Stevie już drżała z podniecenia, ale po godzinnym wykładzie na temat ścieków zawrócili pod Wielki Dom.

Gdy tam weszli, zaparło jej dech w piersiach. Dom był wzniesiony wokół olbrzymiego atrium, z wychodzącymi na nie balkonami na piętrach. Przed sobą ujrzała schody główne, prowadzące na balkon pierwszego piętra, gdzie wytwornie skręcały ku drugiemu. Na ścianie u szczytu pierwszej kondygnacji wisiał wielki obraz pędzla Leonarda Holmesa Naira, sławnego malarza zaprzyjaźnionego z rodziną Ellinghamów. W tle widać było jezioro z obserwatorium, nocą. Mimo że dość czytelne, wyglądało jak z sennych majaków. Z tła wyłaniali się Albert i Iris Ellinghamowie, nierealni jak postaci z legend, cali w żółci i błękicie. Sterczące czarne włosy Iris splatały się z gałęziami drzew. Twarz Alberta stapiała się z zawisłym nad obserwatorium księżycem w pełni, który zalewał jezioro blaskiem. Małżonkowie odwracali wzrok od siebie, mieli napięte twarze, wybałuszone oczy i niemal prostokątne usta.

Stevie obejrzała masę reprodukcji obrazu. W Internecie nie wyglądał tak efektownie. Na żywo jednak ją porwał. Był niepokojący. W mroku na drugim planie, za obserwatorium, czaiła się groza. Choć obraz powstał dwa lata przed porwaniem, zwiastował nieuchronny dramat, a jako miejsce, w którym ma się on rozegrać, wskazywał obserwatorium.

Portret Ellinghamów zdawał się sprawować pieczę nad całą rezydencją.

– A to Larry – rzekł Kaz, wskazując siedzącego przy wejściu za obszernym biurkiem starszego mężczyznę w mundurze, o ściętych na jeża szpakowatych włosach.

– Jestem Larry Ochroniarz – przedstawił się mężczyzna. – Tak mnie nazywają i na to reaguję. Zajmuję się bezpieczeństwem na terenie szkoły. Wiem już, jak się nazywacie. Zapoznają się ze wszystkimi, nim przyjadą.

– Larry Ochroniarz zna każdego! – powiedział Kaz.

Larry'emu chyba się nie spodobało, że mu przerwał.

– Nie ma czego się tutaj obawiać, ale gdybyście nas potrzebowali, w każdej chwili naciskajcie niebieskie guziki, które znajdziecie w skrzynkach alarmowych w budynkach i na słupach niektórych latarni. Tutejsze zasady nie są trudne, tylko trzeba się do nich stosować. W przeciwnym razie zjawiam się ja. Mieszkam w stróżówce na końcu ścieżki, więc zawsze jestem na miejscu. Napis „Wstęp wzbroniony” znaczy „nie wchodzić”, a nie, że macie wejść, bo ktoś was do tego zachęca, albo wchodzi tam inni. Niektóre najstarsze elementy posiadłości nie są już solidne pod względem konstrukcji. Wejść można, ale gorzej z wyjściem. Zdarzało się, że ktoś utknął gdzieś na wiele dni, a potem, wygłodzony i wystraszony, był usuwany ze szkoły. Ostrzegam.

– Jakie „niesolidne elementy”? – zapytała cicho Janelle, gdy Kaz skinieniem ręki wskazywał drogę do jednego z pokoi od frontu.

– Tunele – odpowiedziała Stevie. – I ukryte przejścia.

Po prawej stronie od wejścia, naprzeciw biurka Larry'ego, mieścił się pokój dzienny ze wspaniałymi malowanymi paneau, przedstawiającymi splątaną winorośl przetykaną bladymi różami, z dekoracyjną sztukaterią z posrebrzane-go gipsu. Meble były obite fiołkowym jedwabiem, a na podłodze leżał wielki, wzorzysty dywan. Ellinghamowie przywieźli ten osiemnastowieczny pokój z Lyonu – sprzęty, dywan, zasłony i ozdoby ścienne spakowano do pudeł i wysłano do Ameryki, po czym – po drobnych przeróbkach – umieszczono tutaj.

Kolejny pokój, sala balowa, miał dwuskrzydłowe drzwi z misternymi secesyjnymi witrażami. Drzwi były lekko uchylone, więc Stevie otworzyła je na oścież pchnięciem – i weszła do olbrzymiej sali zajmującej dwie kondygnacje. Podłoga była wyłożona czarno-białymi rombami z marmuru, a ściany od posadzki po

sufit zdobiły zwierciadła w srebrnych, delikatnych ramach. Panneau wyobrażały scenki z aktorami w maskach. Różowe zasłony od sufitu do podłogi przypominały teatralne kurtyny. Na suficie, jasnoniebieskim jak niebo po południu, wymalowano złotą farbą gwiazdne konstelacje wraz z ich symbolami. W latach trzydziestych bawiła się tu cała socjeta Ameryki.

– A tutaj – rzekł Kaz, prowadząc ich do masywnych, dębowych drzwi – znajdował się gabinet założyciela Akademii.

Kolosalny gabinet także zajmował dwie kondygnacje, ale w przeciwieństwie do holu głównego, w którym niosło echo, był cały wyłożony ciemnozieloną wykładziną, którą zasłano jeszcze perskimi dywanami. Przed kominkiem leżała skóra lamparta z głową i pazurami, bez wątpienia i niepokojąco prawdziwa. Grube atlasowe kotary w sięgających pod sufit oknach nie dopuszczały do wnętrza słońca. Całą górną kondygnację wypełniały półki z książkami, ustawione na biegnącym wokół ścian balkonie.

Kominek był z różowego marmuru. Pół dolnej kondygnacji zajmowały dwa ogromne biurka. Na jednym zamontowano sześć czarnych telefonów z tarczami. Poza tym w gabinecie stał globus, jak domyśliła się Stevie, z nazwami krajów, które od dawna nie istniały, oraz gigantyczne drewniane szafy na dokumenty i osobliwość z masą kabli, w której rozpoznała Dictaphone: urządzenie do nagrywania z początku dwudziestego wieku. Urządzenia te cieszyły się powodzeniem wśród autorów powieści detektywistycznych.

To tutaj Ellingham planował, jak ocalić żonę i córkę. Na tej właśnie podłodze liczyli gotówkę na okup. „Mogłabym tu spędzić resztę życia” – pomyślała Stevie.

Po chwili jednak Kaz znów wyprowadził ich do holu. Schodami zbiegał tam w zwolnionym tempie mężczyzna w garniturze z kory w biało-niebieskie prążki i tiszercie z Iron Manem. Zaczesane na bok rzadkie jasne włosy podskakiwały lekko z każdym jego krokiem.

– A teraz – ogłosił przewodnik – przywita was doktor Charles Scott, dyrektor szkoły!

– Witam! – zawołał dyrektor. – Jestem doktor Scott, ale mówcie mi Charles. Witajcie w swoim nowym domu. Jestem tu dyrektorem, jednak bardziej odpowiada mi określenie „główny uczeń”...

– O Boże – mruknął pod nosem Nate.

– Zwiedzanie dobiega końca – rzekł Charles – należałoby więc wspomnieć o Alice. Alice Ellingham była córką założyciela, Alberta Ellinghama. Formalnie rzecz biorąc, Alice jest patronką naszej szkoły, toteż każdy rok szkolny otwieramy podziękowaniami. Powiedzmy więc teraz wspólnie: „Dziękujemy, Alice”.

Dopiero po dłuższej chwili i kilku gestach Charlesa dotarło do zebranych, że nie żartuje – i rozległo się stłumione: „Dziękujemy, Alice”.

– Jak w sekcie – stwierdził Nate, gdy wracali na skwer, gdzie przygotowywano piknik. – Za co dziękowaliśmy nieżyjącemu dziecku?

– Takie tu są zasady – odpowiedziała Stevie. – Gdyby Alice Ellingham się odnalazła, szkoła stałaby się jej własnością. Właściwie to nas utrzymuje, więc powinniśmy być jej wdzięczni.

– Przecież nie żyje – odparł Nate.

– Prawie na pewno – rzekła Stevie. – Uprowadzono ją w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku. Ale gdyby okazało się, że żyje, zostałaby właścicielką Akademii. Byłaby bardzo wiekowa, nie można wykluczyć, że żyje.

– Bez kitu? – zapytała Janelle. – Myślałam, że tylko tak się mówi.

– Bez kitu – odrzekła Stevie.

– Podobno orientujesz się w temacie... – zainteresowała się Vi, która odłączyła się z nimi od grupy.

– Stevie wie wszystko – potwierdziła Janelle. – No już, opowiadaj.

Stevie poczuła się głupio, tak jakby miała się przed nimi popisać jak pies, który potrafi obsługiwać iPada. Z drugiej strony miała wreszcie publiczność ciekawą jej ulubionego tematu – co zaskoczyło ją i wprawiło w świetny nastrój. Przygrzewało słońce, trawa była sprężysta, a na dodatek gdzieś tutaj popełniono zbrodnię.

Ruszyli w kierunku skweru, ale otoczony murem ogród był tuż za nimi... Stevie obejrzała się, by na niego zerknąć. Kusił niedomkniętą bramą, a wokół – ani żywej duszy.

– Chodźcie – powiedziała – to coś wam pokażę.

– Mamy tam wejść? – zdziwił się Nate.

– Jest otwarty! – Vi postąpiła naprzód.

Przekraczając ciężką czarną bramę, poczuli się jak we śnie. Weszli do rozle-

głego ogrodu, który otaczały strzeliste, idealnie równo posadzone drzewa. Trawa olśniewała soczystą zielenią. Na jednym krańcu stał Wielki Dom z wychodzącym na trawnik niskim kamiennym tarasem. Ujrzeni niewielkie fontanny oraz wyszukane w formie ławki i donice. Majestatyczny ogród zaprojektowano na wzór królewskich ogrodów w Anglii i we Francji. Wyróżniał się jednak czymś niezwykłym.

Niemal cały był pokrytym bujną trawą... gigantycznym wgłębieniem w ziemi.

– A to co, u diabła? – spytał zaskoczony Nate.

– Dawniej było tu jezioro – wyjaśniła Stevie. – Służyło za basen Iris, fenomenalnej pływaczce. Albert nappełnił wodą wykop, przekierowując strumień, a tam docierano łodziami wiosłowymi.

Wskazała pagórek pośrodku, z okrągłym budynkiem o przeszklonym kopulastym dachu.

– Tam porywacze kazali mu zostawić okup – ciągnęła. – Gdy wprowadzono Iris i Alice, co rusz ktoś podsuwał mu nowe hipotezy. Usłyszawszy od pewnego jasnowidza, że Alice spoczywa na dnie jeziora, natychmiast kazał je osuszyć. Ale gdy jej tam nie znaleźli, nie uzupełnił już wody. Pewnie za bardzo kojarzyłoby mu się z tragedią.

– Na mapie opisali je jako zapadły ogród – rzekła Vi. – Teraz rozumiem, dlaczego.

– Wytłumacz, o co chodzi z tym nieżyjącym dzieckiem – poprosił Nate.

– No więc – odpowiedziała Stevie – szkoła wraz z majątkiem Ellinghamów należy się Alice, ale Albert czuł, że ona nie żyje, choć nie dopuszczał do siebie tej myśli. Gdy upłynęły dwa lata, otworzył szkołę ponownie.

– Ktoś w ogóle chciał tu przyjeżdżać? – spytała Vi. – Po tych zabójstwach?

– Potem już nie było morderstw – odparła Stevie. – No i wciąż panował kryzys. A szkoła cieszyła się sławą w całej Ameryce. Darmowa nauka u jednego z najbogatszych ludzi w kraju... to przecież coś niesamowitego. Nikt nie sądził, że porywacze wrócą. Przyjmowali każdego jak leci. W szkole miało być fantastycznie, żeby Alice się zachwyciła, jeśli jednak się odnajdzie. Albert chciał, by posiadłość żyła. Dokładał starań... by Alice nie zabrakło towarzystwa.

– Strasznie to ponure – powiedziała Janelle. – Urocze, ale... takie smutne.

– Ile dziewcząt podawało się za Alice? – spytał Nate. – Nie było jeszcze testów

na ojcostwo, więc pewnie tysiące.

– Otóż to – przytaknęła Stevie. – Ale Albert sobie z tym poradził. Niania Alice, oddana jej i rodzinie, odmawiała udzielania informacji na jej temat. Albert kazał w tajemnicy opracować drobiazgowy opis dziecka, tak że kiedy ktoś się zgłaszał, mogli wszystko sprawdzić.

– Miała znanie albo coś takiego?

– I tu niestety jest kłopot. Wiedzą to tylko osoby z funduszu powierniczego, ale one nie mają prawa dziedziczenia. To opiekunowie Alice. Choć w sumie teraz już bada się DNA, więc tajne akta nie są tak istotne.

– Przyjemnie czuć, że chodzimy do najmakabryczniejszej szkoły w Stanach – stwierdził Nate. – Zbierajmy się. Jestem głodny, nie mówiąc o tym, że prawie na pewno nie wolno nam się tu zapuszczać.

– No ale przecież brama była uchylona – zauważyła Vi.

– Chodźmy już – powiedziała Janelle. – A ogród jest niesamowity.

Taki był. Z bardzo wielu względów.



13 kwietnia 1936, 20:00

Flora Robinson potrafiła przewidywać zbliżające się nieuchronnie kłopoty, a nabyła tę umiejętność, pracując swego czasu w tajnym barze. Trzeba było umieć wyczuć prąd przechodzący salę, gdy nadchodziła policja. Trzeba było umieć odróżnić fałszywy alarm od prawdziwego. Niezbędny był też refleks, by zdążyć przycisnąć guzik alarmowy – guzik, który przechylał półki, otwierał zsymp i przenosił warte setki, a nawet tysiące dolarów butelki z alkoholem i kiełiszki do ukrytego składu. Robiąc to jak należy, ratowało się klub przed zamknięciem, a klientów przed aresztowaniem. Robiąc to niewłaściwie, można było zniszczyć wszystko.

Dziś wyczuła w powietrzu wzbierającą grozę. Obróciła się i zerknęła na niewielki srebrny zegar na stoliku. Iris i Alice długo nie wracały. Pożegnała je w południe. Przejazdówki Iris trwały zwykle nie dłużej niż dwie godziny, tymczasem minęło już osiem. Nikt nie zawołał jej na kolację.

Zaburzenie codziennego rytmu bardzo ją zdenerwowało.

We wtulonej w góry spokojnej posiadłości musiało wydarzyć się coś złego. Flora siadła na łóżku, z kolanami pod brodą, wyczekując i nasłuchując. Dzięki świetnemu słuchowi i akustyce domu dotarło do niej, że ktoś wchodzi frontowymi drzwiami. Iris wróciła. Flora prędko wstała z łóżka i wyszła na balkon, by zobaczyć, co zatrzymało przyjaciółkę.

Ale kamerdyner nie wprowadził Iris, tylko George'a Marsha, człowieka z najbliższego kręgu przyjaciół Ellinghamów.

Normalnie George tuż po wejściu pogawędziłby chwilę z Montgomerym, oddając mu palto i kapelusz. Ale tego wieczoru się nie rozebrał – i obaj w milczeniu ruszyli żwawym krokiem w stronę gabinetu Ellinghama. George pracował kiedyś jako detektyw w nowojorskiej policji. Przed kilku laty ocalił Albertowi ży-

cie, gdy jakiś anarchista podłożył w jego samochodzie bombę. Z wdzięczności i podziwu dla inteligencji i odwagi George'a Alberta zadzwonił do szefa FBI, J. Edgara Hoovera, i zarekomendował mu go na stanowisko agenta. George zawsze był tam, gdzie Albert i związane z nim osoby – kiedy mieszkali w Nowym Jorku, pracował tam w terenie. Gdy wyjechali do Vermontu, został przeniesiony do Burlington, by badać sprawę przemytu prowadzonego z Kanady przez jezioro Champlain.

George Marsh był de facto ochroniarzem Alberta, więc Flora od razu się zorientowała, że dziś przywiodły go tutaj obowiązki. Poza służbą George był non-szalancki i towarzyski. Teraz jednak, na służbie, poruszał się żwawo, a wyrażał szorstko. Mimo że rozmawiał z Montgomerym niemal szeptem, Flora zdołała dosłyszeć to i owo.

– ...trzydzieści pięć minut – rzekł George. – Dzwoni...

– Nie, sir – odparł Montgomery. – Żadnej policji...

Już po chwili rozsiedli się obaj w gabinecie Alberta.

Flora nie zamierzała słuchać o policji. Musiała działać. Schodami dla służby zesłała piętro niżej i przywierając do ściany, pobiegła do przebieralni Iris. Wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła drzwi obszernego pomieszczenia – oazy spokoju. Perłowoszary dywan ugiął się miękko pod jej bosymi stopami. Długie, srebrne, atlasowe zasłony wciąż były rozsunięte, więc do wnętrza sączyło się blade księżycowe światło, dodając subtelного blasku złotym wykończeniom i haftom należących do Iris mebli w stylu Ludwika XV.

Florze szczególnie zależało na jednej spośród nieprzebranych rzeczy Iris. Zaczęła poszukiwanie od lustrzanej toaletki ze starannie porządkowanymi przez pokojówkę licznymi kosmetykami. Szminki stały tam w szeregu jak żołnierze, pyszniły się pięknie poukładane francuskie perfumy, a pod lustrem leżały jedna obok drugiej szczotki do włosów w srebrnej oprawie. Flora przypuściła atak na szuflady wypełnione pudrami, cieniami do powiek, różami, szpilkami do włosów, kremami, balsamami... „Gdzież to jest? Nie tutaj”. Rzuciła się do komody o tuzinie szuflad, gdzie Iris przechowywała rękawiczki, szpilki do kapeluszy, papierośnice, okulary przeciwsłoneczne i masę innych drobiazgów. „Tu też nie ma!” Prędko, ale z uwagą Flora przeczesła cały pokój, szufladę po szufladzie, wyczerpując wszystkie możliwości.

Wtem usłyszała pukanie do drzwi w holu i wołanie – szukała jej pokojówka. Nie mając czasu do stracenia, zaczęła błyskawicznie myśleć. „Gdzie ją ostatnio widziałam?”

Różową jedwabną torebkę wieczorową, którą kupiły w Paryżu pamiętnego dnia, gdy tak się rozpadało, że musiały biec ulicą boso.

Flora podbiegła do szafy, otworzyła obite sukniem drzwi i zapaliła światło. Szafa nie była szafą, tylko osobnym pomieszczeniem z rzędami stojaków i półek wypełnionych jedwabiem i atłasem, futrami i koralami oraz butami, których wystarczyłoby do założenia domu towarowego. Torebki zajmowały całą ścianę. Flora przebiegła je wzrokiem, by w końcu dostrzec tę właściwą. Ściągnąwszy ją z półki, otworzyła zatrzask i wyjęła stylizowaną na tarczę telefonu puderniczkę od Elsy Schiaparelli.

Usłyszała pukanie, teraz blisko. Musiała się pospieszyć. Pokojówka stanęła pod drzwiami garderoby, nawołując.

– Już idę! – krzyknęła Flora.

Mając już zaledwie moment, wsunęła puderniczkę pod gors sukni i zakładając ręce, by ukryć wypukłość, otworzyła drzwi pokojówce.

– Jest pani potrzebna na dole – rzekła pokojówka. – I to w tej chwili.

– Czemuż to? Co się dzieje?

– Nie jestem pewna, proszę pani. Pani Ellingham z panną Alice nie wróciły, i przyszedł pan Marsh. Więcej nie wiem.

Zmuszona zająć się zawartością puderniczki później, Flora zepchnęła ją aż po obwiązaną paskiem talię i zeszła po schodach za pokojówką. Została wprowadzona do gabinetu. Przedtem była tu zaledwie parę razy. Albert załatwiał tutaj interesy, ale nieraz też chronił się przed zgiełkiem. Tego wieczoru w obszer- nym pomieszczeniu panował zaduch, przy zaciągniętych zasłonach ogień płoną- jący w kominku zdawał się aż parzyć.

– Floro... – zapytał Albert, niespokojny jak nigdy dotąd – czy Iris ci wspomina- nała, dokąd się dziś wybiera?

– Nie – odparła Flora. – Tyle tylko, że na przejażdżkę.

– A nie mówiła, w którą stronę? Do Waterbury? Do Burlington? Którą trasą?

– Nic nie wiem, Albercie. Co się stało?

Albert odwrócił wzrok na ogień.

Flora spojrzała na George'a. Bardzo dobrze się znali. Zwykle potrafiła rozszyfrować jego minę w jednej chwili. Miał szeroką twarz, silnie zarysowaną szczękę i duże piwne oczy – i nigdy nie udawało mu się ukryć gniewu, wzruszenia czy wzbierającej wesołości. Tymczasem dzisiaj był nieprzenikniony.

– Coś nie tak? – zapytała. – Co z Iris? Gdzie jest Alice?

– Wszystko w porządku – odrzekł George. Nie potrafił ukrywać prawdy, po co więc próbował teraz kłamać? – Wróć, proszę, do swego pokoju...

– Chcę wiedzieć, co się stało Iris! – dociekała Flora.

– Przestań! – wrzasnął Albert.

Na rozpacz w jego głosie ogarnął ją chłód. Robert, sekretarz Alberta, pokręcił głową, wskazując Florze, by odpuściła.

– Naturalnie. Sama się odprowadzę, Montgomery.

Rozdygotana pokojówka kręciła się po atrium. Flora od razu się zorientowała, że chce być jak najbliżej gabinetu, by podsłuchać, co się tam dzieje.

– Nie przeżyję dziś bez kawy – powiedziała. – Przyślij mi do pokoju dzbanek, bardzo proszę.

– Tak, proszę pani – odparła pokojówka i zwawo oddaliła się do kuchni.

Gdy już jej nie było, Flora prędko przeszła po cichu do sali balowej obok gabinetu. Pomieszczenia te celowo zaprojektowano obok siebie, bo rzadko korzystało się z nich równocześnie i zaletą obu był wysoki strop.

W sali balowej powyłączano lampy i zaciągnięto zasłony. Pstra, czarno-biała posadzka była brudna po weekendowych ucztach i hulankach; służba nie zdążyła jej jeszcze sprzątnąć. Flora czuła więc pod stopami papierowe serpentyny, naniesiony pantoflami do tańca żwir z podjazdu, niezliczone lepkie plamy po rozlanym szampanie.

Iris zdradziła jej kiedyś jedną z tutejszych tajemnic. Lustra w sali balowej przedzielały panneau pokryte tapetą z wzorem przedstawiającym postaci z komedii dell'arte. Na ostatnim panneau z lewej strony był zamocowany kinkiet w kształcie maski weneckiej. Flora weszła cichutko na jedno ze stojących pod ścianą złotych krzesel i wyciągnęła rękę, aby go dosięgnąć. Wsunąwszy palce w oczy maski, pociągnęła ją ku dołowi ostrym ruchem. Gdy panneau uchyliło się nieco na solidnym zawiasie, Flora otworzyła je na oścież mocnym pchnię-

ciem dłoni.

Pozornie połączone tylko ścianą, sala balowa i gabinet dzieliły tajną skrytkę szerokości mniej więcej dwóch stóp. Przez lustra weneckie można było obserwować z gabinetu, co dzieje się w sali. Za pomocą specjalnych przełączników przyciemniano światło bądź zmieniano je w migotliwe, a otwierane zapadki służyły odbieraniu kieliszków zbitym z tropu gościom. Ponadto – choć pewnie nikt tego nie planował – skrytka była wprost stworzona do podsłuchiwania toczonych w gabinecie rozmów. Wśliznąwszy się do niej, Flora wymacała w mroku drzwiczki wiodące do gabinetu. Dostatecznie oddalone od obradujących w nim mężczyzn i na tyle ukryte, że mogła niepostrzeżenie uchylić je na cał, tak jak ją nauczyła Iris.

– Na ogół słucham tu nudziarstw – wyznała Iris, pokazując Florze przejście i drzwi. – Szkoda, że Albert nie ma kochanki, bo wtedy byłoby ciekawiej.

Flora przeczuła, że dzisiaj na pewno się tu nie znudzi.

– ...który nadszedł w czwartek – mówił George. – Chyba go nie wyrzuciłeś?

– Jasne – odparł Robert Mackenzie. – Proszę. – Podał George'owi jakiś papier.

– „Spójrz, zagadka, czas się bawić – czytał George. – Użyć sznura, spluwę sprawić? Ostre noże lśnią tak cudnie. Trutka wolna; działa trudniej. Ogień ciejszy, a pod wodę, cóż, niespieszno jest nikomu. Wieszac można, ale po co, kiedy trzeba iść do domu. Łeb rozbity, upadek paskudny. Pędzi auto, a tu mur okrutny. Wybuch – ani chybi uciecha to gorąca, jednak nim sens karać niesforne go chłopca! Cóż począć, straszny mam ambaras. Jak i Ty: kryć się, czy brać nogi za pas. Ha, ha. Wasz Nieodgadniony”.

– Wysłano go z Burlington – dodał Robert.

Na biurku zadzwonił telefon, który odebrano, zanim umilkł dzwonek. Albert rzekł bez tchu: „Słucham”. Mężczyźni otoczyli aparat, więc Flora wyteżyła słuch, by zrozumieć, co mówią.

– Widzieliśmy jednego z twoich ludzi – oznajmił głos o dziwnym, nieokreślonym akcencie. – Wezwalesz gliny.

– Nie – odpowiedział Albert. – George jest znajomym. Przyjechał z wizytą.

– Wiemy, kto to – odparł głos. – Tylko pogarszasz swoją sytuację. Zbierz biżuterię, gotówkę, wszystko, co masz w domu. Włóż do poszewek na poduszki. Wyślij do nas kolegę, w pojedynkę, autem. Niech jedzie na wschód dwójką i po-

tem skręci w lewo na West Bolton. Tam odbierzemy okup i wtedy je odzyskasz. Radzę ci się pospieszyć. Od tej chwili masz godzinę.

W słuchawce zapadła cisza. Albert kilkakrotnie wołał „halo!”, ale nikt nie odpowiedział. Chcąc sprawdzić, co się dalej stanie, Flora odważyła się uchylić drzwi trochę szerzej. Mężczyźni stali wokół biurka bez ruchu i bez słowa.

– Jadę sam – odezwał się wreszcie George.

– Nie – zaproponował Albert. – To moja żona i córka...

– Słyszałeś, Albercie – odrzekł George. – Chcą mnie, więc pojedę.

Robert Mackenzie już wyjął mapę i teraz rozłożył ją na biurku.

– Zobacz – zwrócił się do George'a. – Chcą, żebyś jechał na wschód autostradą międzystanową numer dwa, a później skręcił w lewo w stronę West Bolton. To droga gruntowa. Wydaje mi się, że dojazd zajmie pół godziny albo dłużej – w zależności od tego, co spotka cię, gdy skręcisz.

– Więc do dzieła – odparł George. – Każ Montgomery'emu zebrać okup. Biżuterię, zegarki, co się tylko znajdzie.

– Dlaczego ty? – spytał Robert. – Jesteś stróżem prawa. Zawodowcem.

– Ale jestem mniej wart – odpowiedział George. – Gdyby pojechał Albert i coś mu się stało... Gdyby został ranny albo zginął... wybuchłaby sensacja na skalę światową. Do sprawy musiałby włączyć się prezydent i morderca na pewno by skończył na krześle elektrycznym. Nieznany agent FBI nie wzbudzi zainteresowania. Kto by się nim przejął? Takie rzeczy są przecież na porządku dziennym. Krótko mówiąc, Albercie, nie mogę cię narażać.

– Słusznie – zgodził się Robert. – Bo gdybyś... to już na zawsze pożegnaliby się z forszą.

– Nie traćmy czasu – odrzekł George. – Trzeba zatroszczyć się o okup. Gdzie jest biżuteria?

– Na górze są dwa sejfy, w garderobach mojej i Iris. Szyfr obu to pięć w lewo, dwadzieścia siedem w prawo, osiemnaście w lewo, dziewiętnaście w prawo. Idź już, Robercie. Niech ci pomoże Montgomery. Macie wyjąć wszystko.

Robert wybiegł z gabinetu, zostawiając George'a i Alberta z mapą.

– Powiniennem jechać – powtórzył Albert.

Głos George'a, choć przyciszony, wypełnił pokój i zmącił atmosferę.

– Posłuchaj i nie przerywaj. Sprowadziłeś mnie w konkretnym celu. Wszystko wskazuje na to, że są gotowi je oddać, więc nie wolno nam teraz tracić głowy. Zagramy według ich reguł, ale zagramy sprytnie. Pojadę i ci je przywiozę. Wiem, że serce każe ci jechać, ale na razie zapomnij o uczuciach.

Albert oparł się na krzesło i przez chwilę milczał.

– Jeśli ci się uda – powiedział w końcu – dam ci wszystko, co zechcesz.

– Zadowolę się mocnym trunkiem – odparł George, biorąc palto. W tym momencie Flora spostrzegła, jak zerka w jej stronę – lecz chyba nie zauważył wąskiej szpary w ścianie. Podniósł palto jakby nigdy nic i się odwrócił. – Zamknijcie gabinet na klucz. Niech nawet mysz się tu nie wślizgnie. Macie rewolwer?

– Tutaj, w biurku – odpowiedział Robert.

– Naładujcie go. Pozamykajcie szkołę. Niech każdych drzwi pilnuje ktoś ze służby. A wy dwaj zamknijcie się od środka i z rewolwerem w pogotowiu czekajcie, aż wrócę. Gdybym się nie pojawił do – powiedzmy – pierwszej, wezwijcie posiłki. Tak to widzę, jeśli mamy je odzyskać.

Przykucniętej w tajnej skrytce, z głową przy szparze w drzwiach, Florze serce zaczęło bić tak mocno, że zasłabła. Najciszej jak tylko mogła, osunęła się na podłogę.



6

Po zwiedzaniu mieszkańcy Minerwy zastali w świetlicy Hayesa z Ellie. Oboje spoczywali na sofie w niedbałych pozach – Ellie, z nogami na kolanach Hayesa, opowiadała o Paryżu; Hayes najwyraźniej nie słuchał, pochłonięty rozmową przez telefon. Pix znowu siedziała za stołem, tyle że kolekcję zębów zastąpiły błyszczące teczki informacyjne Akademii.

– Wróciliście! – zawołała. – Okej. Potrzebuję kilku minut na informacje podstawowe...

– Nie powinnaś zaczekać na Davida? – jęknęła Ellie.

– Jego samolot z San Diego ma opóźnienie, a im prędzej zaczniemy, tym prędzej będziemy mieć to z głowy. Nie zajmę wam dużo czasu.

– Ale przyjeżdża, tak?

– Przyjeżdża – odparła Pix.

Stevie, Nate i Janelle zajęli miejsca przy stole. Ellie z (tokującym przez telefon) Hayesem zostali na sofie.

– Hayes – rzekła Pix – mógłbyś podnieść głowę chociaż na pięć minut.

Chłopak lekko uniósł pięknie wyrzeźbioną głowę i z luzackim uśmiechem odłożył telefon.

– A więc – zaczęła Pix, zerkając na listę spraw do omówienia – witam wszystkich w Akademii. Identyfikatory... Każdy z was otrzyma identyfikator, zaprogramowany tak, byście mieli dostęp do budynków.

Ellie teatralnie stoczyła się z sofy, lądując na podłodze twarzą w dół. Pix ciągnęła dalej.

– Goście z innych domów muszą się trzymać pomieszczeń wspólnych, mogą

przebywać tutaj albo w kuchni i na tym koniec. Każdy z was dostał spis obowiązujących na terenie szkoły reguł postępowania, mowa w nim między innymi o zachowaniach seksualnych i szacunku wobec koleżanek i kolegów. U nas „nie” znaczy „nie”. Okej...

Przebiegła wzrokiem spis.

– Zachowujcie zdrowy rozsądek. Alkohol i narkotyki są zabronione. Żywność przechowywana w kuchni musi być zamknięta w szczelnych pojemnikach i opatrzona informacją dla alergików. Nikt z obecnych nie ma uczulenia na masło orzechowe, więc tym się nie przejmujcie. Ogień wolno rozpalać wyłącznie w świetlicy i to pod moim okiem. Słyszysz, Ellie: nie palimy...

Ellie znów jęknęła.

Janelle podniosła rękę.

– A co z lutowaniem? – zapytała.

– W świetlicy – bardzo proszę. Nikt nie ma mikrofalówki... Okej. Poza kampus nie wolno wychodzić bez zezwolenia. W weekendy o dziesiątej rano zapewniamy transport do Burlington; powrót jest o szesnastej. Gdyby któreś z was zachorowało, macie mnie natychmiast zawiadamiać. Na kampusie mieszka pielęgniarka, trzy razy w tygodniu przyjeżdża lekarz, a pomocy w nagłych wypadkach udzieli wam ochrona. Gdyby ktoś potrzebował się zwierzyć, zawsze chętnie z nim porozmawiam, mamy też dwoje psychologów, z którymi umawiać się można mailowo albo osobiście. To by było wszystko...

Przejrzała spis ponownie.

– Zapoznajcie się z tym po prostu. Że się nie pali, już wspomniałam. Ellie, nie bądź dzieckiem...

– Nie pali się – wymamrotała Ellie do podłogi.

– Dobra. Tyle. A teraz weźcie teczki.

Nate bez namysłu chwycił teczkę i pognał do swego pokoju. Pix skierowała się z powrotem do mieszkania. Ellie odkleiła się od podłogi, podeszła do stołu i schyliła się nad Stevie i Janelle.

– W łazience – szepnęła. – Obie. Za kwadrans. Każda z kubkiem.

Zabrzmiało to jak rozkaz.

Piętnaście minut później Janelle i Stevie z kubkami w ręku zapukały

do drzwi łazienki. Ellie leżała w wannie, ubrana w dziewiętnastowieczne pantalony i gorset. Strój ten na pewno bez reszty zająłby uwagę Stevie, gdyby nie fakt, że woda miała jaskraworóżowy kolor.

– Zamknijcie drzwi – rzekła Ellie. – Pora na małe cocktail party z okazji waszego przyjazdu.

Wskazała stos używanych, mokrych ręczników na posadzce, tak jakby były wygodną otomaną.

Stevie nie bardzo wiedziała, jak powinna się zachować. Po pierwsze: właśnie zabroniono im pić alkohol. Po drugie: Ellie leżała w wannie ubrana w pantalony i farbowała się na różowo.

– Nie wspominając o opartym o wannę saksofonie...

Postanowiła pójść na żywioł i zobaczyć, co przyniesie rozmowa. Zgłębiając metody śledcze, nauczyła się prostego sposobu, który umożliwia poznanie motywów podejrzanego: trzeba tylko dać mu się wygadać, a sam stopniowo ujawni, kim jest i co nim powoduje.

– Farbuję ciuchy na wieczór – powiedziała Ellie.

Przy okazji farbowała siebie, ale Stevie i Janelle uznały, że lepiej to przemilczeć.

– Co dziś jest? – zapytała Janelle.

– Impreza! – odparła Ellie. – Dawać mi te kubki.

Sięgnąwszy niezgrabnie za siebie, wyjęła butelkę szampana.

– Kubki – powtórzyła, wyciągając rękę.

– Przecież Pix mówiła... – zaczęła Janelle.

– Kuuubki.

Stevie podstawiła kubek, a po chwili zrobiła to też Janelle. Ellie naląła im po kapce pieniącego się szampana.

– Jest gorąco – rzekła. – Udało mi się przywieźć z domu, z Francji, tylko kilka butelek, no i był taniutki, ale nawet paryska taniocha jest lepsza od tego, co tu się sprzedaje. Okej. Powiem wam, co i jak. A teraz...

Uniosła kubek, sugerując, żeby się stuknęły.

– *Skål*.

Ellie upiła spory haust szampana. Janelle zajrzała do kubka. Stevie wahała się

sekundę, po czym uznała, że spróbuje. Dotąd piła alkohol zaledwie parę razy, stwierdziła jednak, że ta okazja jest jak najbardziej odpowiednia. „Pewnie i tak niedługo odstawimy kubki...” Szampan, ciepły i silnie musujący, wyleciał jej nosem. Smakował całkiem nieźle.

– Picie... – Ellie osuszyła kubek. – Wiedzą, że się zdarza. Siedzimy w takiej dziurze, że nie bardzo jest co robić. Jakby tu komuś urywali głowę, to pewno nikt by nie usłyszał.

Janelle wciąż wpatrywała się w kubek. Kilkakrotnie zbliżyła go do ust, udając, że pije.

– W zasadzie się nie czepiają, chyba że ktoś naświni – ciągnęła Ellie, przewracając się na bok, by poprawić mokre ubranie. – Pix, jak kogoś przyłapie, każe wyrzucać wszystko. Radzę kupować tanio, często – no i do czegoś przelewać. Wódkę wozi się co weekend z Burlington. Trzeba tylko uważać w monopolowych, bo Larry Ochroniarz ma tam szpicli, którzy mu kapują, jak przychodzi ktoś z nas. Łatwo nie jest, ale sobie radzimy. Na ulicy zawsze kręci się ktoś, kto kupi gorzałę za marne pięć dolców. Nie dajcie tylko złapać się Larry’emu, boby wam wypruł flaki. Dobra! Idźmy dalej.

Dolała sobie szampana.

– Zakaz poruszania się po zmroku. Bułka z masłem. Załatwia się to na różne sposoby. Na przykład możecie dać komuś identyfikator i poprosić, żeby was wklepał na noc. Czasami się to udaje, ale jak do świetlicy przyjdzie Pix i zorientuje się, że to nie wy, wołałabym wtedy nie być w waszej skórze. Lepiej wrócić i wyjść przez okno. Wtedy ma się do czynienia z Larrym, ale nie jest to tak straszne, jak gdy was złapie na picciu. Z innymi z ochrony bywa różnie. Wszystko zależy od tego, jak bardzo pilnuje ich Larry. Zapraszanie ludzi do pokoju – spoko. Pix prawie tego nie sprawdza. Jest w porządku. Poza tym jest roztrągniona. Mózg ma super, ale myślami zawsze jest gdzie indziej.

Ellie podniosła rękę w taki sposób, że Stevie dostrzegła jej tatuaż, ale nie trudno było się domyślić, że Ellie chce tym gestem zwrócić na niego uwagę: „Spytajcie, co znaczy” – klasyka. Tworzył go wytworny napis, wykonany bardzo ciemnym tuszem. Mimo że skóra wokół nie była zaczerwieniona, przy bliższym oglądzie dało się zauważyć drobne białe blizny. Nowiuteńki tatuaż biegł od zgięcia łokcia po nadgarstek: *Mon coeur est un palais flétri par la cohue.*

– Baudelaire – wyjaśniła Ellie, widząc ciekawość Stevie. – Zrobiłam go latem w Paryżu. Znasz francuski?

– Ja tak – powiedziała Janelle. – To chyba znaczy... „Moje serce to pałac” i... coś tam...

– „przez gawieź kalany”.

Stevie nic nie zrozumiała, ale kiwnęła głową.

– Przeczytałam ten wiersz latem w Paryżu, którejs nocy – rzekła Ellie, wdzięcznie wykręcając ramię. – I tak mnie uderzył, że mówię do mamy: „Muszę sobie go wytatuować”. Zgodziła się. Napiłyśmy się wina, wyszłyśmy i znalazłyśmy salon nad kanałem Saint-Martin. Nowy chłopak mamy jest malarzem ulicznym i nas tam pokierował.

Stevie zamyśliła się na chwilę, wspominając, jak spędziła lato. Prawie cały czas pracowała w imitacji Starbucksa w galerii handlowej Monroeville. Poza tym czytała. Słuchała podkastów. Chodziła na lody. Kupowała tanie kryminały u handlarzy pod biblioteką. Robiła, co mogła, by zapomnieć o polityce. Jej życie stanowiło przeciwieństwo włóczenia się po Paryżu z mamą i jej chłopcem, i tatuowania wierszy na rękach.

– Aha. – Przypomniała sobie Ellie. – Zasięg tu jest beznadziejny. Wi-fi co rusz się wyłącza.

– A co z telewizją? – zapytała Janelle.

Stevie czuła, że Ellie odpowie: „Nie oglądam telewizji”.

– Nie oglądam telewizji – odpowiedziała Ellie.

Stevie przyznała sobie punkt za intuicję.

– Nie oglądasz telewizji? – spytała Janelle, tak zdumiona, jakby chodziło o życie bez tlenu.

– Tworzę sztukę – odparła Ellie.

– A ja maszyny. Gdy buduję, zawsze mam włączony telewizor. Bez telewizji nie mogę się skupić.

Mówiąc to, Janelle spojrzała na Stevie przerażona. Z rozmów, które prowadziły latem, Stevie wiedziała, że to nie żarty. Janelle znała każdy serial, wszystko. A jako wybitny wielozadaniowiec potrafiła równocześnie gawędzić, budować robota i śledzić serial w telewizorze.

– Nic na to nie poradzę. – Ellie chciała dolać im szampana. Gdy odmówiły, dolała sobie po brzeg kubka. – W ogóle nie oglądam telewizji. Nigdy nie oglądałam. Nie mieliśmy telewizora, nawet gdy byłam młodsza. W domu wszystko obracało się wokół sztuki. Dorastałam w kolonii artystów w Bostonie, potem w komunach w Kopenhadze i Nowym Meksyku, a później wyjechaliśmy na trochę do Paryża.

– Gdzie chodziłaś do szkoły? – zainteresowała się Janelle.

– Tam, gdzie mieszkaliśmy. Komuna miała dobrą szkołę. Gdybym coś osiągnęła, wzbogaciła się czy coś w tym stylu... założyłabym komunę. Najlepiej tutaj. A teraz opowiedzcie o swoim życiu uczuciowym.

Ellie udobitniła nakaz, odstawiając szampana na podłogę z głośnym brzękiem. Stevie przeszły ciarki. Nie był to jej ulubiony temat.

– Zerwałam z dziewczyną – odparła Janelle, zapatrzona w kubek. – I wtedy przeprogramowałam mikrofalówkę.

– Niepowodzenia bywają inspirujące – powiedziała Ellie. – Wiosną miałam doła... W lombardzie w Burlington zobaczyłam Rootę, no i stwierdziłam, że musi być moja. Nie miałam wtedy forsy, więc musiałam coś wymyślić. Namalowałam obrazek, sprzedałam i kupiłam Rootę. Odtąd jesteśmy razem. – Poklepała saksofon. – Pamiętajcie – zmieniła temat – że od mieszkania tu ludzie głupieją. Wynika to z izolacji, życia na górze przysypanej śniegiem... Jak jest awaria prądu, można ześwirować. A ty? – skierowała to do Stevie.

Lekko już oszołomioną bąbelkami, siedzącą w półmroku w wieżyczce pod wysokim stropem, z nową koleżanką, Janelle, i tą dziwną, ale zabawną artystką, która farbowała się na różowo... Stevie ogarnęło błogie ciepło i stopniowo zaczęła się rozluźniać. Postanowiła być szczerą.

– Nie poznałam dotąd nikogo, kto by mnie naprawdę... Sama nie wiem. Pochodzę z nieciekawego miasta. Rodzice... Słyszałyście o Edwardzie Kingu? – zapytała.

– Tym senatorze? – odparła Janelle. – Dupku?

– Właśnie.

– O kim? – nie zrozumiała Ellie.

– Edward King to cymbał z Pensylwanii – wyjaśniła Janelle. – Chciałby, żeby znów się żyło jak w dawnych, zakichanych czasach.

– Rodzice go ubóstwiają – wyznała Stevie, opierając się o kaloryfer. – Pracują u niego. Ma biuro w naszym domu.

– Rany! – zdumiała się Janelle. – Nic mi nie mówiłaś.

– Takie rzeczy na ogół się przemilcza – odrzekła Stevie. – Ale... ostatnio bardzo im pomogłam. Gdy szykowali się do telekonferencji, weszłam im do spisu telefonów i zmieniłam wszystkie numery. Musieli przeprowadzić masę ciekawych konwersacji. McDonald's, ambasada Kanady, Disney World, Ośrodek C celebrytów Scjentologów, oceanarium...

– Piękne. – Ellie odchyliła głowę ze śmiechem. – Brawo!

Zdjęła pierścionek i położyła go na zaokrąglonym brzegu wanny. Śmiejąc się, machnęła ręką i zrzuciła go, aż potoczył się pod wannę.

– A niech to – mruknęła.

Sterie położyła się na posadzce i pogmerała pod wanną. Wyciągając zgubę Ellie, zadrapała się o coś.

– Uważaj – przestrzegła Ellie, wkładając pierścionek. – Są tu jakieś stare rury. Można się skaleczyć.

„Mogła wspomnieć o tym wcześniej” – pomyślała Stevie. „Ale chyba należy do osób, które najpierw dają nura, a potem dopiero sprawdzają, czy pod nimi jest basen, więc pewno na tej samej zasadzie udziela rad”.

– No i taki mam dom – powiedziała Stevie. A rodzice ubzdurali sobie, że koniecznie muszę się z kimś związać. Randkowanie to dla nich jedno z największych osiągnięć nastolatki, więc...

– Rozumiem – odparła Ellie. – Więc tu rób, co zechcesz.

– Zdecydowanie – przytaknęła Janelle. – Moi rodzice są całkiem inni. W kółko zapędzają mnie do nauki. „Teraz masz się tylko uczyć, o dziewczynach będziesz myśleć później”. A teraz jestem tutaj, tak że... – Janelle przeciągle westchnęła.

– Powinnyśmy przyszykować się do wyjścia – ogłosiła Ellie, przerywając rozmowę, gdy Stevie właśnie zaczęła się rozkręcać. Jej ubranie ociekało różem. – Wstąpię po was za moment. Czas na imprezę. Idźcie się przygotować!

Sterie i Janelle przykucnęły na chwilę w ciepłym mroku korytarza.

– Co to za zgrywa? – szepnęła Janelle. – Niby ją lubię, ale ten wiersz, ta Fran-

cja, życie w komunach, nieoglądanie telewizji... Sama nie wiem.

– Może chciała się wygadać? – podsunęła Stevie.

– Może – odparła Janelle. – Drażni mnie, gdy ktoś robi wielką sprawę z nieoglądania telewizji. Ale pewnie za mało znam artystów. Myślisz, że z wi-fi będzie aż tak źle? Bez telewizji naprawdę nie dam rady. Trzeba będzie coś wykombinować. Musi być jakiś sposób na stałe połączenie. No nic. Chodźmy się przebrać. Na razie.

Wróciwszy do pokoju, Stevie prędko przerzuciła ubrania. Nie przewidziała, że z miejsca pójdzie na imprezę. Imprezy zresztą niezmiennie ją zaskakiwały. Gdy koleżanki szukały w Internecie ciuchów i stylizacji – ona kompletnie się w tym gubiła. Niektóre nie dość, że znały aktualne trendy, to jeszcze umiały się do nich stosować. Pasiasty top, kapelusz z dużym rondem, szorty na „weekend na cudownej plaży”. Szminki na jesień, dzinsy na przejażdżkę wozem z sianiem, długie kolczyki na przyjęcie gwiazdkowe z bitwą na śnieżki. „Kto tak żyje...?”

Na imprezę wybrała czarne szorty i czarną koszulkę bez rękawów. Bizuterii nie miała. By za bardzo się nie poświęcać, włożyła czerwone japonki.

Janelle stanęła w jej progu w jasnoniebieskiej sukience w cytryny, w dopasowanych do niej kolczykach w kształcie cytryn i spryskana delikatnymi cytrynowymi perfumami. Nic tu nie raziło, bo było harmonijne. Skoro tworzyła maszyny, umiała stworzyć stylizację.

Z góry dobiegło je bezładne, chrapliwe zawodzenie. Ellie grała na saksofonie, choć bez dwóch zdań grać nie potrafiła.

– Oj! – Janelle spojrzała w górę. – Żebyśmy się za szybko nie znudziły.

– Ubrałam się dość „imprezowo”? – zapytała Stevie.

– Wyglądasz super – odparła Janelle, chyba szczerze. – A ja się zdenerwowałam. Zawsze wkładam cytryny, kiedy się denerwuję.

Po chwili zeszła do nich Ellie – cała różowa i nadal mokra – popychając niezadowolonego Nate’a. Wyciągnęła go z kryjówki grą na saksofonie.

Zapowiadała się zabawa.



7

Zapadał letni zmierzch. Kiedy z trawy wleciały świetliki i krążyły wśród drzew, uczniowie zmierzali grupami na zabawę urządzoną w jurcie. Wielki Dom łapał ostatnie promienie gasnącego słońca, jego okna połyskiwały oranżowożółto. Paczkę z Minerwy prowadziła Ellie, wydając za pomocą Rooty taki jażgot, że ptaki, które mijali, zrywały się z gałęzi.

– Żeby tylko był David – powiedziała. – Spodoba się wam na bank. Jest świetny.

Gdy szli przez kolejny zagajnik, przystanęła na chwilę przed jednym ze zdobiących go posągów i wyciągnęła z torby niebieską farbę w sprayu. Obryzgała jego tors słowami „Oto sztuka”, schowała farbę i w podskokach ruszyła na przód, rzępoląc na saksofonie.

– Ktoś tu koniecznie chce zaistnieć – zauważył cicho Nate.

Jurta, gdy do niej dotarli, była zatłoczona. Z jej wnętrza dochodził gwar głosów. Odchyliwszy klapę, Ellie wzniosła wysoko saksofon. Gdy siedząca na niewielkiej sofie w głębi grupka wydała radosny okrzyk, Ellie do niej dołączyła. Po chwili – ni stąd, ni zowąd – na ramionach miała czarne boa. W grupce tej była pierwszoroczna, zwracająca uwagę czarną szminką i kosmatą czerwoną suknią. Jak później udało się podłapać Stevie, nazywała się Maris Coombes. Tego, że jest sopranistką, Stevie domyśliła się bez trudu, bo ciągle podśpiewywała fragmenty arii koloraturowych.

Niespokojny chłopak o potarganych włosach, spowity w za dużą o kilka rozmiarów koszulę, żywo gestykulował z e-papierosem w dłoni. Hayes – bo i on się zjawił – siedział na sofie, pochłonięty rozmową z Maris.

Obiegłszy wzrokiem jurte, Janelle wyłuskała z tłumu Vi, która grała na dywanie z trojgiem osób w jakąś planszówkę.

– Siądźmy tam – rzekła Janelle do Stevie i Nate’a.

Miejsce było nie najgorsze. Vi przesunęła się, by wszyscy się zmieścili, i dokonała prezentacji.

– To Marco, DeShawn i Millie – wskazała. – Co powiecie na Zamki Arkadii? Właśnie zaczynamy.

– Super! – odparła Janelle. – Tego nie znam, ale się nauczę.

Stevie też nie знаła tej gry. Nate znał – i nawet trochę się ożywił. Z miejsca zaczął objaśniać wartość kafelków ze zbożem i ceglami, znaczenie różnych zielonych kwadracików, sens budowania nad rzekami i gromadzenia drewnianych krówek i owieczek na terenach ogrodzonych. Janelle była skupiona, a Stevie wciąż się rozglądała, szybko więc zapomniała, o co chodzi w grze.

Do jurty weszła dziewczyna o manierach księżnej. Miała koronę długich, jasnorudych włosów, gęstych i kręconych. Stevie znała dziewczęta długowłose, rude i kędzierzawe, ale to, co ujrzała teraz, było nie do pobicia. Złociste włosy nieznajomej nie tyle kręciły się, ile szaleńczo falowały. Właściwie bardziej niż włosy przypominały zjawisko atmosferyczne. Gdy ktoś zawołał „Gretchen!”, Ellie pognęła w podskokach, by się z nią przywitać. Stevie przyglądała się, jak dziewczyna lustruje grupkę na sofie, zatrzymując wzrok nieco dłużej na Hayesie i Maris. Jak zamienia kilka słów z Ellie, zarzuca włosami i ostentacyjnie nie przysiadła się do grupy. Podniósłszy na moment głowę, Hayes prędko wrócił do Maris.

„Coś tu nie gra” – pomyślała Stevie.

Germaine Batt, dziewczyna z autobusu, rozmawiała z Kazem, choć bardziej pochłaniało ją rozglądanie się po jurcie. Z zadziwiającym dla Stevie przejęciem cały czas rozmawiała przez komórkę, wysyłała i odbierała esemesy.

– Ma swój program – powiedziała Janelle. – *Raport Batt*. Jest jakby dziennikarką.

Gdy w jurcie powstał taki ścisk i hałas, że gra stała się niemożliwa, Millie, DeShawn i Marco odłączyli się od grupy, a Janelle i Vi zajęły się rozmową. Stevie została z Nate’em, ściskającym smętnie w rękę drewniane krówki.

– Niezła zabawa – rzekł Nate. – Co niby mamy robić?

– Nawiązywać znajomości – odrzekła Stevie.

Nate wydał odgłos przekłutego balonu.

– Nie lubisz nawiązywać nowych znajomości – domyśliła się Stevie.

– Nikt za tym nie przepada.

– Nie byłabym taka pewna – powiedziała Stevie, spoglądając na Vi i Janelle. Ogarnął ją dziwny niepokój, gdy patrzyła, jak gawędząc, coraz bardziej przybliżają się do siebie i coraz głośniej się śmieją. Starła się opanować rosnącą zazdrość.

– Tak jest. Wszyscy udają. To jedna z wielu rzeczy, którymi trzeba cieszyć się na siłę.

– Właśnie mnie poznajesz; to nowe doświadczenie – odparła Stevie, ale Nate nie zareagował.

– Pewnie pracujesz nad sequelem książki? – zapytała, by podtrzymać rozmowę.

– Cooo?

Nate spuścił wzrok, jakby nagle, oświetlony przez punktowiec, znalazł się pod murem sam na sam ze strażnikami. Kurczowo ścisnął krowy.

– Zacząłem – odpowiedział.

– Ile już masz rozdziałów?

– To nie tak – odburknął. – Czemu o to pytasz?

– Słucham?

– No więc... – Zaczął się wiercić. – To tak nie wygląda, że coś się napisze i gotowe. Pisanie to długi proces. Zapisuje się jakieś myśli, potem się przepisuje, przychodzą nowe pomysły, nieraz trzeba coś przesunąć... Nie chce mi się gadać o książce.

– Okej. – Stevie wcisnęła się w futon tak głęboko, że drewniany stelaż werżnął jej się w kość ogonową.

Nate też poruszył się, speszony.

– Przyjęli mnie z powodu książki – wyznał. – Wiesz, ile stron napisałem?

– Myślałam, że...

– Dwa tysiące. Dwa tysiące.

– To dobrze? – spytała Stevie, niepewna, dokąd zmierza chłopak.

– Dwa tysiące stron tekstu, z którego nic nie wynika. Wszystko jest do bani. Napisałem pierwszą książkę, a potem zapomniałem, jak się pisze. Dawniej po prostu siadałem i pisałem – i wchodząc do innego świata, czułem się jak ryba w wodzie. Żyłem w innym wymiarze... A gdy stało się to przymusem, coś we mnie pękło. Tak jakbym zgubił klucz do oswojonej już krainy cudów. Jestem do niczego. – Oparł się o poduszki i westchnął. – Tak że: nie, nie mam ochoty o tym mówić.

Stevie zerknęła na niego w napięciu kątem oka, gdy jednak zrozumiała, że niczego więcej się nie dowie, przeniosła uwagę na resztę towarzystwa.

Hayes ukradkiem przemknął się do Maris. Nie upłynęła minuta, gdy znów pograżyli się w rozmowie. „Beth Brave pewno by nie ucieszyło, że Hayes – niby się ucząc – przymila się do innych” – pomyślała Stevie. Spostrzegła też, że tą parą interesuje się ktoś jeszcze. Germaine Batt bacznie ich obserwowała, a w pewnej chwili zrobiła im nawet zdjęcie telefonem. Widok zajętych sobą Hayesa i Maris najwyraźniej rozdrażnił też rudowłosą Gretchen, która demonstracyjnie odwracała od nich oczy.

„Hayesa krępuje, widać, masa zobowiązań...”

– To David! – Wyrzucając ramiona w górę, Ellie odwróciła uwagę Stevie od Hayesa i jego otoczenia. – David, David, David!

Gdy wszedł David David David, zadrżały wiszące światelka i do wnętrza wleciał wonny letni wietrzyk. Chłopak podniósł rękę wysoko, jakby w triumfie. Ellie przyskoczyła do niego i omotała go boa. Gdy ją lekko uniósł, owinęła go nogami w pasie i została tak, objeżdżając na nim jurkę.

Pokierowała potrójnego Davida w stronę osób z Minerwy. Wysoki, miał gęstą, ni to kręconą, ni zmierzwioną ciemną czuprynę, która nie widziała nożyczek od miesiący. Wielu uczniów ubrało się niedbale, tymczasem strój Davida był wręcz niechlujny: dziurawe, wyświechtane bojówki, cienki ciemnogrnatowy tiszert z niemożliwym już do odczytania logo, zdezelowane buty do skatingu.

Stevie doznała wrażenia, że się znają. Miał w sobie coś takiego... czego nie umiała nazwać. Coś, od czego aż ją zaswędziało w głowie.

– To David – rzekła Ellie, przywierając do piersi chłopca. – Ostatni lokator

Minerwy. Powiedz „cześć”, Davidzie!

Stevie przekornie zapragnęła, by nie odparł: „Cześć, Davidzie” – ale tak się właśnie stało. Znow przyznała sobie punkt za intuicję. „Może ludzie tutaj nie są aż tak dziwni”.

Oczy Davida, ciemnopiwnie, bystre, z miejsca powędrowały ku jej oczom, tak jakby chciał zmierzyć jej dezaprobatę. Uniósł ostro zarysowane brwi i posłał jej przebiegły uśmiech. Posadziwszy Ellie na oparciu sofy, padł między Stevie a Nate’a, choć ledwie się tam mieścił. Ellie dokonała prezentacji, zdobiąc jego włosy piórami, które wypadły z boa.

David wygrzebał z kieszeni wysłużoną talię kart.

– Wybierz jedną. – Podsunął talię Stevie. Gdy się do niej nachylał, poczuła kilka zapachów. Wśród nich coś marnego, trudnego do określenia, i stęchliznę, jakby z samolotu.

Stevie nie chciało się wybierać, ale już rozpostarł przed nią karty, więc wyciągnęła jedną.

– Popatrz na nią – rzekł David. – I mi nie pokazuj.

Stevie zerknęła na waleta kier w dłoni.

– Okej. – David odchylił głowę, kierując wzrok do góry. – Czy to... trójka trefl?

– Nie.

– Okej. Szóstka karo?

– Nie.

– As pik?

– Nie.

– Hmmm – mruknął David. Nate poruszył się na znak współczucia, a Janelle uśmiechnęła się uprzejmie. Ellie udrapowała się na oparciu sofy.

– Siódemka kier? – spytał David.

– Powinieneś chyba się poddać – odparła Stevie.

– Nie, nie. Na pewno dam radę. Do pięćdziesięciu dwóch razy sztuka.

Janelle roześmiała się na to. „Z grzeczności” – uznała Stevie.

– Dobra. – Opuszczając głowę, David wziął głęboki oddech. – Ostatnia próba. Czy to... król trefl?

Stevie podetknęła mu waleta.

– Wiedziałem, że nie zgadnę. Tak sobie tylko wymieniałem karty.

Odebrał Stevie kartę i wsunął ją z powrotem do talii. Stevie poczuła, jak krew pali jej policzki. „Kpi ze mnie? O co tu chodzi...?” O ile potrafiła sobie radzić z kpina, o tyle nie znosiła niejasnych sytuacji. W jurcie panował zaduch i atmosfera gęstniała.

Ellie lekko pacnęła Davida, rozsypując wokół pióra.

– Ty głuptasku... – zwróciła się do chłopca i równocześnie nad jego głową posłała Stevie uśmiech pokrzepienia. – Już się martwiłam, że nie dotrzesz.

– Niewiele brakowało – odparł i oznajmił wszystkim: – W zeszłym roku byłem trochę podłamany.

– Nie wychodził z pokoju, palił trawę i grał w gry wideo – wyjaśniła Ellie.

– Brzmi to tak, jakbym siedział beczynn timer – zachnął się David. – Cały czas prowadziłem badania.

– David tworzy gry wideo – poinformowała Ellie. – Tak przynajmniej twierdzi.

– A wy – zapytał David – co robicie?

Janelle zajęła się prezentacją. Nate znów został wyróżniony jako „autor tej książki”. Po nim przyszła kolej na Stevie.

– Bada zbrodnie – powiedziała Janelle.

– Bada zbrodnie? – powtórzył David. – Co to znaczy?

– To, co słyszysz – odparła Stevie.

– Oglądasz dużo... Discovery ID? – zapytał.

Tak się złożyło, że faktycznie często oglądała Discovery ID. Kanał ten był w całości poświęcony morderstwom. Ale nie przytaknęła Davidowi.

– Zajmuje się kryminologią i tak dalej – odpowiedziała Janelle może nieco zbyt ostrożnie. – I wie wszystko o sprawie Ellinghamów. Dlatego przyjechała.

– Przyjechałaś, żeby ją rozwiązać? – spytał.

Stevie zaczerpnęła łyk powietrza.

Taki miała zamiar. Ale nikt nie miał o tym mówić, a już na pewno nie w ten sposób. Poczuła się, jakby David odebrał jej unoszący się wysoko balon marzeń i jednym dotknięciem szpilki spowodował jego wybuch. Strzępy pragnień roz-

sypały się po jurcie.

– Nie chciałaś o tym mówić, co? – rzucił chłopak. Oczy miał błyszczące, przenikliwe.

Zapadło niezręczne milczenie. By je przerwać, Ellie przesunęła się z krawędzi sofy na kolana Davida.

– Myślałam, że ją rozwiązali – zwróciła się do Stevie. – Nie tak? Chyba ktoś się przyznał...?

– Został uznany za winnego – odrzekła Stevie. – Prawdopodobnie tego nie zrobił. Przyznał się, bo...

Za ich plecami rozległy się śmiechy i Ellie podniosła głowę, by zobaczyć, co się dzieje. Nikt nie miał ochoty słuchać o tym, co skłoniło Antona Vorachka, miejscowego anarchistę, do przyznania się do winy. Zaaresztowano go i osądzono.

– Przyznał się, bo stanął przed sądem... – próbowała kontynuować Stevie.

Przed chwilą słuchali jej wszyscy, lecz teraz zaczęły się tańce, gdy więc David uśmiechnął się znacząco, na twarzach Janelle, Vi i Nate'a odmalowało się zakłopotanie.

Stevie zrozumiała, że jej czas już minął.

Pojawiła się butelka. Przyniosła ją Ellie. David odmówił. Janelle, Nate i Stevie – gdy machnięto nią w ich stronę – zgodnie pokręcili głowami. Dla Stevie picie po kimś było obrzydlistwem. Wyznawała zasadę Locarda: każdy kontakt pozostawia ślad. A ten akurat zostawiał ślinę z bakteriami.

Ellie i David odeszli, by pogadać z ludźmi ze swojego roku, zostawiając pierwszorocznych samym sobie.

– Wydaje się fajny – rzekła z wymuszonym entuzjazmem Janelle.

Nate nawet nie starał się udawać.

– Trochę lepiej się poczułem – wyznał Stevie. – Jesteś bardziej pokręcona niż ja.



Nocą przychodził niepokój. Noc sprowadzała męczarnie.

Była trzecia nad ranem, a Stevie wciąż nie mogła zasnąć. Kolejnego ataku paniki spodziewała się właśnie tej nocy. Nowa szkoła, nowy początek, nowe koleżanki, nowe otoczenie – a dotąd od domu i rodziców nie oddalała się na dłużej niż parę dni. Mimo że noc przyniosła ochłodzenie, w pokoju panował lekki zaduch. Kiedy Stevie otworzyła okno, do wnętrza wpadła wielka ćma. Śmignęła ku lampie pod sufitem i uderzyła o nią głucho.

– Wiem, co czujesz – szepnęła Stevie.

Ataki paniki zaczęły się, gdy miała dwanaście lat. Nikt nie wiedział, z jakiego powodu. Rodzice starali się ją wspierać, ale sami wpadali w popłoch. Pomagały trochę lekarstwa, a poza tym Stevie zasięgała porad szkolnej psycholożki i przeczytała o chorobie chyba wszystko, co było w Internecie.

Od ponad roku choroba nie dopadała jej codziennie, a ostatni poważny atak przeżyła sześć miesięcy temu. Wieczorami jednak nadal ulegała lękom. Przed pójściem spać wędrowała po pokoju, pełna obaw, czy tej nocy nie wyrwie jej ze snu łomot serca, rozpędzonego jak samochód bez kierowcy, z zablokowanym hamulcem.

Usiadła na podłodze pod oknem i przymknąwszy oczy, poddała się wietrzykowi, który muskał ją po karku. Wdech. Wydech. Raz. Wdech. Wydech. Dwa. Niech myśli sobie przychodzą i odchodzą...

„Nie chciałaś o tym mówić, co?”

Nakazała jej odpłynąć.

„W każdej chwili możesz wrócić”.

Tę odepchnęła jak najdalej.

„Jesteś bardziej pokrecona ode mnie”.

Otworzyła oczy i spojrzała na komodę. Mogła się ogłuszyć ativanem, ale wtedy rano wstałaby przymulona.

Stwierdziła, że przetrwa bez proszków.

Sięgnęła więc po drugie panaceum – kryminały. Uwielbiała je od dziecka. A gdy zaczęły się ataki, odkryła zbawienną moc historii kryminalnych. Nie mogąc zasnąć, ratowała się kryminałami, reportażami o zbrodniach, serialami, podkastami. Niewielu szuka ukojenia w książkach o topieniu w kwasie, oprawcach jak H.H. Holmes czy Lizzie Borden, zabójstwach w pobliżu autostrad, małymównych sąsiadach skrywających mroczne tajemnice, o zamurowanych

zwłokach, ukrytych odciskach palców i trzynaściorgu gościach na kolacji, którym grozi coś upiornego... Tymczasem Stevie podobne przypadki pochłaniały bez reszty. Pracując nad nimi, maksymalnie się koncentrowała, nie mogła więc ulegać lękom.

Głowiła się nad nimi i na przerwach w szkole, i mieląc kawę w barku centrum handlowego. Była nienasycona. Założyła konto na portalu Websleuths, gdzie nawiązała znajomości z pasjonatami nierozwiązanych spraw kryminalnych. Tam też natknęła się na sprawę Ellinghamów – która ją poraziła.

Sam pomysł, aby ją podjąć, wydawał się niedorzeczny. Była nastolatką z Pittsburgha, a zbrodnię popełniono kilkadziesiąt lat temu. Rozwikłać ją próbowali wszyscy. Nie udało się to ani FBI, ani niezliczonym poważnym (i mniej poważnym) detektywom. Frapowała tysiące ludzi. Gdy sam Ellingham, geniusz, usiłował zgłębić, co się stało, poszukiwania go zabiły.

Sprawy Ellinghamów nie dało się rozwiązać tak po prostu.

„Pewno pod tą grubą warstwą farby – pomyślała, ogarniając wzrokiem ściany – kryje się wiele tajemnic”.

„Nie jestem beznadziejna. Jestem Stevie Bell i bez niczyjej pomocy dostałam się do Akademii, a tu nikogo nie przyjmują przez pomyłkę”.

„Chyba że zaszła pomyłka”.

„A jeśli pierwszy raz się pomylili? Dlaczego musiało paść na mnie?”

„Wykluczone”.

Włączyła podkast, wyciągnęła się na podłodze i otworzyła zaklejone dotąd pudło. Wyjęła kilkanaście teczek starannie posegregowanych wydruków, odpisów i kserokopii, rolkę wytrzymałej taśmy klejącej i solidne nożyczki. Opróżniwszy pudło, rozłożyła je, odcinając klapy tak, by powstał prostokąt. Uwijała się, skupiona tak samo na słuchaniu, jak i pracy.

Wzorowała się na policjantach wydziału kryminalnego, którzy zawsze korzystali z planszy służącej do przypinania zdjęć ofiar i podejrzanych oraz map i wykresów. Można było się do niej odwoływać, analizując daną sprawę. Pudło miało służyć Stevie jako plansza.

Na samej górze umieściła trzy zdjęcia: Iris Ellingham, Alice Ellingham i Dottie Epstein, a obok plany pięter Wielkiego Domu z czasu, gdy dokonano porwania. Plansza nabierała kształtu.

Pośrodku Stevie przypięła najbardziej znany dowód rzeczowy, o którym rozprawiano w nieskończoność: list Nieodgadnionego.

Spójrz: zagadka, czas się bawić.

Użyć sznura, spluwę sprawić?

Ostre noże lśnią tak cudnie.

Trutka wolna; działa trudniej.

Ogień cieszy, a pod wodę, cóż, niespieszno jest nikomu.

Wieszać można, ale po co, kiedy trzeba iść do domu.

Łeb rozbity, upadek paskudny. Pędzi auto, a tu mur okrutny.

Wybuch – ani chybi uciecha to gorąca, jednak nim sens karać niesforne go chłopca!

Cóż począć, straszny mam ambaras.

Jak i Ty: kryć się, czy brać nogi za pas.

Ha, ha.

Wasz

Nieodgadniony

List zaginął podczas dochodzenia, więc zbadanie go i zdjęcie odcisków palców było niemożliwe. Zostało tylko zdjęcie przerażającego komunikatu, który dotarł do rezydencji Ellinghamów tydzień przed porwaniem. Złożony był ze słów powycinanych z gazet, dla zatarcia tropu, jakim jest charakter pisma.

Stevie intrygowało wiele aspektów sprawy, najczęściej jednak wracała do tej dziwnej deklaracji. Nieznajomy pisał: „Jestem podły. Chcę wyrządzić krzywdę. Krzywdzę już w tej chwili, siejąc strach. Jestem Nieodgadniony. Jestem bestią”.

Był jak troll, tylko bardziej wyrafinowany. W latach trzydziestych, chcąc dotrzeć do znanej osoby, trzeba było nieźle się natrudzić. Należało zgromadzić dzienniki i czasopisma, wyszukać pożądane słowa, powycinać je i precyzyjnie (krzywo) ponaklejać – no i wysłać anonim pocztą, nie wiedząc, co spowoduje.

„Czemu się zapowiedziałeś? Po co oznajmiłeś, że się zjawisz, Nieodgadniony?”

Stevie przypięła do tablicy następną fotografię – Antona Vorachka. To wła-

śnie list od Nieodgadnionego przekonał ją (i wielu), że Vorachek jest niewinny. Vorachek znał ledwie kilka słów po angielsku, nie mógł więc napisać w tym języku wiersza, a co dopiero wzorowanego na Dorothy Parker. Jednak znalaziono przy nim znaczony banknoty, budził powszechną niechęć i przyznał się przed sądem.

Nad sprawą unosiło się widmo Nieodgadnionego.

Przez kolejną godzinę Stevie układała zdjęcia i porządkowała kartoteki. Dysponowała planami pięter, kopiami przesłuchań i raportów policyjnych. Zgromadzenie tego wszystkiego okazało się czasochłonne, ale pomogli jej znajomi z Websleuths i uczynna bibliotekarka. By wydrukować tę masę informacji, zużyła dwa wkłady tonera i całą ryzę papieru z kampanii Edwarda Kinga (na coś jednak się przydał). Naprawdę było ich dużo i ważyły tonę. Stevie lubiła przeglądać teczki, wertować dokumenty, ślęczała nad nimi bez końca, starając się dotrzeć do sedna. Do Akademii przyjeżdżało wiele osób zainteresowanych sprawą. Część z nich jeszcze zanim pojawił się Internet, więc w przeciwieństwie do Stevie nie miały dostępu do wielu rzeczy. A inne...

„Nie. Zapalem nikt mi nie dorówna. Prawdziwy entuzjasta po prostu ma świadomość, że wie na dany temat wszystko – że posiada właściwe narzędzia i wie, co z czym kojarzyć. Wie też, że jako jedyny naprawdę rozumie sprawę”.

Świtało już, gdy Stevie skończyła porządkować materiał dowodowy na tablicy, w biurku i biblioteczce. Kiedy podeszła do okna, powitał ją przyjemny poranek i leciuteńkie podmuchy wiatru. Przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

Kluczową sceną powieści kryminalnej jest pojawienie się detektywa. Akcja przenosi się do salonu Sherlocka Holmesa. Drobny Belg z nawoskowanym wąsikiem wchodzi do holu Grand Hotelu. Łagodna starsza pani z torbą pełną robótek przyjeżdża do siostrzenicy z wizytą, gdy po wiosce zaczynają krążyć oszczercze listy. Prywatny detektyw wraca po nocy zakrapianej alkoholem i w biurze zastaje palącą papierosa kobietę w kapeluszu z woalką. W takich chwilach wszystko się zmienia.

Do Akademii Ellinghama właśnie przybył detektyw.



14 kwietnia 1936, 16:00

Zatrzymując forda pod frontową bramą posiadłości Ellinghamów, George Marsh zastał tam dwóch mężczyzn w ubraniach roboczych, ze śrutówkami. Gdy gestem wskazali mu, że może wjeżdżać, ruszył zdradliwą drogą już po raz drugi w ciągu niespełna kilku godzin.

Na podjeździe czekali na niego Albert Ellingham z Robertem Mackenzie. Mackenzie kulił się w płaszczu, a Ellingham jakby wcale nie odczuwał zimna. Podbiegł do samochodu i zaglądając do środka, doznał wstrząsu.

– Co się stało? Co z nimi? Twoja twarz! Co się stało?!

Miał na myśli siniaki na szczęce i pod okiem Marsha oraz ranę na lewym policzku. Oko spuchło Marshowi do tego stopnia, że niemal znieruchomiało.

– Nie było ich tam – odparł Marsh, wysiadając.

– Jak to: nie było?! Zniknęły?

– Skręciwszy w stronę West Bolton, nie ujechałem nawet mili, bo zastawili drogę samochodem. Gdy wysiadłem, wciągnęli mnie w zasadzkę. Domagają się jeszcze dwustu tysięcy. Ani śladu Iris i Alice.

Robert donośnie syknął.

– Nie myliłeś się – rzekł do niego Ellingham. – Żądają więcej, więc damy więcej. Ile mamy czasu?

– Dobę – odpowiedział Marsh. – Zadzwoń. Jeden z nas ma czekać o dwudziestej trzeciej przy budce telefonicznej na Church Street. Nalegali, żebyś ty dostarczył okup, ale ich przekonałem, że znów ja się tym zajmę.

– Więc teraz rzecz jasna wzywamy policję i FBI – zwrócił się do Marsha Mackenzie. – Niech ktoś wyciągnie z łóżka J. Edgara Hoovera. Sami dalej tak nie uciążniemy.

– Usłyszałem, że podnoszą okup, bo zaangażowałeś policjanta – rzekł Marsh.
– To znaczy mnie.

– Nie życzą sobie policji – rzucił krótko Ellingham. – Jestem gotów dać im tyle, ile zechcą.

– Przecież to się tak nie skończy – Mackenzie obstawał przy swoim. – Masz nieprzebrane środki finansowe. Nie rozumiesz?

Niebo przecięła z piskiem sowa.

– Pomówmy w domu – szepnął Marsh. – Głosy się niosą.

W Wielkim Domu było cicho, ale niespokojnie. Na szczycie góry zdarzały się nieraz awarie elektryczności. Lampy w holu głównym migotały raz po raz i przygasały. Cała rezydencja zdawała się pulsować. Za progiem też stali dwaj budowlańcy z bronią w pogotowiu. Zdezorientowani, napięci, bynajmniej nie uspokoili się na widok uszkodzonej twarzy Marsha. Kamerdyner Montgomery nie spał jeszcze i usługiwał.

– Przynieść wodę i bandażę, sir? – zapytał.

– Co? – Ellingham nie zrozumiał, ale przypominając sobie o ranach Marsha, machnął ręką. – Tak, tak, jasne. Przynieś.

Gdy znaleźli się w gabinecie, podszedł do biurka chwiejnym krokiem i drżąca dłonią nalał do szklanek whiskey, podając jedną detektywowi, a drugą zostawiając sobie.

– Co powiedzieliście domownikom? – zapytał Marsh. – Na pewno zauważyli, że pani Ellingham i Alice nie wróciły.

– Że grożą nam jak zwykle – odparł Robert – anarchiści. Więc wysłaliśmy panią i Alice na noc do przyjaciółki w Burlington, gdzie mają czekać, dopóki się z tym nie uporamy.

– Sądysz, że uwierzyli? – spytał Marsh.

– Wątpię.

Wszyscy trzej milczeli przez kilka minut. Marsh opadł na krzesło. Ellingham stał przed kominkiem, trzymając się jego gzymsu. Mackenzie usiadł, by raz jeszcze przyjrzeć się listowi. Montgomery przyniósł wodę i bandażę. Marsh wytarł twarz z krwi.

– Odzyskamy je – rzucił nagle Ellingham. – Damy im, ile zechcą. Iris jest sil-

na i zaradna. Zadba o siebie i Alice.

– Z całym szacunkiem – rzekł Robert. – W tych okolicznościach powinienem być szczerzy... Pani Ellingham jest zaradna. Ma też twardy charakter i jest wysportowana. Pływaczka z niej i narciarka pierwsza klasa. Czy poddałaby się bez sprzeciwu? Na pewno będzie walczyć. Sprawa powinna jednak potoczyć się inaczej... Nie zwracając się do policji, z każdą chwilą pogarszamy sytuację Iris.

– Już są wściekli, że miesza się obcy. Patrz, co zrobili Marshowi! Poradzimy sobie. Damy im, co zechcą, bez sprzeciwu.

– Wygląda na to, że nie mamy wyboru – odpowiedział Robert. – Nawet gdybyśmy chcieli... nie zdołamy zachować tego w tajemnicy. W domu jest ze dwadzieścia osób, mamy szkołę, a za parę godzin przyjdzie do pracy jeszcze setka. Jak ustrzec się przed prasą?

– Odwołaj roboty w tygodniu, a ludziom każ zapłacić.

– I tak rozejdą się plotki – stwierdził Robert. – Przed świtem w Burlington będzie wrzało.

Ellingham spojrzał na Marsha, który ostrożnie sączył whiskey przez spuchnięte wargi.

– Zdobędziesz do rana tyle forsy? – spytał Marsh.

– Bank w Burlington nie wypłaci tyle bez uprzedzenia – odrzekł Ellingham. – Robercie, obudź kogoś w Nowym Jorku i każ zrobić przelew od razu, gdy otworzą bank. Idę dopilnować zabezpieczenia posiadłości.

Gdy się oddalił, policjant i sekretarz spojrzeli na siebie w blasku ognia.

– Rozumiem twoją dezaprobatę, Mackenzie – powiedział Marsh. – Mnie też się to nie podoba. Ale chyba należy to rozegrać w taki właśnie sposób.

– Ten list... „Użyć sznura, spluwę sprawić? Ostre noże lśnią tak cudnie”. Autor ma na myśli morderstwo, nie porwanie.

– Będziemy tak działać do bólu – odparł Marsh. – Przestępca... świetnie zna posiadłość. Założmy, że nas obserwuje. Gdyby zaroilo się tu od federalnych, mógłby spanikować i zrobić coś pochopnie. Zachowajmy spokój, róbmy, co nam każą.

– Dotarło do mnie – oznajmił Ellingham, stając w progu – że zaginęła uczennica... niejaka Dolores Epstein. Trzeba przeszukać posiadłość. Sprawy są na sto procent powiązane. To posłuszne dziecko. Na pewno by nie uciekła. Mój Boże,

ratujmy uczniów! Nie możemy tylko się zdradzić. Musimy zabrać ich stąd pod jakimś pretekstem. Wszystkich.

Mackenzie ze znużeniem przymknął oczy. Uświadomił sobie, że zbliża się katastrofa, a on nijak nie jest zdolny jej zapobiec.



8

Nazajutrz rano Stevie zbudziła się roztrzęsiona w obcym łóżku. Na podłodze leżało jej dzieło z nocy. Ellinghamowie podnieśli na nią wzrok, gdy układając w niebieskim plastikowym pojemniczku starannie dobrane kosmetyki i przybory do kąpieli, przesunęła szampon i przewróciła żel pod prysznic, aby postawić prosto maszynkę do golenia. Włożyła spodnie od piżamy, szlafrok i japonki, wzięła pojemniczek i stanąwszy pod zamkniętymi drzwiami, aż dwie minuty zbierała się na odwagę, by wyjść na korytarz.

Czuła się nieswojo. Choć wiedziała, że to internat, i zdarzało jej się sypiać u koleżanek – tu było inaczej, dziwnie... „Z tymi ludźmi mam przecież mieszkać, no a część z nich to chłopcy. Połowa z nich to chłopcy. Co z tego? Mam na sobie szlafrok, więc... co za problem?”

Otworzyła drzwi. Na korytarzu nie było nikogo. W poczuciu triumfu ruszyła miarowym krokiem do łazienki. „Skoro na górze jest druga – pomyślała – wątpliwe, żeby wszyscy nagle zapragnęli wykąpać się w tej”. Ta jednak była niewielka i już pełna pary, bo ktoś zdążył zająć jedyną kabinę prysznicową.

Stevie postawiła pojemnik na parapecie i przyjrzała się zaparowanej szybie, sprawdzając, czy można przez nią zajrzeć do środka. Ścianka prysznicowa rozsunęła się z trzaskiem – i wyłoniła się zza niej ociekająca wodą Ellie. Miała ręcznik, ale wycierała nim włosy, więc Stevie zobaczyła całą resztę.

– O, cześć – przywitała się. – Ostrzegam: woda jest zimnawa.

Minęła Stevie, zostawiając na posadzce ślady stóp. Gdy dotarła do drzwi, okręciła się ręcznikiem tak, że ledwo co zasłaniał, i wyszła z łazienki.

„To się nazywa pewność siebie” – pomyślała Stevie. „W dodatku jest na bosa-

ka”.

Stevie miała na nogach swoje głupkowate klapki. Matka przekonała ją, że jeśli zdejmie je na chwilę, do stóp dobiorą się jej straszne drobnoustroje. Pysznic wydawał się czysty, choć z tym bywa różnie.

Woda nie była zimnawa. Była lodowata.

Ale zimny prysznic w letni poranek nieźle działa na zmęczenie. Woda, kryształicznie czysta, pochodziła z górskiego źródła. (Tak naprawdę chyba z wodociągów miejskich, ale stojąc pod płynnym lodem, należało sobie nieco to ubarwić).

Janelle była już w świetlicy. Siedziała przy stole, pochłonięta jakimś tekstem na tablicie, i jadła z miski płatki śniadaniowe. Usadowiona na hamakowym krześle, Pix robiła na drutach. Reszta najwyraźniej jeszcze spała.

– Dzień dobry! – Pix powitała Stevie. – Wszystko do śniadania znajdziesz w kuchni.

Stevie poszurała do kuchni i rzuciła się na kawę. Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu, sprawdzając zawartość dozowników płatków i lodówki.

Wtem ktoś podsunął jej miskę tak nagle, że aż podskoczyła.

– Darmowe – powiedział David. – Pix nie liczy płatków, więc nie martw się o rachunek.

„Czy to aluzja do mojej sytuacji materialnej? Kto w ogóle mówi takie rzeczy? Tacy jak David. Tacy jak on wyskakują znienacka bladym świtem, kiedy człowiek jeszcze się do końca nie obudził. Ciekawe, czy wie, że moi rodzice ledwo wiążą koniec z końcem?”

„Chce się bawić? Ależ chętnie się zabawię. Nie muszę być miła. Naprzód, Stevie”.

Zmierzyła go wzrokiem. Miał na sobie to samo, co wczoraj na imprezie, a we włosach tkwiło mu dotąd kilka krnąbrnych piórek. Albo nie spał, albo spał w ubraniu. Dyskretnie wciągnęła powietrze. Jego oddech załatywał winem, więc pewno pił na górze z Ellie.

Był interesujący, ale bez przesady. Przyglądała mu się z uwagą. W świetle dziennym widziała więcej niż w półmroku jurty. Miał długi, subtelny nos. Gdy podawał jej miskę, zauważyła umięśnione, żyłaste przedramię i sfatygowany zegarek na nadgarstku. Drogi. Kryształowa tarcza była porysowana, ale cała,

a skórzany pasek, choć przetarty, nadal trzymał się mocno.

Stevie rzuciła się w oczy nierówna opalenizna chłopca. Jedno ramię miał aż czerwone, a drugie opalone normalnie. Podobnie połowa jego twarzy była znacznie czerwieńsza od drugiej. Tak bywa, gdy ktoś się źle przykryje albo stanowczo za długo siedzi jedną stroną w słońcu.

– Podobno... – Stevie chwyciła miskę, odważnie podstawiła ją pod dozownik Froot Loops i napełniła. – Jesteś z Kalifornii?

– Tak mówią. – Wziął sobie kubek.

Znów spojrzała na jego nierówną opaleniznę, zagojone poparzenia, blade plamy. Akcent też miał dziwny; mówił szybciej niż Kalifornijczycy i bez ich charakterystycznego luzu.

– Niedawno? – zapytała Stevie.

– Co niedawno? – Wyraźnie się zirytował.

„Super!”

– Niedawno się tam przeniosłeś? – dokończyła, wkładając do ust kilka płatków.

– Skąd ta myśl?

Uśmiechnął się, acz na siłę. Głos mu się załamał. Niedawno przeniósł się do Kalifornii w niemiłych okolicznościach. Bogaty chłopak – od przeprowadzki zimny, mocno rozbrykany i spragniony troski.

– Coś tam wychwyciłam – odparła Stevie.

– Często ci się to zdarza? – Teraz David uśmiechnął się szeroko, ale nieprzekonująco. Oparł się o lodówkę, gdy automat do kawy zaczął szumieć, i delikatnie poruszał zegarkiem na nadgarstku.

Stevie obserwowała to przez chwilę. Przestał, gdy się zorientował, na co patrzy, i włożył rękę do kieszeni.

Z zegarkiem było coś nie tak.

– Możesz się przesunąć? – poprosiła. – Potrzebuję mleka. Skoro płacę, ha, ha, to niech już wiem, za co.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i odszedł od drzwi lodówki.

– Jasne. Dziewczyna detektyw musi jeść śniadania.

Odpowiadając uśmiechem, Stevie naląła sobie mleka i odstawiła je na miej-

sce.

– Starszy z problemami musi wybrać się do terapeuty.

Zaśmiał się głośno, a właściwie kaszlnął. Znalezienie i dotknięcie czulego punktu Davida okazało się nad wyraz proste. Ta krótka wymiana zdań powinna załatwić sprawę. Byłoby idealnie, gdyby odtąd nie mieli kontaktu. Niestety jednak mieszkali obok siebie. David zajął miejsce na końcu stołu i powiódł po nim wzrokiem.

Do świetlicy wemknął się Nate ze zwichrzonym włosiem. Tego dnia jakby bardziej ruchliwy, nawet się z każdym przywitał.

– A więc – rzucił David za głośno – co dziś macie?

– Spotkania z doradcami – odparła Janelle. – Jacy są? Ja mam doktora Hinkle’a.

– Chce ci się słuchać gędzenia o zaginionych w zderzaczach hadronów? – spytał David.

– Zawsze – odpowiedziała Janelle.

– Czyli spoko. Nate, kogo masz dzisiaj?

– Doktor Quinn.

– Ojoj – David potrząsnął głową. – Przewiąż rany. Babka umie wyczuć krew.

– Co?

– No a ty, Stevie? – Znow obdarzył ją nieszczerym uśmiechem.

– Doktora Scotta.

– Nasz zapalenie! – wykrzyknął David. Stevie spostrzegła, jak Pix uśmiecha się wstydliwie, podnosząc głowę znad robótki. – Gość z ikrą. Będziecie rozwiązywać zagadki kryminalne?

– Davidzie – upomniała go Pix.

– Tylko pytam.

– O co chodzi z tą krwią? – drażył Nate. – Jest groźna?

– Pamiętaj, że to nie wstyd płakać – odparł David. – Po fakcie. Jak ja, gdy straciłem dziewictwo.

– Davidzie – Pix znow przywołała go do porządku. – Nie strasz ludzi. Doktor Quinn jest wspaniała. Nate, niczego się nie bój.

Kwestia utraty dziewictwa nie dawała Stevie spokoju. Czy był to żart? Zapewne. Tylko co miał znaczyć? Może wyznając coś tak intymnego, David chciał udać, że jest ponad tym wszystkim? Czy wypowiedział „dziewictwo” głośniejsz niż resztę słów w tym zdaniu? Czyżby mówił o jej dziewictwie?

„O, właśnie mnie obserwuje. Więc jednak to była szpila”.

Wepchnęła do ust garść Froot Loops, ale nie umiała rozkoszować się ich smakiem. Cukier zgrzytał jej między zębami.

– Będzie wypytywała o moją książkę? – zaniepokoił się Nate.

– O co? – odparł David. – O fabułę? Najlepszego smoka?

– Czy skończyłem, czy jeszcze pracuję.

– Aha. No. Pewnie tak. Jaką masz grupę krwi? Warto wiedzieć na wszelki wypadek.

– Davidzie!

David podniósł ręce.

– Żartuję. Nate wie, że to żarty. Wiesz, Nate, że żartuję, prawda?

Nate najwyraźniej nie wiedział. Więc Janelle, która dotąd obserwowała ich bez słowa, postanowiła wkroczyć do akcji.

– Przyjdź do mnie potem – zwróciła się do Stevie. – Chcę obejrzeć warsztat. Zobaczyć, gdzie trzymają sprzęt do spawania. Muszę wreszcie się dorwać do nowej lampy lutowniczej.

Na słowa „lampa lutownicza” zjawił się Hayes, mokry, prosto z kąpeli. Złociste włosy oblepiały mu głowę. W przeciwieństwie do Davida był ubrany nieskazitelnie, w białe szorty i błękitną koszulę. Nawet w wersji wczesnoporannej wyglądał nienaturalnie dobrze. Wyjąwszy nabiegłe krwią oczy.

– Kiedy wstałeś? – spytał David, omiatając go wzrokiem. – Dwadzieścia po czwartej?

– Mało spałem tej nocy. – Hayes uśmiechnął się szelmowsko.

– Jasne – odparł David. – Zaprosicie na ślub wszystkich? Beth też?

Hayes wzruszył ramionami i opadł na krzesło.

– Jesteś sławny czy coś w tym stylu? – zapytał David.

– Coś w tym stylu – odrzekł Hayes z uśmiechem. – Chyba.

– Zombie to niezły interes – ciągnął David. – Żywe trupy są na topie.

– Dla mnie to codzienność – wtrąciła Stevie. – Pracuję w centrum handlowym w Monroeville.

Hayes nie zareagował.

– W Pittsburghu – dorzuciła Stevie. – W galerii Monroeville.

Hayes przekrzywił głowę i posłał jej uśmiech z cyklu „nie mam pojęcia, o co chodzi”. Na myśl, że czasami patrzą na nią tak rodzice, Stevie spiekła raka.

Nate spojrział znad mlecznej otchłani swoich płatków – na Hayesa, a potem na Stevie.

– Skąd pomysł, by pisać o umarlakach? – Janelle najwyraźniej starała się nadać rozmowie zwykły ton.

Niepewnym krokiem weszła do świetlicy Ellie w złachanych szarawarach i bluzce z napisem „Dziaraj odważnie”. Usiadłszy, w ramach powitania wyłożyła gołą stopę na stół i przez chwilę bacznie się jej przyglądała.

– Sam nie wiem – odpowiedział Hayes. – W zeszłym roku byłem na Florydzie, kilka dni surfowałem i tak jakoś mi przyszło. Bywa, że jak się gdzieś wyjedzie, jest więcej czasu na myślenie, no i można wpaść na coś fajnego.

– Nigdy nie wiadomo, skąd przyfrunie pomysł – rzekła Ellie. – W Paryżu siadaliśmy razem, sączyliśmy wino, pomysły przylatywały same...

– Prowadzę rozmowy z P.G. Eddertonem o filmie fabularnym – rzucił Hayes.

– Z P.G. Eddertonem? – zdumiał się Nate. – Tym od *Motelu pod Sinym Księżycem*?

– Na razie tylko rozmawiamy. – Hayes uśmiechnął się łagodnie. – Ale tak.

Odnotowała to nawet Ellie. Musiała słyszeć o P.G. Eddertonie. Robił dziwne, niezależne filmy o postrzelonych pannach, filmy przerabiane na tysiące gifów z kwestiami, które znali wszyscy.

– No to – odparł David – powodzenia.

Był to kolejny jego niejasny komunikat. Życzenie nie zabrzmiało szczerze.

– Może byście się przygotowali! – krzyknęła Pix ze schodów wiodących do jej kwatery. – Macie przed sobą spotkania.

Tak upomniała się o nich codzienność Akademii.



9

Poranne słońce oślepiło blaskiem. Przez kręte alejki pod sklepieniem liści Stevie przeszła do Wielkiego Domu. Nacisnęła dzwonek obok wielkich drzwi. W czasach Alberta Ellinghama otworzyłyby je kamerdyner Montgomery. Pojawiał się on często w książkach poświęconych sprawie. Kierował personelem posiadłości. Szkolony w Anglii, usługiwał rodzinie królewskiej, a później podebrano go jednej z najznakomitszych rodzin w Newport, by doglądał Wielkiego Domu. Po porwaniach pracował nadal, jednak przybity i niepokieszony, parę lat później pożegnał się ze światem.

Teraz drzwi nie otworzył kamerdyner. Rozległo się ciche buczenie na znak, że je otwarto. Stevie weszła do olbrzymiego pomieszczenia. W cieniu za swym biurkiem tuż przy drzwiach siedział Larry Ochroniarz.

– Do doktora Scotta? – zapytał.

Stevie kiwnęła głową.

– Usiądź tam – rzekł, wskazując krzesła przy wielkim kominku. Było tam już kilka osób, wśród nich zaabsorbowana czymś w komórce Germaine Batt. – Gdy cię wezwie, wyjdź na górę, a na korytarzu skreć w lewo. – Uniósł rękę ku balkonowi nad sobą. – Jest w ostatnim pokoju od frontu.

– W dawnej sypialni Iris – odparła Stevie, spoglądając na sufit.

– Właśnie. – Larry rozsiadł się wygodniej. – Interesujesz się sprawą? Którą książkę lubisz najbardziej?

– *Mord na górze Sandersona* – odpowiedziała Stevie bez wahania. – Mimo drażniącego stylu wydaje się najbardziej wnikliwa.

– Racja, niezła – przytaknął Larry. – Czytałaś *Akta sprawy Ellinghamów*?

– Sądzę, że autor wyciąga zbyt pochopne wnioski.

I na to skinął głową.

Chłodne powietrze przenikała ledwie wyczuwalna woń dymu, choć pewnie od lat trzydziestych nikt nie palił tutaj papierosów. Stevie wiedziała o tym gma-
chu chyba wszystko. Hol główny wyłożono palisandrem sprowadzonym z Indii. Dwuipółmetrowy kominek zbudowano z różowego marmuru pochodzącego z kamieniołomów Carrary, tych samych, z których korzystał przed wiekami Mi-
chał Anioł. Żyrandole, galki u drzwi i popielniczki z austriackiego kryształu wy-
bierał osobiście jeden z sześciu architektów współtworzących projekt. Wszech-
obecne witraże – łącznie z dachem przeszklonej werandy, gdzie zza splecio-
nych kwiatów płochliwie wyzierały ptaki – utrzymane były w wyrafinowanym
secesyjnym stylu szkoły z Glasgow.

– Stevie? Stevie Bell?

Podniosła głowę, słysząc swe nazwisko. Przy balustradzie piętro wyżej stał
Mówciem Charles i spoglądał w dół. Ubrany w tiszert Green Lantern i baweł-
niane spodnie, miał włosy w chłopięcym nieładzie.

– Chodź na górę – zaprosił Stevie. Wyszedł przed nią na szczyt schodów i po-
dał jej rękę.

Zza pobliskich drzwi wyłoniła się kobieta. Stevie najpierw rzucił się w oczy
jej wzrost, który podkreślały czarne, opalizujące szpilki. Kiedy się odwróciła,
Stevie dojrzała w przelocie ich czerwone spody. Choć nie znała się na modzie,
wiedziała, że te buty są drogie, podobnie jak świetnie skrojona wąska spódnica
i obszerna bluzka, która owijała i opływała jej sylwetkę. Kobieta miała długie
włosy w różnych odcieniach brązu i złota. Była pochłonięta komórką.

– Dzień dobry, Jenny! – zawołał Charles.

– Hej. – Nie podniosła głowy. – Oddaliła się dumnym krokiem, nie przerywa-
jąc pisania. Nie dało się nie zauważyć, że go ignoruje. Stevie nie widywała ta-
kich sytuacji w swojej szkole. Charles zręcznie zamaskował zmieszanie uśmie-
chem.

– To doktor Quinn – powiedział. – Prowadzi na pierwszym roku seminarium
z historii i kultury Ameryki. Przejdźmy do mojego gabinetu.

Na drewnianej podłodze rozesłano chodniki, aby nie skrzypiała. Zrobione
z solidnego, ciemnego drewna drzwi do wszystkich pomieszczeń na tej kondy-

gnacji miały kryształowe gałki o przykrych w dotyku ostrych brzegach.

Na drzwiach ostatniego pokoju – dawniej Iris, a dziś Mówciemi Charlesa – wisiała tablica korkowa. Zapełniały ją przeróżne znaczki, niewielkie plakaty i naklejki: „Podważaj, co się da!”, „Z drogi; biorę się za przyrodę!”, „Odrzucam waszą rzeczywistość i zastępuję ją własną”. Pośrodku wpięty był największy, zrobiony ręcznie znaczek ze słowami „Prowokujcie mnie”.

Podobne komunikaty przerażały rodziców Stevie, ją zaś w równym stopniu podniecały i deprymowały.

Pokój ewidentnie przerobiono. Wyblakła srebrna tapeta pozostała niezmienną, ale przestrzeń wypełniały teraz biblioteczki, kilka krzeseł, biurko i niewielka kanapa. Wszędzie było pełno książek. Ustawione w pionie i wciśnięte na płask, wypełniały półki, leżały w stosach oparte o tył kanapy, piętrzyły się na gzymsie kominka. Na jednej ze ścian wisiało w solidnych ramach sześć dokumentów: dyplomy i certyfikaty Harvarda, Yale i Cambridge, a obok nich – zdjęcia drużyny wioślarskiej i grupy studentów w Cambridge, świadectwa długiej i znaczącej kariery w sferze nauki...

Charles dał Stevie znak ręką, by usiadła.

– Muszę przyznać – zaczął – że rzadko zdarza mi się czytać podania tak frapujące jak twoje, Stevie.

Stevie wstrzymała oddech. Wyraz „frapujące” uważała za dwuznaczny.

– Widzę, że fascynują cię dzieje rezydencji oraz przestępstwa i analizy kryminalne. Zamierzasz współpracować z FBI?

Stevie przytaknęła stanowczo.

– Doskonale. Sprawdźmy więc, co możemy ci zaoferować.

Nim skierował wzrok na laptop, wolno włożył okulary.

– A zatem, wzięwszy pod uwagę twoje pasje, proponujemy, co następuje: będziesz pobierać lekcje anatomii i fizjologii oraz statystyki i hiszpańskiego... Dla ciebie są to podstawy, idące w parze z zainteresowaniami. Ogromnie ci się przydadzą. I dalej... Zapisaliśmy cię na wykłady z prawa karnego i historii prawa Stanów Zjednoczonych. W ramach wychowania fizycznego trzy razy w tygodniu masz jogę. Każde z was uczęszcza obowiązkowo na seminarium doktor Quinn poświęcone literaturze i historii. Prócz tego na pierwszym roku przygotowujecie niewielki projekt, który na drugim rozszerzacie. Zaczęłaś już coś pla-

nować?

Stevie przelknęła ślinę. Powiedziała to już wczoraj, ale teraz – gdy Charles oczekiwał deklaracji – poczuła się nieswojo. Mimo guli w gardle jakoś wybąkała:

– Planuję... rozwiązać sprawę tutejszych morderstw.

– Rozwiązać? – Charles podniósł głowę. – Masz na myśli raport?

– Nie – odparła. – Chcę... dociec, co się wydarzyło.

Charles zdjął i złożył okulary, i oparł się na krzesło.

– Trudne zadanie – powiedział. – Zechciej to sprecyzować.

– Znam wszystkie hipotezy. – Stevie też się oparła, by zachować równowagę.
– Wszystkie protokoły.

– Pewnie jest tego sporo.

– Przesłuchania najważniejszych świadków to blisko osiem tysięcy stron. Sądzę, że rozwiązanie jest tutaj. Według mnie sprawcą był ktoś, kto wtedy przebywał w tym domu.

– Zaraz, zaraz. – Charles rozsiadł się wygodniej i zadumał się, głaszcząc podbródek. Każda chwila jego milczenia coraz bardziej wbijała Stevie w krzesło.

– Mam pomysł – przerwał ciszę. – Pozwól za mną.

Uśmiechnął się do niej szeroko jak prezenter programu oświatowego do animowanego pieska; jakby mówił: „Chodź, to się czegoś nauczysz”.

Stevie wstała i zeszła z nim do holu, gdzie wskazał drugie schody, w głębi. Stamtąd udali się na piętro, do drzwi z uprzejmą przestrogą „Prywatne” na tabliczce i cyfrowym panelem wstępu. Stevie lubiła prywatne miejsca, do których wchodzi się, wstukując szyfry. Obserwując palce Charlesa, spostrzegła, że nie zasłania szyfru, tylko wręcz go jej pokazuje.

– 1936? – zapytała.

– Niezbyt pomysłowy – odparł z uśmiechem. – Ale łatwo go zapamiętać.

Schody na strych były wąskie, proste, pokryte ciemną bejcą. Gdy dotarli na górę, Stevie ujrzała kolosalnych rozmiarów pomieszczenie zajmujące całą kondygnację. Ciemne, bo okna szczelnie zakrywały rolety i zasłony.

– Jak wiesz – powiedział, dotykając guziczków na cyfrowym włączniku oświetlenia – Ellinghamowie mieli masę rzeczy. Część papierów przekazano

Yale, a resztę Bibliotece Kongresu. Najcenniejsze obrazy i rzeźby trafiły do Smithsonian Institute, Metropolitan Museum, Luwru oraz innych muzeów sztuki na świecie. Tu mamy to, co zostało po codzienności Ellinghamów. Meble. Naczynia. Ubrania. Sprzęty.

Pstryk, pstryk, pstryk. Rozbłysły światła.

Wszędzie było pełno zakamarków i zakątków, gdzie nie spojrzeć, rzędy metalowych regałów od podłogi po sam sufit. Po jednej stronie skrzynie z archiwami i książki, a po drugiej kufry. Lampy, wazony, wyposażenie – stos ram łóżek pod oknem, ciasno upchnięte krzesła, otomany, zestawione plecami komody, rolki antycznych tapet, globusy, pudła kryształowych gałek do drzwi.

Stevie czuła się, jakby jej mózg opanowały pszczoły i skłębione tłukły się po czaszce.

– Tędy – rzekł Charles.

Ruszyła za nim bez słowa. Poprowadził ją na drugi koniec sali, do sporej bryły, wysokiej mniej więcej na metr i szerokiej prawie na dwa, przykrytej srebrną atlasową kapą. Ostrożnie ją odsłonił. Był to Wielki Dom w miniaturze. Doskonała replika w formie domku dla lalek, łącznie z pełnymi maleńkich kwiatów skrzynkami na froncie.

– Albert Ellingham zamówił to dla Alice wiele miesięcy po jej zaginięciu.

Charles sięgnął ponad jeden z boków i pstryknął ukrytym przyciskiem, po czym otworzył dom dla lalek jak gigantyczną książkę. Stevie ujrzała atrium i ogromne schody. Wszystko było bezbłędne – lampy, kryształowe gałki i kominiki. A co najlepsze, wnętrza wyglądały tak jak wtedy...

– Czytałam o tym domku – powiedziała Stevie. – Nie wiedziałam, że nadal tu jest.

– Do innych pokoi można wchodzić, podnosząc tył i ten bok – wskazał Charles. – Przepiękny, prawda?

Stevie podeszła bliżej i schyliła się, by obejrzyć pokoiki. W pokoju Alice nie zabrakło nawet pluszowych misiów na łóżku. W przebieralni na toalecie leżały malutkie srebrne szczotki do włosów i mikroskopijne kosmetyki. Kuchnię wypełniały porcelanowe naczynka wielkości paznokcia. Wreszcie gabinet Alberta z dwoma biurkami, telefonikami i obrazeczkami na ścianach... Odbicie przeszłości.

– Arcydzieło – oznajmił Charles. – W 1936 kosztował dziesięć tysięcy dolarów. Myśleliśmy, żeby przekazać go muzeum, ale wszystkie rzeczy Alice muszą zostać w domu jako część majątku. Jak wszystko, co do niej należy.

Stevie pomogła mu zamknąć i zasłonić kapą dom dla lalek.

– Jak sądzisz – spytał – dlaczego ci go pokazałem?

– Bo jest niesamowity?

– Masz rację. Ale nie w tym rzecz.

Dom dla lalek. Dom Ellinghamów w miniaturze. Pomniejszony świat.

– To proste – Charles przeszedł do sedna. – Zrozpaczony człowiek buduje idealną zabawkę dla córki, która nigdy jej nie zobaczy. Chodzi tu o żywe osoby, a nie postaci literackie. Wiadomo, że ta zbrodnia jest znana... zresztą tak jak każda. Ale zbrodnia ma ludzkie oblicze. Skoro chcesz studiować zbrodnie, nie wolno ci zapominać o zaangażowanych w nie osobach.

Niepewna, czy Charles ją beszta, czy tylko prawi jej morały, Stevie pomyślała: „Dobra, przynajmniej traktuje mnie poważnie”.

– W związku z powyższym – dodał – nim pochłonie cię rozwiązywanie sprawy... Proszę, byś zajęła się mniejszym projektem, czymś, co przywróci tej tragedii ludzką twarz.

– Jakim projektem? – nie zrozumiała Stevie.

– Nie mnie o to pytaj, tylko siebie. Na pewno coś wymyślisz.

– No ale powinnam coś napisać czy...

Charles potrząsnął głową.

– Zdecydujesz sama. Za chwilę mam kolejne spotkanie. Jestem ciekaw, co przygotujesz.

Gdy Stevie schodziła do holu, od nadmiaru wrażeń kręciło jej się w głowie. Z pokoju doktor Quinn wypadła Germaine Batt i popędziła schodami na dół. Miała taką minę, jakby właśnie zobaczyła szczegółowy opis swojej śmierci.

Nate wciąż czekał. Spojrzawszy za odchodzącą Germaine, skierował wzrok na Stevie.

– Jak było? – zapytał.

– Nieźle – odparła Stevie. – Pokazywał mi strych i rzeczy, które należały do rodziny.

Nate kiwnął głową i założył ręce na piersi, rozglądając się bez większego zainteresowania.

– Zauważyłeś dziś coś nie tak – spytała – gdy Hayes opowiadał o zombie?

Nate znów odwrócił się do niej.

– Chodzi ci o to, że nie słyszał o galerii Monroeville, gdzie toczy się akcja *Świ-tu żywych trupów*, najslynniejszego horroru o umarłakach? No.

Stevie uradowało, że rozumieją się w pół słowa.

– Co o tym myślisz?

– Sam nie wiem... Koleś wygląda, jakby wyszedł z drukarki 3D.

– Nathanielu! – dobiegł ich głos z góry. Przy balustradzie stała doktor Quinn.
– Zapraszam.

– Dasz radę – powiedziała Stevie, usiłując dodać mu otuchy miną.

– Daruj sobie – odrzekł Nate.

– Okej. Pójdzie ci fatalnie.

– Dzięki. Widzimy się na lunchu.

Zarzucił brązowy plecak na ramiona i ruszył w górę schodów jak na ścięcie.

Larry, który obserwował ich znad biurka, zatrzymał Stevie, kiedy wychodziła.

– Doktor Scott pokazał ci to i owo? – spytał.

– Strych – odpowiedziała.

Larry odchylił się wraz z krzesłem i uniósł pióro jak rzutkę.

– No i?

– W życiu nie widziałam czegoś tak fajnego.

Wyraz twarzy Larry'ego nigdy się nie zmieniał. I teraz pozostał kamienny, niewzruszony jak góra pod ich stopami.

– A samo spotkanie się udało? – dopytywał.

– Czeka mnie masa pracy – odpowiedziała Stevie.

– Poradzisz sobie. Trzeba się tu nieźle narobić, ale od tego jeszcze nikt nie umarł.

– A jak umrze, zawsze można wynieść ciało i zakopać w lesie – uśmiechnęła się Stevie.

Larry nie odpowiedział uśmiechem. Kąciki jego oczu zmarszczyły się tajem-

niczo.

„Żarty o zakopanych zwłokach są tu chyba nie na miejscu” – pomyślała.



14 kwietnia 1936, 10:00

Leonard Nair Holmes przywykł już do dni uciekających z kalendarza. W 1928 roku na przykład umknął mu gdzieś cały czerwiec. Nie dawał też wiary w istnienie roku 1931. Znajomi zapewniali go, że minął – pokazując mu daty w gazetach – lecz słowo pisane nigdy go nie przekonywało.

Obudziwszy się we wtorek rano w zaciemnionym pokoju u Ellinghamów, pokrzepiony przyjemnym snem, Leo zajął się swymi sprawami, czyli szukaniem śniadania. Wyszedł, szurając nogami, w pantoflach i przeraźliwie długim szlafroku z bordowego jedwabiu, który włókł się za nim, zbierając kurz. Wziąwszy pod uwagę wzrost Leo – prawie metr dziewięćdziesiąt – szlafrok był imponujący. Zamówiony jakby dla giganta, miał luźne rękawy, obszerne kieszenie i niekończący się tren. Leo nie dotarł nawet do podestu schodów, gdy Flora Robinson zagarnęła go w ramiona i wciągnęła z powrotem do pokoju.

– Nawet gdybym chciał, kochanie – szepnął – najpierw muszę wtrącić grejpfrut, cztery jajka i opróżnić szklaneczkę dzinu...

Zamknęła mu usta ręką i zatrzasnęła drzwi.

– Co cię napadło? – zapytał, sięgając smukłą dłonią do kieszeni szlafroka w poszukiwaniu papierośnicy.

– Leo! Porwano Iris i Alice!!!

Unosząc czarne brwi, Leo wyjął papierosa ze srebrno-nefrytowej papierośnicy. Postukał o nią papierosem i włożył go do ust. Poklepał się po kieszeniach. Gdy okazało się to bezcelowe, podszedł do łóżka i pogmerawszy chwilę przy wezgłowiu, skrzywiony włączył światło. Przekopując się przez stertę książek i rozmaitych śmieci, wreszcie znalazł pudełko zapalek.

– Porwali je, kiedy wczoraj wybrały się jak zwykle na przejażdżkę, i dzwoniли z żądaniem okupu – ciągnęła ściszym głosem Flora. – Albert sprowadził Geo-

rze'a Marsha. Wmawiają pracownikom, że noc spędziły u znajomej, i na razie nic nie mówią glinom. Wiem, że wczoraj zawieźli okup, ale nic to nie dało. Porwacze wzięli forszę, a dziewcząt nie zwrócili. Zażądali więcej. Albert właśnie załatwia pieniądze.

Leo zaciągnął się mocno kilka razy, żeby pobudzić umysł.

– Aha – odparł.

– Aha? To wszystko, co masz do powiedzenia? Zostały porwane.

Zaciągnąwszy się tak zawzięcie, że trzask ognia rozbrzmiał jak wybuch, Leo pogładził się po lekko zarośniętej twarzy. Przez chwilę uważnie przyglądał się błękitnemu lakierowi na swych paznokciach.

– Posprzątałaś? – spytał.

– Zrobiłam, co mogłam – odrzekła Flora. – Dla niej. Gdy pojęłam, że coś się stało, poszłam do jej pokoju.

– Dla nas wszystkich, Floro. Przyptyw zatapia wszystkie łodzie.

– Musimy coś zrobić – oświadczyła Flora.

– Mianowicie? Nie wiem, gdzie jest. Sam nie bardzo wiem, gdzie jestem.

– Musimy się zastanowić. Czyja to może być sprawka? Może trzeba im wszystko wyznać? Może nie mamy wyjścia.

– Floro – odparł wolno Leo – rozumiem, że masz sumienie i ono przez ciebie przemawia, ale czy coś to pomoże? Nam nie, a już na pewno nie Iris ani Alice.

– Nie masz pojęcia...

– Rusz głową, Florie. Czyżbyś zapomniała, że jesteśmy u magnata Alberta El-linghama, na odludziu? Mógł uprowadzić je każdy, kto ma słabość do pieniędzy, a pieniądze kochają przecież wszyscy. Mógł to zrobić każdy, bo tkwimy wysoko na zboczu góry. Albert im zapłaci.

Oslabła Flora oparła się o ścianę.

– A ty, skarbie, powinnaś zażyć coś na nerwy – dodał.

– Nie – odwarknęła Flora. – Wcale nie powinnam.

Przerwał im łomot do drzwi.

Leo dał Florze znak, by otworzyła.

– Dzień dobry, Albercie – powiedziała. – Właśnie wyciągałam Leo z łóżka. Wszystko gra?

– Nie – odparł wprost Albert. – Nie gra. Nair, sporządź mi miarękę tego swojego atramentu, który znika.

– Nie wziąłem aparatury.

– Mamy w pełni wyposażone laboratorium.

– Faktycznie – odrzekł Leo. – Daj mi kilka godzin...

– Nie – zaoponował Albert. – Niezwłocznie. Przygotuj czym prędzej, ile zdołasz. Ile to będzie trwało?

– Godzinę. – Leo zerknął niepewnie na Florę. – Może dwie. To zależy od ilości.

– Więc daję ci godzinę. Bierz, co ci trzeba, skąd zechcesz, ale się nie ociągaj.

– Ubiorę się, jeśli pozwolisz, i już przystępuję do roboty.

Gdy Albert się oddalił, Flora starannie zamknęła drzwi.

– Atrament? – Nie rozumiał Leo.

– Okup – odparła Flora. – Pewnie chce znaczyć banknoty. Do dzieła, a ja się postaram dowiedzieć czegoś więcej.

Leo zamknął za nią drzwi na klucz i podszedł do garderoby, gdzie na stolyczku stał zestaw wag, zlewek i palników. Były tam kobaltowe butelki z chemikaliami rozmaitego typu. W dzieciństwie Leo wprost ubóstwiał chemię. Własnoręcznie mieszał farby, nadając im niepowtarzalny, żywy odcień. Ponadto tworzył kosmetyki, więc lakierował paznokcie, a Iris i Flora używały niezwykle cieni i różów. Jego policzki nieraz połyskiwały lekko srebrem.

Ten zestaw jednak nie służył do robienia farb czy kosmetyków.

Nie tracąc czasu, Leo włożył do torby butelki i palniki, naciągnął spodnie na dół od piżamy i – beztroski jak ptak – zbiegł po schodach.



10

Stevie nastawiała się na jadalnię jak z bajki.

Rzecz jasna nie spodziewała się tam fruujących świeczników ani duchów, ale liczyła przynajmniej na długie drewniane stoły. Takie stoły występują w wielu powieściach kryminalnych, gdy zgromadzeni goście zerkają na siebie znad kieliszków wina, rozmyślając, kogo uwzględni w testamencie lord Dudley albo kto zabił Rachel kijem golfowym.

Tymczasem to, co ujrzała, przypominało bar w hotelu konferencyjnym w Hershey, gdzie zatrzymała się z kolegami z licealnego kółka śledczego, kiedy tam pojechali na zawody – tyle że było porządniej wykończone i przypominało górskie schronisko. (Wprawdzie Stevie nigdy nie widziała schroniska, ale takie miała skojarzenia). Pod wysokim, spadzistym sufitem wieńczącym ściany z jasnej sosny i kamienia porozstawiano stoły o różnych kształtach i rozmiarach – okrągłe dla grup, kwadratowe dla czterech osób i niezliczone wąskie dwójki lub jedyńki. Pod ścianą przeciwną do bufetu Stevie zobaczyła kanapy i poduchy w szkocką kratę oraz kilka niskich stołów – coś w rodzaju barku kawowego dla zbyt zmęczonych, by szukać Starbucksa gdzieś za górą.

W wypisanym kredą na tablicy jadłospisie podkreślano, że wszystkie dania są miejscowe i zawierają syrop klonowy. Grillowany stek podawano w sosie z syropu klonowego. Makaron przyrządzano z serem wędzonym drewnem klonowym. Było też tofu w syropie i klonowy sos do sałatek.

– Gdybyś przypadkiem zapomniała, że jesteśmy w Vermoncie – rzekła Stevie do Janelle, kiedy brały tacki – spójrz pod nogi. Stoisz w syropie.

– No – odparła z niesmakiem Janelle, nakładając sobie tofu z jarzynami. – Niezbyt za nim przepadam.

Nate spojrział na szklaną gablotę z zasyropionym mięsem.

– Mam pijać żywą krew roślin – rzucił. – W dechę.

Pragnienie gasiło się wodą mineralną z kranu (super) lub napojami gazowanymi na naturalnych sokach, jak klonowo-limonkowo-świerkowy, który bardzo zaciekał Stevie. Nigdy jeszcze podobnego nie widziała, a i tak byłby dla niej za drogi, tymczasem tu czekał na nią w lodówce i nic nie kosztował. Lodówka mówiła najwięcej o charakterze jadalni: wymyślne klonowe napoje za darmo.

Wzięła. Nie umiała się oprzeć.

Było jeszcze jasno i ciepło, więc stoły wystawiono na dwór. Ellie zaanektowała jeden ze stołów do pikniku i pomachała, żeby się przysiedli. Naprzeciw niej siedział Hayes.

Stevie i Janelle ruszyły w ich stronę, ale Nate się wahał.

– Jedzenie na zewnątrz jest do kitu – stwierdził, odganiając muchę od talerza wypełnionego różnymi gatunkami mięsa.

– Witamina D... – zachęciła Stevie. – Przyda ci się.

– Czy ty wiesz, że mięso – odparł – jadam u siebie przy zgaszonym świetle?

– To słowa godne pisarza? – Uśmiechnęła się do niego.

– Mhm.

– Posiedźmy dziś może z resztą – rzekła Janelle. – Na drugi raz zjemy w środku.

Nate westchnął i poszedł za nimi.

– Jak wam poszło? – zapytała Ellie, gdy usiedli.

– Mega – odrzekła Janelle. – Zapewniają mi dostęp do warsztatów, a w artystycznej dają miejsce do pracy nad maszyną Rube'a Goldberga^[6] na konkurs Sendella Waxmana. Znaczy nad jej wersją szkolną. Sfinansują mi nawet materiały. To miejsce jest po prostu boskie!

– W sumie nieźle – odpowiedziała Stevie. – Mam przygotować jakiś projekt, który nada zbrodni ludzki wymiar.

Nate milczał.

– No więc? – domagała się Janelle.

– Nie cierpi mnie – odparł szczerze chłopiec.

– Coś ty – Janelle pokręciła głową. – Przestań. W pierwszym dniu nie wolno

się tak zachowywać.

– Serio. Nie żartuję.

– Powiedziała ci to?

– Nawet na mnie nie spojrzała. Mówiła, że teraz książkę może wydać każdy, a potem odczytała listę zajęć i wyprosiła mnie z pokoju.

– To nie znaczy, że cię nie znosi.

– Szkoda, że cię tam nie było.

Stevie poczuła na plecach czyjś wzrok. Ukradkiem zerknąwszy za siebie kątem oka, zorientowała się, że nie na nią patrzą. Spoglądali w stronę Hayesa. Był jak środek ciężkości.

– Cóż ty pijesz? – zapytał Nate, odwracając butelkę w jej dłoni, by rzucić okiem na etykietę.

– Napój naturalnie gazowany – odparła Stevie. – Z lodówki. Postanowiłam skosztować.

– Po co?

– Chcę się przekonać, jak smakuje.

– Wiadomo: wstrętnie – rzekł Nate. – Co ty tu chcesz sprawdzać?

– Nie bądź taki pewny.

– O, Boże. – Janelle złapała się za głowę. – Nate, daj spokój. Nie możesz być wiecznie niezadowolony.

Nate dał znak Stevie, żeby się napiła. Stevie łyknęła spory haust. Gdy napój dotarł do krtani, podniebienie zapiekło ją nieznośnie, zaatakowane czymś przypominającym leśny płyn do naczyń. Klonowo-limonkowo-świerkowe obrzydlistwo podeszło jej do nosa i pewnie obryzgałaby nim Nate'a, gdyby w ostatniej chwili nie zasłoniła ust dłonią. Rozkaszała się tak głośno, że osoby przy sąsiednich stołach odwróciły ku niej głowy.

– No – ucieszył się Nate. – I wszystko jasne.

– Powiedz coś więcej o książce – odparła Stevie, odzyskując mowę.

Nate wrócił do kontemplowania mięsa.

Janelle podniosła się znad stołu, wymachując ręką.

– Vi! – zawołała. – Siadaj z nami!

Vi – jak zwykle w kolorowych lenonkach – miała na sobie krótkie ogrodniczki, kusą czerwoną koszulkę i pasiaste podkolanówki. Jej włosy były nastroszone trochę bardziej niż ostatnio. Wśliznęła się z krzesłem obok Janelle.

Stevie zaczęła panikować. „A jeśli znowu zachowam się niemilo i Janelle mnie odrzuci, a Nate jak to on się zamknie? Po co w ogóle się tu wlokłam, skoro nikt mnie nie polubi i będę musiała wracać jak niepyszna?”

„To tylko lęk, nic więcej. Przecież Janelle mnie lubi. Przywołała Vi, bo chce z nią poflirtować. No a Nate jest przyjazny, tyle że trudno go rozgryźć”.

Gdy tak rozmyślała, ze stołówki wyszedł David, którego niesforne włosy sterczały na wszystkie strony. Dotąd się nie przebrał. Stevie znów przeszył dreszcz niepokoju, tak jakby dobrze się znali. „Nieeee, to wykluczone”.

– Cześć – rzucił za głośno, siadając. – Uwielbiasz na mnie patrzeć. Rozumiem. Chyba tego nie piłaś?

Wskazał butelkę przed Stevie.

– Wzięłam dla ciebie – odparła, podsuwając mu butelkę.

Ellie z uśmiechem wyciągnęła się na ławie i ułożyła bose stopy na kolanach Davida.

– Złe wieści, Hayes – rzekł David. – Ktoś cię wczoraj szpiegował.

Podał mu nad stołem komórkę.

– Wygląda na to, że wśród nas jest paparazzi – oznajmił. – Kojarzycie Germaine Batt?

Gdy mówił, Stevie poczuła, jak wokół wzbiera napięcie. Najpierw popatrywali, a teraz zaczęli poszeptywać.

– Twoja panna się wkurzy... – ciągnął David.

Hayes spojrział na ekran, ale nie przejął się tym, co zobaczył.

– E tam – oddał komórkę Davidowi.

– Tak bywa, gdy jest się sławnym – spuentował David. – Wszędzie oczy.

Wtem Ellie podetknęła stopę Davidowi, a gdy ten ją ugryzł, wybuchnęła śmiechem. Cała ta sytuacja miała w sobie coś krępująco intymnego. Stevie poczuła skurcz w żołądku – i lęk ogarniający ciało.

Vi i Janelle wymieniły spojrzenia. Nate uparcie nie podnosił głowy. Hayes sprawiał takie wrażenie, jakby chciał się od wszystkiego odciąć.

Stevie opanowało poczucie opuszczenia, tak przykre, jakby poza wściekle bzyczącą jej nad uchem pszczołą wokół nie było nikogo. Mimo że zwykle umiała radzić sobie z samotnością, teraz jakby stopniowo oddalała się od grupy.

„W każdej chwili możesz wrócić...”



Wróciwszy do pokoju, Stevie przysiadła na podłodze, by spojrzeć na tablicę z dowodami.

„A jeśli ta szkoła jest jak wszystkie? Jeśli, jak mówiła Ellie, wszyscy tu głupieją? Przyjechałam, bo miała być inna. Czego się spodziewałam?”

Chwilę bębniła palcami o podłogę, wpatrując się w twarze Ellinghamów. Potem wyjęła z torby laptop, by w ramach odpędzania takich myśli dowiedzieć się czegoś o znajomych.

„Wpierw David. Co to za jeden?” Ze spisu uczniów wiedziała, że nazywa się Eastman. David Eastman to popularne nazwisko, wyskoczyła więc masa wyników. Dopisała „Ellingham”. Dopisała „Kalifornia”. Przewertowała wszelkie możliwe portale społecznościowe. Po godzinie siedzenia w skurczonej pozycji, z laptopem wciśniętym między piersi a kolana, zdrętwiała jej pupa. Im dłużej szukała, tym bardziej wątpiła w istnienie chłopca. Ani śladu profilu. „Gdzieś ty się, kurczę, schował?” – mruknęła do siebie.

Ktoś zapukał do drzwi i lekko je uchylił. Do pokoju zajrzała Janelle.

– Hej, mogę wejść? – spytała.

– Jasne. – Stevie zamknęła laptop.

Janelle wfrunęła do środka. Jak to ona, poruszała się subtelnie, z gracją, przytrzymując rąbek długiej kwiecistej sukienki. W przeciwieństwie do Stevie, która znowu była w czarnych szortach (w cenie dwóch kupiła trzy pary), Janelle jakby przywiało z letniego pikniku. Wokół niej roznosił się delikatny zapach pomarańczy. Włosy splecione w warkocze upięła na czubku głowy.

– Przepraszam – powiedziała, wchodząc, i usiadła na podłodze naprzeciw Stevie.

– Za co?

– Ignorowałam cię na lunchu. Ale nie rozmyślnie.

– Daj spokój – odparła Stevie. – Byłaś...

– No – Janelle nie udało się powstrzymać uśmiechu. Naciągnęła sukienkę na kolana. – Wiosną zerwałam z dziewczyną.

– Tak, mówiłaś.

– I nie przypuszczałam... Ale że akurat w Vi? Sama nie wiem. Nie chciałam... wpaść w obsesję i lekceważyć przyjaciółek.

Stevie poczuła ciepło rozchodzące się po ciele i wyzwolenie emocji, o której istnieniu dotąd nie wiedziała.

– Lubisz ją?

– Je – poprawiła Janelle.

– Sorry. One chyba też cię lubią.

– Muszę trochę odsapnąć. – Janelle wyciągnęła zza stanika błyszczący, na oślep, ale pewną ręką nałożyła go na usta i wsunęła z powrotem na miejsce. – Dopiero co przyjechałyśmy. Może to jakieś... Nie wiem. Powinna skupić się na pracy. Mam do zrobienia maszynę, a harmonogram, który dziś dostałam, jest beznadziejny. Uwielbiam matkę, ale ten program mnie przeraża. Rano równania różniczkowe, po południu analiza, a pomiędzy fizyka.

– Co to dla ciebie – powiedziała Stevie.

– Świetna tablica – rzekła Janelle.

– Coś takiego przydaje się każdemu.

– Nie – odparła Janelle, wskazując tablicę. – Przyjechałaś, by się tym zajmować. Słyszałam, jak o tym opowiadasz. Zaciekawiałaś mnie, a takie rzeczy w ogóle mnie nie obchodzą. I ty, i ja mamy pasję. Więc bez względu na wszystko będziemy się w tym roku trzymać razem. Ja będę budować maszyny, a ty rozwiązywać zagadkę zbrodni.

Po jej wyjściu Stevie położyła się na wznak i zapatrzyła na sufit.

„Mam Janelle. I rozwikłałam sprawę. Ale kroi się następna. Kim jest David?”
Intuicja podpowiadała jej, że chłopak coś ukrywa.

Stevie nie bała się zmarłych. Tylko żywi czasem przyprawiali ją o ciarki.



11

O świcie poszurała do okna, ścierając sen z oczu, i uchyliła zasłonę, by spojrzeć na niebo. Miało szmaragdowy kolor. Gdyby była przesądna, potraktowała by to jako wróżbę, że pierwsze poranne zajęcia się nie udadzą. Nie wierzyła jednak w przesady. Zielone niebo było ciekawostką pogodową dobrą na Instagram, a nie znakiem.

Zabrała parasol.

Pierwsze zajęcia Stevie, z anatomii, odbywały się w – nazwanej nad wyraz subtelnie – Sali Geniuszy. Uczestniczyło w nich sześć osób. Stevie ucieszyła się, że wykladać będzie znana jej już Pix.

– Witam na anatomii i fizjologii – rzekła Pix. – Będziemy omawiali ciało pozbawione skóry, czyli mięśnie, kości i narządy. Oto... – Podeszła do szkieletu wiszącego przy białej tablicy i uniosła jego rękę. – ...dwieście sześć kości człowieka, wszystko przegubowe. Pierwsze, o co zwykle mnie pytają, to czy szkielet jest prawdziwy. Z reguły korzysta się z plastikowych, ale ten jest naturalny. Ofiarowano go Akademii i co roku ktoś chce go ukraść. Jest chroniony alarmem. Nie kradnijcie go. Nazywa się Nelson. Bądźcie dla niego mili. Ma was uczyć, z czego się składacie, z czego składamy się wszyscy.

Nelson, prawdziwy szkielet, lypnął na nich pustymi oczodołami.

– Kości tworzą własną geografie szczytów i dolin, w których łączą się z mięśniami i tkanką. Poznacie relacje między układami – szkieletowego z mięśniowym, nerwowego z hormonalnym. Trawienny, rozrodczy, wydalniczy, powłoka ciała, krążeniowy, oddechowy... Gdy dowiecie się, do czego służą, zajmiemy się ich działaniem.

Następnie była mowa o (częstych) quizach i sprawdzianach, zajęciach laboratoryjnych (dwa razy w tygodniu) i sekcjach (stanowczo zbyt wielu jak na nerwy Stevie). Pix nauczycielka była znacznie ostrzejsza niż Pix gospodyni.

Gdy Stevie wyszła, zaczęło padać, a po chwili rozpętała się burza z gradem o średnicy centymetra. Stevie rozłożyła parasol, ale omal go nie rozerwało. Pobiegła. Dotarła aż do altany na końcu skweru i stała tam kilka minut, kompletnie zdezorientowana. Gdy gradobicie osłabło i już nie bała się, że zginie, pognęła w stronę Eunomii, na pierwsze indywidualne zajęcia z kryminologii i socjologii z doktorem Velmanem.

Siedemdziesięcioparoletni doktor Velman odczytał najpierw spis lektur obowiązkowych, a gdy się okazało, że Stevie zna już dwa najważniejsze podręczniki, wygłosił półgodzinny wykład o wirtuozach wieszania, zaznaczając, że najlepsi kaci wiążą węzeł tak sprytnie, iż ofiara łamie kark, zanim zdąży się udusić. Przez kolejne zaś pół godziny opowiadał o chowie jamników.

Po lekcji Stevie kręciła się chwilę przed budynkiem, w strugach deszczu, który jakby chciał przewiercić jej parasol. Następne zajęcia czekały ją za dwie godziny. Akademia działała jak college – przerwy śródlekcyjne spędzało się wedle własnych potrzeb. Nie było wałęsania się po tłoczonym korytarzu. W – zwanej tak w zwyczajnych szkołach – porze samodzielnej nauki nie woniało tu chrupkami ani parą ze zmywarki w barze. Człowiek czuł się tutaj dorosły.

„Stoję na deszczu jak kretyńka, a inni czymś się zajmują. Iść coś zjeść, posiedzieć w pokoju, a może zostać tu na wieki?” Bijąc się z myślami, Stevie wciągnęła haust wilgotnego powietrza. „Mam czas, więc dokąd się wybrać, żeby to było sensowne?”

Skierowała się do biblioteki.

Nie było tam nikogo prócz Kyoko, która siedziała za swym biurkiem i jadła jabłko.

– Hej! – zawołała do Stevie. – Wchodź! Jesteś nowa, prawda?

– Tak – odparła Stevie. – Nazywam się Stevie Bell. I chciałabym zobaczyć...

– Chcesz zobaczyć książkę Dolores. – Kyoko odłożyła jabłko i wytarła ręce.

Stevie chciała zapytać o materiały dotyczące zbrodni, więc na sugestię Kyoko odebrało jej aż mowę.

– Dostaję teczki z opisami nowych uczniów – wyjaśniła Kyoko. – Jako biblio-

tekarka muszę znać wasze potrzeby. Interesujesz się sprawą Ellinghamów. Chodźmy na zaplecze.

Machnięciem skierowała Stevie w stronę ciemnobrązowych drewnianych drzwi ze złotym napisem „Biuro biblioteki”.

Za drzwiami kryło się duże, ale przytulne pomieszczenie. Sprzęty – drewniane stoły, biurka i szafki – pochodziły z minionej epoki. Na obszernych stołach leżały książki, właśnie oprawiane lub zabezpieczane.

– Pewnie wiesz, że książkę Dolores zwrócono w 1993 roku – rzekła Kyoko. – Nie udostępniamy jej z uwagi na znaczenie historyczne.

Wyciągnęła z pudełka niebieskie nitryłowe rękawice i podsunęła Stevie. Stevie włożyła je z rozkoszą, bo niczego nie pragnęła bardziej niż usłyszeć cudowny szelest rękawic do ogłędzin. Dzięki tej drobnostce jej śledztwo nabrało profesjonalnego rysu.

– Do roboty. – Kyoko też włożyła rękawice i otwierając przeszkłony regał, zdjęła z półki opasłą księgę. Położyła ją na jednym ze stołów i przywołała Stevie.

Wiekowa, przechowywana tu latami książka zachowała się świetnie. Miała nieskazitelną obwolutę: na białym tle czerwona sylwetka Sherlocka Holmesa w charakterystycznej czapce i z fajką z pianki morskiej.

Gdy Stevie ją otworzyła, zatrzeszczała leciutko. Kartki było nieco pożółkłe, a czcionka bardzo zwarta. W przecięciu pod napisem „Biblioteka Akademii Ellinghama” brakowało karty bibliotecznego. Książkę wypożyczono, ale nikt jej formalnie nie zwrócił. Ostrożnie przewracając strony, Stevie zatrzymała się nad pierwszym opowiadaniem, *Studium w szkartacie*.

Na jednej z pierwszych stron spostrzegła niestaranne podkreślenie. Ktoś zaznaczył w pośpiechu jedną z najśłynniejszych wypowiedzi Holmesa: „Umysł ludzki przypomina na początku pusty strych, który należy umeblować według własnego uznania”.

– Dottie to podkreśliła? – zapytała Stevie.

– Trudno stwierdzić. Książkę wypożyczało przed nią wielu uczniów. Mógł to zrobić każdy. Ale też to zauważyłam.

Stevie przejrzała książkę, ale już nic nie znalazła. Nie był to jednak jakiś tam egzemplarz, tylko ten, o który właśnie jej chodziło.

– Tak się składa, że wiemy dokładnie, co czytywała Dottie – oznajmiła Kyoko.

– To też mogłoby cię zaciekawić.

Otworzyła jedną z drewnianych szafek i wyjęła grubszą niż inne teczkę.

– Pierwsza bibliotekarka, Diana Cloakes, to niezwykła postać – była jednym z najlepszych pracowników Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Albert Ellingham sprowadził ją tu i zatrudnił. Zawsze zatrudniał profesjonalistów. Diana nabyła nieprawdopodobne zbiory i wszystko skrupulatnie opisała.

Kyoko wyjęła z teczki i przekartkowała stos maszynopisów. Ostrożnie rozdzieliła go na kilka mniejszych, które umieściła na stole do przeglądania wielkich tomów.

– Powołując szkołę – powiedziała – Ellingham założył, że każdą niezbędną uczniom książkę będzie można zamówić, mamy więc wszystkie rejestry z tego pierwszego roku. Oto... – Wskazała stos maszynopisów. – ...wykaz zleceń z roku szkolnego 1935/1936. Dolores poprosiła o ponad pięćset książek. Szkole udało się kupić czterysta osiemdziesiąt siedem. Będąca w posiadaniu pozostałych trzynastu biblioteka pewnej uczelni w Turcji nie zgodziła się ich odsprzedać. Obok tytułów książek Dottie umieszczone są jej inicjały.

Stevie przebiegła wzrokiem listę. Dolores prosiła o kilka prac po grecku, masę powieści nieznanych Stevie, trochę klasyki. Wśród próśb innych uczniów było sporo ciekawych tytułów.

– „Dziewczyny Gangsterów” – czytała Stevie. – „Detektyw z Obyczajówki”, „Detektyw za Dziesięć Centów”, „Na Wskroś Prawdziwe Historie Kryminalne”...

– No przecież – spuentowała Kyoko. – Cudowne! Same szmatławe pisemka. Nie zamówiłaby ich żadna biblioteka, ale Ellingham chciał zapewnić uczniom wszystko. Wielka szkoda, że już ich nie mamy, ale to chyba dzieciaki pożyczyły je i nie zwróciły.

„Na pewno byśmy się lubili”, pomyślała Stevie.



Dwa dni w Akademii przemknęły jak klatki w przyspieszonym filmie. Najpierw wszystko przytłoczyło Stevie. Potem były wykłady. Myśl. Napis. Pragnienie wiedzy. Jak opętańczy wyścig przeładowaną ciężarówką. Ze spotkania

na spotkanie, z odczytu na odczyt.

Posiłki stopniowo nabierały rytmu.

W jadalni zaczęły się wylaniać grupy – niektórzy lgnęli do siebie, bo mieszkali w tych samych domach. Jedni grywali w coś, drudzy czytali, a inni brali jedzenie i odchodzili w swoją stronę. Germaine Batt siadywała zwykle z boku, czujna, niezmiennie pochłonięta jakimś urządzeniem. Gretchen z niesamowitą burzą rudych włosów brylowała przy długim stole. Hayes przeniósł się od Minerwian do stołu Maris i jej mocno zróżnicowanego artystowskiego towarzystwa. Vi zwykle siedziała z Minerwianami. Nate stał się bardziej rozmowny. Ellie i David przychodzili i wychodzili, ale nigdy razem. Nie wyglądali na parę – po prostu świetnie czuli się we własnej skórze i nie martwiło ich, że mogą kogoś onieśmielać.

Przechodząc przez skwer po środowych zajęciach z literatury, Stevie zauważyła, że dotrzymuje jej kroku ktoś w zniszczonych tenisówkach, a ściślej: idzie obok w identycznym tempie. Nie musiała podnosić głowy i nie chciała, ale mimowolnie wyciągnęła szyję w tamtą stronę jak kwiat, który zwraca się ku słońcu, gdy słońce to nieznośny sąsiad mieszkający piętro wyżej. Ostatnio udawało jej się unikać pogawędek z Davidem. Przy stole zajmował miejsce jak najdalej od niej. W Minerwie zaszywał się w pokoju. A teraz szedł przy niej uśmiechnięty, z rozwianym włosiem, w wyjątkowo znoszonym tiszercie. Do jednej z dziur w jego szortach dałoby się wrzucić komórkę.

– Hej, panno od mokrej roboty – zagaił. – Jak tam sprawa? Masz przestępców? Nieznanego sprawcę? Co u nich? Tak się to nazywa? Przestępca? Sprawca? Zabójca?

Stevie zacisnęła zęby. Można było podłożyć jej nogę. Można było kopnąć ją w goleń. Z takimi zachowaniami radziła sobie z łatwością. Nikt jednak nie miał prawa wtykać nosa w jej tajemnice. Raniło ją to do żywego.

– Wiesz, jak to jest – odparła. – W kryminale ktoś musi umrzeć.

Uśmiechnął się szerzej i kiwnął głową. Jego ciało jak poskręcany powróż przywodziło na myśl list Nieodgadnionego. Długi, chudy i silny, zdawał się składać z węzłów.

– Czego chcesz? – zapytała, przyspieszając.

– Idę w tę samą stronę – odparł. – Mieszkamy pod jednym dachem. Masz coś

przeciwko?

– Skądże.

– Super.

Kierując się do Minerwy, minęli grupę kamiennych głów – osobliwy punkt orientacyjny na trasie łączącej dom i szkołę. Stevie zdążyła przywyknąć do posągów wokół rezydencji, ale te wielkie oblicza nadal budziły w niej niechęć. Ilekroć się do nich zbliżała, wydawało jej się, że przerywa im dysputę.

– Wiem od Ellie o waszej rozmowie – rzekł David.

– Której? – zapytała Stevie. Rozmawiały wprawdzie kilka razy, ale o niczym szczególnym.

– O tobie.

Stevie musiała się chwilę zastanowić. „Chodzi mu o rozmowę w łazience? Tę, w której Ellie pytała o nasze życie uczuciowe, a ja się przyznałam, że go nie mam?”

– Mówi, że twoi rodzice pracują dla Edwarda Kinga – odparł chłopak.

Westchnęła z ulgą. „Ta rozmowa, tylko temat nie ten”.

– Mhm. – Odgoniła pszczołę. – Jak widać, niektórym się szczęści.

– Też jesteś za nim?

– Jak myślisz?

– Kto cię tam wie – odparł. – Mało kto kocha dziś naprawdę. No a ty przecież ubóstwiasz prawo i porządek.

Temat „King i rodzice” deprymował Stevie, więc teraz, zmuszona wyznać, że nie cierpi Kinga, poczuła się koszmarnie. Edward King słynął z ohydneho charakteru – był bogaty, próżny i zepsuty. Przysporzył jej wielu kłopotów. W niespełna trzydzieści sekund Davidowi udało się urazić ją dwukrotnie.

– Nie jestem za nim – odpowiedziała cicho.

– A. Bo mi się zdawało, że rodzice...

– Nie wiem, czemu go lubią – odparła ostro. – Cały czas próbuję to ogarnąć. Chcę się tu od tego oderwać, tak że...

– Jasne. – Jego krok był sprężysty. – Rodzice zawsze robią swoje. Moja matka na przykład jest pszczelarką, a ojciec wynalazł szwedzki stół.

Dotarli do niebieskich drzwi Minerwy. David otworzył je, wstukując kod

z identyfikatora.

– Mamy czas, żeby się poznać – rzucił. – Dużo czasu. Na razie.

Odwrócił się i skierował tam, skąd przyszli. Nawet nie przekroczył progu. Stevie została sama, z myślą, co jej się przydarzyło.



Nie miało być to jedyne dziwne spotkanie Stevie w tym dniu. Niedługo potem zajrzał do niej Hayes Major – akurat gdy chciała poczytać.

– Cześć! – przywitał się. – Pogadasz chwilę?

Miał na sobie obcisły biały tiszert. Świeży. Chyba jeszcze nienoszony. (Stevie nie kupowała białych, „bo się za szybko niszczą”).

– Mogę wejść? – zapytał.

– Pewnie.

Zostawiając drzwi otwarte na oścież, wszedł do pokoju jak to on – wyluzowany. Gdy Stevie wskazała mu miejsce na podłodze, nie usiadł, tylko przykucnął. Pozycja ta nie tylko nie sprawiała mu wysiłku, ale jeszcze podkreślała rzeźbę jego nóg i zarys *patellae*. („Pojęcie z anatomii! Rzeppek. Proszę: już korzystam z wiedzy”).

– Mam taki pomysł... – zaczął, balansując na niewidzialnym stołeczku. – Wspominałaś, że musisz przygotować projekt. Ja też. Pomyślałem... Może byśmy podziałali wspólnie?

W powietrzu między Hayesem a Stevie igrały drobinki pyłu. Włosy chłopca lśniły w jaskrawym przedwieczornym świetle jak utkane ze złota. „Spokojnie mógłby pozować greckim i rzymskim rzeźbiarzom”. W tej poświacie wyglądał jak posąg; był stworzoną ze światłocieni istotą nie z tego świata, z południowym akcentem i w obcisłym stroju. Oszolomiona Stevie nie wiedziała, czy to Hayes tak urzekł ją urodą, czy głupiej, nie mogąc dociec, jakiego jest gatunku. „Niby człowiek... Skąd! Niemożliwe. Nikt nie ma takich kości policzkowych. Imitacja nieznanego pochodzenia”.

– Wspólnie? – zapytała, wracając na ziemię.

– Mój agent... – Z fałszywą skromnością musnął podłogę starannie wypiełę-

gnowanym kciukiem. – Chce, żebym zrobił drugi sezon. Zastanawiałem się... i przyszło mi do głowy, że może o tym, co się tutaj stało. O zbrodniach... O tym porwaniu. No wiesz, o co chodzi.

– O co? – Bliski kontakt z Hayesem dekoncentrował ją do tego stopnia, że nie dotarło do niej, skąd mowa o jakimś serialu.

– O zbrodni – powtórzył chłopak. – Wiesz o nich, prawda? Zbrodni? Tutaj?

– Zbrodni. Tak, ale o co...? – Pozostawała w tyle.

– Byłabyś kierownikiem technicznym. Ekspertką. Wymyśliłem nawet zwia-
stun. Można by nakręcić go w tunelu, pod zapadłym ogrodem.

W sekundzie wszystko jej się wyjaśniło.

– Chodzi ci o tunel, który wykorzystali porywacze?

– Pod zapadłym ogrodem – powtórzył Hayes.

– Ten tunel jest zasypany od 1938 roku – odparła Stevie.

– Na wiosnę go odkopali. – Uśmiech Hayesa się poszerzył. – Pod budowę. Za-
częli pod koniec zeszłego roku szkolnego. Już w nim byłem.

– Byłeś w tunelu? – Stevie aż się nachyliła, nie próbując ukryć podniecenia.

– Raz. W ubiegłym roku, gdy zaczęli kopać.

Stevie dotąd nie powstało w głowie, że znów udrożnią tunel. Nie wierzyła w zrzędzenia losu – to jednak było nadzwyczajne.

– Stwierdziłem, że fajnie by było coś tam zrobić. I ty akurat przyjechałaś, a znasz się na przestępstwach. Byłby sukces. Pokazalibyśmy tunel jako pierwszy.

Serce łomotało Stevie jak szalone.

– Sądziś, że nas wpuszczą?

– Jak by to powiedzieć... – Hayes wolno odsłonił zęby. – Formalnie nic o tym nie wiadomo. Chcieli ukryć, że go otwierają, ale jak raz tam polazłem, wybierali z niego tony ziemi.

– No i wszedłeś?

– No i wszedłem. Ale to tylko pomysł. Jak jesteś zajęta, spoko, nie ma sprawy...

– Zgoda – odrzekła Stevie. – Wszystko jedno, co będę robić czy pisać. Zgoda.

– Super! – ucieszył się Hayes. – Więc namów Nate'a. Dacie radę napisać coś

przez weekend? Tak do poniedziałku...?

– Czeka, jak to widzisz?

– Nie musi być długie – odparł. – Starczy pięć stron. Dziesięć. Ale ma być o zbrodni, no i dzieć się w tym tunelu. Chyba ktoś tu zginął? Albo o okupie? Zawozili tutaj kiedyś okup...? Łodzią albo coś w tym stylu...? W zapadłym ogrodzie, racja?

Stevie przytaknęła.

– Napisz tak, żeby był ten tunel i okup w zapadłym ogrodzie. Uda się nam. Będzie ekstra.

Gdy wyszedł, do Stevie dotarło, że chyba nie umie pisać scenariuszy. „Drobiazg – stwierdziła po chwili – najważniejsze, że zobaczę tunel”.



Dziwną rozmowę numer trzy zainicjowała Stevie. Tuż przed zapadnięciem zmroku.

– Zastanów się – powiedziała, siadając za biurkiem Nate’a. – Podałabym ci wszystkie fakty. Są protokoły. Są akta. Właściwie scenariusz jest już gotowy. Nie musiałbyś się zbytnio wysilać.

– Nie mam pojęcia o pisaniu scenariuszy – odparł Nate.

– No ale piszesz!

– Scenariusz to co innego – rzekł Nate. – Scenariusz jest... jak rentgen książki. Same kości. Co kto robi i mówi. A książka... to cały kosmos. Obrazy, odczucia postaci i sposób opowiadania.

– Chyba się to łatwiej pisze – zauważyła Stevie.

– Inaczej. Mam pokazać doktor Quinn zarys następnych trzech rozdziałów. W dodatku te wszystkie lektury...

– Może gdybyś zaczął go pisać, doktor Quinn dałaby ci więcej czasu na książkę. Zamiast niej mógłbyś wziąć się teraz za scenariusz... Im zależy na projektach zespołowych.

Tak jak Stevie kusił tunel, tak Nate nie mógł oprzeć się pokusie zarzucenia pracy nad książką.

– Biorę dokumentację i przerabiam na scenariusz – odpowiedział. – A ty?

– Doradzam w kwestiach technicznych.

– Mianowicie?

– Wyjaśniam, co się działo – odparła Stevie. – Pomagam ci. Moglibyśmy go zatytułować *Nieodgadniony*.

Nate wolno wypuścił powietrze nosem.

– Okej – zgodził się w końcu. – Nic nie może być gorsze od tego, co mam robić teraz.



14 kwietnia 1936, 15:00

Mackenzie nadzorował odbiór przesyłek z gotówką z Nowego Jorku. Do wieczora zgromadzili na podłodze dwa tysiące dolarów. Gdy układał pieniądze z George'em Marshem, Ellingham wyjął z szafki dwie błękitne buteleczki i cienki pędzelek.

– A to co? – spytał Marsh.

– Roztwór sporządzony przez Naira; bardzo się nam przyda – odparł Ellingham. – Wysychając, staje się niewidoczny. Aby go zobaczyć, trzeba użyć specjalnego preparatu i światła. Jest tak doskonały, że wciąż namawiam Naira, by sprzedał patent rządowi. Gdyby dziś się coś przypadkiem nie udało, będę mógł namierzyć te banknoty.

Oznaczyli banknoty z jednej strony, malując na nich atramentem ukośniki. Ellingham na wszelki wypadek zostawił na banderolach odcisk palca. Porozstawiali wiatraki, a gdy już wszystko wyschło, spakowali pieniądze do czterech worków.

– Rozmieściłem na skrzyżowaniach ulic swoich ludzi – rzekł Marsh. – Nie informując, dlaczego ani po co. Mają tylko zapisywać rejestracje i wszelkie podejrzane zachowania. Obiecałem dać pół dolca temu, który wróci do mnie z czymś ciekawym.

– Daj każdemu po piątce – zachęcił Ellingham. – Daj im, ile zechcą!

– Jeśli dam im po pięć dolarów – odparł Marsh – zorientują się, że to coś większego i będę musiał słuchać różnych niestworzonych rzeczy. Pół dolca starczy aż nadto za dyskrecję i lojalność.

Mackenzie przysłuchiwał się im w napięciu.



Porywacze zadzwonili z instrukcjami tego wieczoru o siódmej siedem. Zażądali, by ktoś zawiózł okup do Burlington i czekał na telefon przy wybranej przez nich budce. Samochód prowadził Ellingham, a Mackenzie z Marshem siedli z tyłu. Wszyscy wzięli rewolwery. Na miejsce dotarli tuż przed ósmą, kiedy zadzwonił telefon. Stamtąd mieli ruszyć w stronę Rock Point.

Rock Point to wcinający się w jezioro Champlain niezamieszkaną, górzystą cypel nieopodal Burlington. Dojechawszy tam, znaleźli narysowaną białą kredą na kamieniu strzałkę, która wskazywała wąską, skalisto-piaszczystą ścieżkę wiodącą nad wodę.

– Robercie – wskazał Ellingham – zostań przy samochodzie.

Mackenzie spojrział na smoliście czarną drogę wśród drzew.

– Panie Ellingham, to...

– Wyraziłem się jasno, Robercie. Zostań tutaj. Gdybyś w ciągu godziny nie zobaczył nas i nie usłyszał, zawróć do miasteczka i sprowadź pomoc.

Ellingham włączył latarkę. Wkroczył w ciemność, potykając się o śliskie głązy.

– Widzę – rzekł. – Jest światło.

Ścieżkę oświetlały rozwieszane z obu stron na drzewach prowizoryczne lampki z puszek, pochodzących – jak się później okazało – z baru w miasteczku. Jego pracownicy ani goście nie mieli ze zbrodnią nic wspólnego – tyle że poprzedniej nocy wystawili śmieci na zewnątrz. Tamtejsi śmieciarze zgłosili, że rano pojemnik był pusty. Ktoś musiał więc je ukraść.

Mimo oświetlenia trakt był mroczny i zdradliwy, a gdy poszerzył się przed urwiskiem, wędrowali niemal po omacku. Wreszcie na skalnej półce znaleźli trzy puszkę i zwinięty sznur. Poniżej błysnęła latarnia.

– W dole jest łódź – stwierdził Marsh, wychylając się, z rewolwerem w pogotowiu.

– Spuście forszę na linie! – odezwał się głos z dołu.

– Najpierw chcemy zobaczyć panią Ellingham i Alice! – odkrzyknął Marsh.

– Rozejrzyjcie się!

Nawołując żonę, Ellingham zaczął szukać jej na oślepi, lecz znalazł na ziemi tylko torebkę i dziecięcy bucik.

– Dajcie coś wiarygodnego – domagał się Marsh. – Jakiś dowód, że żyją!

Ellingham rzucił torbę na ziemię i obwiązał jej uchwyty końcem sznura. Marsh westchnął i pomógł mu go umocować.

– Spuszczam gotówkę na sznurze! – ryknął Ellingham. – Proszę, umieście żonę z córką w bezpiecznym miejscu, skąd będziemy mogli je odebrać. Wy nas nie obchodźcie, tylko one.

Wszystkie cztery worki zjechały po kamiennej ścianie. Ellingham cisnął na dół końcówkę sznura.

– To wszystko! – zawołał.

Latarnia w dole zaczęła dziwnie mrugać.

– Co oni robią? – spytał zdumiony. – Co to? Bo nie alfabet Morse’a!

– Nie mam pojęcia – odparł Marsh, odbezpieczając rewolwer.

– Nie strzelaj w łódź! Mogą być w środku!

Latarnia zgasła. Przez bitą minutę słychać było tylko plusk wody i szum wiatru.

– Co się dzieje? – Pierwszy raz tego wieczoru głos Ellinghama pobrzmiął słabością i strachem.

– Nie wiem – odpowiedział Marsh.

– Halo! – wrzasnął Ellingham. – Dałem forszę! Co teraz? Gdzie moja żona? Gdzie dziecko? Łódźka odpłynęła w czeluść nocy wraz z nadzieją na odzyskanie Iris i Alice.



12

Wbrew zapewnieniom Stevie, tworzenie scenariusza wideoserialu *Nieodgadniony* wcale nie szło gładko.

Pierwszego dnia rano Nate powitał Stevie szerokim uśmiechem.

– Napisałem wczoraj szkic dwóch rozdziałów książki! – pochwalił się. – Brudnopis. Gnałem jak rakieta, Stevie. Słowo daję; napisałem w nocy jakieś piętnaście tysięcy słów.

– To... dobrze? – zapytała.

– Nie wiem! Wychodzi na to, że zmuszony pisać ten scenariusz, nabrałem ochoty na coś innego, więc pracowałem nad książką!

– Zaraz, zaraz – odparła Stevie – czyli nie ruszyłeś scenariusza?

Nate radośnie przytaknął.

– Mhm!

Przed kolacją sprawy przybrały nowy obrót.

– Wszystko, co wczoraj napisałem, jest okropne – rzekł Nate. – I ze scenariusza nici. Załatwmy to w końcu. Pokaż jeszcze raz te dokumenty.

Sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie. Stevie pokazywała Nate'owi ksera protokołów z przesłuchań, notabene dostępnych w Internecie. Nate odchodził, by pisać, i zajmował się czym innym. W końcu Stevie usiadła z nim przy stole i ślęcząc pięć godzin nad laptopem, spłodzili dziesięć stron scenariusza. Akcja zaczynała się w tunelu – Hayes czytał tam list Nieodgadnionego. W następnej scenie Hayes jako Albert rzucał torbę z okupem. To, jak Hayes zagra starszego o trzydzieści lat Alberta i przewiosłuje nieistniejące jezioro, nie należało już do nich. Dla Stevie najważniejsze było, że wszystko toczy się w ogrodzie,

bo gdyby tam kręcili, weszłaby do obserwatorium.

Priorytety...

W sumie była zadowolona z tego, co napisali. Efekt przypominał scenariusz; ktoś coś tam mówił i robił.

W poniedziałek wieczorem, gdy grzmiało, Stevie z Nate'em prezentowali scenariusz grupce zgromadzonej w pracowni artystycznej. Przyszła Maris, która w czarnym swetrze, obcisłym i puchatym (stanowczo za grubym jak na tę pogodę), wyglądała jak kocica. Jej usta lśniły czerwienią. Była w półprzezroczystych rajstopach ze szwem, którymi chwaliła się, rozprostowując nogi, kręcąc stopami i odsłaniając łydki. Pomieszczenie przesycił aromat wędzonej herbaty z jej kubka.

– Pewnie znacie Maris – rzekł Hayes. – Pomoże nam przy kręceniu i reżyserowaniu.

Zjawił się też ktoś, kogo Stevie już widziała – pamiętnej pierwszej nocy, w jurcie. Miał pociągłą twarz, wysokie, przedwcześnie pomarszczone czoło i wystającą szczękę. Na długi, czarny płaszcz narzucił szkarłatny szal.

– To Dash – przedstawił go Hayes. – Będzie kierownikiem planu. Jest najlepszy.

Hayes czytał tekst z laptopa, a Maris objaśniała, co się dzieje. Scenariusz miejscami był nierówny i w większości składał się z cytatów, ale Nate'owi udało się nadać mu odpowiednią formę. Stevie wybrała najciekawsze fragmenty protokołów. I Hayes nieźle się spisał w roli Ellinghama. Jakimś cudem stworzyli coś zbliżonego do filmu.

– Coś wspaniałego – stwierdził Hayes, gdy skończył. – Ej, Maris, cykniesz parę fotek? Tak dla utrwalenia pracy.

– Jasne! – Wyjęła komórkę i zrobiła kilka ujęć Hayesa wpatrzonego w ekran.

– Muszę znać więcej szczegółów – powiedział Dash. – Jaka wtedy była pogoda?

– Mglista – odrzekła Stevie.

– Mgła jest do zrobienia. – Dash wyjął telefon. – Chcecie mgłę? Dostaniecie.

– Gęstą – podekscytował się Hayes.

– No – przytaknął Dash. – Zainstaluję generatory mgły nad ogrodem. Sztucz-

na mgła opada. Można zrobić tak, żeby wypełniała jezioro.

– Super – odparł Hayes. – Mgła z głowy.

– Potrzebuję maszyn do robienia dymu i słupków do rozwieszenia świateł.
Damy radę.



Rzecz miała być dopięta na ostatni guzik, więc Stevie i Nate musieli działać dalej. Należało zgromadzić kostiumy i przygotować rekwizyty.

Stevie poszła z Maris po kostiumy do teatru Akademii Ellinghama – stojącego na uboczu domku, podobnego z zewnątrz do greckiej świątyni. Spektakle wystawiano w mieszczącej około stu osób niskiej, podłużnej sali o czarnych ścianach. Przechowalnia kostiumów mieściła się na poddaszu, w jednym z dwóch pomieszczeń przedzielonych ciasnym korytarzem. By tam dotrzeć, trzeba było wspiąć się po drabinie z holu.

Stevie co rusz uderzała głową o spadzisty dach magazynu wypełnionego stojakami, na których wisiały stłoczone ubrania, pogrupowane według typów. Był tam stojak z ubiorami męskimi, stojaki z płaszczami i sukniami z różnych epok, futrami, zbrojami z gipsu i plastiku – wreszcie dziwadłami, jak olbrzymi piankowy pojemnik na frytki czy brązowa torba obszyta gałkami ocznymi z filcu – bo pewnie i one mogłyby się komuś przydać.

Nad istnym morzem pantofli, butów, botków piętrzyły się na półkach kapelusze, hełmy, tarcze, torebki, portmonetki, pióra („Ciekawe, czemu luzem”) i przedmioty o nieznanym przeznaczeniu. Śmierdziało tam jak w nagrzanym second-handzie i człowiek dusił się jak w objęciach niechcianego muppeta.

Dziewczęta wybrały w końcu dwa garnitury, palto i kapelusz. W równie przytłaczającej, a jeszcze gorzej zorganizowanej rekwizytorni znalazły płócienną torbę i wiosło do niewidzialnej łodzi.

Środowy wieczór przyniósł coś nowego – budowanie. Grupka zebrała się w warsztacie, wzniesionym na wzór stodoły w pobliżu pomieszczeń technicznych. Był otwarty, zimny i pełen sprzętów zbędnych w zwykłym życiu Stevie: pilarek stołowych, wieszaków na narzędzia, pojemników przemysłowych. Uczniowie przychodzili tu budować rzeczy wymagające miejsca, narzędzi

i ognia. Jedną z tych niewielu osób była Janelle, która teraz w masce spawalniczej wpatrywała się w dwie grudki metalu. Gdy weszła Stevie, uniosła maskę i pomachała ręką.

– Potnij mi to na kawałki – zarządził Dash, wskazując Stevie stos desek. – Wszystkie wymiary masz tutaj.

Podetknął jej świstek papieru.

Spojrzała na liczby z osłupieniem.

– Cooo?

– Potnij. Drewno. Na kawałki. – Dash wskazał deski, a potem pilarkę.

– Chyba żartujesz – odparła Stevie.

– Ja to zrobię – powiedziała Maris, wyraźnie zniesmaczona ciapowatością Stevie. Podeszła do pilarki – w puchatym swetrze – i pochyliła się nad nią ze znanstwem. Włączyła piłę, ułożyła deskę i przecięła na pół. W powietrzu rozniósł się zapach trocin. W tej samej chwili przybiegł Hayes, powitał wszystkich, rozsiadł się na ziemi i zaczął studiować scenariusz.

– Ej – zwróciła się do Dasha Janelle, gdy wyjmował kilka słupków z wysokiego pojemnika w kącie. – Na co ci one?

– Do rozstawienia świateł.

– Zapomnij. To moje słupki.

– Chyba nie wszystkie? – zdziwił się Dash.

– Owszem – odparła Janelle.

– Potrzebujemy ich tylko na parę dni.

– Są specjalnie wymierzone do maszyny. To nie byle słupki.

– Dajże spokój, wszystkich nie użyjesz. Biorę...

– Pożyczylabyś nam kilka? – poprosiła cicho Stevie. – Dopilnuję, byś dostała je z powrotem.

– Dla ciebie – odpowiedziała Janelle. – Tylko tobie dałabym słupki.

Dash wyjął słupki z pojemnika i biegiem wyniósł je za warsztat.

Maris przerwała piłowanie, by zajrzeć do stojącego z boku dużego przemysłowego pojemnika.

– Jest tu suchy lód! – zawołała do Dasha. – Mnóstwo.

– Wystarczą maszyny do sztucznego dymu – odparł. – Z płynnym łatwiej się pracuje.

Maris wzruszyła ramionami i zatrzasnęła pojemnik.

Gdy zbudowali już pochylnie oraz rozstawili słupki i inne sprzęty niezbędne do filmowania (w sobotę w zapadłym ogrodzie), postanowili wybrać się nazajutrz do tunelu. Przed wyprawą umówili się o siódmej za budynkiem pracowni.

Pachnąca trocinami Stevie wróciła do siebie i padła na łóżko. Kilka minut leżała na wznak w ubraniu, a chłodne powiewy zza okna muskały ją po twarzy. Późny letni zmierzch dogasał. Usłyszała nad sobą skrzypienie. David był w pokoju. Rozpoznawała już kroki wszystkich mieszkańców domu. Zgiełk Minerwy nabrał dla niej niemal muzycznego rytmu. Poczowała pod ręką zimno ramy łóżka. Naciągnęła kołdrę na głowę, zamykając się pod nią z zapachem trocin, którymi przesiąkł dół od dresu. Za jedną ścianą miała Ellie, a za drugą Janelle. Pośrodku czuła się na miejscu. Przyłgnęła do tej myśli: naprawdę się oswoiła. Mieszkała tu i prawie już kończyła z przyjaciółmi ważny projekt o sprawie Ellinghamów. Nate był przyjazny, Hayes, Dash i Maris chyba też. Janelle, przyjaciółka, dzieliła się z nią sprzętem.

Niesiona ciepłą falą zadowolenia, Stevie sięgnęła do szafki nocnej po komórkę. Miała w niej cyfrowy notes ze starannie uporządkowanymi plikami zdjęć i informacji o sprawie. Kliknęła folder „Towarzyskie” z badaniami na temat życia Ellinghamów przed tragedii, z okresu, gdy dom był jeszcze uroczym zakątkiem w górach, gdzie sławni znajomi rodziny jeździli zimą na nartach, jesienią kontemplowali spadające liście i – o każdej porze roku – pili. Niektórzy mieszkali pewnie w domu, w tym pokoju, zanim otwarto szkołę, gdy Minerwa była domkiem gościnnym. Przeglądając pliki, Stevie zatrzymała się na jednym z ulubionych: fotografii listy gości przyjęcia z 1929 roku. Choć nazwiska nic jej nie mówiły, uwielbiała je odczytywać: Gus Swenson, bliźnięta Billbody, Esther Neil i Buck Randolph, siostry Greta i Flo Davis, Bernard Hendish, Lady Isobella de Isla, dr Frank Dodds, Frankie Sullivan, Van Warnerowie, McMurray i Lorna Darvish z „Telegrapha”...

Lista ciągnęła się w nieskończoność. Przyjeżdżali na szampana, na tańce pod gwiazdami. Aktorzy, pisarze, bywalcy... A potem zamieszkała tu Dottie Epstein. Stevie sporo o niej czytała. W szkole należała do prymusek. Zdeterminowana. Błyskotliwa. Twarda dziewczyna z Lower East Side, która kradła jabłka, recytu-

jąc Wergiliusza. Stevie oglądała jej zdjęcie tysiąc razy. Brązowe loki, rumiane policzki i przerwa między górnymi jedynekami. Ignorowano ją, bo nie miała pieniędzy. Nie była właścicielką szkoły. Bystra, chciała po prostu poszerzać w Akademii wiedzę. Ubóstwiała kryminały. Poszła czytać i w obserwatorium została po niej książka. Ułożywszy komórkę na brzuchu, Stevie długo wpatrywała się w sufit. „Zagadkę trzeba rozwikłać przede wszystkim dla Dottie. Jutro wieczór wejść do tunelu zasypanego w 1938 roku”. Od lat nie dokonał tego nikt zainteresowany sprawą. Stevie miała coś naprawdę odkryć. Dottie przeszła tunelem. Zginęła w nim, obok niego, a może i on ją zabił. Tam w każdym razie przekroczyła granicę życia i śmierci.

Stevie usnęła z komórką na brzuchu, rozmyślając o tunelu i Dottie. Ze snu wyrwał ją błysk.

Zamrugła oczami, zdezorientowana. Przemknęło jej przez głowę, że może to samochód.

„Nie”.

Jeszcze w półśnie usiadła na łóżku, podpierając się ręką. Światło, coś świetlistego, było teraz na ścianie.

Obok kominka. Barwne plamy. Litery, jakieś słowa.

Po chwili jej umysł ogarnął, że to wiadomość... z powycinanych liter:

ZAGADKA NA ŚCIANE MRUGA, MOKRA ROBOTA
PRZYDŁUGA.

POLĘ PUSTĘ, NA NIM CIAŁO, MASZ ZAGADKĘ
DOSKONAŁĄ.

ALBO TA PANI W JEZORZE:

CZY LOS CI TU DOPOMIĘ?

ALICE, GDZIEŻ SIĘ PODZIAŁA?

TROPU PODDAĆ BYŚ NIE CHCIAŁA?

CZAS SIĘ BAWIĆ!

NIEODGADNIONY DA POPALIĆ.

List rozbłysł raz jeszcze i zniknął.



13

Stevie dała susa z łóżka na podłogę. Oczy jej pulsowały z nagłego wybudzenia i przejścia z mroku do światła.

Słowa tłukły jej się w głowie, kiedy pełzła pod okno. Skuliła się na chwilę, roztrzęsiona z nadmiaru adrenaliny. „Ktoś tam jest? Zobaczymy się, gdy wyjrzę? Okno jest uchylone. Mógłby wsunąć rękę?” Sprawdzić to Stevie mogła tylko w jeden sposób.

Błyskawicznym ruchem podniosła się na kolana. Na dworze było ciemno i cicho. Chwyciła się kurczowo ramy okna, niepewna, czy ma je domknąć, czy unieść wyżej – i wychylić głowę.

Następny pomysł: zdjęła z półki najcięższą książkę o kryminologii, zdobytą na wyprzedaży bibliotecznej za trzy dolary, więc najcenniejszą. Wystawiła ją przez okno i puściła.

Nikt nie krzyknął. Książka wylądowała z łoskotem w trawie. Podczołgawszy się do szafy, Stevie wyciągnęła z niej i włączyła szkolną latarkę, którą przeczesła teren. Na próżno. Bezmiernej czerni towarzyszyły jedynie szmery nocy.

Zamknęła okno, zaciągnęła zasłony i usiadła z głową między kolanami. „Jak to szło? Zagadka na ścianie, mokra robota coś tam, coś tam...”

Wtedy ją dopadł.

Atak paniki to wredne stworzenie.

Najpierw przyspieszone tętno. Potem dławienie w krtani. Pustka w głowie, pęd na oślep w chaos... Później wichura w myślach przenicowała rzeczywistość. Zablockowała wyjścia. Każdy ruch zwiastował koniec i zatraciły się sensory. Strach zacisnął się na szyi. Stevie przełknęła ślinę, by sprawdzić, czy może; czy drogi

oddechowe są otwarte.

– Okej – powiedziała sobie. – Wdech na raz i wy...

Ale po pierwsze nie mogła wziąć oddechu, a po drugie wszechświat się kurczył. Nie od rzeczy byłoby zemdleć, ale kto wie, czy nawet wtedy ta karuzela nie kręciłaby się dalej.

Mówi się, że depresja okłamuje. Lęk jest głupi i tyle. Nie odróżnia tego, co naprawdę straszne (jak pogrzebanie żywcem), od rzeczy, których nie ma się co bać (jak leżenie w łóżku pod kołdrą). Uruchamia ten sam mechanizm. Dla niego to bez różnicy. Zasłony i podłoga mówiły Stevie: „Bój się”.

„Mrok nakazuje mi bać się, a jak zapalę światło, to pewnie też mnie przerazi”... Zapaliła je mimo wszystko. Z tablicy oskarżycielskim wzrokiem patrzyły na nią twarze Ellinghamów. Podbiegła do toaletki i wysunęła szufladę drżącą ręką. Prędko wzięła ativan i popiła go wodą z butelki stojącej na szafce przy łóżku.

Lek nie zadziałał od razu, więc wszechświat wciąż wył jej w uszach.

Potrzebowała pomocy.

Wychodząc na korytarz, uderzyła się o futrynę. Powlokła się do drzwi Janelle i zapukała. Po chwili rozległo się zza nich senne:

– Kto tam?

Pchnęła drzwi; były otwarte. Otumaniona, nie miała sobie za złe, że budzi Janelle.

– Co jest? – spytała Janelle, prostując się na łóżku. – Źle się czujesz?

– Atak paniki – odpowiedziała Stevie. – Mogę... możesz...

Janelle wygramoliła się z pościeli, chwyciła szlafrok i narzuciła go Stevie na ramiona. Zaprowadziła ją do łóżka, posadziła i objęła ramieniem.

– Sorry – wydyszała Stevie. – Sorry.

– No już. – Janelle wzięła ją za rękę. – Już dobrze, dobrze. Uporamy się tym.

Trzymając Janelle za rękę, Stevie wracała do rzeczywistości.

– Mogę tu chwilę posiedzieć? – zapytała.

– Zostań, dopóki nie przejdzie – odparła Janelle. – Tyle, ile trzeba. Coś się stało?

Stevie nie miała siły odpowiadać. Wszystko się kołysało. Oparła się o Janelle

i ścianę za łóżkiem, czekając, aż świat się zatrzyma, aż znów będzie zdolna myśleć, czekając na odejście Nieodgadnionego.



Rankiem zastała Janelle w świetlicy – niewiarygodnie zwawą jak na kogoś, kto całą noc ratował przyjaciółkę. Janelle ubrała się w polar z napisem „Zapytaj o mojego kota” i spodnie do jogi, a warkocze tym razem upięła pod wesołą czerwoną chusteczką. Tymczasem Stevie dotąd nie zmieniła obsypanego trocinami dresu. Nie zaglądała do lustra; na głowie mogła mieć dosłownie wszystko. Nie umyła twarzy, zaropiałych oczu, nie wyczyściła zębów. Po wstaniu z łóżka marzyła tylko o tym, by zrzucić z siebie tę noc.

Popatrywała na Janelle speszona. Dotąd nikt prócz rodziców nie zajął się nią w taki sposób. Janelle położyła ją do łóżka tuż przed świtem – i Stevie spała jak zabita kilka godzin. Teraz była przymulona, ociężała i rozlazła.

– Jak się czujesz? – zapytała cicho Janelle.

– Nieźle – odparła Stevie. – Poza tym, że trochę mi się kręci w głowie.

Nie umiała się zdobyć na podziękowanie Janelle, próbowała jednak przekazać je oczami, a potem też masą niezręcznych gestów. Janelle kręciła tylko głowę na znak, że szkoda się tym zajmować.

Stevie wyszła na dwór. Poranek był promienny, rześki – po błękitnym niebie sunęły nad górami rozradowane strzępiaste chmury. „Jak można czuć niepokój, gdy świat jest taki pogodny? Wbrew pozorom można. Mózg działa w taki sposób, że czasem nie dostrzega piękna”.

Stevie wyszła na trawnik przed dom po książkę. Choć trawa była wilgotna, stronice nie ucierpiały.

„Więc tak: czytałam dokumentację sprawy, dopóki się nie położyłam. Myślałam o porwaniu i tunelu. W sumie ten list na ścianie mógł mi się po prostu przyśnić. Z drugiej strony był tak realny... Wstałam z łóżka. Rzuciłam książką, licząc, że trafię w intruza”.

Chwilę patrzyła na niebo, z mokrą książką w dłoni, zastanawiając się, jak było naprawdę. Przetarła piekące, wymęczone oczy. Wkrótce czekały ją zajęcia. Wytarła książkę o koszulę i zaniósła ją do domu.

Wracając do pokoju, na schodach wpadła na Davida.

Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie uśmiechnął się półgębkiem. Jak to on, wykrzywił usta, ale w Stevie aż się zagotowało.

Zastawiła mu drogę.

– Jak spałeś? – zapytała.

– Super, miło, że pytasz. – Oparł się o ścianę. – A ty?

Jego głos brzmiał obojętnie, ale uśmiech był już nieco szerszy.

– Pracowałeś w nocy? – spytała.

– Zadajesz masę pytań.

David nie zmienił tonu i nadal tak samo się uśmiechał, lecz Stevie dostrzegła w jego oczach dziwne, niepojęte błyski.

– Fajnie się gadało – rzucił. – A teraz mogę iść na śniadanie?

Przepuściła go, ale się obejrzała – z myślą, czy list na ścianie nie był jego sprawką.



Gdy omawiali *Żdźbła trawy*, nijak nie mogła się skupić. Przez całą dyskusję próbowała przywołać w pamięci tamte słowa.

„Zagadka... na ścianie... zbrodnia... coś o jeziorze... coś o Alice. Na pewno też gdzieś tam był Nieodgadniony”. Im więcej chciała sobie przypomnieć, tym szybciej umykały jej słowa.

W sukurs przyszedł jej Walt Whitman:

I wieść o starcach i matkach,

Którym dzieci spod serc wyrwano.

Gdzież są młodzińcy, mężczyźni?

Gdzie kobiety? Co się z nimi stało?

Żyją gdzieś i są szczęśliwi^[7].

„Zagadka... Pani w jeziorze, dziewczę w norze”.

Miała być dziewczyną w norze, ściśle rzecz biorąc: w tunelu.

Na anatomii nie mogła się skupić na szkieletach: kończyn i osiowym. Lunch nieco pomógł jej wyrwać się z czarnych myśli, a w pracowni hiszpańskiego zapomniała już o lękach i skoncentrowała się na wyprawie do tunelu. Dzięki rosnącemu podnieceniu przetrwała popołudnie.

Przed piątą wróciła pędem do Minerwy po latarkę i rękawiczki, a później spotkała się z Janelle, bo szły na pierwszą lekcję jogi. Wybrała ją spośród wielu obowiązkowych zajęć wuefu, stwierdziwszy, że brzmi lepiej niż „biegi rozwijające formę fizyczną i intelektualną”, „trening funkcjonalny w grupie” czy „perspektywy ruchu”. W ogólniaku wystarczyło pochodzić po bieżni pół godziny, a potem już bez przeszkód słuchało się podcastów – więc tylko na tych zajęciach Stevie czuła się tam w miarę dobrze.

Przed pracownią czekała Janelle ze zwiniętą matą pod pachą.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Chyba tak – odparła Stevie. – Najgorsze są sny lękowe.

Późną nocą udało jej się opowiedzieć Janelle, co widziała. Czuła, że brzmiało to jak sen, a nie zagadkowe zdarzenie.

– Chyba... mi się to przyśniło? – rzekła Stevie. – Sama nie wiem.

Janelle kiwnęła głową, jakby nie dopuszczała innej możliwości.

– Ale – dodała Stevie, gdy kierowały się do pracowni – załóżmy, że to jednak nie sen. Czy żeby wyświetlić coś takiego, bardzo trzeba się natrudzić? Pewnie trzeba kupić projektor?

– Co ty! – odpowiedziała Janelle. – Można go zrobić z kartonu, taśmy i lusterka.

– Jeszcze raz. Zbudziłam się. Byłam w łóżku i zobaczyłam to na ścianie. Rzuciłam książką, zrzuciłam ją z okna, licząc, że trafię tego kogoś w głowę.

– Trafiłaś go? Zobaczyłaś? – zapytała Janelle.

– Nie.

– Gdy budzimy się w pewnej fazie snienia, rzeczywistość przez chwilę miesza się ze snami. Jesteś tu pierwszy raz, więc możesz mieć sny lękowe. Moje wynikają z tego, że opuszczam zajęcia. Rok się kończy, a ja nie chodzę na nic. W lepsze dni śnię mi nowe wynalazki 3D i Gina Torres^[8] w stroju Wonder Woman. Bo wiesz... – Na chwilę zatrzymała Stevie. – Według mnie przyjeżdżamy tutaj, żeby sobie coś załatwić. Każde z nas ma jakąś obsesję. Ja chcę budować

maszyny, ty rozwiązywać zagadki, Nate pisać... albo i nie pisać... a Ellie należeć do komuny. Hayes robi filmy. David niby gry. Widać, że zna się na kodowaniu, więc pewno mu to idzie. Każdy żyje we własnym świecie. Który tu się urzeczywistnia. Mózg coś bez przerwy przetwarza. Miałaś sugestywny sen. Coś cię zbudziło. Bywa, że elementy ze snu przenosimy na rzeczywistość, bo przekonani, że śpimy, nie jesteśmy jeszcze do końca obudzeni. Sen to coś przedziwnego.

„Mówi tak, że wszystko się zgadza”.

– Skąd tyle wiesz? – spytała Stevie.

– Dużo czytam. – Uśmiechnęła się Janelle. Rozsunęła zamek torby, włożyła do niej identyfikator, przypięła końcówkę jego smyczy do odpowiedniego kółka i starannie zasunęła zamek. Wszystko, nawet tak prozaiczne rzeczy, robiła na sto procent. – I w ogóle jestem ekstra.

Zajęcia odbywały się w niewielkim studiu. Wszyscy zostawili torby w sieni i stłoczyli się wewnątrz. Joga cieszyła się powodzeniem, więc maty dzieliły ledwie centymetry. Stevie korzystała ze szkolnej – fioletowej, gumowatej, zalatującej lizolem i stopami.

Pobrzękując na niewielkim akordeonie, Daria, nauczycielka, kazała najpierw wszystkim usiąść i zamknąć oczy. Mieli skupić się na oddechu, ale Stevie raz po raz przypominała sobie, jak wyrwana ze snu widzi napis na ścianie. Odgrywała to w myślach w nieskończoność. „Na ile byłam przytomna, gdy stopy dotknęły podłogi, a na ile, kiedy się starałam zapamiętać słowa?”

Nie potrafiła tego dociec. Gdy tak dumiała nad naturą sennych doznań, Daria kazała im przybrać „postawę psa z głową w dół”. Dla Stevie joga była czymś nowym, więc Daria musiała układać jej ręce, stopy, biodra. Mimo że przed wyjazdem, w ramach przygotowań, Stevie obejrzała kilka filmów o jodze, teraz miała w głowie mętlik i nic jej nie wychodziło. Ciągle spóźniała się z ruchami, źle ustawiała kolano, za nisko unosiła ramię, nie dość się wyginała. Daria kręciła się w pobliżu i słodkim szeptem poprawiała ją raz po raz, wreszcie usiadła obok i tak poprowadziła całą lekcję. „Skąd one wiedzą, jak się ćwiczy jogę? No ale przynajmniej zapomina się o bożym świecie”. Stevie słyszała o tym działaniu ćwiczeń. „Może gdy człowiek się tak gubi, nie nadąża i robi wszystko, by spocne dłonie nie ślizgały się na macie, to po prostu już nie ma siły myśleć”.

Nie spodobało się jej, że na koniec sesji leży się w pozycji trupa.

– Dziś kręcicie, tak? – spytała Janelle po zajęciach, gdy weszły do holu po rzeczy. – Bo Vi i ja mamy zamiar...

Zawzięcie szukała czegoś w torbie, gmerając po dnie i w kieszeniach.

– Identyfikator – powiedziała. – Zniknął. Widziałaś, jak zasuwam zamek.

– Mhm – potwierdziła Stevie. – Na pewno go tu nie ma?

Janelle otworzyła przednią kieszeń. Też na próżno.

– Jak mógł zginąć? – Nie rozumiała Janelle. – Ktoś go buchnął? Mam dostęp do różnych rzeczy, więc muszę go znaleźć, no bo...

– Poszukamy. – Stevie już dobierała się do toreb na podłodze, by zdążyć przed ich właścicielami.

– Za nowy liczą sobie sto pięćdziesiąt dolców – rzuciła Janelle. – Cholera jasna!

– Nie martw się – dodała jej otuchy Stevie. – Pewnie komuś się coś pomieszało.

– Ale jak? Otworzył torbę i go wyjął? Zaraz to zgłoszę Pix. Jak można ukraść identyfikator? Kto mi grzebał w torbie?

„Janelle wkurza się, bo nie znosi nieporządku, więc na pewno schowała identyfikator”.

– Może to kawał? – podrzuciła Stevie.

– Kraść identyfikator?!

Stevie już miała dopowiedzieć: „Albo wyświetlić list na ścianie”, ale wstrzymała się, niepewna, czy się jej to nie przywidziało. Dwa bardzo dziwne zdarzenia i to w tak krótkim czasie. List i klucz. Oba żarty wionęły grozą.

Zabawa nie jest zbyt fajna, gdy człowiek nie wie, że się bawi.



14

Wieczór był wymarzony na wejście pod ziemię. „Jesień wygląda tu inaczej”, stwierdziła Stevie, kierując się z Nate’em do pracowni artystycznej. Należało się tego spodziewać, a jednak przeżyła zaskoczenie. W krzakach szeleściło głośniej, drzewa szumiały bardziej dramatycznie i znacznie mocniej wiało. Powietrze przesyciła woń pierwszych opadłych liści i gnijącej ściółki. Przepych i zapowiedź rozkładu. Ten zapach, ta atmosfera... dlatego Albert Ellingham nie wyobrażał sobie życia nigdzie indziej.

– Królestwo za Starbucksa albo coś w tym stylu – rzekł Nate. – Też masz wrażenie, jakbyśmy byli tu od zawsze? Ciekawe, kiedy zaczniemy się nawzajem zjadać albo pobijemy się o muszlę...

Na nocną wyprawę oboje ubrali się na ciemno. Nate włożył brunatne workowate dzinsy i wyciągnięty czarny sweter, którego za długie rękawy jeszcze bardziej wydłużyły mu ramiona. Przejęty był tak jak zawsze, lecz Stevie już do tego przywykła. Miał minę jak chmura gradowa, ale oswojona, poza tym świat potrzebuje też gradu. Stevie wybrała czarne bojówki i czarną bluzę z kapturem. Garderoba jej nie zawiodła. Oboje włożyli do toreb szkolne latarki.

– Do czego służył ten tunel? – spytał Nate, gdy obchodzili szepczące głowy.

– Za prohibicji dostarczano nim alkohol – wyjaśniła Stevie. – Ciężarówkami z Kanady. Na wypadek nalotu trzymali wódkę pod obserwatorium, choć i tak nikt nie zrobiłby nalotu na Alberta Ellinghama.

– Właściwie o co chodzi z tym otwarciem?

– Zasypano go wieki temu – odparła Stevie, pomijając, że w 1938, a odkopano niedawno, więc Bóg raczy wiedzieć, co kryje.

- Wolno nam tam wchodzić?
- Nie słyszałam o żadnym zakazie.
- Przecież mamy nikomu się nie chwalić...
- O przeprosinach pomyślimy później.

Czując na sobie wzrok Nate'a, Stevie odwróciła się i natknęła na jedną z wykrzywionych kamiennych twarzy.

– Nie wiem, czy mi to zaliczą jako pracę nad trzema rozdziałami. – Nate wsunął ręce do kieszeni. – Zaczęliśmy ledwie tydzień temu.

– A doktor Quinn co mówiła?

– Że jak zobaczy, to się zastanowi. A ona wygląda na taką, co sardynki je razem z puszką.

– Chyba za bardzo się martwisz – odpowiedziała Stevie.

– Jasne – odparł Nate. – Ale zazwyczaj słusznie. Tak już jest, że ten, kto się martwi, na ogół się nie myli.

Stevie uznała, że nie warto się z nim o to spierać.



Przy odległym skrzydle pracowni, gdzie opodal drogi technicznej składowano sprzęt budowlany i stały kubły na śmieci, czekali już Hayes, Dash i Maris. Oni też przyszli w czerni – Hayes w czymś obcisłym, Dash artystowsko powłóczystym, a Maris w legginsach i za dużym, puchatym swetrze, w czarnym kapeluszu na głowie. Specjalnie skropiła się nawet dymnymi perfumami.

– Dobra. – Hayes włączył latarkę. – Chodźmy.

Wkroczyli do lasu – okalającej Akademię Ellinghama najprawdziwszej głuszy, gdzie drzewa rosły bezładnie i nie było kamiennych posągów. Ściślej: przekroczyli jego granicę na odcinku tuż przy drodze technicznej. Stevie wiedziała, którędy biegnie tunel i że wjazd powinien być na równi z ziemią. Hayes sprawiał wrażenie, jakby świetnie orientował się w kierunkach.

– Skąd o nim wiesz? – zwróciła się do niego Maris.

– Drażnienie tuneli to supersprawa – odpowiedział z uśmiechem. – Ten otworzyli wiosną. W tajemnicy.

– A ty wiedziałeś?

– Widziałem. – Hayes wyszczerzył się w uśmiechu, podświetlając sobie twarz latarką.

Poprowadził ich do gęstej kępy drzew kilkanaście metrów od drogi. Gdy przystanął i zaczął deptać w miejscu, rozległ się głuchy, metaliczny odgłos.

– Światło! – zakomenderował.

Maris przyświecała mu latarką, kiedy zeskrobywał z pokrywy wjazdu dwucentymetrową warstwę świeżej ziemi.

– Zamaskowali go – oznajmił, schylając się Hayes. – I chyba wstawili zamek... Poprzednio nie był zamknięty. Może z tym być kłopot.

– Pokaż. – Stevie przyklękała obok niego na zimnej, rozmokłej glebie. – Standardowa kłódka. – Możesz mi przyświecić?

Maris oświetliła zamek. Grzebiąc chwilę w torbie, Stevie znalazła wreszcie na dnie dwa spinacze do papieru. Wyprostowała je i wsunęła do zamka. Jeden posłużył jej do napięcia otworu, a drugim manipulowała przy zastawkach. Robiła to bardzo wolno, z zegarmistrzowską precyzją. Zamek był maleńki, a zastawki jeszcze mniejsze, więc uniesienie jednej wymagało ledwie drgnienia dłoni.

Na szczęście otwierała już w ten sposób wiele kłódek. Nabyła tę umiejętność, oglądając kryminały. Uznała, że się jej przyda, no i nic nie kosztuje.

Zamek odskoczył.

– Rany! – szepnął Hayes. – Jak się tego nauczyłaś?

Stevie tylko się uśmiechnęła, wstała i otrzepała ręce.

– Brawo. – Maris pokiwała głową z aprobatą. Okazało się, że jednak Stevie umie coś, czego ona nie potrafi.

Dash esemesował, a Nate stał oniemiały.

Gdy Hayes otworzył właz, ich oczom ukazała się smoliście czarna dziura w ziemi. Stevie omiotła latarką kilkanaście betonowych stopni, wiodących w jeszcze głębszą ciemność.

– Ani trochę złowieszczy – stwierdził Nate.

Stevie przesunęła się naprzód, kucnęła i oświetliła mroczną otchłań. Mogło się w niej kryć wszystko. Milion pajaków. Intruz z nożem. Albo, co jeszcze gor-

sze, pusty, niezmierny tunel.

Policzyła stopnie i zeszła. Sprawdziwszy nogą, że jest na samym dole, uniosła latarkę. Pająki musiały się pochować, intruza z nożem też nie było. Zbudowany z cegieł i betonu, tunel był w niezłym stanie, wyjąwszy spowodowane erozją niepokojące szczeliny i pęknięcia. Unosił się w nim przykry zapach ziemi i stęchlizny. Wbrew wyobrażeniom Stevie, w tunelu panowała ciasnota – dwie osoby idąc ramię w ramię nie miały swobody ruchu. Ale sekretny tunel nie mógł być obszerniejszy; służył do przenoszenia skrzynek z alkoholem i jako chwilowa kryjówka uczestników słynnych gier Ellinghama. Za sprawą cegieł przypominał położony na boku komin.

Oszołomiona Stevie wodziła dłonią po niemal mokrych ścianach. Badała palcami chropawą zaprawę, z myślą, że dotyka historii. Przytłoczona nadmiarem wrażeń, nie zwracała uwagi na krzątanie wokół. Dash wyjął z torby i rozkładał statyw, a Maris z Hayesem, pochyleni nad komórką, czytali list Nieodgadnionego, zastanawiając się, gdzie stanąć.

Nate wcisnął się obok Stevie, przerywając jej zadumę.

– Czemu umiesz otwierać wytrychem? – spytał.

– Temu, że w Internecie jest masa tutoriali.

– Nie o to chodzi. Po co?

– Kto by nie chciał tego umieć? Ćwiczyłam góra dwie godziny. Kupujesz zamek za pięć dolców...

– Nadal nie wiem, czemu.

– Bo robią to w serialach – odpowiedziała w końcu Stevie. – Stwierdziłam, że warto się nauczyć. Lubię detektywów, okej? Każdy ma jakieś hobby.

– Muszę się pilnować, żeby ci nie podpaść – rzekł Nate.

Stevie wpatrywała się w ciemność. Próbując światłem wydobyć coś w dali, zobaczyła tylko czarny bezkres.

– Czy on się aby nie zapadnie? – spytał Nate. – Na pewno możemy tu tak łązić? Czuję się jak w szybie windy Titanica...

– Jest w porządku – odparła Stevie, uspokajając Nate'a i siebie.

Powiodła latarką po ścianach i omijając groźne pęknięcia, wycelowała ją przed siebie.

- Idę do końca – oznajmiła.
- Serio? – zdziwił się Nate.
- Po to przecież przyjechałam. Tam są moje koszmary.
- Ja bym nie...
- Nie jesteś mną – odparła Stevie. – Pomścisz mnie, jak zginę.

Nie był to tak do końca żart, ale mimo wszystko czuła, że musi zaryzykować.

Tunel mierzył blisko półtora kilometra. „Niby to niewiele, a jednak wiele, zwłaszcza że jest w nim ciemno”. Zapuszczała się weń tak jak ludzie, którzy nie wiedząc, co ich czeka, pełzają po zakamarkach niedostępnych przez wieki piramid. Po pierwsze kryły się tam tajemnice, po drugie czasem trzeba zejść pod ziemię.

Stevie zastanawiała się przed wyprawą, czy na dole nie spanikuje. Lecz, o dziwo, pokonując ciemność, tętno miała miarowe. Niebawem zaczęła zbliżać się do drzwi na końcu. Szukając ich, wyciągnęła rękę i napotkała wreszcie twarde opór drewna.

Serce dosłownie jej zamarło i, zawstydzone, ożywiło się natychmiast.

Drzwi – przepasane żelazem dwie grube deski z zasuwany okienkiem – wyglądały jak ze średniowiecznego więzienia. Nie miały klamki ani zamka. Pierwotnie otwierano je z drugiej strony, gdyby więc ktoś je tam zamknął – byłoby po zwiedzaniu.

Stevie pchnęła je i się otworzyły.

Ruszyła naprzód. Jak we śnie.

Za drzwiami kryło się maleńkie pomieszczenie, którego trzy ściany zajmowały półki. Dawniej był tu skład alkoholi, które dowożono tunelem. Do wjazdu w suficie prowadziła metalowa drabina. Potrząsając nią, Stevie przekonała się, że jest solidnie przymocowana do ściany – i w idealnym stanie. „Mogłabym?”, pomyślała. „Mogłabym wejść tam, gdzie to się stało?”

Nate, Dash, Hayes i Maris byli daleko. Działyby więc w pojedynkę...

Ponownie sprawdzwszy drabinę, włożyła latarkę do torby – i zanurzyła się w mroku. Wspinała się wolno, licząc na to, że drabina nie zawiedzie, i pamiętając, że w pewnej chwili dotknie głową wjazdu.

Wznosząc się tak w ciemność, z każdym krokiem zwalniała. Wreszcie mu-

snęła włąz włosami i po sekundzie głową. Cofnęła się o szczebel i wyciągnęła rękę. Gdy włąz nie ustąpił, naparła na niego mocniej. Ożywione po latach sprężyny jęknęły przeraźliwie, ale pokrywa odskoczyła.

Jedni chcą zwiedzić Big Bena albo wieżę Eiffla. Inni marzą o balu na zakończenie roku albo o swoim ślubie. Jeszcze inni chcą przelecieć się balonem lub nurkować z akwalungiem w czystych wodach Morza Karaibskiego. Każdy ma wymarzone miejsce – i Stevie właśnie dotarła do swojego.

Znalazłszy się pod kopułą obserwatorium, stwierdziła, że jest mniejsze, niż jej się wydawało. Składające się nań trójkątne grube szyby były tak zabrudzone, że wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Stevie omiotła latarką posadzkę i okalającą wewnątrz ławę, nie natknęła się jednak na nic poza kurzem, garstką zeschniętych liści – i zapachem szopy.

„Tu przychodziła Dottie i tu znaleziono jej książkę o Sherlocku. Przez próg tych masywnych drzwi przeszedł Albert Ellingham i został powalony na ziemię. Więc to tutaj? Tu przeliczano gotówkę? I tu właśnie sytuacja zaczęła dramatycznie się pogarszać?”

Przymknęła oczy w nadziei, że gdy odetchnie tym powietrzem i wczuje się w tę przestrzeń, choć na moment przeniesie się do...

– Hej!!! – ciszę przerwał dobiegający z dołu ryk Dasha. – Wracaj! Jesteś nam potrzebna.

I moment minął.



Pracowali szybko. Mieli tylko nakręcić, jak Hayes idzie przez tunel i czyta list Nieodgadnionego. On i Maris co chwila wymieniali się kamerą, bo zależało im na długich ujęciach, ale było ciemno i zimno, więc praca toczyła się powoli. Wreszcie o pół do dziewiątej wszyscy wrócili pod schody, by sprawdzić, czy ktoś nie czeka nad otworem. Nie czekał.

– Razem wyjść nie możemy – rzekł Hayes, ściskając w ręku kłódkę. – Gdyby ktoś zobaczył, skąd idziemy, zaraz by obczaił, gdzie byliśmy. Nate, Stevie, pójdziecie pierwsi. Dash, ty idź naokoło. Ja z Maris pójdziemy na końcu.

Przemierzając ze Stevie ciemność, Nate obejrzał się za siebie.

- Zakład, że zaraz wrócą, żeby się bzykać w tym tunelu.
- Bzykać – powtórzyła Stevie. – Nie mogłeś tego nazwać inaczej?
- Tunelowy bzykacz – odparł Nate. – Nowy zapach dla mężczyzn.
- Nie zrobią tego. No coś ty.
- Czemu?
- Bo... to tunel. Zwłaszcza ten się do tego nie nadaje.
- Są tacy, dla których tunel to tylko tunel – odrzekł chłopiec.

Stevie zazgrzytała zębami, nie przerywając marszu, i wsunęła ręce głęboko do kieszeni bluzy. Urzeczona magią tunelu i obserwatorium, chciała zachować ją w sobie jak najdłużej.

Przypomniał jej się list na ścianie. Wyglądał tak realistycznie. Sny zamazują się pod koniec, nikną, a ten miał ostre kontury i był kolorowy. Przywołała w myślach ten obraz.

„Czyżby to była jawa? Możliwe; wszystko jest możliwe. Ale nieprawdopodobne”.

Zapewne wizja, którą podsunął jej spragniony silnych doznań i pełen nowych wrażeń umysł, była tak rozmigotana, dziwna i bajkowa, że szare komórki musiały trawić ją dłużej niż normalnie. Logicznie rzecz biorąc, kto i po co miałby zadawać sobie dla niej tyle trudu...?

„To był sen, jak powiedziała Janelle. A Janelle jest rozsądna”.

Mimo wszystko dręczyło ją uczucie, że Nieodgadniony odzywa się z przeszłości. Nieodgadniony – ten sławny demon, upiornie szydwczy zbrodniarz.

Są jednak rzeczy nie do ukrycia – tunele i tajemnice.

Nieodgadniony wcale nie był nietykalny.

Kim jest Nieodgadniony? Osiemdziesiąt lat później postdetective.com 13 kwietnia 2016

8 kwietnia 1936 roku do biura Alberta Ellinghama w Burlington, w stanie Vermont, nadszedł list. Ellingham był wtedy jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce. W znanych z czystego powietrza górskich okolicach Burlington (na Górze Siekiery) zbudował rezydencję i szkołę – i tam też zamieszkał z żoną i córką. Wspomniane biuro w Burlington przyjmowało korespondencję osobistą i zawodową Ellinghama i codziennie dostarczało ją w workach samochodem do rezydencji, gdzie sekretarz

sortował ją i przeglądał.

Tego dnia jeden z setek listów zwrócił uwagę sekretarza. Adres posiadłości Ellinghamów skreślono na opieczętowanej w Burlington kopercie tęnym ołówkiem mocnym charakterem pisma. Wewnątrz znajdowała się kartka papieru listowego ze słowami:

Spójrz, zagadka, czas się bawić.

Użyć sznura, spluwę sprawić?

Ostre noże lśnią tak cudnie.

Trutka wolna; działa trudniej.

Ogień cieszy, a pod wodę, cóż, niespieszno jest nikomu.

Wieszać można, ale po co, kiedy trzeba iść do domu.

Łeb rozbity, upadek paskudny. Pędzi auto, a tu mur okrutny.

*Wybuch – ani chybi uciecha to gorąca, jednak nim sens karać
niesfornego chłopca!*

Cóż począć, straszny mam ambaras.

Jak i Ty: kryć się, czy brać nogi za pas.

Ha, ha.

Wasz

Nieodgadniony

Groźby wobec Ellinghama i jego bliskich były na porządku dziennym – kilka lat wcześniej on sam ledwie przeżył wybuch samochodu, w którym została podłożona bomba. Mowa o czasach, gdy przemysłowcy żyli w ciągłym strachu – co zatem wyróżniało ten list?

Przede wszystkim składał się z kolorowych słów i liter, pochodzących – jak ustalono później – z popularnych czasopism. Wyklejony żywą, pogodną czcionką upiorny, rymowany list wyliczał różne metody odebrania Ellinghamowi życia. Autor podpisał się jako Nieodgadniony.

Pięć dni później porwano, podczas przejażdżki samochodem, żonę Ellinghama Iris i ich trzyletnią córkę Alice. Równocześnie zniknęła dziewczynka nazwiskiem Dolores Epstein, uczennica powstałej tam właśnie Akademii Ellinghama.

Tego samego wieczoru ktoś zadzwonił do Ellinghama z żądaniem okupu, dając mu zaledwie kilka minut na opróżnienie sejfu i dostarczenie pieniędzy nad jezioro na terenie posiadłości. Ellingham nie miał w domu dość gotówki, więc człowiek, którego wysłał po Iris i Alice, został pobity, a okup podwyższono.

Trzydziestoletni osobisty sekretarz Ellinghama, Robert Mackenzie, usilnie nakłaniał go do wezwania policji. Przekonany, że pogorszyłyby w ten sposób sytuację żony i córeczki, Ellingham z przyjacielem rodziny, George'em Marshem, zawiózł dwieście tysięcy dolarów w znaczonych banknotach na dalekie urwisko nad jeziorem Champlain i spuścił do czekającej tam przy brzegu łodzi.

Łódź odpłynęła. 16 maja 1936 roku ciało Dolores Epstein znaleziono w płytkim grobie na polu w Jericho w stanie Vermont. Zauważył je kierowca ciężarówki przewożącej mleko z miejscowej mleczarni, gdy zatrzymał się przy drodze za potrzebą. Przyczyną śmierci dziewczynki było silne uderzenie w głowę.

Trzy tygodnie później, 5 czerwca 1936 roku, jezioro wyrzuciło zwłoki Iris Ellingham na brzeg niedaleko South Hero w stanie Vermont. Według opisu zamieszkałej tam Maude Loomis, która je odkryła: „były owinięte w ceratę i w przerażającym stanie. Wyglądały, jakby ktoś próbował je obciążyć”.

Na ciele Iris znaleziono trzy rany postrzałowe.

Nieodgadniony najwyraźniej trzymał się swojego listu; wykorzystał do swych celów samochód, choć nie kazał mu uderzyć o ścianę. (Wiśniowego mercedesa Iris Ellingham znaleziono w końcu zaparkowanego jak należy przy wiejskiej drodze dwanaście kilometrów od rezydencji, w nienaruszonym stanie). W wierszu była mowa o rozbitej głowie, topieniu i rewolwerze.

Trzy dni po porwaniu wezwano FBI. Agenci natychmiast przekazali list do analizy. Eksperti stwierdzili, że kartka pochodzi z ogólnie dostępnej papeterii. Jedyne odciski palców na niej należały do Alberta Ellinghama i Roberta Mackenziego. Litery i słowa naklejono zwykłym białym klejem – a wycięto z popularnych czasopism: „Life”, „Photoplay” i „The Saturday Evening Post”. Krótka rzecz ujmując, poza treścią w liście nie było niczego niezwykłego.

Psychiatrzy z całego świata snuli na temat tożsamości autora rozmaite hipotezy. Ostatecznie jednak zgodzili się, że jest inteligentny, błyskotliwy i pewny siebie. Badający wiersz poeci i literaturoznawcy diametralnie różnili się w opiniach. Część z nich uznała go za infantylny. Zdaniem innych autor świetnie znał się na poezji, ale starał się to ukryć. O zgrozo, pewien surrealista nazwał utwór „najbardziej autentycznym, największym dziełem naszych czasów”.

Podczas procesu okazało się to problemem. Anton Vorachek, który przyznał się do zabójstwa, miał wprawdzie część pieniędzy z okupu, ale praktycznie nie znał angielskiego. Wszyscy eksperci, z wyjątkiem jednego specjalisty z FBI, uznali, że nie był zdolny do napisania listu. Dwa lata po śmierci Vorachka pewna kobieta zeznała, że w dniu morderstwa byli razem, nie zgłosiła jednak tego wcześniej ze strachu. Jej relacja wzbudziła szerokie kontrowersje.

Osiemdziesiąt lat później wątpliwości pozostają nierozwiązane. Dys ponując nowoczesnymi technikami badawczymi, moglibyśmy dowiedzieć się więcej o liście Nieodgadnionego, gdyby nie zasadnicza trudność – list przepadł. Na czas procesu przewieziono go do Burlington. Tydzień po zamknięciu postępowania w piwnicach sądu wybuchł pożar, spowodowany przypuszczalnie niedopałkiem papierosa. Nim ugaszono ogień, całkowitemu zniszczeniu uległo kilkanaście pudeł z dowodami rzeczowymi, m.in. dziełem Nieodgadnionego. Być może więc już nigdy nie poznamy jego tajemnic.

Ha, ha – chciałoby się dodać.



15

– Chcesz usłyszeć coś dziwnego? – zapytała Janelle, stając w progu pokoju Stevie.

Stevie leżała jeszcze w łóżku, gdy zaćwierkał budzik w jej telefonie, przypominając, że jest sobota rano, więc musi wstać, bo ma zdjęcia z Hayesem. Przetarłszy oczy, spojrzała na Janelle, która wyglądała na bardzo poruszoną, co kontrastowało z jej strojem – jasnoniebieską piżamą z polaru w kocie łebki.

– To naprawdę dziwne. – Janelle uniosła zaciśniętą rękę, z której zwisała smycz Akademii z dyndającym na końcu identyfikatorem. – Zgadnij, gdzie był? Stevie nie miała pojęcia.

– No więc na dworze. Na ścieżce. Ktoś zabrał, a potem oddał identyfikator, tyle że nie chciało mu się go zanościć go aż do domu. Zamiast go włożyć w drzwi czy coś w tym stylu, zostawił go w połowie drogi. – Kto się tak zachowuje?

– Żartowniś? – podrzuciła Stevie, skrobiąc się po głowie. – Dupek?

– Na sto procent to drugie – odparła Janelle. – Przynajmniej go odzyskałam. Kryzys zażegnany.

Z myślą, że ta zagadka nie jest do końca wyjaśniona, Stevie wzięła prysznic i się ubrała. Było chłodnawo, więc włożyła dół od dresu i szkolny polar. W świetlicy zastała Davida. Ku jej zdumieniu już nie spał, tylko – w spodniach od piżamy i starym tiszercie jakiejś marki surfingowej – siedział na sofie po turecku, zgarbiony nad laptopem.

– Pracujesz? – zapytała Stevie.

Podniósł głowę. Miał oczy czerwone jakby z niewyspania i jednodniowy zarost. Kręcone włosy stały mu na sztorc. Wykończony, wyglądał... ładnie.

– Uczę się tu – odrzekł. – Zapomniałaś?

– Co ty powiesz? – odparowała chłodno Stevie, kierując się do kuchni. „Czyżbym właśnie pomyślała, że jest przystojny? Ciekawe, czy się zorientował? Wolno mi myśleć, co chcę, a on nie ma prawa o tym wiedzieć, choć teraz pewno i tak to poczuł”.

Wlała kawę do szkolnej butelki i, nie czekając na Nate’a, prędko wyszła na dwór.

Poranek był wstrząsająco piękny, tak jakby jesień chciała popisać się urodą, nim wszystko się rozpadnie, drzewa stracą liście i świat odda ducha. Niebo zachwycało ogromem i błękitem. Stevie zmierzała do ogrodu zwawym i zdecydowanym krokiem. Spojrzawszy wkoło, poczuła się, jakby szła do szkoły. Rześka jak skowronek, z kawą w ręku. Przygotowywać projekt. Wciąż niesiona energią tunelu.

Drzwi ogrodu były otwarte, więc Stevie weszła do środka. Nikt jeszcze się nie pojawił, przysiadła więc na moment z kawą, żeby się trochę rozejrzeć.

Znała rozmiar sztucznego jeziora, ale widząc na własne oczy kolosalny krater w ziemi, zrozumiała, do czego zdolny był Ellingham, byle tylko uszczęśliwić rodzinę. Jego żona uwielbiała pływać, więc wyrównał teren i wysadził skały. Gdy mu doniesiono, że na dnie spoczywa żona z córką – albo jakiś dowód – kazał osuszyć jezioro i pokieroszować ziemię. Tymczasem upamiętniały go tylko te posągi zapatrzone w pustkę, ta niedorzeczna kopuła na samotnym wzgórku.

– Dzięki, że zaczekałaś – zza jej pleców odezwał się głos Nate’a.

– Przepraszam.

Mimo chłodu Nate był w krótkich bojówkach – i tiszercie z napisem „Moja druga bryka to bestia”.

– Kochasz te sprawy, no nie? – rzekł, siadając na wilgotnej trawie obok Stevie. – Dla ciebie to coś jak Disney World, tylko z trupami.

– Disney World z trupami byłby boski.

– Racja – odparł chłopiec. – Sam bym się tam wybrał.

– Wiesz... – Stevie szukała właściwego słowa. – Widziałam tyle zdjęć tej rezydencji. I tyle się naczytałam. A teraz wszystko, co miałam w głowie... – Zamachała bezradnie rękami.

Na szczęście Nate ją rozumiał.

– Tak – odrzekł. – Czułbym to samo, gdybym mógł zobaczyć jakieś miejsce z książki. Zawsze chciałem, by to, o czym czytam, istniało naprawdę. Dlatego zacząłem pisać. Tak sobie to urealniam. W sumie trochę ci zazdroszczę, że możesz to zobaczyć. Mnie Gandalf raczej nie odwiedzi.

– Kto to wie – odpowiedziała Stevie.

Rozległ się cichy odgłos nadjeżdżającego wózka golfowego – i już po chwili Mark z obsługi przywiózł sprzęt. Towarzyszył mu Dash. Hayes i Maris zjawili się ostatni i choć nie trzymali się za ręce, patrzyli na siebie tak, że było jasne, iż od wczoraj się nie rozstawali.



Dzień płynął pod znakiem pracowitej krzątaczki. Ukochane słupy Janelle przeobrazili w stojaki, mocując na nich oświetlenie. Pochylnię umieścili na dnie jeziora w taki sposób, by Hayes mógł wiosłować niewidzialną łodzią. Podłączywszy zasilacz świateł i maszyn do robienia mgły, bez końca przesuwali je i sprawdzali. Wreszcie zaczęli rozstawiać statywy z oświetleniem, co trwało kilka godzin i było przeraźliwie nudne. Nate ze Stevie wypełniali tylko polecenia: „przytrzymaj”, „przesuń”, „przynieś”. Gdy biegali między ogrodem a garderobą, Stevie zauważyła, że Hayes właściwie nic nie robi. Cały czas siedział na kamiennej ławce, ze wzrokiem wbitym w laptop. Pomyślała, że wertuje swoje kwestie. Wszystkie były jego, bo monologował. Resztę tekstu mieli nagrać osobno, a później jako narrację wmiksować na pierwszym planie, ktoś więc musiał nad tym wszystkim panować... Mijając Hayesa, w przelocie zobaczyła, że ogląda zdjęcia i odpowiada na maile.

Gdy piąty raz przestawiali pochylnię, Stevie spostrzegła, że jest wśród nich ktoś obcy. To Germaine Batt ukradkiem wślizgnęła się przez bramę i bez przerwy kręciła się w pobliżu Hayesa. „Ciekawe, co z tego wyniknie” – pomyślała Stevie, biorąc pod uwagę, że pamiętnej nocy Germaine bez wiedzy Hayesa sfilmowała go i wrzuciła film do Internetu. Ale Hayes wyraźnie ucieszył się, że przyszła i nawet pozował jej do zdjęć – usilnie udając zapracowanego.

Podczas krótkiej przerwy na lunch wrócił „na moment” do Minerwy, żeby się umalować. Po trzech, czterech godzinach, kiedy wszystko było już gotowe, oka-

zało się, że zniknął.

– Gdzie go, cholera, poniosło? – spytał, rozglądając się, Dash. – Stevie, możesz go poszukać?

Stevie siedziała, czekając na lepszy zasięg, bo chciała ściągnąć najnowszy odcinek ulubionego podcastu o prawdziwych zbrodniach, *Skoro mowa o zabójstwie*.

– Mhm – odparła, podnosząc się. – Jasne.

Obeszła puste jezioro i skierowała się na obrzeże ogrodu. Raptem dobiegły ją głosy z minipałacyku tuż pod murem. Zbliżywszy się, usłyszała kobietę, najwyraźniej wściekłą:

– Zalewasz, Hayes. Wisisz mi forszę.

– Więc ci ją oddam – odparł Hayes.

– Już to słyszałam.

– No bo oddam.

Stevie zamarła w bezruchu, wytężając słuch.

– Myślisz, że nikt nic nie wie? – spytała nieznajoma tonem ociekającym pogardą.

– Niby o czym, Gretchen?

„Gretchen. Ta z włosami. Księżna”.

– Przeeestań. Mnie chcesz oszukiwać?

– Co się tak tym przejmujesz?

– Po pierwsze: nie oddasz w życiu, więc daj sobie spokój z udawaniem. Traktujesz tak każdego. Mnie. I pewnie Beth też. Na szczęście uświadomiła ją ta panna, co filmuje. No a te tępe łajzy, którymi się teraz wysługujesz...?

„Tępe łajzy. Mam być tępą łajzą?” – pomyślała Stevie.

– Gretchen... – Zabrzmiało to jak przeciągłe westchnienie.

– A jeśli opowiem o wszystkim tej od filmu?

– Rób, jak uważasz – odpowiedział. – Albo weź xanax i daj mi... góra dwa tygodnie.

Stevie nie zdążyła się przemieścić, gdy zza pałacyku wychynął Hayes. Znacznie starszy. Posiwiaty, z twarzą pooraną zmarszczkami. Maris spisała się świetnie jako charakteryzatorka.

– Hej, Stevie! – rzucił za głośno.

– Hej – odparła. – Już czas.

Hayes uśmiechnął się słabo, a Stevie zrozumiała, że traktuje ją jako alibi, by wymiksować się z rozmowy z Gretchen. Mianowana tępą łajzą na jego usługach, przyglądała mu się teraz znacznie bardziej podejrzliwie.

– Dzięki. – Uderzył w lepkościłódki tony.

„Istny miód” – pomyślała Stevie.

Gretchen też się pokazała. Zobaczyła ją, ale – by przywołać Holmesa – nie dostrzegła jej. Przeszła obok, pomijając Stevie jak element krajobrazu.

– Dzięki. – Hayes otoczył Stevie ramieniem. – Moja eks. Zerwaliśmy, a ona wciąż ma mi to za złe. Nie wiedzieć czemu. Ale wiesz, jak bywa...

Stevie nie wiedziała, jak bywa, ale przytaknęła.

– Ciężko – powiedziała.

Hayes kiwnął głową, zadowolony, i uśmiechnął się szerzej. Uśmiech traktował jak hamak – położyć się, przekimać, zapomnieć o troskach i kłopotach.



Tego popołudnia Stevie sporo się nauczyła: po pierwsze – kręcenie wideo polega na objaniu się, przystawaniu i mówieniu, że to czy tamto się powtórzy, a czasem też na powtarzaniu i regularnych biegach do toalety.

Po drugie – Hayes grał nieźle.

Po trzecie – sztuczna mgła śmierdzi.

Po czwarte – nawet Stevie mogło zmęczyć sterczenie w zatopionym ogrodzie i słuchanie powtarzanej w kółko historii porwania Iris i Alice Ellingham.

Z czasem zaczęła przeklinać chwilę, w której pozwoliła Hayesowi wykorzystać temat Nieodgadnionego. Owszem, zgodziła się, lecz w całym tym kręceniu coś według niej było nie tak. Hayes grał nieźle, ale nawet w najlepszej charakteryzacji pozostawał siedemnastolatkiem udającym mężczyznę przed pięćdziesiątką. Stevie trochę to drażniło, a całe przedsięwzięcie wydawało jej się dziwnie podejrzan.

Przed szóstą Maris oznajmiła, że chyba już mają to, co chcieli, więc Dash za-

rządził przerwę na kolację:

- Zjedzmy, a potem się wróci i posprząta.
- Dzisiaj? – zdumiał się Nate. – A niby czemu nie jutro?

Maris pomagała Hayesowi zmyć charakteryzację mleczkiem. Gdy skończyli, ekipa udała się z ogrodu do stołówki. Stevie dobiegło głośnie burczenie w brzuchu Nate'a.

Przed skwerem Hayes cofnął się o krok.

- Muszę wrócić – powiedział – coś zostawiłem.
- Ja pójdę – zaofiarowała się Maris.
- Nie, spoko – odparł, idąc przez moment tyłem. – Zajmijcie mi miejsce. Stevie z Nate'em pojęli to w sekundzie.



Niezręcznie było siedzieć na kolacji z inną grupą. Grzebiąc w smażonym kurczaku z kukurydzą, Stevie patrzyła, jak jej współlokatorzy dosiadają się do innych. Janelle zajęła miejsce obok uczniów z domu Vi, a Ellie obok nieznanym Stevie. Hayes i David nie przyszli.

– Ciekawe, co go zatrzymało – powiedziała Maris, kręcąc się na krześle. – Nie odpowiada na esemesy.

- Pewnie z kimś gada – odparł Dash, pochłaniając ziemniaczane purée.

Maris się rozglądała. Gdy spostrzegła wchodzącą Gretchen, przeciągnęła językiem po zębach.

- Muszę sprawdzić – rzekła.
- Nie martw się – uspokajał ją Dash. – Po prostu musi coś załatwić.
- I tak powinniśmy tam wrócić i przenieść pochylnię.
- Chryste – odrzekł Dash. – Niech ci będzie. Tylko daj mi dojeść.

Gretchen od niechcienia skierowała wzrok w ich stronę, wznosząc oczy, jakby zobaczyła chmurę.

„O czym rozmawiała z Hayesem?” – rozmyślała Stevie. „Co on ma jej oddać? Czy przez nią to całe zamieszanie? Maris się wkurza, my urabiamy się dla Hay-

esa, a Gretchen szuka odwetu. Skąd w ogóle biorą się tacy ludzie?”

Dokończyli kolację w pośpiechu, co zezłościło Nate’a, i całą czwórką (Maris, Dash, Stevie i Nate) wyruszyli z powrotem do ogrodu.

Zmierzchało. Jaskrawy błękit nieba podkreślał nagość drzew. Gdy szli, Stevie usłyszała, jak ktoś podbiega do nich z tyłu. Obróciwszy się, ujrzała Germaine Batt.

– Gdzie idziecie? – zapytała Germaine.

– Do zatopionego ogrodu – odpowiedział Nate. – Przenosić albo coś takiego. Nie wiem. Ja niby miałem tylko pisać.

– Mogę iść z wami?

– Chcesz przenosić pochylnię? – spytała Stevie.

– Każdy o tym marzy – mruknął Nate, zarzucając wyżej plecak. – Akademia Alberta Ellinghama zaprasza na wieczór z pochylnią.

– Chcę tylko zobaczyć, co robicie – odparła Germaine.

– Kolejny news o Hayesie...? – zapytała Stevie.

– Ostatni miał pięćdziesiąt tysięcy wyświetleń.

– Dobrze na nagrobek – zauważyła Stevie. – Miał pięćdziesiąt tysięcy wyświetleń...

– Mów, co chcesz – odparła lodowato Germaine. – Serdecznie mnie to nie obchodzi.

„Gdy ktoś tak mówi, to myśli na odwrót. Germaine nie robi mi nic złego, więc nie ma sensu się z nią ścierać. Wprawdzie to, co wyprawia, jest niesmaczne, no ale Hayes nie narzeka. Co więcej, oto na ich oczach lata za nim po ciemku nowa panna”.

– Sorry – rzekła Stevie. – Żartowałam.

– Spoko – odparła lakonicznie Germaine. Ale spokojnie nie było. Gdy mijali bramę, nad trawnikiem tańczyły ostatnie o tej porze roku robaczki świętojańskie. W mroku wgłębienie w ziemi wyglądało bardziej złowieszczo, a w brudnych szybach obserwatorium odbijał się wschodzący księżyc. Leżały tam sterty słupów, złożona plandeka i pochylnia.

– Hayes?! – zawołała Maris.

Głucha cisza. W koronie drzewa zaszeleścił niewidzialny ptak.

– Gdzie on jest? – zapytała Maris.

– Kto wie? – odrzekł Dash. – Gada gdzieś przez komórkę, a my... sprzątamy sami. Chodźcie.

– Musi tu być – odparła Maris. – Hayes!!!

Jej sopran rozniósł się echem aż po sam kraniec ogrodu.

– Prędko się przekonasz... – Dash zaczął zbierać słupki. – Że przed zmywaniem Hayes znika.

Gdy Maris drgnęła, Stevie pierwszy raz ujrzała w niej zwykłą pierwszoroczną, do której powoli dociera, że ukochany nie odwzajemnia jej uczuć.



Po powrocie do Minerwy Nate od razu pobiegł do siebie, a Stevie postanowiła posiedzieć w świetlicy (na hamakowym fotelu) i zaczekać na Hayesa. „Czemu się denerwuję? Czy to z powodu tunelu? Czy on tam wrócił? Dlaczego odszedł tak nagle?”

Tak czy inaczej, fotel hamakowy był idealny do obejrzenia paru odcinków *Burzliwej pogody*. Zasłużyła na to. Czas płynął. Gdy dziewiąta zmieniła się w dziesiątą, wróciła Janelle, poczerwieniała z podniecenia.

– Hej! – Uplasowała się na podłodze przy stopach Stevie. – Pracowałam z Vi – oznajmiła z szerokim uśmiechem. – Dzięki, że odniosłaś słupki.

– Mhm. Co robiłyście?

– Uczyłyśmy się – odparła Janelle. – W jurcie.

– Nauka w jurcie?

Janelle pacnęła ją porozumiewawczo w łydkę kablem od słuchawek.

– Przyniosę coś sobie – rzekła – i posiedzę z tobą.

Dziesiąta zmieniła się w pół do jedenastej. Drzwi zamykano o jedenastej, a Hayes wciąż nie wracał. Stevie znów ogarnęły myśli o tunelu. „Hayes na pewno wchodził tam już wcześniej. Czy tunel aby się trzyma? Wypełniony całe lata ziemią, mocno ucierpiał od wichur, deszczu, słońca. Jest zamknięty. Cały popękany... A jeśli Hayes wlaźł tam sam, no i go przysypało? Nie. Nic mu się nie stanie. Ale skoro nie z Maris, to może wybrał się z Gretchen? Nieważne. Tylko

skąd ten niepokój?”

W świetlicy zjawiała się też Pix, w powłóczystych bawełnianych spodniach i podkreślającej mięśnie ramion czarnej koszulce. Robiąc na drutach, oglądała w laptopie jakiś film dokumentalny. Przed jedenastą wpłynęła Ellie z Davidem. Radośnie uśmiechnięci, padli razem na sofę.

– Szalony sobotni wieczór? – rzucił David do Stevie.

– Co się stało? – zapytała Ellie. – Coś taka nabuzowana?

Nim Stevie odpowiedziała, Pix zdjęła słuchawki i spojrzała na nich.

– Ktoś wie, co z Hayesem? – spytała. – Jeszcze chwila, a nie zdąży.

Opowiedzieli przecząco – tylko Stevie przybrała obojętną minę, ignorując pytanie.

Pix wyciągnęła komórkę i zaczęła esemesować.

Stevie przeszedł dreszcz lęku. „Hayes pewno za moment wróci. Jest po prostu niepoważny. Ani słowa o tunelu, bo bez sensu dostałoby się za to wszystkim”.

Jedenasta zmieniła się w pół do dwunastej.

– Nie cierpię – rzekła Pix – zgłaszać Larry’emu spóźnień. Hayes nie odpowiada. Nie mówił wam przypadkiem, dokąd idzie?

Stevie poczuła pulsowanie w skroniach.

– Posłuchaj – odpowiedziała. – Nie wiem, dokąd poszedł... ale... Parę dni temu... byliśmy w tunelu.

David i Ellie podnieśli na to głowy. Janelle miała słuchawki, więc nie usłyszała.

– Uściślij to – odparła Pix. – Tuneli ci u nas dostatek.

– Pod zatopionym ogrodem.

– Ten jest zasypany.

– Już nie jest. Może... Hayes tam wrócił?

– Żartujesz? Rany boskie!!!

Dziesięć minut później w progu stanął Larry.

– Mark już tam jedzie – rzucił do Pix. – Ubierz się, Stevie, pójdziesz ze mną.

Po chwili szli razem przez chłód, wydychając obłoki pary. Blask latarek malo-

wał przed nimi długie, roztańczone plamy.

– Czułem, że ktoś będzie chciał się tam dostać. – Larry dał Stevie znak, by wsiadła do wózka golfowego. – Że też nie zaspawaliśmy wejścia.

Stevie objęła się ramionami. Wózek pędził ścieżką.

– Szczęście, że nam powiedziałaś. Nie wiadomo...

– Wydawał się bezpieczny – odpowiedziała niemal szeptem Stevie.

– Nie jest solidny – odparł Larry. – I w trakcie budowy też nie był, a osiemdziesiąt lat niedrożności musiało zrobić swoje. Namawiałem, żeby go zaplombowali. Jak chłopak się tam nie znajdzie, będziemy szukać dookoła, bo mam zamiar sobie z nim pogadać. Chryste, ten tunel...

Serce Stevie biło coraz szybciej. Napotkawszy pod murem ogrodu wózek z Markiem i panną Hix, szkolną pielęgniarzką, skierowali się za nim do lasu. Zaparkowali przy drodze technicznej.

– Zostań tu – nakazał Larry Stevie.

Mark wziął z wózka kask ochronny. Panna Hix, w puchowym płaszczu, niosła pomarańczową odblaskową torbę ratowniczą. Ruszyli do lasu z Larrym. Stevie skuliła się w kurtce.

– Właz jest niezamknięty. – Larry otworzył drzwi pchnięciem i spojrzał w dół schodów, przyświecając sobie latarką.

– Hayes?! – krzyknął. – Hayes, odezwij się, jak tam jesteś!

Cisza.

– Wchodzę – zwrócił się do Marka. – Bądź w pogotowiu.

Mrok zacieśniał się wokół Stevie. Zaczęły drętwieć jej palce. Pod gęstą kopułą liści, sama w wózku, poczuła, jak ogarnia ją groza zimnych, otwartych przestrzeni, nieprzeniknionej ciemności i nienazwanych dylematów. Czekają ją kłopoty. „Jak tu karzą uczniów? Skąd ten ogrom nocy? Co mieszka w poszyciu i drzewach, że tak okropnie szeleści? Czy nietoperz atakuje, gdy się siedzi w wózku?”

Dręczące myśli Stevie przeszył raptem czyjś krzyk. Wołał Larry.

– Mary, Mark, dzwońcie pod 911! Niech przyślą helikopter!

Słowa raziły ją jak piorun. Panna Hix wbiegła do tunelu. Mark stanął na polanie, by zadzwonić. Stevie wysiadła z wózka i – stąpając ostrożnie, jakby miała

zapaść się pod nią ziemia – ruszyła w stronę wjazdu. Dochodzące z głębi tunelu stłumione głosy zwiastowały coś niedobrego.

Nie wzięła dużej latarki, ale w kieszeni miała komórkę, więc użyła jej jako oświetlenia. Ostrożnie, z coraz prędkiej bijącym sercem, zeszła po schodach. Słyszając strzępy gorączkowych rozmów, stwierdziła, że tamci są aż w składzie alkoholi. W ślad za światełkiem telefonu posuwała się naprzód jak we śnie. Zlekceważyła uwagi Larry'ego o potencjalnym zagrożeniu. Niepokój wiódł ją ku tajemnicy, której miała stawić czoło.

Zbliżywszy się do drzwi, wychwyciła: „nie reaguje, zimny, zasinienia”. Na jej odgłos Larry się odwrócił i błysnął latarką w jej stronę.

– Co się stało? – usłyszała siebie.

Larry podszedł do niej. Nie podbiegł. „Nie wymagam pomocy, a on musi panować nad sytuacją”.

Silny blask latarki Larry'ego zjechał na coś na ziemi. „Nieruchoma masa”. Nie od razu do Stevie dotarło, że to Hayes, ze stopami skierowanymi ku drzwiom. Ułożony w pozycji półembrionalnej, jedną nogę miał wyprostowaną. Jego skóra była fioletowa.

– Stevie – odezwał się Larry, zastawiając drzwi ciałem.

Zdążyła już jednak zobaczyć. Śmierć poznaje się natychmiast.



16

Wstrząs to coś przedziwnego. Kontury zaostwiają się – i zamazują. Rozciągając się, czas ulega zaburzeniu. To, co się stało, przeraźliwie puchnie. Cała reszta zanika, staje się nieistotna.

– Chodź ze mną – Larry delikatnie zawrócił Stevie, kładąc jej ręce na ramionach, i poprowadził ją z tunelu z powrotem do wózka.

– Nie żyje. – Stevie spojrzała na niebo i zaczerpnęła chłodnego powietrza. – Hayes nie żyje.

Larry odezwał się dopiero, gdy dotarli do wózka. Usadowił ją na siedzeniu pasażera i popatrzył jej w twarz.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Jak pan myśli?

Larry westchnął głęboko.

– Nie żyje – odpowiedział.

– Czemu? – spytała z prostotą dziecka.

– Nie wiem – odparł Larry. – A ty? Co robił tam na dole, Stevie? Musisz mi wyjaśnić.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Przyglądał się jej przez chwilę – i jakby przyjął odpowiedź. Stevie miała wrażenie, jakby unosiła się nad ich rozmową, jak w powracającym śnie, w którym przepływając w powietrzu między pokojami w domu sąsiadów, obserwowała ich przy prozaicznych czynnościach. Jak duch.

– Co zrobimy? – zapytała.

„Skąd to pytanie? Mózg mam przecież sprawny, więc dziwne rzeczy mówię chyba z nerwów”.

– Odwiozę cię do Minerwy – odrzekł Larry.

Wracali bez słowa. Obrazy Akademii przetaczały się przed Stevie niby kadry z filmu. Wszystko było nierealne. Gdzieś w dali rozległ się hałas, jakby ktoś rozplątał niebo. Larry wychylił się i spojrział w górę. Na niebie pojawiły się światła i wkrótce na skwerze wylądował helikopter. Przyjechał ambulans, ale pacjent nie żył...

Stevie zawsze marzyła, by zobaczyć zwłoki – ale nie w taki sposób, nie kogoś znajomego. Nie jako zwrócone do niej podeszwami tenisówki na nogach, które jeszcze niedawno tak śmiesznie kucaly w jej pokoju. „Rzepki... *patellae*... realny człowiek, nieruchomy, zimny, w mroku gdzieś za nami”.

Gdy dotarli do Minerwy, Larry kazał Stevie zaczekać, więc czekała. Rozmawiał z Pix pod drzwiami. Stevie patrzyła, jak na wieść o tym, co się stało, Pix zakrywa usta dłonią – a potem podchodzi do wózka i łapie ją za rękę.

– Nic mi nie jest – powiedziała Stevie.

– Stevie. – Od strony kierowcy zajrzał do niej Larry, opierając się o dach wózka. – Nie mów teraz nic nikomu, wstrzymaj się jeszcze. Rozumiesz?

– Nie chcecie wywołać paniki i na czas dochodzenia teren ma być pusty – odpowiedziała Stevie.

– Otóż to – odparł Larry. – Brawo.

– Stevie – zwróciła się do niej Pix – zabiorę cię do siebie...

– Jak mnie weźmiesz na górę, to reszta zaraz się domyśli – odrzekła Stevie. – Pójdę do siebie. Nic mi się nie stanie.

Larry kiwnął głową.

– Daje radę – potwierdził. – Ale połóż się, gdy wrócisz do pokoju, Stevie. Zostań tam, a ja po ciebie przyjdę. Będziesz nam znów potrzebna.

Badając podłogę przed wyjściem z wózka, Stevie stwierdziła, że nogi ma sprawne. Nie chciała, żeby Pix podtrzymała ją ramieniem. Wnętrze świetlicy wydało jej się przeraźliwie wprost jaskrawe. Na tle pulsującej czerwieni ściany łeb łosia wyglądał nedorzecznie. Janelle wyszła już, a David z Ellie nie ruszyli się dotąd z sofy; umościł się naprzeciw siebie, bardzo czymś rozbawieni. Umilkli na widok Pix i Stevie.

– Co jest? – spytała Ellie. – Hayes ma kłopoty?

– Nie – odparła cicho Pix.

David patrzył na Stevie. Spostrzegła, jak usiłuje przeniknąć jej pozorną obojętność i wdrzeć się jej w myśli.

– Idę do łóżka. – Stevie odwróciła się na pięcie.

Gdy David powiódł za nią wzrokiem, zaćwierkała jego komórka.

– Ktoś widział helikopter – oznajmił Pix.

– No właśnie, jakbym coś słyszała – rzekła Ellie.

– Wylądował? Pix, powiedz – domagał się chłopak.

– Nic się nie dzieje – odparła Pix.

Stevie pobiegła do pokoju i zamknęła drzwi. Oparła się o nie i uderzyła głową o hak. Czując zbliżającą się falę mdłości, podsunęła sobie w razie czego kosz na śmieci – ale przeszły. Wlazła do łóżka w ubraniu i owinęła się kocem.

Właśnie mijala piąta. „Może by tak się przespać...”

„Szok...” Siadła prosto. „Prędko papier!” Złapała zeszyt do anatomii. „Zapisać teraz, w tej chwili, na świeżo. Co widziałam? Co wiem? Zapisać wszystko tak jak było, nie rozmyślając nad sensami!”

Rozległo się pukanie do drzwi. Uchyliły się, nim odpowiedziała.

– Hej – rzekł David bez cienia wesołości. – Co się dzieje?

– Nie mogę. – Stevie pochyliła się nad zeszytem, marszcząc brwi.

– Co robisz?

– Nie mogę. Rozmawiać.

– Jak to? – Nie zrozumiał.

– Gadanie maści pamięć – odrzekła niecierpliwie.

– Coś nie gra – powiedział chłopak. – Helikoptera nie wzywa się z byle powodu. Poza tym wyglądasz, jakbyś straciła parę litrów krwi. Co się, kurde, dzieje?

– Nie mogę – powtórzyła. – Muszę zapisać to od razu. Jak się zacznie gadać, można zaburzyć historię, więc nie porozmawiamy. Zamknij drzwi, Davidzie, proszę.

By opanować drżenie dłoni, Stevie zwinęła ją w pięść i wcisnęła pod pościel. David wycofał się wolno i zamknął za sobą drzwi.

Stevie wyteńczyła myśli. „Spisuj i cześć. Co widziałaś?” Po chwili już pisała bez napięcia. „Zaczął się to w czwartek”.

- Zanieśliśmy sprzęt i pochylnię do ogrodu.
- Podłączaliśmy maszyny do robienia mgły.

„Szczegóły, Stevie. Staraj się to porządkować”.

- Kilka dni wcześniej poszliśmy do tunelu. Wyłamaliśmy.

„Nie”.

- Wyłamaliśmy Wyłamałam zamek, żeby się dostać do środka.

Na dworze i w pokoju panowała głucha cisza. Wtem zmałił ją warkot odlatującego helikoptera i dochodzące ze świetlicy krzyki. Stevie włożyła słuchawki, aby je zagłuszyć.

„Wieść już się roznosi, wkrótce będzie zamieszanie”. Stevie musiała zebrać myśli. Sprawdziwszy, czy zanotowała wszystko, co wie, wydarła kartkę z zeszytu. Wstała, wyciągnęła z szafy czerwony płaszcz i włożyła go, chroniąc się w sztywnym winylu. Do lewej kieszeni wsunęła tabletkę avitanu, a do prawej złożoną kartkę z listą zdarzeń. Potem siadła na krawędzi łóżka i z rękoma na kolanach czekała, aż przyjdzie po nią Larry.



Minęła może godzina. Stevie nie była pewna. Czas jej się rozjeżdżał. Przemknęła przez świetlicę jak duch, nie patrząc na nikogo. Na zewnątrz czekało na nią morze czerwonych i niebieskich świateł, które mrugały zza drzew, zalewały niebo blaskiem i opływając przedmioty, tworzyły osobliwe cienie. Temperatura obniżyła się o dobre dziesięć stopni. Nate czekał z Pix. Jego twarz nie wyrażała niczego.

Larry zawiózł Stevie i Nate'a do Wielkiego Domu. Siedzieli za Larrym obok

siebie, próbując wzajemnie ogrzać się swym ciepłem. W zaparkowanym pod portykiem radiowozie policjant wprowadzał dane do laptopa. W domu roilo się od funkcjonariuszy. Stłoczeni na balkonie uczniowie spoglądali w dół. W holu byli już Dash i Maris – siedzieli przy wielkim kominku. Maris szlochała, a Dash wpatrywał się w komórkę szklanym wzrokiem.

– Chyba się porzygam – wyznał Nate.

– Oddychaj głęboko. – Stevie wzięła go za rękę. – Ze mną.

Usiedli na najniższym stopniu okazałych schodów.

– Wydech – wyjaśniła Stevie – powinien być dłuższy od wdechu. Wciągamy powietrze na cztery, wstrzymujemy do siedmiu, wypuszczamy na osiem. Oddychaj ze mną. Policzę. Raz, dwa, trzy, cztery...

Nate oddychał ze Stevie, spowalniając reakcję, osłabiając lęk.

Stevie na niepokój większy od swojego reagowała zwykle wyciszeniem. Odkryła to przed kilku laty, gdy podczas jednego z rzadkich wyjazdów z rodzicami utknęła w hotelowej windzie. Hotel miał dziewiętnaście pięter. Stevie wsiadła z jakąś panią na siedemnastym. Drzwi zamknęły się, winda ruszyła na dół, ale ujechawszy piętro, zatrzęsała się i stanęła. Serce omal nie wyskoczyło Stevie z piersi – ale widok roztrzęsionej ze strachu, zapłakanej, skulonej w kącie windy kobiety coś w niej uruchomił. Aby podtrzymać ją na duchu, mówiła do niej przez kolejne pół godziny. Gdy wreszcie oswobodzono je z potrzasku, kobieta bez końca dziękowała Stevie i nawet kupiła jej w kawiarni w holu kawę i wielką babeczkę.

„W przyszłości mogłabym tak pracować: rozmawiać z ludźmi, którzy przeszli traumę. Uspokajać ich słuchaniem, pomagać im dojść do siebie”.

– Nate – rzekła Stevie, znów biorąc go za rękę – którą książkę lubisz najbardziej?

– Co?

– No powiedz. Tak bez zastanowienia. Podaj po prostu jej tytuł.

– *Hobbit*.

– Co ci się w niej podoba? – zapytała Stevie.

– Wszystko.

– Ale wybierz, co najbardziej. Zamknij oczy i pomyśl chwilę o *Hobbicie*, a po-

tem powiedz, co w nim lubisz.

Kiedy Nate zamknął oczy, twarz nieco mu się rozluźniła.

– Okrągłe drzwi – powiedział. – Chatki Bilba. Czytałem to, gdy byłem mały i ciągle o nich myślałem.

– Świetnie – rzekła Stevie. – Skoncentruj się na drzwiach i na Bilbie. Oddychaj ze mną. Na cztery wdech. Wstrzymujemy do siedmiu. Na osiem wydychamy.

Po chwili zauważyła, że Nate zaczyna się uspokajać. Przestał napinać mięśnie barków i siłą wstrzymywać wymioty. Zrobił jeszcze jeden wydech, otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Okej – przytaknął. – Okej. A co teraz? Co się dzieje? Co się, u licha, dzieje?

– Spytają nas, co widzieliśmy – odrzekła Stevie.

– Ja nic nie widziałem. Nie wiem nawet, co się dzieje. Podobno Hayes nie żyje...?

– Miałam na myśli przebieg dnia – wyjaśniła. – Muszą ustalić fakty.

– Ale co się stało? Jak zginął Hayes?

– Nie wiem. – Stevie oglądała w myślach właz. Ważyła go w ręce, oparta o belkę drabiny o cienkich szczeblach. – Tak czy owak nie możemy zmyślać. Bądź konkretny. Mów tylko to, co wiesz.

– Słuszna rada. – Przed nimi stał Larry. Kucnąwszy, przyjrzał się Nate'owi. Spojrzał na Stevie i pokiwał głową z aprobatą. – Dziewczyna ma głowę na karku. Policja musi przeanalizować zdarzenia.

Jeden z funkcjonariuszy zawołał Nate'a i poprosił go do frontowego salonu. Larry usiadł na schodach obok Stevie.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Zapisałam to i owo. – Stevie pokazała mu notatki. – Najszybciej, jak mogłam.

Gdy Larry czytał je z uwagą, Stevie podążała za jego wzrokiem.

– Dobrze – pochwalił, oddając jej zapiski. – Znakomicie sobie radzisz.

– Wie pan, co się stało?

Larry pokręcił głową.

– Nie wie pan? – zapytała. – Czy nie może pan powiedzieć?

– Twoja kolej. – Do Stevie podszedł policjant i zaprowadził ją na przesłuchanie.

„Wreszcie naprawdę! Obserwuję sprawę z bliska, składam zeznania i przeżywam to, co od tak dawna chciałam przeżyć. Wystarczyło, że ktoś zginął”.



17

Policja przesłuchiwała Stevie mniej więcej pół godziny. Pytania były takie, jakich się spodziewała. Jak przebiegł dzień punkt po punkcie? Kto, kiedy i dokąd się przemieszczał? Co Hayes robił w tunelu?

Sterie dobrze znała procedurę pozyskiwania informacji. „Niczego nie sugerować. Nie zaprzyjaźniać się z przesłuchiwanym. Zadawać pytania. Ustalić czas wydarzeń. Rejestrować precyzyjnie i szybko”. Starła się odpowiadać jasno, zwięźle, ale dokładnie. Bez ozdobników. Bez interpretacji.

Kiedy skończyła, Larry już czekał, by zabrać ją i Nate’a z powrotem do Minerwy. Gdy wychodzili z Wielkiego Domu, na teren posiadłości wjechał właśnie ambulans kryminalistyczny. Zaskoczona Stevie poczuła przypływ lęku. Znów przypomniał jej się wąż. „Gdy przyczyna śmierci jest niejednoznaczna, przeprowadza się analizę miejsca zbrodni”.

Księżyc był cienki jak hak, z wiatrem niosła się woń jesiennych liści, pohukiwały sowy, Hayes nie żył.



W Minerwie panowało ożywienie. Wraz z wejściem Stevie i Nate’a rozmowę jakby zassało.

– Boże! – Do Stevie podbiegła Janelle i ją uścisnęła. – Nic ci nie jest? Chryste! Naprawdę nie żyje? Co się stało, Stevie?!

Sterie spojrzała przez jej ramię na Ellie i Davida. Siedzieli razem na fioletowej sofie, a raczej się kulili. Ellie nie płakała, tylko patrzyła niewidzącym wzro-

kiem. David obejmował ją lekko.

Nate wybuchnął śmiechem.

– Co cię tak, cholera, bawi? – naskoczyła na niego Ellie.

– Nie wiem.

– Jest w szoku, El – wyjaśniła Pix. – Wyśmiej się, Nate. Nie ma innej rady.

Nate zaczął śmiać się tak mocno, że po chwili dostał czkawki.

Stevie, którą ogarniała coraz większa senność, była spokojna, ale wyczerpana.

– Idę spać – oznajmiła krótko.

W pokoju zauważyła, że jej ruchy są powolne, precyzyjne. Zazwyczaj ściągała ubranie i wrzucała je do brudów. Tego dnia starannie powiesiła płaszcz w szafie, delikatnie wysunęła ramiona z rękawów, zdjęła spodnie tak ostrożnie, jakby się miały rozpaść. Zwinęła wszystko i pomału umieściła w worku, po czym wygrzebała z dna szuflady i włożyła ciepłą szkolną piżamę.

Nie gasząc światła, weszła do łóżka i wpatrzona w przestrzeń, ścisnęła w rękę komórkę jakby w nadziei, że zadzwoni. „Nikt nie zadzwoni, to pewne; muszę się czegoś złapać”.

Nie wiedziała, po jakim czasie rozległo się pukanie do drzwi. Zamierzała je zignorować, ale w końcu podniosła się i otworzyła.

Czuła, że to David.

– Świeciło się – rzekł cicho. – Mogę wejść?

Zamrugła, roztarła kark i ze wzruszeniem ramion zostawiła drzwi uchylone. David wszedł i je zamknął. Stevie siadła na podłodze u stóp łóżka. David oparł się o ścianę. Nieco poskromił włosy, a minę miał jak nigdy poważną.

– Wiesz, co się stało? – zapytał.

– Wiem, że nie żyje – odparła. – Tyle.

David ściągnął wargi w zadumie i zatarł ręce. Podeszedł do biurka Stevie i zabębnił o nie palcami. Wyraźnie rozkojarzony, usiadł na podłodze. By uniknąć kontaktu wzrokowego, Stevie spojrzała na dół jego spodni. Przed wiekami ciemnogrnatowe, a teraz mocno sprane i niebieskoszare, na nogawkach miały popękany biały napis „Yale”.

– Czemu nie chciałaś, żebym gadał? – spytał wreszcie.

– Bo świadkowie nie są miarodajni – odparła Stevie.

– Myślisz, że ktoś skłamie?

– Nie. Nie o to chodzi. Nie wiadomo, co się pamięta. Człowiek nie tyle kłamie, ile brak mu pewności, co widzi. Nie radzi sobie z określaniem czasu, dystansu, pory zdarzeń, zwłaszcza gdy się boi albo jest napięty. Gdy opowiada, co działo się po ciemku, to się kompletnie gubi. Najgorzej jest, gdy świadkowie się porozumiewają. Kiedy zaczynasz z kimś rozmawiać, wszystko, co masz w głowie, się zmienia. Nasza pamięć aktualizuje się jak komputerowa. Zostaje to, co najświeższe. Więc gdy zobaczy się wypadek, trzeba prędko zapisać wrażenia i nikomu nic nie opowiadać. Tylko wtedy relacja będzie przejrzysta w stu procentach. Nawet jeżeli coś ci umknie, unikniesz konfabulacji.

Wyjaśniła to bez zająknięcia, jakby czekała na tę chwilę całe życie. Teoretyzując, powoli wracała do siebie.

– Co? – zapytał David.

Po namyśle postanowiła mu to zobrazować za pomocą zatyczek do długopisów i spinaczy do papieru.

– Wyobraźmy sobie napad – rzekła. – Mamy rabusiów z bronią i wóz, którym zwiali. Świadek Pierwszy zapamiętał trzech facetów, dwóch w maskach, a jednego w kapeluszu, no i czarne auto. – Wzięła czarną zatyczkę i trzy spinacze. – Świadek Drugi zapamiętał czterech w maskach i niebieskie auto. – Dołożyła spinacz, a czarną zatyczkę zastąpiła niebieską. – Umówmy się, że widzieli też motocykl. – Przesunęła taśmę klejącą. – Świadek Trzeci twierdzi, że było ich trzech – ciągnęła, odkładając spinacz. – Jeden miał maskę i kapelusz, a samochód był zielony. Nie mam takiej zatyczki, więc... nieważne. Świadek Trzeci jest pewien, że się nie myli. Niestety bywa tak, że świadek z rzekomo świetną pamięcią okazuje się najmniej wiarygodny, ale za to genialnie wywiera wpływ na innych. No więc potem któryś zezna, że widział motocykl i zielone auto.

– To ta taśma? – dopytywał David. – A zielone auto to ta niebieska zatyczka?

– Chodzi o to, że jeśli Świadek Pierwszy pogada z Trzecim, przekonany o swojej racji, to Pierwszemu nagle się przypomni, że widział trzech rabusiów w kapeluszach, a nie w maskach. Z kolei Świadek Drugi zakwestionuje maski i stwierdzi, że samochód był zielony, a jeden z rabusiów – bardzo wysoki. Skoro zdaniem Trzeciego wysocy byli wszyscy, to Pierwszy i Drugi ostatecznie to po-

twierdzą.

David przysunął się do niej i oglądał makietę zeznań. „Prawdę mówiąc, przysunął się za blisko”.

– Okej – szepnął – ale w sumie co się stało?

– Proszę?

– Trzech ich było, czy czterech? Ta bryka była niebieska, czarna czy zielona? A co z motocyklem?

– Chodzi o to... – powtórzyła Stevie.

– A ten świadek to który? – David sięgnął po spinacz i wcisnął go jej w rękę. Dłoń miał ciepłą. „Czy naprawdę dopiero co widziałam zwłoki Hayesa na ziemi w tunelu? Czy widziałam podeszwy jego butów i pokrytą plamami skórę? Nie myśl o tym. Przestań to urealniać”.

Tymczasem zaprzątnęło ją coś innego. Związanego z ciałem. Nie wiedzieć kiedy przestała myśleć racjonalnie. Z każdą chwilą ona i David przybliżali się do siebie cal po calu.

„Czy to się naprawdę stanie?”

Gdy nie dzieliły ich już nawet milimetry, David przywarł ustami do jej ust. Poczula, jak się rozluźnia, i ogarnął ją błogostan. Gdy dotknęła plecami podłogi, opadł na nią, opierając się na łokciach. Całował ją tkliwie, subtelnie, muskał kark i płatki uszu, a ona atakowała go żarłocznymi pocałunkami. Kiedy w końcu legł na podłodze, zdumiona sobą, przetoczyła się na niego.

„Nie rób tego – krzyczały myśli – bo potem może być nieciekawie! To David, który nie budzi zaufania, w dodatku ktoś niedawno zginął, a ty widziałaś zwłoki!”

A jednak coś pchało ją ku niemu. Przemozna chęć popelnienia czegoś, czegokolwiek. Całowała dziwną krzywiznę jego nosa, wysokie czoło, znowu wargi. Zmieniając pozycje, potoczyli się pod komin. Gdy Stevie zahaczyła plecami o tablicę, nie przejęła się, że ją pognie. Nie dbała o to, czy zje ją teraz szpara w drzwiach, czy wessie komin. Wczepiła się palcami w jego włosy, a on mamrotał niepojęte słowa.

– Hej.

Głos był obcy, a dobiegł z progu. Przestali się turlać, zamarli.

Stevie uzmysłowiła sobie, że jest spocona – a David stracił dech, gdy jego serce waliło jak szalone nad jej sercem. Odchyliwszy głowę, Stevie zobaczyła Pix.

– Może jednak wróć do siebie – Pix upomniała Davida. Niezbyt miło.

– Mhm. – Ostrożnie zsunął się na podłogę i stanął tyłem do Pix. – Już się robi.

Pix cofnęła się na korytarz, aby mógł wyjść.

Wyszedł.

– Powinnaś się przespać – Pix zwróciła się do Stevie. – Potrzebujesz czegoś?

– Nie – pisnęła Stevie. – Daję radę, Pix. Dzięki.

– Dobrze. W razie czego jestem piętro wyżej.

Stevie nie podniosła się od razu, zapatrzona w sufit, gdzie ćma rozpaczliwie tłukła się o lampę. A później wolno i z rozmysłem uderzyła tyłem głowy o podłogę.

Federalne Biuro Śledcze

Zapis przesłuchania Flory Robinson przez agenta Samuela Arnolda

17 kwietnia 1936, 12:45

Miejsce: posiadłość Ellinghamów

SA: Zechce mi pani opowiedzieć o poniedziałkowych wydarzeniach?

FR: Naturalnie.

SA: Przebywa pani tu od dwóch tygodni, prawda? Od czwartego kwietnia?

FR: Tak.

SA: Przyjeżdża pani tutaj regularnie?

FR: Tak.

SA: A mieszka pani w Nowym Jorku. I tam też poznała panią Ellingham?

FR: Poznałyśmy się dziewięć lat temu.

SA: Gdzie?

FR: Na przyjęciu.

SA: U kogo?

FR: Na wieczorze literackim.

SA: Na wieczorze literackim?

FR: Tak.

SA: Gdzie się on odbywał?

FR: W Nowym Jorku.

SA: W barze?

FR: Czy to istotne?

SA: Musimy znać kontakty pani Ellingham. Chcemy wiedzieć, gdzie mogła poznać kogoś, kto chciałby wyrządzić jej krzywdę. Alkohol już nie jest zakazany, nikogo więc nie obchodzi, co działo się dziewięć lat temu.

FR: Mogę pana zapewnić, że bywała tam sama śmietanka.

SA: Wtedy w barach bywali też przestępcy, bo, jak wiadomo, prowadzili je i zaopatrywali.

FR: No cóż... Właściciela tego baru raczej nie nazwałabym przestępcą.

SA: Rozumiem. Pomówmy o waszej relacji. Czy, tak jak się powszechnie sądzi, jest pani najbliższą przyjaciółką żony pana Ellinghama? Spędza tu pani dużo czasu. Według pracowników właściwie towarzyszy pani tutaj Ellinghamom.

FR: Można by tak to ująć. Owszem.

SA: W sobotę jedenastego w rezydencji odbyło się przyjęcie. Niewielkie, czy może huczne?

FR: Małe. Jak zwykle w roku szkolnym.

SA: Kto w nim uczestniczył?

FR: Ja, Leo...

SA: Leonard Holmes Nair. Malarz.

FR: Tak. Maxine Melville, aktorka, i jej mąż, John Porter. No i dwaj współpracownicy Alberta, ale oni zabawili krótko.

SA: Prawie wszyscy w niedzielę wyjechali. Jak długo planowała pani zostać?

FR: Dopóki zechcę. Zapraszają mnie bezterminowo.

SA: Co pani robiła w niedzielę?

FR: Albert pracował i padało, więc siedziałam z Iris i Leo w salonie. Leo właśnie zaczął nowy obraz.

SA: Co poza tym?

FR: Graliśmy trochę z Alice. Wzięłam długą kąpiel.

SA: A wieczorem?

FR: Do późna rozmawiałam z Iris i Leo. Może nieco za długo. Rano nie czułam się zbyt dobrze.

A: Rano pani Ellingham zaprosiła panią na przejażdżkę, prawda?

FR: Tak. Przyszła do mnie o dziesiątej. Byłam jeszcze w łóżku. Miałam straszną migrenę. Powiedziałam...

[Cisza.]

SA: Tak?

FR: Przepraszam.

SA: Bez pośpiechu.

FR: Powiedziałam, że źle się czuję, niech więc jedzie sama. Gdybym po...

SA: Nie pojechała pani ze względu na migrenę.

FR: Żałuję. Teraz żałuję.

SA: O której pani wstała?

FR: Około południa pokojówka przyniosła mi posiłek. Kazałam jej przygotować kąpiel. Do wieczora czytałam w pokoju.

SA: Wieczorem poszła pani do garderoby pani Ellingham. W jakim celu?

FR: Usłyszałam jakąś bieganinę. Chciałam wyrzucić przez okno. Okno Iris wychodzi na fronto-

wy ogród.

SA: Tak jak wiele innych.

FR: Tak, ale z jej pokoju widać wszystko jak na dłoni. Wstąpiłam tylko, by wyrzeć. Byłam zderwowana.

SA: Czy wchodzenie do przebieralni pani Ellingham pod jej nieobecność nie jest cokolwiek nie-
stosowne?

FR: Wchodzę tam regularnie.

SA: Nawet gdy jej tam nie ma?

FR: Tak. Wolno mi korzystać z jej rzeczy.

SA: Czy przyjaciółka zapraszała tam kogoś poza panią? To buduar, przestrzeń intymna.

FR: Nie wiem.

SA: Czasami nie wpuszczała tam nawet osobistej pokojówki.

FR: Nie jestem pokojówką.

SA: Zwykle zamykała drzwi na klucz, prawda?

FR: Mam klucz. Mogę prosić o ogień?

SA: Jasne.

[Przerwa.]

SA: A zatem drzwi do przebieralni pani Ellingham otwierała pani sobie sama? Od kiedy ma
pani klucz?

FR: Nie pamiętam. Od jakiegoś czasu.

SA: Dziwi mnie, że by wyrzeć przez okno, poszła pani akurat do pomieszczenia zamkniętego
na klucz.

FR: Może pana to dziwi... ale tak się stało.

SA: Jak długo tam pani przebywała?

FR: Nie wiem. Straciłam poczucie czasu.

SA: Jak pani sądzi?

FR: Nie wiem... Może kwadrans?

SA: Później ktoś tam wszedł i zastał panią. Pokojówka Ruth. Twierdzi, że szukała pani i znalazła
za dziesięć ósma. Nawoływała panią, lecz na próżno.

FR: Nie słyszałam.

SA: Wołała z holu.

FR: Byłam cała w nerwach.

SA: Pani Ellingham przechowuje w tym pokoju bardzo cenne przedmioty.

FR: Cenne jest wszystko, co posiada. W tym domu cenne jest wszystko. Ale nie wszystko trzyma
się pod kluczem.

SA: Racja. Ale pewne rzeczy w tym pokoju są wyjątkowo kosztowne. Czy nie dlatego jest zwykle
zamykany?

FR: Oczywiście.

SA: Nie jest pani tak zamożna jak pani Ellingham, prawda?

FR: Niewielu dorównuje jej bogactwem.

SA: Nie jest pani bogata? O to pytam.

FR: Wypraszam sobie. Moja przyjaciółka od serca zos...

SA: Rozmawiamy dlatego, że pani najbliższa przyjaciółka zaginęła. W ubóstwie nie ma nic zdrożnego. Mam na myśli to tylko, że wywodzą się panie z różnych środowisk.

FR: Oddałyby mi wszystko. Wszystko. Nie znam osoby bardziej hojnej. Niech pan popatrzy na tę szkołę! Zbudowali ją, by dzieci mogły uczyć się za darmo! Zapraszają je do tego domu!

SA: W rzeczy samej są szczerzy. Ale nie odchodźmy od tematu. Którą drogą chodziła pani zwykle do pokoju przyjaciółki?

FR: Drogą?

SA: Nie korzystała pani z głównych schodów.

FR: No nie; schodziłam bocznymi.

SA: Dla służby?

FR: Tak.

SA: Dlaczego nie głównymi?

FR: Nie wiem.

SA: I nie słyszała pani, gdy ktoś panią wołał?

FR: Nie.

SA: Zastanawiające, że w tej sytuacji nie była pani bardziej czujna. Cały czas wyglądała pani przez okno?

FR: Byłam roztrzęsiona.

SA: Ale pukanie pokojówki pani usłyszała.

FR: Tak.

SA: Twierdzi, że nie otworzyła pani drzwi od razu.

FR: Byłam roztrzęsiona. Właśnie usłyszałam, że zaginęła moja najbliższa przyjaciółka. Rzeczywiście tak się zachowałam. Nie mam pojęcia dlaczego.

SA: W tym pomieszczeniu jest wiele cennych przedmiotów.

FR: Dlaczego pan to podkreśla?

SA: Bo zaginęła i za oddanie jej ktoś żąda sporej sumy.

FR: Zaginęła moja najlepsza przyjaciółka. Czemu służą te uwagi?

SA: Muszę ustalić fakty.

FR: Jakie?

SA: Muszę wiedzieć, po co pani tam poszła.

FR: Przecież mówię. Powinniście ich szukać.

SA: Szuka ich każdy policjant w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, ponadto przeczesujemy wszystkie miasta Wschodniego Wybrzeża. Teraz jednak chciałbym się dowiedzieć, co pani robiła w przebierałni przez te piętnaście minut.

FR: Powiedziałam...

SA: Wyglądała pani przez okno.

FR: Tak.

SA: Droga pani, nazwijmy rzecz po imieniu. To nie pora na kłamstwa. Z każdą chwilą, którą trwoni pani, kłamiąc, położenie uprowadzonych się pogarsza. Kłamiąc, pogrąża pani je – i siebie.

FR: Mnie nic...

SA: Słyszała pani, że ktoś woła w korytarzu. Zamieszanie panowało w domu. Na zewnątrz nie było nic widać. Było ciemno i mgliście.

FR: Wiem o tym.

SA: Więc przez kwadrans patrzyła pani w pustkę?

FR: Właściwie tak.

SA: Znane są nam pewne szczegóły z pani życia. Wiemy, że pracowała pani jako hostessa w tajnym barze U Carmine'a przy 29 ulicy. Jego właścicielem był Gruby Bill Thompson, szef mafii. Pracowała pani dla niego. [USUNIĘTO Z UWAGI NA TOCZĄCE SIĘ POSTĘPOWANIE. VIDE: KARTOTEKA 248B-2.]

FR: Śpiewałam i zabawiałam gości. Praca polegała na kontakcie z ludźmi. Zaprzyjaźniłam się z Iris, bo się polubiłyśmy.

SA: Jedna z najbogatszych kobiet Ameryki i hostessa z tajnego baru.

FR: U Carmine'a poznałam masę ważnych osób. Przychodziła tam połowa nowojorskiej socjety. Malarze. Pisarze. Aktorzy i aktorki. Politycy. Policjanci. Widywaliśmy ich ciągle.

SA: Gruby Bill Thompson jest też zamieszany w przemyt z Kanady. Potwierdzono nam, że w tych stronach bywali jego wspólnicy. Być może wie pani o tym, bo w rezydencji pojawia się pewien agent FBI.

FR: Sądzi pan, że George Marsh opowiada o swojej pracy? Na ten temat George Marsh milczy jak grób. Poza tym nie rozmawialiśmy od lat. Przyjechałam tu odwiedzić przyjaciółkę, a przyjaciółka zaginęła.

SA: Pewnie dobrze mieć majątnych przyjaciół.

FR: Dobrze jest mieć przyjaciół bez względu na stan ich portfela. Iris to moja przyjaciółka i byłaby nią, gdyby nie miała pieniędzy. Coś panu powiem. Iris mnie rozśmiesza.

SA: Rozśmiesza?

FR: Tak. A to niełatwe. Przyjaźnimy się. Naprawdę się przyjaźnimy. Rozumiem ją. Zrobiłabym dla niej wszystko. Nie wie pan, co znaczył dla niej przyjazd tutaj. W Nowym Jorku żyła jak w niebie. Jest sportsmenką. Może coś pan słyszał? Żeby pan widział, jak pływa. Pisz, wie pan? Napisała powieść. Przeczytałam ją. Znakomita. Nikomu jej nie pokazuje, bo uważa, że odrzucono by ją jako kaprys żony Ellinghama. A Iris jest kimś więcej niż żoną Ellinghama. Nie powinna była przeprowadzać się do tej dziury, ale że jest też lojalna, wsparła szkołę, bo Albert sobie ją wymarzył. Nie zna pan Iris. Ja tak. Potrzebuje natchnień...

SA: I co ją tu inspiruje?

[Cisza.]

SA: Droga pani...

FR: Powiedziałam wszystko, co wiem. Nie mam już nic do dodania. Zrobię wszystko, by pomóc przyjaciółce, a ta rozmowa nic nie daje. Dla tej kobiety i dla Alice poszłabym na koniec świata. Niechże pan zacznie ich szukać. A jak nie, to mi pomóżcie, wsiądę w auto i zajmę się tym sama. I niech ktoś spróbuje mnie powstrzymać.

[Przesłuchanie zamknięto o 13:13.]



18

Po podłodze wałały się dowody – spinacze do papieru i zatyczki długopisów. Wgniecenie w tablicy oświetlał promyk słońca.

Poranek przyniósł rzeczywistość, a wraz z nią pytania. Wątpliwości, od nadmiaru których Stevie zakręciło się w głowie.

Niekoniecznie w tej kolejności brzmiały:

„Jak zareagują media na kolejną śmierć w osławionej Akademii Ellinghama?”

„Zaraz, chrzanić media... Jak zareagują rodzice? «Morderstwo w luksusowej szkole». Zwłaszcza że tam byłam”.

„Zamkną szkołę?”

„Pewnie na kilka dni zamkną. Bo chyba przecież nie na rok...”

„Jak w ogóle mogę tak myśleć? Ktoś nie żyje”.

„Hayes umarł”.

„Mogę; tak już działa umysł. Zdarzyło się tyle nowych i ciekawych rzeczy, że na razie nie sposób nadać im hierarchię. Nie powinnam sobie wyrzucać, że tak myślę, ani się zbyt angażować”. Z terapii lęku Stevie wiedziała, że nie warto się wsłuchiwać w myśli – inaczej niż w przypadku śledztwa, gdzie bezwzględnie trzeba śledzić wszelkie tropy.

Wcisnęła twarz w poduszkę, by uspokoić dygot serca. Wciąż miała dziwny smak w ustach, smak...

Zza okna dobiegały głosy i skrzeczenie krótkofalówki. Odważyła się podnieść głowę i przetrzeć sklezione oczy.

„Hayes. To się stało naprawdę. Umarł. Hayes umarł, znaleźli jego zwłoki.

A ja, jakby nigdy nic, wróciłam i obściskałam się z Davidem”. Wobec natłoku tak namacalnych i tak nagłych przeżyć, Stevie zapętiła się w lękach, roztrzęsiona, oszołomiona, zawstydzona.

„Skup się”.

Ogarniała myślami wydarzenia. „Hayes leżał na ziemi już martwy. Jak mogło do tego dojść?” Rozejrzała się w wyobraźni po ciasnym składzie na końcu tunelu. Spojrzała na puste półki na ścianie. Poszorowała butem po kamiennej posadzce. Podniosła wzrok na drabinę i właz prowadzący do obserwatorium...

„Ponad trzy i pół metra. Gdyby spaść z tak wysoka na kamień, można byłoby zrobić sobie krzywdę. Można byłoby się zabić”.

Stevie oglądała to oczyma duszy. Wyszła na górę. Zamknęła za sobą właz. „Czy Hayes wspiał się tu, by się rozglądnać? Może po ciemku źle postawił nogę i spadł”.

„Czemu wrócił? Przypuszczalnie, żeby coś nakręcić. Tylko że wtedy pewno kogoś by tu zabrał. Wszystko wskazuje na to, że jednak chciał być sam”. Przypomniała sobie, jak Hayes cofa się, by się wymknąć.

„Ale nie poszedł z powrotem do ogrodu. Zrobił koło do drogi technicznej, do lasu, do tunelu. Wrócił i zginął”.

„Zagadka na ścianie mruga...”

Prawie już zapomniała koszmar, który obudził ją tamtej nocy. Uznała, że się jej to przyśniło. Tak zadumała się nad morderstwem, śmiercią, tunelami i Nieodgadnionym, że umysł wyprojektował to na ścianę.

„Czy na pewno?”

Stevie położyła się na wznak i przez kilka minut robiła ćwiczenia oddechowe, wydychając dłużej niż wdychając, wciągając powietrze aż po jamę brzuszną.

Dotąd czuła na sobie piżmowy płyn do kąpieli albo szampon. Davida.

To, co między nimi zaszło, w innych okolicznościach zaprzątęłoby ją bez reszty. Dziś jednak było błahostką.

– Okej – powiedziała do siebie. – Dobra, a teraz wstawaj.

Wstała.



Wkrótce potem wykąpana, ubrana w luźne spodnie od dresu i czarną bluzę z kapturem, Stevie pojawiła się w świetlicy. Przy stole siedzieli Nate i Janelle, oboje jeszcze w piżamach. W kuchni Pix rozmawiała przez komórkę. Na sofie siedział David w wymiętoszonych dzinsach i pogniecionej rdzawoczerwonej koszuli. Mokra włosy lepiły mu się do czoła. Spojrzał na Stevie, gdy weszła – przeciągle, acz bez humoru, rejestrując jakby tylko jej obecność.

Milczeli. Ktoś ledwie bąknął „dzień dobry”, a inny pokiwał głową. „Bo niby o czym rozmawiać, gdy umiera współlokator, którego się prawie nie zna, a jeśli już, to nie za bardzo ceni?”

Przyszła Ellie w poplamionych farbą długich majtkach z wytłaczanej bawełny, poszarpanym tiszercie jakiegoś francuskiego zespołu i naciągniętych na ramiona getrach. Oczy miała spuchnięte i zaczerwienione. Opadła na sofę przy Davidzie i zwijając się w kłębek, wtuliła mu głowę w kolana. Zamyślony David położył dłoń na jej skołtunionych włosach.

Sterie poczuła wzbierające wymioty. „Będą mówić o tym, co się stało? A jeśli tak, to co powiedzą? Czy może nie wspomną na ten temat ani słowem...?”

Na tę myśl coś w niej tąpnęło, tak że zapatrzyła się w kawę. Kawa, stęchła i gorzka, była jednak gorąca, więc Stevie piła ją, by dodać sobie otuchy.

– Stevie – rzekła Pix, wchodząc. – Dzwonił Larry. Muszą z tobą jeszcze pogadać. W Wielkim Domu. Już po ciebie jedzie.

Janelle zerknęła na Stevie z niepokojem, a Nate pobladł.

– To normalne – powiedziała Stevie. – Policja musi powtarzać pytania, żeby doprecyzować sobie informacje.

– Reszta niech się stąd nie rusza – nakazała Pix.

– Cały dzień? – zapytała Ellie, spoglądając znad kolan Davida. Głos jej ochrypl od długiego płaczu.

– Na razie – odrzekła Pix. – Wezwaliśmy psychologów, gdyby ktoś z was chciał porozmawiać.

David wzniósł oczy do sufitu.



Gdy chwilę później Stevie i Larry podjechali pod portyk Wielkiego Domu, stały tam już dwa wozy policji stanu Vermont.

– Mów tylko to, co wiesz – wskazał Larry. – Samą prawdę.

– Jasne – odpowiedziała Stevie.

– Trzymasz się?

– Mhm. Może to jeszcze do mnie nie dociera. To źle?

– Ani źle, ani dobrze. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Kiedy zaczniesz pracować w tym fachu, nauczysz się brać rzeczy takimi, jakie są – a nie tak, jak rzekomo powinnaś.

Była to jedna z najmądrzejszych uwag, jakie Stevie usłyszała od dorosłych.

Larry zaprowadził ją nie – jak sądziła – do pomieszczenia dla ochrony, tylko pod masywne drewniane drzwi gabinetu Alberta Ellinghama.

– Tu? – spytała.

– Detektyw przesłuchuje tutaj – odparł. – Odpowiadaj tylko na pytania. Spokojnie sobie poradzisz.

„A więc tym razem detektyw, nie funkcjonariusz w mundurze”.

Przy wielkim różowym kominku stały dwa krzesła obite skórą, między którymi leżała budząca grozę skóra lamparta. Na jednym krześle siedziała, zapisując coś w notesiku, drobna kobieta w szarej garsonce.

– Stephanie? – spytała, zaglądając do notatek. – Detektyw Agiter. Usiądź, proszę.

Stevie siadła naprzeciw niej, na jednym z krzeseł Ellinghama. Wiekowa skóra była nadal w świetnym stanie, miękka i bardzo wygodna. „Tu siadał, rządząc swym imperium, rozmyślając o zaginionej żonie i córeczce”.

Detektyw Agiter, ubrana z wyszukaną bezbarwnością, miała smukłe, zadbane dłonie, a ciemne włosy upięła w ciasny koczek. Stevie najbardziej zachwyciły jej niepozorne czarne balerinki. Na jej twarzy malował się wystudiowany spokój. „Nie dać po sobie nic poznać. Powinnam nauczyć się tej miny. Tak wygląda prawdziwy detektyw”.

– Zarejestruję rozmowę – powiedziała kobieta, stawiając na stoliku art deco między nimi cyfrowy dyktafon. – Przesłuchanie Stephanie Bell przez detektyw Fatimę Agiter, niedziela, dziesiąty września, dziewięta czterdzieści pięć. Wo-
lisz Stephanie czy Stevie?

– Stevie.

– Stevie, uczestniczyłaś w kręceniu wideo o porwaniu Iris i Alice Ellingham. Czyj to był pomysł?

– Hayesa.

– Skąd twój udział?

– Hayes poprosił, żebym mu pomogła.

– A dlaczego ciebie? – spytała detektyw.

– Dlatego, że dobrze znam sprawę.

– Masz na myśli uprowadzenie? – doprecyzowała detektyw.

Stevie kiwnęła głową i skarciła się w duchu. „Miałaś mówić jasno. To jasne nie było”.

– Dużo wiem o sprawie Ellinghamów. Przyjechałam tu ją badać. Przesłuchanie... jego historię.

– Czyli: Hayes chciał zrobić program o tych porwaniach, więc zwrócił się do ciebie, bo sporo wiesz na ten temat. A ty zwróciłaś się do Nathaniela, ponieważ on pisuje?

– Hayes mnie o to poprosił – wyjaśniła Stevie.

– Hayes zebrał więc ekipę osób o różnych specjalizacjach. W jej skład weszli też: Maris Coombes, która para się teatrem, i Patrick Dashell, zajmujący się filmem. I realizowaliście ten projekt wspólnie.

– Tak – potwierdziła Stevie.

– Jak dostaliście się do tunelu?

Serce Stevie zamarło.

– Otworzyłam zamek.

– W jaki sposób?

– Wytrychem.

Detektyw Agiter uniosła wypielegnowaną brew, jedyny raz podczas przesłu-

chania zdradzając emocje.

– Wyłamałaś go? – doprecyzowała.

– Tak – odrzekła Stevie. Niezaprzeczalnie wyłamała zamek. „Żegnaj, Akademo. Było miło, ale się skończyło”.

– Skąd wiesz, jak to się robi?

– Z YouTube’a. – Stevie wzruszyła ramionami, komunikując, że choć to nic wielkiego, nie jest do końca pewna, jak jej się udało.

– Po co ci ta umiejętność?

– To umie każdy. Właściwie po nic.

„Wyłamuję zamki dla sportu”.

– Larry twierdzi – rzekła detektyw – że interesujesz się egzekwowaniem prawa.

– Tak jest.

– Z reguły nie wyłamujemy zamków.

– No tak – odparła Stevie. – Wiadomo.

Podrapawszy się w ucho, detektyw Agiter kontynuowała.

– Po zdjęciach wyszliście z tunelu wszyscy razem, czy może wychodziliście w grupkach?

„Ani słowa o włazie. Dziwne”. Serce Stevie na chwilę przyspieszyło, a mózg raptownie zwolnił. – Wyszliśmy razem – odparła. – Maris i Hayes... tam zostali.

– Wiesz, co robili?

– Mogę się domyślać.

– Mianowicie? – zapytała detektyw.

– Całowali się...? – odrzekła Stevie. – Albo coś w tym stylu.

Detektyw uśmiechnęła się lekko i zajrzała do notesu.

– Filmowaliście przy sztucznej mgle. Jak ją zrobiliście?

– Mieliśmy maszyny.

– Korzystaliście z innych urządzeń? – dociekała detektyw.

„Dziwaczne pytanie” – pomyślała Stevie.

– Nie.

– Tylko z tych trzech maszyn?

– Tak jest.

„Co się tak uczepiła tych maszyn?”

– To chyba wszystko, Stevie – oznajmiła detektyw. – Chyba że przypominasz sobie coś niezwykłego, co wtedy się zdarzyło?

Stevie poszukała w głowie. „Rzecz jasna widziałam list na ścianie. Napis, który najpewniej podsunęła mi wyobraźnia. Nie można mówić policji o rzeczach, które się wymyśliło. A może jednak? W kryminałach robią to ciągle i zwykle okazuje się to ważne”.

– Nie – odparła.

– Dobrze. Przesłuchanie zamknięto o dziesiątej dwadzieścia.

Detektyw Agiter wyłączyła dyktafon, więc Stevie podniosła się z głębokiego krzesła.

– Co się stało Hayesowi? – zapytała.

Detektyw podniosła na nią wzrok.

– Musimy poczekać na raport koronera – odpowiedziała.

– Nie... – Stevie się zaczerwieniła. – Znaczy tak, przepraszam.

Podeszła do drzwi i już miała nacisnąć kryształową gałkę o ostrych brzegach, gdy coś jej się przypomniało.

– Byłabym zapomniała o... identyfikatorze Janelle.

Detektyw Agiter podniosła wzrok znad notesu.

– To znaczy?

– Janelle jest moją bliską przyjaciółką. Ktoś odniósł jej identyfikator do Minnerwy... Gdy w czwartek poszliśmy na jogę, miała go ze sobą. Ale potem, gdy zbierała się do wyjścia, stwierdziła, że zniknął jej z torby. Na drugi dzień znalazła go na ścieżce pod naszym domem.

– Czemu sądzisz, że ktoś go jej zabrał? Nie mogła go po prostu zgubić?

– Był przypięty w torbie, w przedniej kieszeni – tłumaczyła Stevie. – Widziałam na własne oczy. Po otwarciu drzwi Janelle włożyła go z powrotem do tej kieszeni. Gdy wychodziłyśmy, okazało się, że zginął. No a w piątek rano leżał pod budynkiem.

– Jak nazywa się Janelle?

– Franklin – odrzekła Stevie.

Detektyw zapisała to w notesie.

– Dzięki, Stevie – rzekła na koniec. – A teraz idź już do siebie.

W głównym holu policjanci rozmawiali z dwoma ochroniarzami. Gdy Stevie opuszczała gabinet Ellinghama, żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi. Zauważyła, że na podeście schodów Charles rozprawia o czymś z doktor Quinn i kilkoma jeszcze nauczycielami. Wyszła na dwór sama.

Niebo zasnuwały chmury. Na kampusie zaległa przykra cisza, bo wszyscy zostali w domach. Dla Stevie, która musiała przetrwać masę spraw i stawić czoło lękom, najistotniejsza teraz była kwestia mgły. „Po co pytać akurat o mgłę? Kto by się nią dziś zajmował? Musi być jakiś powód. Zapytała mnie o to dwa razy”.

Stevie przywołała w myśli wszystko, co wie o maszynach, z których korzystali. „Były wypożyczone. Fukwały sztucznym dymem. Który trochę cuchnie”.

„Ale zaraz... Przecież mgła pojawiła się już wcześniej... Suchy lód... W warsztacie, gdy Dash i Janelle kłócili się o słupki, Maris pokazała Dashowi suchy lód, a on stwierdził, że lepiej będzie użyć maszyn”.

W pół drogi do Minerwy Stevie przystanęła, wyjęła komórkę i wygooglowała suchy lód. Przeglądając wyniki, natknęła się na słowo „zagrożenie”.

„Suchy – zestalony dwutlenek węgla... niegroźny, ale należy obchodzić się z nim ostrożnie... zamienia się w gaz (sublimuje)... używany w pomieszczeniach niewietrzonych – zwłaszcza nisko położonych, jak piwnice – może ze względu na swój ciężar powodować hiperkapnię... Ów nadmiar dwutlenku węgla może doprowadzić do utraty przytomności, a nawet gwałtownej śmierci”.

Stevie przełknęła ślinę.

„W warsztacie był suchy lód. Identyfikator Janelle zginął.

Ktoś otworzył nim warsztat.

Powinam iść do siebie. Złamałam już za dużo zasad.

Powinam wrócić do Minerwy.

Więc dlaczego odwracam się od Minerwy i zmierzam w stronę warsztatu? Identyfikator i tak mnie nie wpuści. Niby co miałabym tam znaleźć?”

Mimo wszystko jednak nie umiała oprzeć się wewnętrznemu nakazowi.

– Sprawdzę nagrania – usłyszała głos Larry’ego.

Szedł za nią z detektyw Agiter.

Stevie ledwie zdążyła skryć się za wózkiem golfowym.

– Znacie czas przebywania w domach i poza nimi? – zaciekała się detektyw.

– Tak, rejestruje to system. Chwileczkę. – Larry przystawił komórkę do ucha. – Jerry? Przygotuj mi ewidencję Janelle Franklin. Muszę wiedzieć, co robiła w czwartek wieczór.

Stevie śledziła ich z pewnej odległości, gdy tak zmierzali do warsztatu. Zatrzymała się na moment, kiedy Larry wyjął swój identyfikator i otwierał drzwi. „Jak wejda, przestanę ich słyszeć, a o tym nie może być mowy”.

Wiedziona irracjonalnym odruchem, podkradła się pod drzwi i przytrzymała je przez chwilę palcem, tak by Larry i detektyw Agiter mogli się od niej oddalić. Gdy uchyliła drzwi szerzej, stali już na końcu pomieszczenia, oglądając niebieski pojemnik z suchym lodem.

Zdumiona swoją odwagą, nie zamierzała się wycofać.

Ukradkiem wśliznąwszy się do środka, przysiadła za stojakiem na narzędzia ogrodowe.

– Rany boskie! – odezwał się Larry – toż to było pełne. Jakim cudem... Tak, Jerry. Jasne. Do pracowni artystycznej o szesnastej pięćdziesiąt. Później nic do pierwszej dwanaście. Weszła do warsztatu. Mhm.

Schował komórkę do kieszeni.

– Według Stephanie Bell – rzekła detektyw – identyfikator zginął Janelle Franklin w czasie lekcji jogi.

– Porównam to z jej harmonogramem, ale jogę mają w pracowni artystycznej, więc chyba się zgadza. Czyli ktoś wykrada identyfikator...

– I otwiera nim sobie warsztat o pierwszej w nocy. Musimy to spisać i wydrukować. Sądzisz, że to się trzyma kupy? Wchodzi tu, wynosi...

Wtem zadzwoniła komórka Stevie.

Larry i detektyw obejrżeli się równocześnie.

„Bez sensu teraz się chować”. Stevie podniosła się z ziemi.

– Hej – szepnęła.

Odczekawszy moment, zerknęła na komórkę. Na ekranie widniał napis: „Rodzice”.



19

Wyprowadzając Stevie z warsztatu, Larry był mniej miły niż dotychczas.

– Wiem – zaczęła. – Jestem...

– Słuchaj, Stevie – odparł. – Bystra z ciebie dziewczyna i szczerze cię lubię. Powiem wprost: masz robić to, co każę.

– Mhm. Ja tylko...

– Nie. Powiedz, że będziesz mi posłuszna.

– Będę – odrzekła Stevie. – Ale Janelle...

– Więc teraz zostaniesz tutaj – wskazał. – W biurze ochrony. I nie będziesz z nikim rozmawiała, chyba że ci pozwolę. Okej?

Znów zadzwoniła jej komórka.

– Kto to? – spytał Larry.

Pokazała mu ekranik. Znowu byli to rodzice. Dał jej znak, że może odebrać, i patrzył, jak to robi.

– Stevie!!! – zawołali oboje, nie wiedziała więc, które pierwsze. – Właśnie dzwoniли ze szkoły – powiedziała mama. – Już po ciebie jedziemy.

Stevie przesunęła dłoń po czole.

– Nic mi nie jest – odparła.

– Stevie, tam ktoś zginął.

– No wiem.

– Więc jedziemy i wracasz do domu – oznajmił ojciec.

– To straszne. – Spanikowana Stevie wbiła wzrok w ziemię. – Ale... mogło się wydarzyć wszędzie.

– W starej szkole jakoś nikt nie umarł.

– Nieprawda. Był wypadek samochodowy w...

– Posłuchaj – odpowiedziała mama. – Oboje zwalniamy się na dzień z pracy i wyjeżdżamy po ciebie. Jesteś tam tak krótko, że można cię wypisać.

„To nie jest powód do płaczu. Powinnam płakać po Hayesie. Ale, jak mówi Larry, nic nie dzieje się tak, jak byśmy chcieli”. Stevie otarła łzę wierzchem dłoni, starając się powstrzymać drżenie głosu.

– Moglibyśmy... porozmawiać o tym, kiedy przyjedziecie? – zapytała.

Rodzice zgodzili się niechętnie. Stevie jednak udało się rozłączyć. Twarz Larry’ego nieco złagodniała i zamiast wyszczerbionej skały przypominała teraz gładki kamień.

Nad ich głowami rozległ się odgłos, taki sam jak wczoraj wieczorem. Jednocześnie podnosząc głowy, zobaczyli biały helikopter.

– Prasa – poinformował Larry. – Już się dowiedzieli. Za moment będą pod bramą. – Głośno westchnął i przyspieszył kroku. – Chodź. Muszę cię odstawić do Minerwy, a potem zająć się tą sprawą.

– Straciłam głowę – wyznała Stevie. – Bałam się o Janelle. Ale to się więcej nie powtórzy. Obiecuję, że od razu wrócę, nie będę się guzdrała i już nigdy nie zrobię nic wbrew panu. Przepraszam. Niech pan robi, co należy. Może mi pan zaufać.

Larry przyglądał jej się chwilę.

– Dobrze – odparł. – Ale pamiętaj, że w przeciwnym razie będzie między nami wojna. Zawsze mogę cię sprawdzić.

Kiedy – zgodnie z obietnicą – skierowała się do domu, Larry przywołał ją z powrotem.

– Uważaj na siebie, Stevie – szepnął. – Pobądź z przyjaciółmi. Nawet jeśli go nie lubiłaś, to nie pora na samotność.

– Kto mówi, że go nie lubiłam? – zapytała Stevie.

– Dwadzieścia lat w policji stanowej. Byłem detektywem. Zdążyłem nabrać wprawy.

– Był pan detektywem? – zdumiała się Stevie. – Serio?

– Piętnaście lat w wydziale zabójstw.

– Czemu pan zrezygnował?

– Bo otworzyłem za dużo drzwi i widziałem za dużo okropieństw – odrzekł cicho Larry. – A od niektórych nie sposób się uwolnić. Każdy detektyw nosi w sobie coś, co nie pozwala mu spać w nocy. Dwadzieścia lat to szmat czasu. Wiem, że chciałabyś zostać detektywem, ale nie baw się w to, rozumiesz? Wybij sobie z głowy węszenie za plecami policji.

– Tak jest – odpowiedziała Stevie.

– Rozumiemy się?

– Mhm – odparła. – Chyba tak.



Stevie wróciła do Minerwy otępiała. „Rodzice pewno nie dadzą mi spokoju i będą się upierali, żeby mnie stąd zabrać, oczywiście jeśli wcześniej nie zosta-
nę wyrzucona...” Zbliżając się do niebieskich drzwi, zobaczyła nagle dom w no-
wym świetle. „Może było mi pisane być tu krótko. Popełniłam tyle błędów. Los
przeznaczył... Nic z tego. Nie ma mowy, by decydował za mnie los. Los podsu-
wa możliwości, a w każdym razie się stara. Na razie nikt mnie nie wyrzucił i ro-
dzice jeszcze mnie nie wywożą. Poza tym dzieje się coś złego. Jeśli Hayes zwię-
dził identyfikator i wykradł suchy lód... to co, do ciężkiego licha, robił z tym lo-
dem w tunelu?”

Zadumana, weszła do świetlicy. Od jej wyjścia nikt nie zmienił miejsca. Ktoś
napalił w kominku, zrobiło się więc ciepło. Ogień nadał pomieszczeniu nieco-
dzienną, intymną aurę. Jego trzask przywodził na myśl pękające szkło.

– Wszystko dobrze? – zapytała Janelle.

Nate też się zainteresował.

– Tak. – Stevie zdjęła bluzę.

Rozejrzała się, gdzie by usiąść. Ellie i David nie wstali dotąd z sofy, ale było
między nimi trochę miejsca. Ellie miała na kolanach czarny zeszyt i coś w nim
rysowała. David, który trzymał laptop, z miejsca podniósł wzrok na Stevie.

Napotkawszy jego spojrzenie, odwróciła się natychmiast. Siadła przy stole.

– Powiedzieli ci, co się stało? – spytał Nate.

Stevie tylko pokręciła głową.

– No a pozwolą nam wychodzić?

– Raczej tak – odparła. – Niedługo. Dzwonili do mnie rodzice. Zawiadomiła ich szkoła. Wasi też się zaraz dowiedzą. Dowiedzą się o tym wszyscy.

– Mhm – przytaknął David. Na jego głos Stevie się wzdrygnęła, lecz nie umknęło jej, jak – reagując na te wieści – Janelle ciekawie zerka raz na nią, raz na niego. – Rozniosło się, więc jeszcze trochę, a nie opędzimy się od psychologów.

„Cały czas mi się przygląda – spostrzegła Stevie. – Jakby mnie chciał prześwi-drować”.

– Sama dam znać rodzicom – rzekła Janelle, biorąc komórkę. – Możemy? Są-dzisz, że można?

Stevie wzruszyła ramionami.

– Zaczekam. – Janelle odłożyła komórkę. – Spytaam Pix, jak wyjdzie spod prysznic.

– *Après le déluge* – odezwała się ni stąd, ni zowąd Ellie. – *Les parents*^[9]. Nikt jej nie rozumiał.

– Więc czekamy – orzekł Nate.

– Czekamy – zawtórował David.

Wbrew pozorom Stevie bacznie go śledziła. „Wprawdzie wczoraj całowali-śmy się tylko, ale bardzo długo. I długo też się turlaliśmy. Więc jak tu się teraz odezwać do kogoś, kogo tak przeturlałam?”

Ellie podniosła się raptem i odeszła do swego pokoju. Pozostała czwórka sie-działa, niezręcznie milcząc, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Był to Larry z umundurowanym policjantem.

– Możesz – Larry zwrócił się do Janelle – przynieść identyfikator i pozwolić z nami?

Janelle wybałuszyła oczy, ale zaraz wstała. Po chwili przyniosła identyfikator i wyszła z tamtymi ze świetlicy.

– Po co im przepustka Janelle? – spytał David Stevie.

– Ktoś ją zwędził – odparła, obserwując drzwi. – We czwartek.

– No i?

Stevie nie odpowiedziała. David usiadł obok niej przy stole.

– Nie wiesz? – dopytywał.

– Nie o wszystkim mogę mówić.

– Czyli jednak coś wiesz.

Nate przyglądał im się bez słowa. Do świetlicy zeszła Pix.

– Ktoś do was zaglądał? – zapytała.

– Policja wyprowadziła Janelle z identyfikatorem – odrzekł David. – Z przyczyn, których Stevie nie wolno wyjawiać.

– Nie jestem świnia – rzekła Stevie. – Po prostu nie mogę i już.

Pix wybiegła na dwór.

Atmosfera w świetlicy gęstniała. Stevie spojrzała na dłoń Davida na stole. „Ma długie palce. Te palce muskały wczoraj moje włosy i nie tylko. Jego ręce są silniejsze, niż się zdaje”. Zerknęła na niego z ukosa. „Brwi ma gęste i bardzo wyraziste. Unoszą się, gdy żartuje, wyginają się w łuk, gdy zaczepia, a teraz... teraz są równe, to znaczy, że jest czujny”.

Naraz zapragnęła sięść mu na kolanach. Przywrzeć do jego twarzy. Pocałować go w tej chwili, tutaj, przy kominku, na oczach Nate'a i losia.

Przemknęło jej to przez głowę niespodzianie jak zając przez drogę.

David zerwał się z krzesła i ruszył do pokoju Ellie, zostawiając Stevie i Nate'a.

– Ciekawe – mruknął Nate.

– Mhm – odparła Stevie.

– Naprawdę dobrze się czujesz?

Przytaknęła.

– Bo wyglądasz, jakbyś świrowała. Ale to nic. Ja świrowałem wczoraj, dziś już nie tak bardzo. Więc jak chcesz, to twoja kolej.

– Zawsze chciałam być świadkiem śmierci – rzekła Stevie. – Wiesz, że to moja bajka. No i teraz jestem. Głupio mówić, że o tym marzyłam, ale...

Pokręciła głową.

– To cię ciekawi – dokończył Nate. – Widziałem twoją minę, kiedy Larry mówił, że chce z tobą gadać policja.

– Czy to źle?

– Nie. Tak się stało i już. Gdy się stało, my akurat byliśmy tutaj.

Zahaczył paznokciem o nierówność drewna.

– Dzięki – szepnęła Stevie.

– Za co?

– Myślę, że mnie rozumiesz.

– Pewno. – Nate wzruszył ramionami. – Nie umiemy nazywać emocji. Chowali nas pod kloszem.

Drzwi znów się otworzyły. Wróciła Janelle i usiadła obok Stevie, opierając głowę na jej ramieniu.

– Zabrali mi identyfikator – powiedziała. – Idą na górę do pokoju Hayesa, żeby się rozejrzeć. Nie wiem, na co im mój identyfikator. Przecież nic nie zrobiłam.

Stevie położyła dłoń na głowie przyjaciółki. Dziwnie czuła się z tą ciepłą głową na ramieniu, z ufnością Janelle, wsparciem Nate'a.

Z wymownym milczeniem Davida – tego, do którego zbliżyła się najbardziej.



20

Areszt domowy skończył się o trzeciej.

Naturalną kolejną rzeczą czuwanie odbywało się w jurcie. Bez żadnych formalnych zapowiedzi. Uczniowie zebrali się w niej spontanicznie, zajmując miejsca na zakurzonych poduchach, zdezelowanych sofach i futonach. Atmosfera była chaotyczna i nerwowa – wszyscy mówili naraz, cicho, niemal jednolitym tonem. Poprzymosili jedzenie, więc po jurcie krążyły torby czipsów, cukierków i różnych przekąsek.

Stevie przyszła z Nate'em i Janelle. Czekająca na nich przy wejściu Vi zarzuciła Janelle ręce na szyję. Wyglądały jak para.

Wchodząc, Stevie spostrzegła, że wzbudza wielką ciekawość. Koledzy odwracali się, by na nią spojrzeć, tak jak niedawno na Hayesa. „Wiedzą. Zostałam Tą, Która Tam Była”.

W głębi, na największej sofie, siedzieli Dash i Maris, a naprzeciw nich grupka słuchaczy na poduszkach. Maris – cała w czerni, w rajstopach i swetrze przepasanym złotym paskiem – wyglądała, jakby przebrała się za Kobietę Kota. Dash, znów w za dużej koszuli, przycupnął z kolanami pod brodą. Maris miarowo lkała. Gdy Stevie weszła, spojrzała na nią i wyrzuciła ręce w górę.

– Stevie! – zawołała. – Nate!

Ledwie Stevie się do nich zbliżyła, Maris chwyciła ją kurczowo za rękę.

Stevie popatrzyła na swą dłoń w potrzasku. Nie była pewna, czy gest jest szczerzy, czy przesadnie dramatyczny, czy też naprawdę dramatyczny. Zmęczoną i zarazem rozbudzoną, prześladowało ją dziwne poczucie winy.

– Dziś też was przesłuchiwali? – spytał Dash. – Bo nas tak.

– Mhm – odparła Stevie.

– Powiedzieli wam cokolwiek?

– Wypytywali o maszyny do mgły.

– Aha – odrzekła Maris. – Nas tak samo. Gdzie przebywaliśmy. I o której wróciliśmy z tunelu do domu.

– Którą podaliście? – zapytała Stevie niby mimochodem. – Dash pewno wrócił na czas.

– Tuż przed jedenastą – odpowiedziała Maris. – I on, i ja.

Zaskoczenie Dasha wydawało się prawdziwe.

– Przepraszam – rzekła Stevie. – W zeszłym roku robiliście coś razem? Współpracowaliście przy *Kresie*...?

– Nie – odparł Dash. – Zrobił to sam od A do Z. Na wakacjach. Nie wiadomo kiedy. Byłby gwiazdą. Jestem przekonany. Trafiłby do Hollywood i kręcił filmy. Zostałby wielką szychą. Był tego typu aktorem.

– Tak stwierdziłam, gdy się poznaliśmy – dorzuciła Maris. – Gwiazda, najprawdziwsza gwiazda.

Stevie postanowiła nie dodawać, że przecież wtedy był już popularny.

– Był uczciwy – ciągnęła Maris. – Jak żaden ze znanych mi ludzi. Stąd jego świetne aktorstwo.

– Uczciwy? – zdziwiła się Stevie.

– Może raczej: czysty... Bezpośredni. Gdy się poznaliśmy, od razu poczułam, że muszę z nim być. – Maris przerwała na chwilę i kontemplowała paznokcie. Po czym nagle podniosła wzrok. Stevie obróciła się, by zobaczyć, na co patrzy. Do jurty właśnie weszła Gretchen. – A ta – rzekła Maris – jest suką.

– To eks Hayesa, prawda? – zapytała Stevie.

– Skrzywdziła go. Spójrzcie na nią...

Gretchen wyglądała mizernie. Płakała.

– Z Beth romansował dla szpanu – kontynuowała Maris. – Wiadomo, co powiedzą ludzie, ale robił to dla szpanu.

Dla szpanu... Przypomniało to Stevie o przecuciu, którego dotąd nie umiała nazwać. Romans Hayesa z Maris wydawał się... wyreżyserowany... udawany. „Odstawili szopkę. To, jak wtedy się odwrócił i nie chciał, żeby z nim poszła...

Te teatralne spojrzenia”. Z drugiego końca jurty Janelle przywoływała ją machaniem. Wraz z Nate i Vi pochylała się nad laptopem Nate’a. Był tam też David, który dopiero co się zjawiał.

– Znów Germaine Batt – rzekł Nate, obracając ekran w stronę Stevie.

Małomówna, wszechwidząca Germaine Batt wstawiła do sieci kolejną relację, poświęconą między innymi zniknięciu suchego lodu. News z miejsca rozszedł się po jurcie, bo wszyscy rzucili się do komórek.

– Suchy lód? – szepnęła Janelle. – Więc o to chodzi? Dlatego sprawdzali identyfikator? Hayes zginął od suchego lodu?

– Jak to – zdumiał się Nate – od suchego lodu?

– Dwutlenkiem węgla można się zatruć na śmierć – wyjaśniła Janelle – gdy utknie się w ciasnym pomieszczeniu z suchym lodem, którego starcza do wyparcia tlenu. Hayes dużo zwinął...?

– Prawdopodobnie tak się stało – odpowiedziała Stevie. – Podśłyszałam coś na ten temat, gdy mnie wzięli do Wielkiego Domu.

Janelle zmarszczyła czoło.

– Pewnie dużo – odpowiedziała sobie. – A cholera jest bardzo ciężkie.

Pograżyli się w milczącej zadumie. Vi masowała rękę Janelle.

– I co teraz? – spytał Nate.

– Ja tu chyba długo nie pobędę – odrzekła Stevie.

– Sądzisz, że cię wywalą? – zaciekała się Vi.

– Skądże – rzucił David, który zaszedł ich od tyłu i przysiadł na skraju sofy. – Nie wyrzucają nikogo. Sprawdziłem.

– Nie wiadomo, czy nie wywiozą mnie rodzice – odparła Stevie.

– Niby czemu?

– Bo nie chcieli, żebym tu przyjechała.

– A to z jakiego powodu? – spytała Vi.

– Bo lubią to, co normalne. Ellingham normalne nie jest. Jest pełne tego, co ich denerwuje. Ludzi. Pozwolili mi tu przyjechać, bo szkoła jest luksusowa, a darmowa, ale najchętniej zabraliby mnie stąd pod byle pretekstem. No a śmierć to pretekst poważny... Więc nie pobędę za długo w tym wyjątkowym świecie. Czeka mnie powrót do biura Edwarda Kinga – i słuchanie ludzi, którzy

zamiast w zmianę klimatu wierzą w kosmitów.

– O rany – odpowiedziała Vi. – Nie możesz na to nic poradzić?

– Nie wiem. Pewno gdybym nagle została królową balu... Byliby zadowoleni.

– Może odprawiają nas wszystkich – zastanawiał się głośno Nate. – Może zamkną szkołę.

– Dalibyście spokój – upomniała Janelle. – Hayes nie żyje.

– To nie znaczy, że nie wolno mówić o zamknięciu szkoły – odparł Nate.

Stevie usłyszała, jak ktoś w grupie obok mówi cicho: „Zamykają szkołę?”. „I tak głuchy telefon prześcignął życie” – pomyślała.

Kłapa uniosła się i do jurty wkroczyła Ellie.

Trzymając nad głową Rootę, chwiała się, ewidentnie pijana.

– Hayes nie żyje! – zawołała. – Niech żyje Hayes!

Zaczęła rzępolić.

Obwieszczenia nie odebrano najlepiej. W przeciwieństwie do pierwszego wieczoru, nikt nie był spragniony jej twórczości. David ześliznął się z oparcia sofy, podszedł do Ellie i szepnął jej coś do ucha. Wyrwała mu się i zagrała bardziej agresywnie. Gdy wziął ją pod rękę, próbując wyprowadzić, wyrwała mu się znowu.

Wokół Ellie zgromadziło się kilkoro entuzjastów sztuki. Wydawało się, że chcą ją powstrzymać, ale jeden zaczął skakać w osobliwym tańcu. Ellie poszła w jego ślady. Po chwili dołączył ktoś jeszcze. David obruszył się na to i wrócił na swoją grzędę. Maris, z początku zniesmaczona, wstała i ruszyła w tany, wymachując rękami jak w oblędzie.

– O, Boże – rzekła Janelle, zagłuszając jazgot. – Co tu się odprawia?

– Bachanalia – odpowiedział Nate.

Wysysając z jurty resztki tlenu i energii, gromadka przerwała taniec dopiero wraz z wejściem kolejnej grupy. Ta – nieco mniej rozrywkowa – składała się z Larry’ego, Charlesa, doktor Quinn i dwóch umundurowanych policjantów. W jurcie zapadła głucha cisza.

– Uwaga. – Larry uniósł ręce.

Ellie zabeczała na saksofonie.

– Element – upomniał ją. – Bądź tak dobra...

Opuściła instrument.

– Policja musi jeszcze chwilę porozmawiać z każdym z was – poinformował Larry. – Nie ma powodu do obaw. Zależy nam na uściśleniu pewnych faktów. Proszę więc, żebyście wszyscy wrócili teraz do domów.

– Kolację wam dostarczymy – dodał Charles. – Pamiętajcie, że mamy psychologów, którzy przyjdą do was, gdy zechcecie. Gdyby ktoś potrzebował wsparcia, niech odpowie na mojego esemesa albo zwróci się do któregoś z nauczycieli.

Jak jeden mąż powlekli się do domów, jeszcze bardziej nabuzowani.

– Każdy pogada z gliną – mówił David do współlokatorów w drodze powrotnej do Minerwy. – I ty, i ty, i ty...

– Nie mam zamiaru – ogłosiła Ellie.

– Powodzenia – odparł David.

– Nie muszę ani nie chcę – odrzekła. – W Stanach nie panuje faszyzm.

– Nie chodzi przecież o przymus – zwrócił się do niej Nate. – Widać, że chcą ustalić, co się stało.

– Poza tym jesteś zalana – dodał David. – Więc napij się kawy, nim cię wezwą.

Ze śmiechem pchnęła go raptownie, aż zaskoczony przewrócił się na plecy.

– Czy zalana ma tyle siły? – zapytała.

– Najwyraźniej. – Wstał, otrzepując ubranie.

Ellie zatoczyła się, pijana bardziej, niż sądziła Stevie. „Z nią nigdy nie wiadomo: jest czy nie jest”.

– Chodź – rzekła Janelle do Stevie. – Chwyć ją, jak ja, pod rękę.

Postępując naprzód, Janelle wprawnie wzięła Ellie pod ramię i czekała, aż Stevie weźmie ją pod drugie.

– Chodźmy razem – zaproponowała. – Co ty na to, byśmy poszły razem?

– Można iść razem – odpowiedziała Ellie. – Czemu nie? Razem. Razem!

Utrzymanie Ellie w pionie okazało się niełatwe.

– Wiesz... – Buchnęła Stevie w twarz zapachem wina. – Kazał mi wziąć Rotę. Miał czuja. Miał czuja.

– Okej – zgodziła się Stevie.

– Czuł sztukę. Bardziej, niż się komu wydawało.

– Okej.

David szedł wielkim krokiem, z rękoma głęboko w kieszeniach. Po upadku z radością oddał Ellie pod opiekę Stevie i Janelle.

– Ej, Nate – zagadywała Ellie. – Czujesz sprawę. Pisziesz. Rozumiesz.

– Jasne. – Nate przytaknął bez przekonania.

– Zapisujesz, co widzisz w głowie.

Chciała poklepać go po głowie, ale Janelle unieruchomiła jej rękę.

– Woda – powiedziała Janelle. – Musimy napić się wody! A później kawy. I wziąć kąpiel. Co powiesz na kąpiel?

– Kąpiel! – powtórzyła Ellie. – Sama się wykąp. Wszyscy się wykąpcie! Z wyjątkiem Stevie. Czujesz, Stevie?

– Czuję – odparła Stevie, nie mając pojęcia, o co chodzi.

Po kryjomu przed Pix wprowadziły Ellie do Minerwy. Janelle napuściła wody do wanny. Wiedząc, że Ellie odpowiada kąpiel w ubraniu, wsadziły ją do wanny tak jak stała.

W wannie Ellie zamilkła, posłusznie sącząc kawę. Gdy parę godzin później przyszli policjanci, była względnie przytomna. Janelle, Nate i Stevie zostali już przesłuchani.

Najpierw poproszono Davida. Przesłuchanie odbyło się u niego i trwało mniej więcej dziesięć minut.

– O co pytali? – zapytała Stevie.

– Czy wiedziałem coś o planie Hayesa. Czy wspominał o tunelu i o suchym lodzie. Nie wspominał. Byłem tu, jak się tym zajmował, popalałem z Ellie. Nie powiedziałem o tym i nie wiem, co powie ona, no ale to się okaże.

Ellie wytrzeźwiała na tyle, by nie mówić o marihuanie. Zeznała, że ona i David pracowali razem w domu.

Zmęczenie tym dniem dopadło wszystkich równocześnie. Minerwianie polegiwali jeszcze jakiś czas w świetlicy, po czym rozeszli się kolejno do łóżek. Najpierw Ellie, za nią Janelle, wreszcie Nate. David kołysał się wolno w hamakowym krześle.

– Naprawdę myślisz – zapytał – że rodzice każą ci wyjechać?

– Ktoś na pewno – odrzekła Stevie. – Jeśli nie oni, to szkoła.

David wyprostował nogi, aż hamak się naprężył.

– Nie wyrzucą cię – odpowiedział. – Tutaj się tego nie robi. Wierz mi. Obczaiłem system.

– Czy ktoś przy okazji zginął? Znaczy: gdy go oczajaleś?

– Nie zrobiłaś nic, przez co zginął, prawda?

– Chyba nie. Choć...

– Niczego nie żałujesz, racja?

Spojrzała na niego przenikliwie. „Chodzi o to, cośmy robili? Co to za mroczna zabawa? Tak czy siak, ja się w nią nie bawię”.

– Idę spać – oświadczyła, wstając. – Dobrej nocy, Westley. Rano pewnie mnie zabiją ^[10].

– Lepiej nie żartuj ze śmierci – odparł David, wychodząc.

Federalne Biuro Śledcze

Zapis przesłuchania Leonarda Holmesa Naira przez agenta Samuela Arnolda

17 kwietnia 1936, 15:30

Miejsce: posiadłość Ellinghamów

SA: Muszę zadać panu jeszcze kilka pytań.

LHN: Cóż, nie zajmujemy się tu niczym innym.

SA: Musimy ustalić fakty. Rozumiem, że zdarzyło się panu uczyć tutaj plastyki...?

LHN: Niech mi pan nie przypomina, proszę.

SA: A to dlaczego?

LHN: Najdłuższe popołudnie w moim życiu: zapoznanie dzieci z Maxem Ernstem. Ale byłem to winien Albertowi. Według niego dzieciaki powinny się uczyć od najlepszych.

SA: Czy tego dnia poznał pan uczennicę nazwiskiem Dolores Epstein?

LHN: Nie mam pojęcia. Dla mnie dzieci wyglądają identycznie.

[Zapoznaje przesłuchiwanego z fotografią Dolores Epstein.]

LHN: Tak jak mówię: nie odróżniam dzieci.

SA: Dolores była bardzo zdolna. Wielu nauczycieli tutaj uważało ją za najinteligentniejszą.

[P. Nair ponownie ogląda fotografię.]

LHN: Gdy pan tak mówi... Jedna rzeczywiście miała więcej w głowie. Całkiem niezłe znała sztukę starożytnych. Może więc to ona. I te loczki... Tak, to chyba ona. To ta, która znik-

nęła?

SA: Ostatni raz widziano Dolores Epstein trzynastego po południu, gdy wypożyczała książkę z biblioteki. Widział ją pan też poza zajęciami?

LHN: Widzi się ich wszystkich, jak się tutaj kłębią. Wie pan... Otwierając tę szkołę, Albert chciał ją wypełnić geniuszami, ale połowa uczniów to dzieci jego znajomych, prawdę mówiąc, niezbyt lotne. Druga połowa wydaje się w porządku. Jeżeli mam być szczery, to bodaj dwoje poza Epstein wykazywało przebłycki talentu. Chłopiec i dziewczyna, nazwisk nie pamiętam. Zachowywali się jak para. Dziewczyna miała kruczoczarne włosy, a chłopak przypominał Byrona. Interesowali się poezją. Byli głodni wiedzy. Dziewczyna wypytywała o Dorothy Parker, co uznałem za dobry znak. Przyjaźnię się z Dorothy.

[Kładę na stole srebrną zapalniczkę.]

SA: Poznaje ją pan?

LHN: Bałem się, że mi przepadła!

[P. Nair próbuje wziąć zapalniczkę. Powstrzymuję go.]

SA: Stanowi dowód rzeczowy. Musi zostać u nas.

LHN: To Cartier! Gdzie ją znaleźliście? Szukałem jej wieki.

SA: Znaleźliśmy ją w obserwatorium wraz z ołówkiem i książką biblioteczną Dolores.

LHN: Musiałem ją tam zostawić.

SA: Stwierdziliśmy na zapalniczce odciski palców Dolores. Skąd mogła mieć pańską zapalniczkę?

LHN: Pewnie ją znalazła.

SA: Nie pan jej ją dał?

LHN: Po co miałbym ofiarować dziecku zapalniczkę od Cartiera?

SA: Nie wiem.

LHN: Bez przerwy coś mi ginie. Przypuszczam, że dziewczynka znalazła ją i zatrzymała, bo to piękny przedmiot. Dziecko ma gust. Odzyskam zapalniczkę?

SA: Gdy nie będzie nam już potrzebna. Pozwolę sobie spytać o coś jeszcze. Czym mogła kierować się panna Robinson, wchodząc do zamykanej na klucz osobistej przebieralni pani Ellingham?

LHN: Trudno orzec. Znają się jak łyse konie.

SA: Chodzi mi konkretnie o wieczór trzynastego, kiedy wszyscy w domu szukali panny Robinson. Nie odpowiadała na wołania, po czym okazało się, że od około kwadransa jest w swoim pokoju. Biorąc pod uwagę oczywistą panikę, zachowywała się dość zaskakująco.

LHN: Trudno mi uzasadnić zachowania Flory.

SA: Przyjaźni się pan z panną Robinson?

LHN: Tak, jesteśmy przyjaciółmi.

SA: Gdzie się państwo poznali?

LHN: W jakimś tajnym barze. Lata temu.

SA: Mam rozumieć, że Flora Robinson nie mówiła panu, co robiła w pokoju Iris Ellingham w poniedziałek wieczór, kiedy podniesiono alarm?

LHN: Tak jest: nie mówiła.

SA: Nawet o tym nie wspomniała?

LHN: Flora nie spowiada mi się z tego, do których pokoi chodzi.

SA: Jak więc dowiedział się pan o uprowadzeniu?

LHN: Gdy Flora zbudziła mnie w czwartek rano, o czym wie pan, bo powtarzałem to co najmniej dziesięć razy. Sugestia, że Flora ma z tym coś wspólnego, jest w najwyższym stopniu błędna. W przeciwieństwie do mnie Flora ma serce. Kocha Iris jak rodzoną siostrę, a Alice jak własną córkę. Uważajcie na zapalniczkę. Bardzo chciałbym ją odzyskać.

[Przesłuchanie zamknięto o 15:56.]



21

– A więc – rzekł Charles – porozmawiajmy.

Było to nazajutrz rano. Stevie siedziała naprzeciw Mówciami Charlesa w jego gabinecie. Snującej się z białych głośniczków muzyce poważnej towarzyszył stukot kropel deszczu o szyby. Stevie spodziewała się tej rozmowy, kiedy ją więc wezwano, była przygotowana psychicznie i fizycznie. Przedtem poczytała jeszcze o Marii Antoninie, czekającej w pałacowym więzieniu, gdy za murem budowano gilotynę.

– Pomówmy o tym, co się stało – zaczął Charles. – Najpierw powiedz mi, jak się miewasz?

– Znaczący: jak się czuję? – upewniła się Stevie.

– Odpowiedz wedle uznania.

Stevie nie przepadała za mówieniem o uczuciach, tym razem jednak zdecydowanie wolała je od faktów.

– Yyy... – odrzekła. – Daję radę. To może dziwne, ale ledwie znałam Hayesa. Więc to straszne, ale... nie byliśmy przyjaciółmi.

Charles przytaknął z troską.

– Zechciałabyś mi opowiedzieć, co się wydarzyło? Kto wpadł na pomysł, aby wykorzystać tunel?

– Hayes – odpowiedziała Stevie. – Ja sądziłam, że jest zasypany.

– Nie. Udrożniliśmy go na wiosnę. Zostanie rozebrany i wypełniony, bo w ramach rozbudowy pracowni artystycznej umieścimy w nim instalację wodno-kanalizacyjną. Staraliśmy się zachować to w tajemnicy, ale...

– To ja wyłamałam zamek – powiedziała Stevie.

Uznała, że tak należy. „Policja wie, więc ukrywać tego nie ma sensu, bo bym zwariowała”.

– Wiem.

Upłynęło kilka długich sekund. Charles nie wyglądał dziś tak młodo i beztroško. Nie skrywał pod ubraniem Iron Mana.

– Drażnienie tuneli wokół szkoły stało się niemal tradycją. Próbujemy położyć jej kres. Hayes się tym nie przejął. Przydarzył mu się wypadek... Najtragiczniejszy z możliwych. Czy powinnaś była wchodzić do tunelu? Nie. Ale też nie ty tej nocy zaprowadziłaś tam Hayesa.

Stevie śledziła rytmy tłukących w szybę kropel.

– Zostanę wydalona? – zapytała.

– Nie – odparł Charles. – Tylko musisz coś dla mnie zrobić. Chodźmy.

Stevie poszła za nim jak w transie, gdy skierował się ku strychowi. „Nie wyrzuca mnie... i ciągnie na strych?”

– Z uwagi na to, co się stało, postanowiliśmy wzmocnić ochronę – wskazał Charles, wpisując w panel przy drzwiach nowy, dłuższy kod bezpieczeństwa. Ruszyli w górę wąskimi schodami. – Gdy spotkaliśmy się poprzednio – ciągnął, włączając lampy – poprosiłem, byś opracowała projekt, który przywróciłby ludzką twarz tragedii sprzed lat. I to ci się udało... Nie sposób było przewidzieć potwornej nauki na temat straty, jaką z niego zaczerpnęłaś. Skoro wiesz o otwarciu tunelu, chcę teraz coś ci pokazać.

Wprowadził Stevie między rząd skrzyń z archiwami a trzy półki zastawione identycznymi, opatrzonymi datami tomami w zielonej skórce.

– W tym rządzie zgromadzono liczne protokoły z gabinetu Alberta Ellinghama, a także prywatne zapiski osób zarządzających domem – objaśnił.

Przyklęknął na końcu rzędu, tuż przy oknie, i zdjął z dolnej półki poobijaną metalową skrzynkę długą mniej więcej na metr i szeroką na trzydzieści centymetrów. Była ewidentnie stara, czerwony lakier, którym ją pomalowano, częściowo złuszczył się już, a metal przerdzewiał.

– Kiedy ekipa wkroczyła do tunelu, natknęła się na tę skrzynkę, usuwając ziemię. Znaleźli ją zamkniętą na klucz... – Charles ostrożnie unióś rygiel. – Ucieszyliśmy się wszyscy. Skrzynka zakopana w tunelu... Kto wie, co mogła zawierać. Otworzyliśmy ją zatem, no i...

Podniósł wieko, odsłaniając dwa stosy pożółkłych gazet. Na samym wierzchu widniał nagłówek: „Uprowadzono rodzinę Ellinghama”. Stevie uklękła obok Charlesa, by lepiej przyjrzeć się gazetom. Najrozmaitsze, z wielu miast, o różnych datach, wszystkie na stronie tytułowej donosiły o sprawie Ellinghamów.

– Ktoś – spytała – zakopał w tunelu skrzynkę gazet?

– Nie wiemy, kto ją tam umieścił – odparł Charles. – Wydaje mi się jednak, że sam Albert. Może chciał pogrzebać przeszłość, pogrzebać swoje cierpienie.

– Właścicielowi gazety codziennej – rzekła Stevie – chyba trudno było uciec przed newsami.

– Słuszna uwaga. – Charles pokiwał głową. – Ale rozumiesz, że ten tunel był miejscem świętym. Kolejna śmierć... Zrobią z tego sensację.

Stevie odebrała to jako docinek.

– Teraz posłuchaj, co masz zrobić – rzekł Charles. – Te rzędy... – zaprowadził ją do oznaczonego liczbą trzydzieści osiem. – Odtąd do czterdziestki piątki wypełniają je sprawy domowe. Rzeczy znajdujące się w tych pudłach nie są uporządkowane. Chcę, żebyś posortowała i spisała to, co znajduje się w tych siedmiu rzędach.

– To moja kara? – zapytała Stevie.

– Nie uznajemy tu kar – odpowiedział. – Lecz zadajemy projekty. To twój. Po układaj to i sporządź ewidencję.

Na półkach, przy których stali, Stevie spostrzegła pojemniki pełne klamek, sterty wiekowych pism ilustrowanych, worki z rupieciami.

– Jeśli czujesz się na siłach – rzekł Charles – możesz zacząć od razu.

– Pewnie – zgodziła się Stevie.

– Więc już pójdę. Daj tylko znać ochronie, kiedy skończysz. Może ci to zająć kilka dni; postaram się, by ktoś cię tutaj przyprowadzał.

Zostawił Stevie samą pośród skarbów. „Lepszej kary nie mógł wymyślić”. Wędrując między regałami, Stevie rozglądała się oszołomiona. Patrzyła po kilka razy, aby zapamiętać... „Tu ubrania, a tam meble. Globusy, książki, naczynia...” Obcując tak z dobrami Ellinghamów, oswajała powoli tę przestrzeń.

Nieco dłużej stała przed masywną, przeszkloną serwantką, nim ośmieliła się otworzyć ją i wyjąć kruchą, porcelanową wazę na zupę – białą w różowe kwia-

tuszki przetykane jasnozielonymi liśćmi winorośli, o złożonych brzegach. Litera na jej dnie, „AIE”, też namalowano złotą farbą. Obok porcelany leżał stosik książek.

Wróciwszy do pierwszego rzędu, który pokazał jej Charles, spojrzała na okazałe zielone księgi. Część zawierała zamówienia na produkty spożywcze i artykuły gospodarstwa domowego. „W weekendy mieli spory przerób...” Niezliczone cytryny, pomarańcze, jajka, mięta do napojów. Ogromne dostawy papierosów. Zapiski o dziesiątkach stłuczonych kieliszków do szampana i zamówienia na nowe. Wosk do wiecznie niszczonej podłogi sali balowej.

Jedną z ksiąg poświęcono wyłącznie domowym jadłospisom. Kartkując ją, Stevie znalazła dania zaplanowane na 13 kwietnia 1936, zapisane starannym charakterem pisma:

„JADALNIA:

Zupa krem z selera

Filet z soli w sosie migdałowym

Pieczeń z jagnięciny

Zielony groszek z mięta

Białe szparagi z sosem holenderskim

Ziemniaki po lyońsku

Mrożony suflet cytrynowy”

Posiłki z 14 kwietnia nie były tak wykwintne:

„Obiad nie przy stole. Zanieść tacę do gabinetu.

Sandwicze z kurczakiem na zimno i sałatka z szynką

Seler naciowy i nadziewane oliwki

Ciasto cytrynowe

Kawa

Gość, p. Flora Robinson, zanieść na tacy: czystą zupę, herbatę z mlekiem, sok pomidorowy, sandwicze z sałatką z kurczaka, seler naciowy, leguminę z twarogiem

Gość, p. Leonard Nair, zanieść na tacy: jajecznicę, kawę”.

Notatki te, z pozoru błahe, mówiły wiele o nastroju domowników i o tym, co się działo w rezydencji. Trzynastego życie toczyło się tu zwyczajnym trybem.

Czternastego dom zmienił się nie do poznania. „Taca zrobionych na szybko zimnych sandwiczów, bo musieli jeść, by mieć energię... Dziwny dodatek: seler naciowy, który pewno został z poprzedniego dnia, i oliwki (jeść, co się da, cokolwiek, co się tylko znajdzie), trochę ciasta – też na pewno z wczoraj. Kawa, by nie byli senni. Flora Robinson i Leo Holmes Nair jedli w swoich pokojach proste rzeczy, dobre na chorobę albo na kaca. Jajecznice. Bulion. Chcąc zachować przytomność umysłu, wypili trochę kawy i herbaty. Cały dom nerwowo oczekiwał dzwonka telefonu. A jednak kamerdyner odnotował ten desperacki posiłek, bo takie były zasady. Kucharzy przesłuchiowano na sto procent, nie mieli więc tyle czasu, co zwykle”.

Zdejmując z półek skrzynki z artykułami biurowymi, Stevie znalazła w nich trzy telefony, zwinięte mapy, sztabki wosku i książki telefoniczne. W jednej dużej, wyłożonej aksamitem, odkryła coś niezwykłego: kryształowy kałamarz, wytworne pióro, pinezki, spinacze do papieru, stos wizytówek, zaproszenie na uroczysty obiad z 31 października 1938 roku.

„Znacząca data. To wszystko prawdopodobnie leżało na jego biurku, gdy zmarł”. Stevie znalazła jeszcze w skrzynce notatnik, a w nim na jednej z kartek pozakreślane liczby, otoczone plamami z atramentu, skrawek gazety z informacją o giełdzie papierów wartościowych i blankiet depeszy z następującymi słowami:

30.10.1938

Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma? Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba.

Ostatnia zagadka, bez rozwiązania. 30 października 1938 roku Albert Ellingham powiedział sekretarce, że wybiera się na żagle. Tego dnia był dziwnie pogodny. Zabrał George’a Marsha, oddanego przyjaciela. Wypłynęli z jachtklubu Burlington. Pod wieczór mieszkańcy South Hero usłyszeli łoskot i spostrzegli błysk na wodzie. Łódź Ellinghama wybuchła. W jej wraku odnaleziono podłożoną na pokładzie bombę. Wyglądało na to, że nękający go od lat anarchiści, obwiniani za zamordowanie jego żony i ukrycie dziecka, dopadli w końcu i jego.

„Ostatnie chwile bywają przedziwne. Nie da się ich przecież zaplanować... Ciekawe, czy Hayes wiedział, co się dzieje, czy był świadom, że kręcąc w szkole

wideo, może umrzeć”.

Przypomniawszy jej się list na ścianie. „Wydawał się tak realny, a przecież to niemożliwe. Bez sensu... Sugestywny sen wywołany przez gonitwę myśli”. Stevie nie dawała wiary w przepowiednie, uważała, że przeczucia to bujda. „Nie wiedziałam zapowiedzi śmierci Hayesa. We śnie była mokra robota, bo tutaj doszło do zbrodni. Nic w tym strasznego... Śniło mi się morderstwo, a później popełniono je i tyle. Albert Ellingham zapisał zagadkę, jak to miał w zwyczaju, a potem po prostu umarł”.

Długo wpatrywała się w depeszę – w słowa, stary, ale świetnie zachowany papier i w zacieki z atramentu. „To pewno najostatniejsza z jego zagadek; tworzył ją w dniu śmierci. Coś jak powrót do dawnego »ja«. Tymczasem los... Czy ktoś to wtedy zauważył – zostawioną na biurku jego cząstkę? A może tuż po jego śmierci, gdy trzeba było zadbać o imperium, nikt nie miał głowy do jego nieszkodliwych zabaw? Kto się przejmuje zagadkami, gdy umiera jeden z najbogatszych ludzi na świecie?”

Stevie ostrożnie odłożyła do skrzynki kawałek papieru, tak jakby kładła kwiat na grobie. Oczy zaszyły jej łzami i poczuła suchość w gardle.

Otarłszy oczy wierzchem dłoni, podeszła do jednego z okien i ogarnęła spojrzeniem kampus i widok w dali. „Śmierć znów nawiedziła Akademię. Śmierć ją uwielbia. Ale skoro chcę tu zostać i robić to, co sobie wymarzyłam, muszę konfrontować się ze śmiercią. Na widok smutnej pamiątki nie mogę bać się ani płakać. Muszę być twarda. Tego oczekują zmarli. Tylko jak to rozwikłać? Czego nie ma na stopniu, a zawsze jest na schodach?”

Federalne Biuro Śledcze

Zapis przesłuchania George’a Marsha przez agenta Samuela Arnolda

17 kwietnia 1936, 17:45

Miejsce: posiadłość Ellinghamów

SA: Dziękuję, że możemy porozmawiać jeszcze raz.

GM: Zawsze do usług.

SA: Ostatnie dni są dla ciebie trudne.

GM: Nie śpię już drugą noc. Nie szkodzi. Nadal nie wiadomo, co z Iris i Alice. Poczęstujesz mnie papierosem?

SA: Jasne. Ciekawi mnie twoja relacja z Albertem Ellinghamem i kwestie bezpieczeństwa w przeszłości. Kiedy się poznaliście, byłeś w wydziale policji w Nowym Jorku?

GM: Tak. Byłem detektywem. Rozpracowywaliśmy szajkę anarchistów, która sprawiała kłopoty. Okazało się, że planują wysadzić w powietrze wpływowego przemysłowca. Dowiedzieliśmy się, że to Albert Ellingham, i na szczęście zdążyliśmy na czas.

SA: Osobiście ocaliłeś mu życie na kilka sekund przed eksplozją samochodu.

GM: Zrobiłem swoje. Po tym pan Ellingham był uprzejmy polecić mnie w FBI. Pracowałem w nowojorskim biurze. Pracowałeś tam kiedyś?

SA: Nie. Tylko w Waszyngtonie. Wysłał mnie tam dyrektor Hoover, żebym się zajął pewną sprawą.

GM: Ellingham zaprosił mnie do Vermontu, gdy zaczął budować ten dom. Robię dla biura badania terenowe, a Ellinghamowi służę konsultacjami.

SA: Ale nie mieszkasz w domu.

GM: Nie. Mieszkam w Burlington. Przyjeżdżam tu, gdy jestem mu potrzebny. Zazwyczaj, gdy ma ważnych gości. Byłem tu podczas przyjęcia w tamten weekend, głównie ze względu na obecność Maxine Melville, gwiazdy filmowej. Ellingham zaprosił ją do siebie, bo chce podpisać z nią kontrakt. To przyjęcie służyło przede wszystkim jej rozrywce. Obserwuję dom, chronię go przed prasą, pilnuję, żeby pracownicy nie byli nadmiernie wścibscy. Są przyzwoici, ale w towarzystwie sławnych ludzi nie każdy przecież zachowuje umiar.

SA: Co myślisz o zaginięciu uczennicy?

GM: Przypuszczalnie trafiła w niewłaściwe miejsce i o niewłaściwym czasie. Przejrzałem jej szkolną kartotekę. Dobry dzieciak. Bardzo bystra. Błyszczała tu inteligencją. Lubiła znajdować kryjówki, siadywała tam i czytała. Ponoć w obserwatorium znaleźliście jej książkę...

SA: To prawda.

GM: Psiakrew. Biedna mała.

SA: Jak oceniłeś list nadesłany ósmego kwietnia? Ten, który nazywamy listem Niedgadnionego.

GM: Korespondencją zawiaduje Mackenzie. Pokazuje mi to, co budzi jego podejrzenia.

SA: Ale ten list pokazał ci dopiero po porwaniu?

GM: W weekend dużo się działo. Chyba więc nie było czasu. Kiedy zobaczyłem list, sprawa była już w toku. Mackenzie zawsze ma wszystko pod kontrolą. Szkoda, że o tym nie wspomniał. Choć nie zmieniłoby to wiele.

SA: Co masz na myśli?

GM: To, że Alberta Ellinghama niełatwo odwieść od jego planów. Weźmy choćby tę rezydencję. Widzisz dokładnie to, co ja. Położenie tego domu to jego zaleta, a zarazem wada. Z jednej strony trudno się tu dostać, co zniechęca przypadkowych rzezimieszków. Chcąc tutaj dotrzeć, trzeba bardzo się wysilić, chcąc zaś się wydostać – nawet jeszcze bardziej. A z drugiej strony z łatwością można robić tu zasadzki, no i jest też którądy uciekać.

SA: Swego czasu udaremniłeś zamach bombowy na Alberta Ellinghama, na pewno więc o tym pomyślałeś?

GM: Nie dawało mi to spokoju. Rozmawiałem o tym z Albertem. Zasugerowałem, by ściągnął tu więcej ochroniarzy. Nie zgodził się.

SA: Dlaczego?

GM: Bo, jak sam powiedział: „nie służy to radosnej nauce”.

SA: Zrezygnował więc z niezbędnej ochrony?

GM: Jeżeli chodzi o Alberta Ellinghama, powinieneś sobie coś uzmysłwić. To wielki człowiek. Prócz samego J. Edgara Hoovera nikogo nie podziwiam bardziej. Ale ma się za niezwykłego. Sądzi, że może wszystko. Wziąwszy pod uwagę, co osiągnął, rzeczywiście jest zdolny do wszystkiego. Majątek zdobył samodzielnie. Wszystko, co posiada – gazety, studio filmowe i resztę – stworzył właściwie z niczego. Jako dzieciak był gazetciarzem, nie miał centa, mieszkał na ulicy. To genialny umysł, lecz uważa się za nietykalnego. Owszem, chce, bym był w pobliżu, nie dlatego, że widzi we mnie pomocnika... Traktuje mnie jak swą króliczą łapkę, talizman przynoszący szczęście. Ocalałem go przed wybuchem bomby, a on stwierdził, że to pomyślnie zrządzenie losu i zabrał mnie ze sobą. Jestem mu wdzięczny. A on sądzi, że wystarcza jego determinacja. Coś takiego wisiało w powietrzu... Czuję to, a ty rozumiesz. Było nieuniknione.

[Przesłuchanie zamknięto o 18:10.]



22

Następnego dnia szkolne autobusy zaczęły jeździć znowu, tyle że według specjalnego rozkładu – by umożliwić uczniom spotkania z rodzicami. Przystanki były dwa: przy miejscu na odpoczynek i w Burlington. Stevie udało się załatwić spotkanie z rodzicami na tym pierwszym. Czekala wraz z kilkoma osobami. Starając się opanować, włożyła do uszu słuchawki i włączyła podcast.

Byłaby spokojniejsza, gdyby nagle i ukradkiem nie podszedł do niej David. Wyjątkowo – zamiast sfatygowanych dżinsów i starego tiszertu – miał na sobie jasnoniebieską koszulę i eleganckie, świetnie skrojone czarne spodnie. Włożył nawet czarne półbuty. Wszystko to, idealne w każdym calu, zwieńczone długim, dopasowanym czarnym płaszczem, podkreślało jego muskularną figurę.

Stevie nieczęsto widywała tak wytwornie ubranych mężczyzn. („Serialowi detektywi w garniturach nie liczą się, wiadomo”). David z rozpostartym ogniem wzbudził w niej podniecenie.

– Obyś dostał tę robotę – rzekła, odwracając od niego wzrok. – Bo na pewno nie obędą się bez ciebie w księgowości.

– Uściślasz – odparł. – Co, jak wiadomo, robią i detektywi, i księgowi...

– Gdzie się spotkasz z rodzicami?

– Nie spotkam się. – Włożył ręce głęboko do kieszeni płaszcza. – Na szczęście są dość daleko. Zmywam się po prostu.

– Skąd więc ten...

– Żeby ładnie wyglądać na spotkaniu z jego wysokością Burger Kingiem. A ty dokąd się wybierasz?

– Zjeść coś. I z powrotem do szkoły, jeśli tylko rodzice nie uznają, że roi się tu

od rozszalałych liberałów, którzy pozwalają na zbrodnie, o czym zresztą w tej chwili są święcie przekonani.

Podjechał autobus, więc wsiedli. Stevie usiadła przy oknie, a David klapnął obok niej.

– Chcesz pogadać? – spytał.

– O czym?

– O tamtym wieczorze...?

Nieliczni pasażerowie gawędzili już lub czegoś słuchali. „Tak czy owak nie jest zbyt intymnie” – z tą myślą Stevie poczuła, jak oblewa ją zimny pot.

– Niby po co? – zapytała.

– Bo mnie to ciekawi. Lubię się uczyć. Dlatego kształcę się u Ellinghama. Nauka to przecież frajda. Nauka to zabawa.

– Jak poważnie traktują tu zakaz używania wyzwisk?

Zaczęły jej się pocić dłonie. Czoło. „Stopy?! Nieee! Czemu ciało jest takie wredne? Czemu aż tak bucha hormonami, seksem, no i tym ohydny potem?!”

– Śmiertelnie – odparł z powagą.

– Posłuchaj. I tak mam dosyć zmartwień. Matka z ojcem pewnie dzisiaj wyciągną mnie ze szkoły, no więc...

– Życie zawsze znajdzie sposób. *Park Jurajski* chyba czegoś cię nauczył...?

David oparł głowę o siedzenie i nakładając duże słuchawki, zostawił Stevie, aby sobie to przemyślała.



Minąwszy wiejskie obejścia, sklepy z cukierkami na syropie klonowym, fabryczki szkła dmuchanego i lodziarnie Ben & Jerry's, autobus skierował się drogą I-89 aż do miejsca odpoczynkowego, gdzie przy swym rdzawobrazowym minivanie czekali grubo okutani rodzice Stevie.

David wstał, przepuszczając Stevie, po czym wysiadł z autobusu. Stevie już sądząc, że dokłada starań, aby było jej wygodnie, ale nie wrócił na miejsce i ruszył za nią prosto do rodziców.

– David – przedstawił się im, wyciągając rękę. – David Eastman.

„Ciekawe, po co to robi...”

– Miło cię poznać, Davidzie – odpowiedziała mama. – Pewnie spotkasz się tu z rodzicami?

– Nie. Stevie zaproponowała, bym wybrał się z państwem do Burlington... Ale gdyby był to kłopot, zaczekam na następny autobus.

Stevie spostrzegła, jak rodzicom rozbłyskują oczy; jak popatrując raz na nią, raz na niego, wyraźnie się ożywiają. Poczowała też, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

– Skądże znowu! – odparła mama. – Pojedziesz oczywiście z nami.

– Zjemy coś – dodał ojciec. – Czuj się zaproszony.

Stevie osłupiała. „David, nie zgódź się, to wcale nie są żarty, David...!”

– Jasne. – David się uśmiechnął. – Skoro to nie problem...

– Ach, daj spokój – odpowiedział ojciec.

Stevie zauważyła, że David spogląda na naklejkę „Edward King” na przedzie minivana. Zerknąwszy na nią z ukosa, podszedł do tylnych drzwi i je otworzył.

– Najpierw państwo – rzekł.

– Zabiję cię – szepnęła Stevie.

– Pamiętaj, że wiadomą zasadę traktują ultrapoważnie – odszepnął.

Wsiadła z drugiej strony.

Gdy ziemię zasnuwała ciemność, pomknęli I-89. Do Burlington dotarli błyskawicznie. Przejechali przez dzielnicę uniwersytecką, utknęli w korku na szosie przy jeziorze Champlain i zawrócili na jedną z wielu czarujących uliczek.

Cały świat Stevie legł w gruzach. „David nie ma prawa być tu, w tym mieście, z rodzicami”. Mimo że radio było przyciszone, rozpoznała bełkot gości ulubionego talk show rodziców, w którym „oderwanych od rzeczywistości” nawracano na wiarę Edwarda Kinga. Po chwili jednak na szczęście rodzice wyłączyli radio.

W Burlington jest masa dobrych restauracji, a dobre restauracje są na ogół drogie. Stevie wyszukała więc oddaloną od Church Street, pełnego zgiełku centrum handlowego, restaurację z dobrymi kanapkami i sałatkami w niewygórowanych cenach. Ponadto oferowano tam bezpłatne miejsca parkingowe. Zamawiając przy kontuarze, płaciło się i szło z numerkiem do wybranego stołu.

Najpierw zamawiali rodzice z Davidem. Gdy ojciec studiował kartę, Stevie rozważała nabicie się na stojak z czipsami.

– Wegetariańska kanapka z wołowiną – przeczytał ojciec. – Ciekawe, na czym polega...

– Używają substytutu – odpowiedziała cicho Stevie.

– Więc to nie pieczeń, racja?

Stevie zamrugnęła, przymykając oczy.

– Nie rób takiej miny. Żartuję. Nie wolno mi żartować?

„Nie rób takiej miny. Nie bądź taka mądra. Niby zjadłaś wszystkie rozumy, ale zacznij tylko żyć naprawdę, a zobaczysz, jak bardzo się myliłaś”.

– Chcieliśmy się z tobą zobaczyć. Postarajmy się, by było miło. W każdej chwili bez dyskusji możemy zabrać cię do domu.

„Nie reaguj. Nie ulegaj. Przetrwaj, a potem wracaj”. Stevie usiłowała się nie zdenerwować.

– Lubię go – oznajmił ojciec. – Wychowany chłopak. Otworzył ci drzwi.

– Istny skarb – odrzekła Stevie.

Na końcu kolejki po odbiór zamówień... mama najwyraźniej świetnie bawi się z Davidem. „No nie! On wyciąga portfel i – tylko nie to – nalega, żeby zapłacić. Wyjął kartę kredytową. Znów żartuje, a matka, wręcz urzeczona, za moment padnie tam ze śmiechu”.

Stevie poczuła, jak coś w niej pęka. „Żeby tylko nic ważnego”.

Zajęli stolik pod oknem. Przez szybę wnikało zimno, co Stevie przyjęła z radością. Chłód odpowiadał jej nastrojowi. Obejrawszy przeładowaną kanapkę z kurczakiem, stwierdziła, że jest za ciężka i zbyt gruba, by dało się ją trzymać w ręce i nagryzać – zsunęła więc tę górę na talerz i jadła plastikowym widelczykiem, gdy naprzeciw niej ojciec z matką przepytawali Davida.

David zaś ich uwodził ciemną czupryną, unoszeniem brwi, wyrazem oczu. Jakimś cudem równocześnie pochłaniając wielką kanapkę i podtrzymując konwersację. Stevie zauważyła, że mówi wyraźniej niż zazwyczaj, tak jakby coś odgrywał.

„Przede mną” – pomyślała.

– Gdzie pracują twoi rodzice? – spytał ojciec.

– Mama jest pilotem – odparł David między kęsami.

Stevie podniosła głowę. David spokojnie dojadł frytkę, a pozostałe ułożył w zgrabny stosik.

– Pilotem? – powtórzył ojciec. – Coś niebywałego. Przypuszczam, że taka praca utrudnia prowadzenie domu. No, a tato czym się zajmuje?

– Cóż... – rzekł David, przełamując frytkę i badając jej puszysty środek. – Prowadzi fabrykę nawozów.

Stevie przeszła go spojrzeniem. „Pogrywa z rodzicami? Pilotka i wytwórca łajna?!” Wezbrała w niej dzika furia. „Nie muszę się z nimi zgadzać, ale mimo wszystko to rodzice, i nikomu nie pozwolę z nich kpić”.

– Nadzwyczajne – podsumował ojciec.

Stevie zarumieniła się tak mocno, że by ochłonać, przyłożyła do policzka kubek.

– Powinniśmy – odezwała się mama – porozmawiać o tym, co się stało. Musimy przeprowadzić ze Stevie bardzo poważną rozmowę, chłopcze.

– Jasne – zgodził się David. – Tak samo rozmawiałem z rodzicami.

– I jak się na to zapatrują?

David odchylił się na krześle z właściwą płci męskiej swobodą, którą Stevie obiecała sobie opanować.

– To straszne – odpowiedział. – Ale z drugiej strony wypadki się zdarzają...

– Jak dyrekcja do tego dopuściła? – zapytała mama. – Suchy lód przechowuje się pod kluczem.

– Był zamknięty – wyjaśniła Stevie. – Ale Hayes się włamał.

– Skoro tak, nie zabezpieczyli go jak trzeba – orzekł ojciec.

– Są tacy, co nieźle się natrudzą, by pokonać zamek. – David zmierzył wzrokiem Stevie. – Ukradł identyfikator.

– Był sławny – powiedziała mama. – W wiadomościach podają, że lubiany.

– To nic nie znaczy – odparł David. – Telewizja nigdy nie ujawnia prawdy o człowieku.

– Słusznie – przytaknął ojciec.

Stevie się napięła. „Nie zaczynaj, błaagam”.

– Ja i Stevie czasem się nie zgadzamy – ciągnął ojciec. – Jednak media...

Stevie zaczęła tracić rezon. „Jeszcze chwila, a wyjdę z siebie, a później wyjdę tym oknem i ucieknę. Zawsze mogę mieszkać w górach, a żywić się kamieniami”.

– ...mówią na ogół to, co chcemy słyszeć – dokończył David.

Serce Stevie stanęło na chwilę. „Teraz ojciec da mu popalić i zrobi się nieciekawie”.

– Ciekawe – odrzekł ojciec z aprobatą. – Bystry młodzian, Stevie.

Te słowa podziałały na nią niczym cios w żołądek. Wypowiadając się podobnie do Davida, niezmiennie słyszała od rodziców, że się myli. „David ledwie zdążył coś powiedzieć, a od razu ma poparcie i komplement. Ach, ten męski powab. Gdyby tylko dało się go kupić w sklepie...”

– Odebraliśmy telefon, Stevie – oznajmił ojciec, podnosząc do ust cząstkę pomidora z kanapki. – Zadzwoił do nas Edward King. Właściwie jego ludzie.

– Edward King to nasz senator – wyjaśniła Davidowi mama. – Wspaniały człowiek. Ale Stevie nie jest jego entuzjastką.

Stevie złączyła dłonie, przyciskając je do splotu słonecznego.

– Chcą, byśmy koordynowali działalność w całym stanie – rzekł ojciec. – Wiem – zwrócił się do Stevie – że tobie się to raczej nie spodoba...

„Zmień się w kamień, Stevie. Stań się górą”.

– Fantastycznie. – David uśmiechnął się szeroko. – Gratuluję.

Rodzice patrzyli na Stevie. „Sondują mnie. Zaraz wybuchnę. Ta góra, którą się stałam, jest tak naprawdę wulkanem. Ale... gdybym to przelknęła... gdybym się z tym uporała... uznaliby, że się zmieniłam, więc byliby zadowoleni. A jeśli mi się uda, może nie dostanę szlabanu na szkołę. Może, ale tylko może...”

Cierpiała. Dojmująco. Twarz jej spięła się w sprzeciwie. Krtań odmawiała posłuszeństwa.

Mimo wszystko Stevie parła. Wymusiła z siebie coś na kształt uśmiechu. Wypychając powietrze z płuc do gardła, wypuściła je wreszcie ustami.

– To świetnie.

„Dwa słowa. To świetnie. Najgorsze dwa słowa, jakie wypowiedziałam w życiu”. Rodzice spojrzeli na nią. Spojrzeli na Davida w niebieskiej koszuli. „Cały

ten dziwaczny dramat jednak poskutkował. Na sto procent pozwolą mi tu zostać. Tylko skąd to uczucie przegranej?”



23

W autobusie powrotnym zostały tylko dwa wolne miejsca, sąsiednie, więc znów usiedli razem. Stevie czuła ucisk w sercu, a dłonie zwinęła w pięści w kieszeniach z taką siłą, że paznokcie wrzynały jej się w skórę.

– Chyba mnie polubili – powiedział David.

– Cóż to miało znaczyć? – zapytała Stevie.

– Nie ma za co – odparł.

Stevie wyjęła telefon i włożyła do uszu słuchawki. David wyciągnął jedną.

– Zostajesz. Czemu się tak wściekasz?

– Temu – odpowiedziała – że nie ja to załatwiłam. Zostaję dzięki tobie. Bo myślę, że randkujemy. Bo pewno im się wydaje, że wyhaczyłam księcia. Zostaję, bo „mam faceta”.

– No przecież. – David zmarszczył brwi, zirytowany. – Zrobiłem to, bo mówiłaś, że dla nich jest to ważne. Dlatego z tobą pojechałem. Jak chcesz udzielać mi nauk, na drugi raz wyrażaj się jasno.

– Dziewczyna – odparła chłodno Stevie – według nich powinna z kimś chodzić. Ma randkować, więc nareszcie dostali ode mnie to, czego chcieli. A ten cyrk z Edwardem Kingiem? Myślałam, że się tam wykończę.

– Udało się, więc skąd te fochy? Ty jesteś tu, a oni za górami, za lasami.

– Bo to też nie moja zasługa. Zawdzięczam to Kingowi, a on uosabia wszystko, czego nienawidzę. Facet jest rasistą, faszystowskim draniem, a słysząc, że moi rodzice prowadzą teraz jego armię mułów, musiałam w najlepsze się uśmiechać!

– Szczerze mówiąc, uśmiech wypadł słabo...

Rozjuszonej Stevie odebrało mowę. Ciężko dysząc, odzyskała ją po chwili.

– Twoja mama nie jest pilotem, ty świrnięty kłamco!

– Skąd wiesz? Przecież to możliwe.

– Tato niby produkuje nawóz?!

– To akurat prawda.

– Koło plaży w San Diego? – zapytała Stevie.

– Nigdy tam nie pływaj – odparł David, z powagą kręcąc głową.

– Jedną kupę gówna już znam – odparowała. – Ciebie.

Wzruszył ramionami na znak „niech ci będzie”.

– Co z tobą nie tak? – spytała.

– Tyle tego, że szkoda gadać.

– Kłamczuch.

– Zdaje się, że w kwestii rodziców oboje jesteśmy przewrażliwieni. Chciałem pomóc ci rozwiązać problem. Problem rozwiązany. Chcesz szaleć, to sobie szalej. Nie mam nic przeciwko. – David wziął dyndającą słuchawkę i wsunął ją z powrotem w ucho Stevie.

Ale ona niczego nie włączyła. Wpatrywała się w świat za oknem i blade odbicie twarzy Davida w szybie. Nie bez złości odnotowała, że fascynuje ją linia jego zuchwy. „Na początku wydawała mi się ostra, jakby twarz kończyła mu się szpicem... Ale gdzie tam! Wystawała tak, bo pewnie był po prostu spięty”.

David utkwił wzrok w komórcę, nie zwracając uwagi na Stevie.

Tylko zrobił z dłoni pajęczka i gmerał sobie nim po udzie. Oczywiście tak, by to widziała. I zaczął pełznąć do jej nogi...

...wtem się cofnął...

...i znów zbliżył, zawisając odnóżem nad jej nogą, ale nawet jej nie dotknął...

...raptem musnął, „Choć czy to muśnięcie?”. Nieruchoma, wyczekiwała całą sobą.

Autobus wykonał gwałtowny skręt na podjazd, podrzucając ich, a pajęczka wysyłając w niebyt.



Gdy wysiedli z autobusu na podjeździe, Stevie wyprzedziła Davida. W połowie drogi do Minerwy zwolniła, spodziewając się usłyszeć jego kroki tuż za sobą. W zasięgu wzroku jednak go nie było. Przygnębiona weszła do świetlicy.

– No i? – z miejsca zapytała Janelle, którą otaczały stosy książek do matematyki, splątane kable i otwarty laptop z jakimś programem telewizyjnym.

– W porządku – odparła Stevie, usiłując przybrać niezobowiązującą pozę. – Chyba okej. Zostaję, przynajmniej na razie.

Janelle zapiszczała z radości.

– Siadaj.

– Muszę tylko... – Stevie przechyliła głowę w stronę swojego pokoju. – Daj mi parę minut.

Nie zdejmując płaszcza, chodziła chwilę po pokoju długim krokiem. Przejrzała się w lustrze. Policzki szczerwieniały jej od zimna, a krótkie włosy oklapły pod czapką.

Stwierdziła, że nadszedł już czas, by zadać sobie pytanie, czy jest ładna. „Co to znaczy »ładna«? Co może podobać się innym? Bo mnie na pewno krótkie włosy. Gdy zmrużę oczy, fajnie wyglądam – bystro i rezolutnie, ale nie cynicznie. Mam niezłe, pełne usta, a to dobrze, bo nie boję się zabierać głosu. Pełne usta dodają mi pewności. Czy na tym polega uroda? Kto wie. Taka w każdym razie jestem”.

Chwyciła się krawędzi biurka i prostując ręce, spojrzała na podłogę. „Panikę mam w małym palcu... Żeby tak jeszcze wiedziała, co knują te skotłowane hormony. Chcę iść na górę. Pragnę... Davida. Pragnę go. Davida, który właśnie rozwścieczył mnie jak nikt poza rodzicami. Davida, którego, cholera, muszę widywać codziennie. Faceta, który najpierw tak okropnie cuchnął po joggingu, a potem zjawił się w świetlicy schludny i świeżutki... Czemu on? Dlaczego władcy hormonów przeznaczyli mi akurat jego?”

Usłyszała, jak wchodzi na korytarz.

„Przystanie? Nie”. Rozległo się skrzypienie schodów.

„Chyba powinnam z nim pogadać. Tylko o czym?” Zdjęła płaszcz, przemierzyła pokój i raptem wyszła, kierując się na górę.

Niepewnie zatrzymała się pod jego drzwiami. Na tym piętrze nie bywała często. Ci z góry musieli przechodzić dołem, a na górę chodził ten, kto chciał. Było

tu ciemniej i wiatr robił większy hałas. Podniosła rękę, by zapukać. Zapukała płochliwie dopiero po minucie.

David, gdy jej otworzył, nie wyglądał groźnie. Zbierało się tu całe ciepło z domu, w pokoju panował więc upał. Włączona była tylko lampka stojąca na nocnym stoliku.

– Chcesz czegoś? – spytał David.

– Chcę... yyy... zrozumieć.

– Co? Życie? Wszechświat?

– Chcę wiedzieć, co kombinujesz – odpowiedziała Stevie.

– Kombinuję? O co ci chodzi?

– Jest coś, czego nie chcesz poruszać.

– Ty też – odparł David. – Czemu nie wspominasz, że się przytulaliśmy?

– A co tu jest do wspominania? – Stevie się zaczerwieniła.

– Rumieńce? Proszę, proszę. Powinnaś nad tym popracować.

Rozeźlona przechyliła głowę.

– Niby o czym tu rozmawiać? – zapytała. – O technice?

– Czemu nie. Myślę, że masz niezłą. Wszędzie docierasz tym językiem. Detektyw z ciebie w każdym calu...

– Dobra. – Odwróciła się, wychodząc na korytarz. – Żegnam.

– Irytuję – powiedział David. – Wiem o tym, możesz mi wierzyć. W ten sposób wiele się przekazuje, jeżeli człowiek nie ma innej opcji. Jak drzwi są nie do przejścia, wybijas okno i po sprawie. Wydaje mi się, że to nas łączy. – Jego słowa uziemiły Stevie. „Jest tak, jak mówi, więc powinnam teraz mu przytaknąć...” David zostawił drzwi otwarte i cofnął się, by miała wolną drogę. Podeszła do drzwi z wahaniem, uchyliła je szerzej i znów weszła do pokoju. David siedział na łóżku. – Wchodzi – zauważył.

Nerwowo klepnęła futrynę.

– Chyba cię peszę – rzekł – mówiąc o tym, co wtedy robiliśmy. Wcale nie chcę cię deprimować. Gdy o tym mówię, czuję się swobodniej. Są sprawy, które guzik mnie obchodzą, ale... wiedz, że było mi przyjemnie.

Puls Stevie przyspieszył tak drastycznie, jakby chciał rozsadzić jej nadgarstki.

– Podobasz mi się – ciągnął David – od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, kiedy miałaś taką minę, jakbyś chciała mi przyłożyć za sam wygląd. To pewnie znaczy, że jestem trochę perwersyjny. A ty chyba lubisz mnie dlatego, że cię drażnię. Oboje z czymś się zmagamy, ale może nasze nietypowe osobowości warto potraktować jako atut.

Stevie nieraz się zastanawiała, jak wyglądają podobne rozmowy; jak się mówi o uczuciach, dotykaniu i tym wszystkim, co przecież jest tak intymne. „No bo nagle ktoś wdziera się w emocje i ogląda mnie od środka jak pod lupą...” Nie przyszło jej nawet do głowy, że ludzie mogą być w tym tak otwarci. „U mnie w domu byłoby to nie do pomyślenia”.

Zamknęła drzwi. „Drży mi ręka, ale co tam!” Roztrzęsiona zbliżyła się do łóżka i usiadła ostrożnie na skraju. „Siedzę na jego łóżku. Oto nowe niebezpieczne terytorium”.

David nie drgnął.

– I co teraz? – zapytała. – Co chcesz robić?

Mieniło jej się w oczach. Przysuwając się do Davida, ujęła w dłonie jego głowę i przyciągnęła do siebie. Nie wiedziała, czy się nie błążni, ale David, zamiast się opierać, poddał jej się czule. Przywarła ustami do jego ust.

Tym razem całowanie było wolne, bo starali się nie zsunąć z łóżka. Raz długo stykali się wargami, raz tężeli w bliskości, przerywając. Bez lęku i bez napięcia. Pocałunki służyły im za słowa. Opuściwszy dłoń ku jego sercu, poczuła obłąkańczy łomot. On zaczął pieścić jej włosy, gładząc króciutkie kosmyki. Kiedy wreszcie opadł na łóżko, delikatnie ułożyła na nim głowę.

Wtem pukanie.

– David? – zawołała Pix.

Świat zamarł. Rzeczywistość upomniała się o swoje. I to głośno. „Nigdy więcej” – pomyślała Stevie.

– Szafa – szepnął David.

Nogi chwiałały się pod Stevie, gdy wstawiała. Potykając się, podbiegła do szafy i przycupnęła wśród śmierdzących („lekko, ale zawsze”) butów, toreb, nart i kijków, w ciasnocie gatek i koszul. Ledwie zdążyła się tam zamknąć, David już witał Pix.

– Musisz przejść do Wielkiego Domu – oznajmiła Pix. – Nic się nie dzieje, tyl-

ko Charles chce jeszcze z tobą porozmawiać o...

– Oczywiście – odparł David. – Jasne, idę. Płaszcz zostawiłem na dole.

„Cisza. Chyba poszli”.

Z bijącym sercem Stevie przykucnęła w szafie, pognieciona, przegrzana, zziębnięta. Uspokoila oddech i rozejrzała się – przyświecając sobie komórką. Podnosiła but za butem i oglądała je prędko, acz dokładnie. Spody wszystkich były prawie nowe. Gdy podeszwy jej tenisówek wytarły się już niemal do cna, a reszta butów miała zadrapania, rysy, wady, które maskowała albo starała się polubić... buty Davida wyglądały, jakby właśnie przyniósł je ze sklepu. „Regularnie wymieniane i najlepszych marek”. Między innymi: wyjściowe z miękkiej skóry, z napisem wewnątrz: „Ellis of London”. Strój do tenisa. Narty... „Wszystko to potwierdza, że jest z bogatego domu, że chyba nie jest synem pilotki i kierownika fabryki nawozów sztucznych”. Nie słysząc w pokoju żadnych szmerów, Stevie wyczołgała się powoli z szafy i podeszła do drzwi. Na korytarzu panowała cisza.

„Jestem u Davida. Sama”.

Kryminały rządzą się pewną zasadą, o której w wielu z nich się zresztą mówi. Agatha Christie pisała o tym nawet w książce *Morderstwo to nic trudnego*. Chodzi o to, że pierwsza zbrodnia jest najtrudniejsza, ale gdy przekroczyć tę barierę, gdy mord uda się i to bez żadnych konsekwencji – kolejne są coraz łatwiejsze. Stevie dopiero miała się przekonać, czy ta zasada obowiązuje również w życiu, aczkolwiek wiele wskazywało na to, że w panice popełnia się przestępstwo spontanicznie. „Tak czy inaczej trzyma się to kupy. Morderstwo to bułka z masłem. Przeszukać pokój też nietrudno, zwłaszcza gdy jego właściciel nas tam wpuszcza i zostawia samym sobie”.

Stevie miała masę wątpliwości. „Kim jest David, ten David bez konta w Internecie? Facet, który wciąż tak dziwnie kłamie na temat swoich rodziców. Chęć poznania jest jak pusty żołądek, kiedy burcząc, domaga się pokarmu... Może by się troszkę rozejrzeć? Troszeczkę, naprawdę odrobinę. Zdążyć. Przejście do Wielkiego Domu, spotkanie z Charlesem, powrót... zajmie mu dobre dwadzieścia minut, nawet jeśli Charles się nie rozgada. Powinnam jednak chwilę odczekać, by mieć pewność, że Pix sobie poszła...”

Stevie ogarnęła wzrokiem pokój.

David miał gry wideo i gadzety do komputera, najrozmaitsze. Dobre głośniki, znane Stevie z reklam. Dobre słuchawki. „Wszystko świetne”. Bezładne stosy książek. Filozofia, teoria gier, klasyka, poradniki pisania („ciekawe”), powieści graficzne. Spostrzegłszy na stojaku obok łóżka czytnik e-booków, Stevie prędko przejrzała zawartość biblioteki: znów powieści graficzne, masa science fiction („Ewidentnie ubóstwa space operę”), książki o historii. „A więc czyta. Jest namiętnym czytelnikiem”.

Przywracając stronę, na której był otwarty, odłożyła czytnik na miejsce. Zerknęła na lampkę nocną: włoską, wysokiej jakości. Wszystko tu – od (pachnącej nim) jedwabistej pościeli po grubą kołdrę – było nadzwyczajne.

Na sekundę położyła się na łóżku, by odpocząć.

„Co jeszcze mam w polu widzenia? Policja może sprawdzić, co jest na widoku, gdy wchodzi bez nakazu rewizji. Czysto... Niezbyt schludnie, ale w sumie czysto. Chyba kiedyś układał rzeczy. Stary plakat Led Zeppelin wisi po to, żeby wisieć. Przyklejony do ściany, bo akurat był pod ręką. Pokój jak puste płótno – zero zdjęć i ozdób”.

Stevie przechyliła się do tyłu, natrafiając na coś twardego.

Sięgnęła ręką pod pościel i wyjęła laptop.

„Jego laptop. Jakby na mnie czekał”.

Chwilę go lustrowała. „Żadnej naklejki, znaczka”. Położyła na nim dłoń.

„Otworzyć czy nie o...”

Od zerknięcia do zajrzenia głębiej droga jest bardzo krótka. „Jak się czegoś dotknie, to się dotknie, a gdy już ma się ten laptop na kolanach, to się go otwiera i się widzi ekran – tyle. Może tak właśnie czuła się Pandora, dobierając się do słynnej puszki. Otworzyła ją, a z wnętrza bił blask...”

– Co ty, do cholery, robisz?!

Zamarło nawet powietrze. „Jakim cudem wszedł na górę, a ja go nie usłyszałam? Pewno zbyt mnie pochłonięło grzebanie w jego laptopie”.

Z myślą, że jeśli mu odpowie, sama się oskarży, Stevie siedziała bez ruchu i bez słowa, „no bo bezruch bywa przecież niewidzialny”.

– Co ty robisz? – powtórzył David.

– Chciałam tylko...

Podszedł do niej i wyciągnął ręce po komputer.

Podawała mu go.

– Ja wcale... nie zajrzałam.

– Czyżby?

„A niech tam”. Stevie wracał wigor.

– Z czym się tak tajniczysz? – odpaliła. – Poznałeś moich rodziców. Wsiadłeś sobie i pojechałeś. Napatrzyłeś się na mnie do woli.

– Chciałaś tego – odparł David. – Ani razu nie przyszło ci do głowy, że mam powód nie mówić o rodzinie?

– Każdy ma – odparowała. – To, że się źle z nimi czujesz, nie znaczy, że jesteś wyjątkowy.

– Moi rodzice nie żyją. Czy to nie wyjątkowe?

Raz przed laty, kiedy była mała, Stevie wyszła przed dom i bawiła się na mrozie. W pewnej chwili pośliznęła się na oblodzonej ziemi i z impetem wyrznęła w ścianę. Tak mocno, że uszło z niej powietrze, a uchodząc, poraniło jej w dodatku gardło.

Właśnie tak się teraz czuła. Na twarzy Davida malowało się przejęcie i coś jeszcze.

Ból.

– Wynoś się – powiedział.

– Ja...

– Wynocha – powtórzył szeptem.

Federalne Biuro Śledcze
Zapis przesłuchania Roberta Mackenziego
przez agenta Samuela Arnolda
17 kwietnia 1936, 19:10
Miejsce: posiadłość Ellinghamów

SA: Jeszcze kilka pytań, panie Mackenzie. Musimy sprawdzić wszystko wielokrotnie.

RM: Rozumiem.

SA: Kiedy zaczął pan pracować u Alberta Ellinghama?

RM: Gdy ukończyłem Princeton, przed ośmiu laty.

SA: I jest pan jego osobistym asystentem do spraw biznesowych?

RM: Tak. Osobistym asystentem do tych spraw.

SA: Zna pan większość jego transakcji.

RM: Prawie wszystkie, jeśli nie wszystkie.

SA: Czy uważa pan za dziwne prowadzenie jego licznych interesów na odległość?

RM: Chyba nikt z nas się nie spodziewał, że zostanie tu tak długo.

SA: Co ma pan na myśli?

RM: Ta szkoła była jednym z przedsięwzięć. Pan Ellingham ma ich bardzo wiele. Wydawało nam się, że chce przyjeżdżać tu tylko latem, na krótko. Tymczasem tkwimy tu od miesięcy. Liczyliśmy, że kiedyś powie: „Starczy! Wracamy do Nowego Jorku”. Ale tak się nie stało. Spędziliśmy tutaj całą zimę. Wie pan, jakie tu są zimy?

SA: Domyślam się, że chłodne.

RM: Z powodu śniegu prawie się nie wychodzi. Miejscowym to nie przeszkadza, ale wszyscy dostaliśmy klaustrofobii. Ciężkiej. Pani Ellingham...

[Pauza.]

SA: Tak? Słucham.

RM: Pani Ellingham jest pełna życia. Lubi towarzystwo i sport. Jeździła trochę na nartach, ale to jej nie wystarczało. Było widać, jak się tutaj się męczy.

SA: Czy to powodowało tarcia między nią a mężem?

[Cisza.]

SA: Wiem, że chce pan być lojalny, ale pewnych rzeczy musimy się dowiedzieć.

RM: Zdaję sobie z tego sprawę. Myślę, że tak, poniekąd. Bardzo się od siebie różnią. Kochają się, to niewątpliwe, ale są bardzo różni. Przypuszczam, że pobyt tu źle na nią działał. Towarzystwo panny Robinson może nieco poprawia jej nastrój.

SA: Są sobie bliskie?

RM: Jak siostry.

SA: A jaki jest pan Nair?

RM: Pan Nair to genialny artysta, który nadużywa alkoholu.

SA: Często pije?

RM: Często i bardzo dużo. Raz opróżnił skrzynkę szampana, przy mnie. Zdziwiłem się, że przeżył.

SA: Czy w stanie upojenia bywa agresywny?

RM: Przeciwnie, zwykle małuje albo gada, a później znajdujemy go gdzieś, nieprzytomnego. Pamiętam, jak uczniowie wyciągali go z fontanny. Jeśli chodzi panu o to, czy mógłby ktoś porwać, cóż, Leonard Holmes Nair nie potrafi zadbać nawet o śniadanie. To uprowadzenie ktoś zorganizował.

SA: Pan jest zorganizowany.

RM: Dlatego też poznaję się na takich rzeczach. Jestem nudnym zawodowcem, wie pan? Dlatego zostałem zatrudniony. Swoją tu obecnością mam podkreślać entuzjazm i energię pana Ellinghama.

SA: Wydaje się pan rozważny. Wieczorem trzynastego zalecał pan wezwanie policji.

RM: I chociaż nakazano mi tego nie robić, żałuję, że jej nie wezwałem.

SA: Wypełniał pan rozkazy.

RM: Wypełniałem rozkazy.

SA: Zechce mi pan opowiedzieć o liście, który nadszedł do rezydencji ósmego kwietnia, liście Nieodgadnionego? Jak go pan zrozumiał?

RM: Co dnia obok zwykłej korespondencji odbieramy dwie, trzy groźby. Znakomita ich większość to głupstwa, wiele od wciąż tych samych osób. Z początku wydawało mi się, że ten list jest żartem.

SA: Czemu?

RM: Litery powycinane z gazet. Wiersz... Później jednak zauważyłem pewne szczegóły. Spostrzegłem, że został wysłany z Burlington. Moją uwagę zwrócił również adres. Pan Ellingham jako biznesman koresponduje z osobami w całym kraju. Jak zapewne się pan domyśla, doręczanie tutaj poczty nie jest sprawą łatwą, toteż korespondencja zawodowa kierowana jest do biura w Burlington, a stamtąd przysyłana tu do domu samochodem – przy sprzyjających warunkach pogodowych. Gdy aura jest niepomyślna, zatrudniona tam sekretarka czyta mi listy przez telefon. Zdziwiło mnie, że list, o którym rozmawiamy, nie nadszedł pod żaden z adresów oficjalnych, bo właśnie tam trafia większość listów z pogroźkami. Zaadresowano go do rezydencji, sprawiał więc wrażenie prywatnego.

SA: Ale nie pokazał go pan panu George'owi Marshowi.

RM: Zamierzałem. Ale w weekend wiele się działo. Chciałem mu go pokazać, gdy wstąpi do mnie następnym razem.

SA: W weekend było przyjęcie?

RM: Tak. Wydane na cześć Maxine Melville.

SA: Uczestniczył pan w nim?

RM: W tym tylko sensie, że byłem w domu. Byłem zajęty finalizowaniem dokumentacji ważnego kontraktu, nad którym pracował pan Ellingham. Obecnie nabywa on jeden z filadelfijskich dzienników.

SA: Czy w weekend lub w poniedziałek rano zauważył pan coś niezwykłego?

RM: Nic, absolutnie. W poniedziałek rano udaliśmy się do Burlington, żeby coś załatwić i wysłać kilka depeesz. Wróciliśmy wieczorem.

SA: Porozmawiajmy o tym domu i szkole. Przeczynał pan, że może nie być tu bezpiecznie?

RM: Naturalnie, zważywszy na groźby i bombę w samochodzie.

SA: Rozmawiał pan o tym z pracodawcą?

RM: Próbowałem.

SA: Jest pan inteligentnym człowiekiem. Zależy panu na egzekwowaniu prawa. Ma pan oczy otwarte. Gdzie pana zdaniem mogą się znajdować Iris i Alice Ellingham oraz Dolores Epstein?

RM: Na pewno nie tam, gdzie być powinny. Prawdę mówiąc...

SA: Tak?

RM: Wzdrygam się na myśl o tym, ale list najpewniej przysłali porywacze, a Nieodgadniony opisał w nim prawdę. Sądzę, że nie żyją. Boże, pomóż... myślę, że zginęły.

[Przesłuchanie zamknięto o 19:32.]



24

Pewnego razu mała Dottie z Nowego Jorku przyjechała do Akademii Ellinghama i zginęła tam od uderzenia w głowę.

Innym razem przyjechał do Akademii aktor z Florydy i przekonał się, że suchy lód to nic dobrego.

Do trzech razy sztuka. Do Akademii przyjechała dziewczyna z Pittsburgha, z nadzieją, że zobaczy trupa.

Jej życzenie się spełniło.

Ona też wyrwała zwycięstwo z paszczy porażki i została w Akademii, ale później – by porażka nie zgłodniała – rzuciła zwycięstwo z powrotem w jej ziejącą paszczę. Dziewczyna poznała smak czegoś, co dotąd nie powstało jej w głowie, po czym sknociła sprawę.

Życie toczyło się nadal.

Uczniowie rozpaczali mimo wsparcia psychologów. W altanie na skwerze odbyła się nieformalna uroczystość żałobna. Pozostawiono świece, zdjęcia i laleczkę zombie. Charles i inni członkowie zarządu Akademii pisali listy i dzwoniли. Wzmocniono ochronę. Identyfikatory zostały sprawdzone i zaktualizowane. Zaczęto egzekwować przestrzeganie zakazu opuszczania domów po zmroku, pokoje były sprawdzane, patrolowano posiadłość. Wprawdzie nikt nie zapomniał o śmierci Hayesa i powracano do niej w rozmowach, ale pomału stała się ona elementem przeszłości.

Mimo że oficjalnie nie zamknięto śledztwa, wydano oświadczenie, by wszyscy mogli spać spokojnie. Według niego Hayes zginął w wypadku, który sam spowodował. Hayes, który zdobył sławę, kręcąc mroczne filmy, przywłaszczył

sobie cudzą własność. Jego odciski palców znaleziono na identyfikatorze Janelle, wózku golfowym wykorzystanym do przewozu suchego lodu i wózku magazynowym. Nie dość, że Hayes namieszał, to jeszcze miał na koncie kradzież. Naruszył tyle zasad szkoły, że państwo Major nie mogli jej zaskarżyć.

Wszyscy byli przekonani, że Hayes poszedł do tunelu, aby nakręcić nowy odcinek *Kresu*. Stąd jego samotny powrót. Stąd też tajemnica. Zobaczył suchy lód, a że zaglądał do tunelu – wpadł na pomysł, by coś z tego zrobić. No i zrobił, tyle że z opłakany skutkiem.

Uczniowie znowu obłożyli się książkami i wrócili do swych zwykłych zajęć. Zaplanowano ciche party – imprezę bez muzyki albo coś w tym stylu. Miała odbyć się w Wielkim Domu. Podjęto naukę, bo Akademia była przecież szkołą. I Stevie chciała się uczyć, nie umiała się jednak skoncentrować. Nie doczytywała lektur, nie pisała wypracowań.

Dni konsekwentnie szarzały. Przesilenie w górach jest dotkliwe. Liściom o rudziejących brzegach coraz bardziej spieszyło się na ziemię.

David nie odzywał się do Stevie.

Był górą – i to dosłownie. Słyszała nad sobą jego kroki, ale co robi, nie wiedziała. Rzadko bywał w świetlicy i kuchni, a gdy się spotkali, odwracał oczy.

Stevie otwierała książkę i wbijała wzrok w stronę, ale nic do niej nie docierało. Nawet gdy czytała tekst ponownie, słowa zaraz ulatywały jej z głowy. Wypracowania, które miała pisać, kończyły się na notatkach. Mitrząc czas z wiadomych powodów, czuła, że nie może to trwać wiecznie.

Nie umknęło to uwadze Janelle, która w końcu zaciągnęła Stevie do pokoju i posadziła na łóżku.

– Powiesz, co zaszło między wami? – zapytała.

– Między kim?

– Tobą a Davidem – odpowiedziała Janelle.

Stevie zamrugwała.

– Myślisz, że nie wiemy? Wszyscy wiedzą. Widać gołym okiem. No więc co się stało?

– Całowaliśmy się – odparła Stevie.

– Domyślam się. I co dalej?

„Wstyd to coś okropnego. Janelle nie szperała by u Vi przenigdy. Wprawdzie Vi to szajbuska i kłamczuch, ale Janelle by jej tego nie zrobiła. Janelle ma zasady. Jest lojalna. A ja jestem kretynką bez zasad”.

Janelle czekała na odpowiedź, ale czując, że się nie doczeka, przygasała – co Stevie zauważyła.

„Zostali jeszcze Nate i Ellie”.

Ellie zareagowała na śmierć Hayesa z właściwą sobie przesadą. Lokatorów Minerwy obudziły rano przeraźliwe jęki Rooty. Nietrudno było się domyślić, kto zrobił makijaż rzygaczom i posągom. Prócz tego Ellie co dzień piła, wciąż zajmowała wannę i cytowała francuskich poetów.

Nate skrył się w mglistych górach wyobraźni. Ciągłe czytał, uciekał od rozmów, często jadał samotnie. Stevie znalazła go w stołówce przy jednym z wysokich stolików, kiedy z nosem w *Ziemiomorzu* gmerał widelcem w spaghetti z pulpetami z indyka.

Biorąc krzesło od sąsiedniego stołu, postawiła przed sobą tacę z lazanią i sałatką z klonowym sosem, bo już przestała walczyć ze wszystkim, co klonowe.

– Hej.

Nate wyrzwał znad książki.

– Hej – odparł.

Czekała, aż odłoży książkę. Nie od razu to do niego dotarło. Starannie, zamiast zakładki, wsunął między strony serwetkę. Nigdy nie kładł książek grzbietem do góry, aby ich nie niszczyć.

– Opowiedz mi o pisaniu – poprosiła Stevie.

– Czemu mnie nie cierpisz?

– Coś ty. Opowiadaj.

– Niby co? Pisz się i tyle.

– Ale na czym to polega? – zapytała. – Siadasz tak i piszesz? Czy najpierw planujesz? Zapisujesz, co tylko przyjdzie ci do głowy?

– Ktoś ci płaci, że się mnie tak czepiasz?

– Pamiętasz, jak gadaliśmy o żywych trupach i Hayes nie słyszał o galerii w Monroeville?

– No i?

– Dziwne to było – odrzekła Stevie.

Nie doczekawszy się wyjaśnienia, Nate wrócił do książki i pulpetów.

– Kojarzy mi się to z Nieodgadnionym – powiedziała po chwili.

Nate spojrział na nią udręczonym wzrokiem, ale jednak spojrział.

– W jakim sensie?

– Człowiek aresztowany za morderstwa, Anton Vorachek, nie mógł napisać tego listu. Prawie nie znał angielskiego. A poza tym kto się chwali, że chce popełnić zbrodnię?

– Co drugi seryjny morderca – odparł Nate.

– Robią to nieliczni – poprawiła go Stevie. – Zodiak^[11] był jednym z niewie...

– W filmach. W książkach.

– To nie wszystko. – Temat wciągał Stevie. – Jest taka stara zagadka kryminalna. W zamkniętym od środka pustym pokoju znajdują wisielca. Krzesła ani śladu, więc on... no wiesz, nie miał na czym stanąć. Zgadnij, jak się powiesił.

– Stanął na bryle lodu – odparł Nate. – To znane.

– Tak. Przypomina tę o zadżganym w pokoju, gdzie nie zostawiono broni. Sztyletem był sopel lodu. Jest tak znana, że w kryminałach nikt już nie używa sopli. Brzmiałoby to równie nieciekawie, jak oskarżenie kamerdynera. O lodzie nie może być mowy.

– Zgoda, ale to nie kryminał.

– Nie zastanawiasz się, co Hayes robił w tunelu?

– Wiadomo. Kręcił wideo.

– Tak myślą wszyscy.

– A co miałby tam robić? Nikogo z nim nie było, a nawet jeśli, to kto dla całowania włókłby tonę suchego lodu? Nie jestem na bieżąco z perwersjami, ale jakoś mi się to nie widzi.

Stevie wyprostowała się na krześle i zaczęła dziubać w lazanii. Rozejrzała się po stołówce i zobaczyła wchodzącą Gretchen, a raczej najpierw włosy, a potem ich właścicielkę.

„Chyba Gretchen znała Hayesa najlepiej. Była z nim w ubiegłym roku, na pewno dłużej niż Maris. Poza tym chyba nikt w szkole nie jest aż tak wstrząśnięty. Maris wszyscy współczują, a to Gretchen jest naprawdę rozżalona”. Ste-

wie patrzyła, jak przy kontuarze Gretchen odbiera sałatkę na wynos.

– Pisanie to dużo siedzenia. – Nate wreszcie odpowiadał na pytanie. – Ciągłe próby, w tym masa nieudanych. Coś już wiesz, bo pracowaliśmy nad scenariuszem.

– Tylko że mieliśmy fakty. A co, gdy się wszystko zmyśla?

– Idzie super albo beznadziejnie. Czasem jest tak dobrze, że jak gdyby fruujesz, po czym nagle koniec, no i do widzenia. To trochę jak spływ bystrą rzeką, w której braknie wody. Utkniesz na mieliźnie i próbujesz ruszyć. No a potem stajesz się mną.

– Przecież teraz piszesz – powiedziała Stevie.

– A jak gładzę, wszystko mi ucieka.

Nie odezwał się już, zostawiając Stevie zadumaną. Myśli jej wciąż były niepokojne. Im głębiej się w nie wsłuchiwała, tym bardziej ją dręczyły.

Stwierdziwszy, że nie ma sensu jeść na siłę, zebrała resztki kolacji i znów wyszła na dwór, podążając za Gretchen ku pracowni artystycznej. Tam zgubiła ją, ale niebawem usłyszała głośnie dźwięki. Dobiały z któregoś z pokoi. Zaglądając przez okienka do sal, ujrzała Gretchen przy fortepianie. Grała z tak dziką pasją, jakby chciała pokonać żywioły. Do gry przebrała się w obcisły strój tancerki – baleriny, czarne rajstopy, wiązaną pod biustem bluzeczkę z długimi rękawami.

Gdy Stevie zastukała w szybę, Gretchen przestała grać w pół sekundy. Stevie weszła do sali, nie zastanawiając się, od czego zacząć. Na szczęście Gretchen odezwała się pierwsza.

– Byłaś wtedy z Hayesem – rzekła. – Jesteś Stevie, prawda?

– Mhm. Usłyszałam, jak grasz, więc... możemy pomówić?

– Chyba ty go znalazłaś? – zapytała Gretchen.

– Nie znalazłam. Byłam tam, gdy go znaleźli.

Kiwając głową w zamyśleniu, Gretchen spojrzała na stojący na podłodze pojemnik z sałatką. Nietkniętą.

– Kiedyś – powiedziała Stevie – weszłam na was, gdy rozmawialiście...

– Pamiętam – odparła Gretchen. – Poprzytykaliśmy się na koniec. Dostał szalu.

– Wiem, że z nim chodziłaś i że zerwaliście. Przykro mi.

– Przykro?... Być eks chłopaka, który umarł, rzeczywiście jest nieciekawie. Ty jedna powiedziałaś, że ci przykro.

– Mogłabym spytać o Hayesa? – Stevie weszła i usiadła na podłodze.

– Znaczy o co?

– Trochę... gubię się po tym, co się stało, więc może gdybym wiedziała o nim więcej, rozjaśniłoby mi się choć trochę w głowie.

Gretchen rozważała to chwilę.

– Wiesz, co czuję? – odrzekła Gretchen. – Jestem wściekła. Wściekła, że nie mogę wściekać się na niego. Jest tak, jakby zrobił to znowu.

– Zrobił co? – nie zrozumiała Stevie.

– Pograł ze mną. – Gretchen potrzaskała głową. – Głupio mi. A jeśli powiem coś złego na jego temat, to wyjdę na potwora.

– W mówieniu prawdy o innych chyba nie ma nic strasznego.

– Jest, jeśli ten ktoś ginie w tragicznych okolicznościach.

– Co ci zabrał i nie oddawał? – spytała Stevie. – Usłyszałam to, wiesz, wtedy...

– A. Pożyczyłam mu pięćset dolarów. Wiosną. Zarobiłam je na obozie letnim, dając lekcje gry na pianinie. Zostałam prawie bez grosza. Gdy się zaczął rok szkolny, chciałam, żeby mi oddał. Wiem, że zarabiał na serialu. Obiecywał oddać mi tę forszę, ale wątpię, bym się doczekała. Wiesz, jak... – Kręcąc głową, Gretchen otarła łzę. – O co ja płaczę? Boże. Jestem taka wściekła.

Stevie odwróciła oczy, gdy Gretchen się uspokajała.

– Pozornie Hayes należał do tych, którzy mają wszystko – rzekła Gretchen, ocierając łzy z twarzy. – Umiał grać, dlatego się tu dostał. Ale wewnątrz był pusty. Ludzie nadskakiwali mu, bo był przystojny, no i ma... miał ten głos. Wyśługiwał się innymi. Wiesz, jak jest, gdy się kogoś lubi. Robi się głupoty. Działa się wbrew sobie.

„Niedawno tego nie rozumiałam. Teraz tak, aż nadto świetnie. Na przykład grzebie mu się w rzeczach” – pomyślała Stevie.

– Ubóstwiałam go i tyle – mówiła Gretchen. – Ale w zeszłym roku mnie... wykorzystał. Naprawdę wykorzystał. Najpierw prosił, abym mu pomogła pisać esej o Jonathanie Swifcie. Bym go przeczytała, podredagowała. Więc się zgo-

dziłam. Później, kiedy wystawiał *Szklaną menażerię*, nie miał czasu na tekst o Drydenie i poprosił, bym go dokończyła. Potem odrabiałam zadania z francuskiego, bo chciał pokazać, że się przykłada. W końcu, kiedy miałam mu napisać dziesięciostronicową pracę śródsemestralną na temat Alexandra Pope'a, dotarło do mnie, ile pracy za niego wykonuję. Gdy odmówiłam, najpierw się zezłościł, ale zaraz zaczął się kajać. Powiedział, że zdaje sobie sprawę, że wymaga ode mnie za wiele – i wszystko wróciło do normy. Ale po naszym rozstaniu okazało się, że nie tylko ja mu „pomagałam”. Ludzie z sieci, znajomi ze szkoły... Cztery czy pięć osób stąd robiło za niego wszystko. Wyobrażasz sobie? – Gretchen pociągnęła nosem. – Przez tydzień, może dwa wydawało mi się, że go kocham. Jak chciał, to umiał się postarać. No a później się posypało. Raz wieczorem wykradliśmy się z kampusu na imprezę w Burlington. Podjechały pod nas na zgaszonych światłach dwie striptizerki, znajome Ellie Walker. Udało się nam do nich wymknąć. W jednym miejscu kamery się psują, więc można przejść, gdy się wyczuje moment. Akurat wtedy kręcił się tam strażnik, bo okoliczni widzieli niedźwiedzia. Gość czuwał przy drodze w aucie, no i nas przyłapał. Gdy powiedział, że zgłosi rzecz w szkole, Hayes spytał: „Chcesz, by w wozie znaleźli trawkę? Chcesz posiedzieć za dilowanie uczniom?”. No więc tamten okropnie się wystraszył, a Hayes śmieje się i mówi, że żartuje.

– Serio? – zdumiała się Stevie. „Nie poznałam go od tej strony”.

– Serio. W tym momencie powinnam była odejść. Dać sobie spokój i wrócić do domu. Ellie się na niego wściekła. Po drodze do Burlington waliła go po głowie i wrzeszczała, że tak się nie traktuje ludzi. Przepraszał. On zawsze przeproszał. Mówił, że to żarty, no ale... przecież tak nie wolno. Nie można straszyć, grozić ludziom, a później... robić z tego hecę.

Obraz Hayesa, który się malował Stevie, nie był najpiękniejszy.

– Tamten strażnik – mówiła dalej Gretchen – wyjechał trzy tygodnie później. Nie wiem czemu. Wciąż mnie to nurtuje. Dla mnie to był koniec z Hayesem. Zostawiłam go. W prima aprilis, więc myślał, że to kawał. Zniósł to bardzo dobrze. Wręcz za dobrze. Stwierdził, że rozumie. Przez dzień, dwa nic się nie działo, po czym przysłał esemesa, że chce pogadać. O niczym ważnym. Żeby wpadła na chwilę do pracowni. No więc idę. Na mój widok zaczyna przedstawienie. Mówi, że mnie uwielbia, a tak się zawiódł, bo go zdradzam. Oscarowa rola i to ni z gruchy, ni z pietruchy. Nie zdradziłam go. Wymyślał niestworzone

rzeczy. A w sali obok było dużo ludzi i wszyscy wszystko słyszeli. Gdy skończył, uklonił się ścianie, a do mnie się uśmiechnął – i otarł udawane łzy. Chciał mnie odzyskać, robiąc ze mnie winną. Na podorędziu miał już zresztą kogoś. Beth. Kojarzysz? Spiknęli się w Chicago. No więc to już trwało. – Gretchen pokręciła głową. – Dlatego nie mogę o tym mówić. Nie wypada tak wspominać zmarłych.

Stevie trawiła to przez chwilę, gdy pod wpływem nagłego skojarzenia nazwała sobie wreszcie coś, co od dawna nie dawało jej spokoju.

– Sądysz, że to on napisał serial? – zapytała.

Gretchen popatrzyła na nią zbita z tropu.

– Ten o zombie? Coś ty.

Stevie nie spodziewała się tak stanowczej odpowiedzi na pytanie, które właśnie wpadło jej do głowy.

– Mówiłam ci – dodała Gretchen – że niczego nie robił samemu.

– Mnie zapewniał, że tak – odparła Stevie.

Gretchen dała jej do zrozumienia wzrokiem, że kłamał.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłam – rzekła Stevie, wstając z podłogi.

– Jesteś z Davidem Eastmanem? – spytała Gretchen, gdy Stevie kierowała się do drzwi.

Stevie przełknęła ślinę.

– Nie – odpowiedziała po chwili.

– Mhm. Bo tak mi się zdawało. Chciałam ci życzyć powodzenia.

Stevie miała zapytać, co to znaczy, ale Gretchen powróciła już do grania. Spod jej gniewnych palców popłynęła muzyka pełna mocy i namiętności.



25

Stevie wracała do Minerwy rozgorączkowana. „A jeśli to nie Hayes jest autorem *Kresu*? O co tutaj chodzi...? W takim razie ten film, o którym mówił, narobiłby mu masę kłopotów”.

W świetlicy zastała Pix przy otwieraniu masy pudeł.

– Na co ci one? – zapytała.

– Na rzeczy Hayesa – odrzekła cicho Pix. – Jego rodzice chcą uniknąć pakowania, więc poprosili mnie. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Na stole leżał klucz z tekturowym brelokiem. „Szóstka – klucz do pokoju Hayesa”.

– Dziś pakujesz? – spytała Stevie.

– Dzisiaj, jutro. Za pół godziny mam spotkanie, więc pewnie zacznę później. Nic ci nie jest?

– Nic, wszystko w porządku.

W pokoju Stevie zamyśliła się nad nową sytuacją. „Rzeczy Hayesa wkrótce nie będzie, a więc zabraknie informacji. Niby mogę się bez nich obyć, tylko... coś mi tutaj nie gra. A rozwiązanie może przecież kryć się w jego pokoju. Kto wie, czy bym tam nie znalazła odpowiedzi na temat *Kresu*? Ale co by mi to dało?”

Przemierzając pokój, Stevie zerkała na tablicę wystającą spod łóżka. „Gmera nie piętro wyżej skończyło się co prawda nieciekawie, ale...”

Stevie zeszła z powrotem do świetlicy.

– Wiesz co? – rzekła do Pix. – Pomaganie dobrze mi robi. Mogę poukładać pudła?

– Jasne – uradowała się Pix. – Fantastycznie, Stevie.

Stevie uśmiechnęła się chytrze i zajęła miejsce Pix za stołem. Klucz do pokoju numer sześć miała w zasięgu ręki.

– To ja się zbieram. – Zdejmując kurtkę z haka przy drzwiach, Pix włożyła wełnianą czapeczkę. – Na pewno dobrze się czujesz?

– Na pewno – odparła Stevie. – Fajnie mieć się czym zająć.

– Racja – przytaknęła jej Pix. – Niedługo wrócę.

Ledwie wyszła, Stevie chwyciła klucz.



W pokoju Hayesa panował mrok. Zasłona była zaciągnięta. Ręcznikiem, który wisiał na drzwiach, Stevie zasłoniła szczelinę między nimi a podłogą, by przypadkiem nie spostrzegł światła ktoś na korytarzu. Zdjąwszy buty, zbliżyła się do biurka Hayesa, włączyła stojącą na nim lampę, obróciła krzesło ku środkowi pokoju – i usiadła.

„Więc przeczesuję następny pokój. Ale w słusznej sprawie, a to się liczy. Przyszłam tu, bo śmierć Hayesa nie daje mi spokoju, a on przecież już nie może sobie pomóc. To dobry pretekst. Pierwszy krok to przyjrzeć się miejscu, nie szukając niczego konkretnego”. Stevie wolno zakręciła się na krześle, omiatając wzrokiem sprzęty i ściany.

„Czyli tak to wszystko zostawił... Przyszedł przygotować się do filmu. Łóżko, widać, że wcześniej pościelone, jakby ktoś potem rozgrzebał. Koc na wierzchu – przekręcony, podciągnięty...” Na biurku, jak na śmietniku, wałały się różności – od laptopa, przez odżywki do włosów, kamerę, kable, mikrofony, po listy od fanów i podobizny Hayesa ich autorstwa. Na półce biurka leżała reklamówka księgarni. Stevie wyjęła z niej cztery książki o aktorstwie, nieczytane, i wystający z jednej z nich paragon. Kupiono je w Nowym Jorku dwudziestego szóstego sierpnia, tuż przed powrotem Hayesa do Akademii. Na podłodze leżała druga reklamówka z dramatami Davida Mameta, Sama Sheparda, Tony’ego Kushnera, Toma Stopparda, Arthura Millera i Shakespeare’a.

– Typowy zestaw męski – powiedziała do siebie Stevie. Przesunęła palcem po grzbietach książek, sprawdzając, czy noszą ślady używania. Okazało się, że są

nietknięte.

Nadeszła kolej na szuflady biurka. W pierwszej były karteczki samoprzylepne, opakowania markowych długopisów i trzy notesy Moleskine. Poza jednym notesem i paczką długopisów, z której jeden wyjęto – wszystko w fabrycznej folii. Kolejna szuflada, większa, zawierała głównie kable. Ostatnia zaś była pusta.

Stevie poruszała się po pokoju zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Na komodzie piętrzyły się chaotycznie środki do kąpieli i układania włosów. Zagląda-
jąc do szuflad, zatrzymała się nad wypełnioną barwnymi pudełkami. Przesunę-
ła je na bok, żeby sprawdzić, co kryje się pod spodem. Nic nie przykuło jej uwa-
gi. Podobnie jak w szufladach z tiszertami i skarpetkami. W uchylonej szafie
wisały nowe ubrania firm typu Abercrombie & Fitch i J. Crew. Nie od drogich
projektantów, ale też nie tanie. Na czarnym gzymsie kominka stało kilka wciąż
otwartych pojemniczków pudru charakteryzatorskiego Ben Nye, który tu i ów-
dzie się rozlał. Były tam też: płyn do posiwiania włosów, puder w kamieniu, klej
charakteryzatorski, wosk kostny, lateks, puder w kremie, ołówki w różnych ko-
lorach, kapsułki z krwią, używane gąbki i pędzelki oraz kawałeczki sztucznej
skóry i zasrebrzony od czesania włosów grzebień. Na podłodze stała skrzynka
na narzędzia, też pełna kosmetyków do charakteryzacji. Wszystko wyglądało
niechlujne, ale profesjonalnie.

Centralne miejsce w pokoju zajmowała twórczość wielbicieli – Hayes obwie-
sił nią dwie ściany. Stevie obejrzała te dzieła, przyświecając sobie latarką telefo-
nu. Były to głównie rysunki przedstawiające Hayesa w roli Logana. Niezliczone.
Kolorowe i czarno-białe, wykonane ołówkiem. Niektóre słabe, amatorskie,
a inne rewelacyjne. Prócz nich – listy, wiersze, zdjęcia Hayesa z fankami i fana-
mi, serca, rozmaite pocztówki... co tylko można przekazać na papierze. Więk-
sze przedmioty – pluszaki, wyszywanki, a nawet gipsowa makieta planu *Kresu*
z małym Hayesem – stały lub leżały na kominku i podłodze.

Pokój Hayesa był, krótko mówiąc, jego sanktuarium. „Ściano, ściano, po-
wiedz przecie, kto jest najślawniejszy w świecie?”

Zaczynając od jednego kąta, Stevie dokładnie obfotografowała pokój, co zaję-
ło jej około pół godziny. Gdy wreszcie miała względnie pełny obraz osobowości
Hayesa, skierowała uwagę na jego laptop. Wieko laptopa pokrywała warstwa
naklejek – w większości reklamy *Kresu* oraz znaczki kilku kanałów interneto-
wych i fanów narciarstwa. Nietrudno było też spostrzec sporą rysę. „Jak widać,

Hayes nie bardzo dbał o laptop”. Zawartość twardego dysku nie poraziła Stevie. Otworzyła „Pomysły”, jedyny plik tekstowy, przeczytała proste komunikaty:

Obóz letni dla przyszłych morderców
Obóz treningowy dla szpiegów
Szpiegzy, którzy
Obóz?
Świat, gdzie można

I na tym koniec.

– Chyba brakło mu pomysłów – powiedziała do siebie.

Przeszukując laptop pod kątem *Kresu*, znalazła masę maili, a plików wideo niewiele – jeden długi i dużo krótkich podobnych rozmiarów, jakby Hayes poszatkował ten długi. Najdłuższy zapisano czwartego czerwca, a pozostałe między dziewiątym a czternastym.

Szybki przegląd wyników wyszukiwarki ujawnił, że kolejne odcinki *Kresu* ukazywały się dwa razy w tygodniu, od dwudziestego czerwca. Na serial złożyło się ich dziesięć, opublikowanych dwudziestego, dwudziestego trzeciego, dwudziestego siódmego i trzydziestego czerwca oraz czwartego, siódmego, jedenastego, czternastego, osiemnastego i dwudziestego pierwszego lipca. Sprawdziwszy ubiegłoroczny harmonogram, Stevie odnotowała, że uczniowie opuścili Akademię szóstego czerwca.

Główny plik powstał czwartego.

Tutaj.

„W zeszłym roku wróciłem do domu, na Florydę, kilka dni surfowałem i wtedy przyszło mi do głowy...”

– Wcale nie – rzekła na głos Stevie.

„Tylko po co tak kłamać? – pomyślała. – „Po co udawać, że było się gdzie indziej”.

Wtem odezwał się czyjś głos. Stevie zamarła, nasłuchując. Okazało się, że nie dobiega z zewnątrz, lecz zza ściany – i jest wściekły.

Głos Davida. Odstawiła laptop na bok i podczołgała się pod ścianę. Ze stłumionych słów zrozumiała tylko okrzyk: „Allison!”.

– Co to za jedna? – szepnęła do siebie.

Poczuła wzbierający niepokój. „Allison. Dziewczyna? Prawdziwa? Nie byle kretyńka ze szkoły”. Allison natychmiast wyrosła twarz i osobowość. Miała długie włosy i deskę do surfingu.

„Dobrze wygląda w szortach. Depiluje nogi. Śmieje się przez sen i...”

Stevie pacnęła się w czoło, by powstrzymać potok takich myśli, i próbowała słuchać dalej, lecz za ścianą zapadło milczenie. Jedyne dźwięki w pokoju Hayesa wydawało jej rozkołatane serce.

„Niedługo wróci Pix”.

Stevie zamknęła laptop Hayesa i odłożyła go na miejsce. Wyłączyła światło, podniosła buty i powiesiła ręcznik z powrotem na drzwiach. Wreszcie, upewniwszy się, że na korytarzu i w pokoju Davida panuje cisza, uchyliła drzwi.

Korytarz był pusty.

Wymknęła się, bezgłośnie zamykając drzwi za sobą. Dotarłszy do krawędzi schodów, usłyszała za plecami odgłos otwieranych drzwi. Gdy się odwróciła, patrzył na nią David.

– Hej – przywitała się.

Nie zareagował. I chyba też nie wiedział, że właśnie opuściła pokój Hayesa.

– No powiedz coś – nalegała. – Nie możesz nie odzywać się do końca życia. Mieszkamy pod jednym dachem.

– Coś – odpowiedział. Ale bez radości.

– Może więc byś mnie wysłuchał? Nie musisz mówić. Streszczę się. Co ty na to?

David rozważał to przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Wpuścisz mnie na moment? – zapytała Stevie.

Wskazał gestem, że drzwi są otwarte, a potem wrócił do pokoju. Opanowując nerwy, Stevie weszła za nim.

Nie usiadł. Stał na środku, założywszy ręce.

– Słucham.

– Chciałabym cię przeprosić – rzekła Stevie.

– Dobrze – odparł.

I tyle.

– Przepraszam – powtórzyła.

– Okej. Skoro to wszystko, możesz odejść.

– Naprawdę? – Znów zaczął wzbierać w niej gniew. Niespodzianie dały znać o sobie uczucia, które tłumiała od kilku dni. – Nie mówisz mi słowa o sobie. A na kolacji kłamałeś.

– Na kolacji zażartowałem, bo nie miałem ochoty opowiadać o zmarłych rodzicach.

– Jestem najgorsza. Wiem. Ale też jest mi przykro. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Dlaczego trzymasz buty w ręku? – spytał David. Stevie całkiem zapomniała o butach.

– Właśnie je zdjęłam – odparła.

Gdy David przekrzywił głowę i przyglądał jej się długą chwilę, Stevie wpadła na pewien pomysł („prawdopodobnie absurdalny”). Nie mając w zanadrzu nic innego, postanowiła otworzyć się i o wszystkim opowiedzieć.

– Byłam u Hayesa – wyznała.

David wybuchnął śmiechem, lecz nie był wesoły.

– Wiem, co myślisz – ciągnęła, starając się go zagłuszyć – ale wzięłam klucz. Posłuchaj. Musiałam wejść. Pix zaraz zamknęłaby jego rzeczy w pudłach, więc nie sprawdziłabym niczego.

– No i rzecz jasna musiałas pogrzebać mu trochę w pamięci...?

– Dzieje się coś dziwnego – odpowiedziała Stevie. – Wciąż nie wiem co, i tyle.

– Ja chyba wiem – oznajmił David. – Ktoś w domu ciągle gmera ludziom w rzeczach i trzeba wreszcie coś z tym zrobić.

Zranioną Stevie aż zapiekły oczy.

– Po coś tam laźła? – spytał David. – Kręci cię to? Chcesz przegrzebać wszystko?

– Hayes nie napisał *Kresu*.

– Według kogo?

– Podpowiada mi to zdrowy rozsądek. Pracowałam z Hayesem nad filmem. Nawet nie kiwnął palcem. A w zeszłym roku ktoś odrabiał za niego zadania. Na twardym dysku nie ma śladu, że coś zaczął, ani że potrafiłby napisać coś no-

wego. A jego eks sędzi...

– Gretchen. – David wzniósł oczy ku niebu.

– Gretchen – przytaknęła Stevie.

– Gretchen wkurzyła się na niego. Zerwała. Tamten rok był jednym wielkim cyrkiem.

– Hayes pogrywał z każdym. Hayes wszystkich wykorzystywał. Hayes wysługiwał się ludźmi dla własnych korzyści. A potem zginął, przygotowując projekt, dzięki któremu miał wyjechać do Los Angeles, żeby zbierać tam owoce pracy innych. Nie dziwi cię, że zadał sobie tyle trudu po to tylko, by wszystko zaprzepaścić?

– O co ci chodzi? – spytał David. – Sądysz, że ktoś to ukartował? Że Hayesa zamordowano?

Fraza ta, wypowiedziana głośno, zabrzmiała nierealnie. „Zamordowano. Hayesa”.

– Nie – odrzekła Stevie, słupiejąc już na samą tę myśl. – Nie... To chyba był wypadek. Ktoś chyba planował schrzanić mu to filmowanie.

Pojawiwszy się w rozmowie, wiadome słowo opanowało myśli Stevie. „Morderstwo musi być umotywowane – a motywów było tu bez liku. Hayes randkował z kilkoma dziewczynami, oszukiwał je i wykorzystywał. Nawet nie kiwnął palcem, chciał przypisać serial sobie i zarobić na nim kupę szmalu. To motyw aż nadto solidny... Zbrodnia? Czy myślę, że ktoś go zamordował? Stąd we mnie cały ten niepokój?”

– Wiesz, co mnie dziwi? – rzucił David, przerywając jej zadumę. – Zabawianie się śmiercią kolegi. I wiesz, co jeszcze? Szperanie po pokojach, w tym zmarłego. Mam wrażenie, że jesteś walnięta.

„Wielbicieli kryminałów – pomyślała Stevie – traktuje się lekceważąco, tak jakby granica między fikcją a życiem miała przebiegać wyraźnie. Mało kto wie, że pierwowzorem postaci Sherlocka Holmesa był szkocki profesor Joseph Bell, a metody stworzone przez Arthura Conan Doyle’a dla fikcyjnego detektywa zainspirowały całe pokolenia realnych. Kto ma pojęcie o tym, że Arthur Conan Doyle sam rozwiązywał zagadki morderstw, a nawet oczyścił z zarzutów człowieka, którego już skazano? Agatha Christie genialnie zainscenizowała swe zniknięcie, aby w ten subtelny sposób wziąć odwet na niewiernym mężu –

co też nie jest powszechnie znane. Tak więc ja zignorować siebie nie pozwolę. Jestem Stevie Bell i nie dość, że trafiłam do tej szkoły pchana ciekawością sprawy Ellinghamów, to jeszcze byłam przypadkowym świadkiem zbrodni, która z każdą chwilą staje się coraz bardziej podejrzana. Nie odbiło mi, mam przy sobie klucz Hayesa, a Pix pewnie zaraz tutaj będzie”.

Odwróciła się w milczeniu i wyszła, by David nie zorientował się, że płacze.

Raport Batt

Niespodziewana śmierć gwiazdy Internetu w szkole

W sobotni wieczór poniósł śmierć Hayes Major, gwiazda ultrapopularnego serialu internetowego *Kres*. Major, uczeń Akademii Ellinghama, kręcił wideo o porwaniu w rezydencji Ellinghamów i związanym z nim morderstwie. Znalaziono go, bez oznak życia, w odkopanym niedawno, nieeksploatowanym tunelu. Przyczyna jego śmierci z początku nie była oczywista, ale według naszych źródeł udusił się on, przypuszczalnie w wyniku wypadku. Policji udało się ustalić, że posłużony się identyfikatorem skradzionym koleżance, Major wyniósł ze szkolnego warsztatu pewną ilość suchego lodu – najprawdopodobniej w celu stworzenia efektu mgły na potrzeby swojego wideo. Pozostawiony na noc w tunelu, suchy lód roztopił się, wypełniając przestrzeń dwutlenkiem węgla o śmiertelnym stężeniu.

W czwartek rano dyrektor Akademii Ellinghama, Charles Scott, wydał następujące oświadczenie: „Wszyscy jesteśmy głęboko zasmuceni odejściem Hayesa Majora, obiecującego aktora, twórcy i naszego drogiego przyjaciela. Łączymy się w bólu z jego rodzicami i kolegami oraz licznym gronem wielbicieli. To nieodżałowana strata”.



26

– Nazywam się Logan Banfield – mówił Hayes. – I nie wiem, gdzie jestem. Nie wiem, czy ktoś mnie słyszy. Nie wiem, co się stało. Nie wiem, czy jestem sam. Nie wiem nawet, czy żyję.

Siedząc po turecku na strychu Wielkiego Domu, Stevie liczyła gałki do drzwi i oglądała *Kres*. Od odesłania rzeczy Hayesa i jej konfrontacji z Davidem upłynęły dwa dni. Przez ten czas miała wrócić do nauki i do pracy. Spiętrzone przy jej łóżku książki nie czytały się same, a esej do oddania nazajutrz pozostawał nieruszony – bo choć otwierała komputer tysiąc razy, to najpierw wpatrywała się bezmyślnie w ekran, a potem oglądała cały *Kres* od nowa.

Każdy odcinek trwał mniej więcej dziesięć minut. Zaczynała od początku, od chwili, gdy budząc się, Logan Banfield stwierdza, że nie wie, co się dzieje. Całość, z wyjątkiem końcówki, powstała w jednym miejscu, jakby bunkrze.

Logan głównie się wałęsał, reagował albo nasłuchiwał. W kilku odcinkach wspominał atak żywych trupów. W innych znajdował wiadomości od potencjalnie ocalałych. „Typowa apokalipsa zombie”. Stevie uznała, że *Kres* zawdzięczał popularność sugestywnemu aktorstwu Hayesa, a także jego urodzie. „Ładny chłopak kryje się przed potworami, pomału tracąc poczucie rzeczywistości”. W ostatnim odcinku Logan wychodził z bunkra. Nie wiadomo, ocalony czy zmuszony się poddać.

Oglądała więc w kółko. Teraz – z trzydziestego dziewiątego rzędu, gdzie przechowywano drobne przedmioty codziennego użytku, staroświeckie lampy i kinkiety, pudła młotków, puszki śrubek. I zapasowe gałki, których w domu nie brakowało.

„Dziewczyna z gałkami i zombie”.

Przez te dwa dni Stevie lekceważyła wszystko poza nimi. Teraz więc, gdy zapadł wieczór, a jej żołądek dopominał się jedzenia, wyciągnęła słuchawki z uszu. Dłużej już nie mogła obcować z dziełem Hayesa.

Podniosła się – i po raz kolejny przeglądając skrzynię z rzeczami z biurka Alberta Ellinghama, wydobyła z niej blankiet depeszy z jego ostatnią zagadką.

Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma? Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba.

Stevie na moment oparła się o metalowe półki, zapatrzona w depeszę w zielonkawym blasku lamp fluorescencyjnych. „Ktoś, kogo nie ma – tak w sumie Gretchen opisała Hayesa. Wewnętrznie pusty, jakby go nie było”.

„«Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba» może mieć wiele znaczeń. Poręcz. Coś na ścianie. Szczeliny między stopniami... Albert Ellingham nie wróci, by mi to rozwiązać”.

Dzięki regulatorom wilgotności powietrza i temperatury zapach zgromadzonych na strychu wiekowych przedmiotów był nie stęchły, ale wręcz uroczy. „Bogaci nawet gniją z klasą” – pomyślała Stevie.

Odkładając depeszę na podłogę, podniosła wzrok na półki.

„Co to wszystko właściwie znaczy? A nawet jeśli nie napisał, co z tego? Czym ja się w ogóle zajmuję? Unikam pracy i ludzi, żeby tkwić na strychu, gapić się na Hayesa, sprawdzać daty i układać gałki... Mogę napisać to wypracowanie jutro. Mogę... Co? Znow próbować rozmawiać z Davidem? Akurat”.

Powkładała gałki z powrotem do pudła. Wpychając je na miejsce, zadrapała dłoń o półkę powyżej. Z rany spłynęła jej strużka krwi.

– Głupiaś – powiedziała do siebie. Skończywszy, zeszła po schodach ciężkim krokiem, wlokąc za sobą plecak. Larry siedział na posterunku przy drzwiach i lustrował coś w segregatorze. Chciała minąć Larry'ego bez słowa, lecz przywołał ją, gdy prawie wychodziła.

– Ani dobry wieczór? – rzekł zdziwiony Larry.

– Przepraszam – odparła. – Byłam zamyślona.

– Właśnie widzę. Nad czym tak dumasz?

Kiedy Stevie pokręciła głową, odchylił się na krześle i chwilę się jej przypatry-

wał.

– Jak tam? – spytał.

– Jakoś.

– Nie wyglądasz za wesoło.

– Bo nie bardzo mam się z czego cieszyć.

– Mhm. Skoro tak, to usiądź.

Chociaż nie chciało jej się siadać, nakaz Larry'ego jednak był nakazem. Przy-
siadła więc na krzesło naprzeciwko biurka, na skraju, aby zmieścić plecak, no
i żeby móc się prędko podnieść.

– Wymyśliłaś coś nowego w kwestii sprawy?

– Ostatnio nie mam czasu o niej myśleć.

– Skoro chcesz rozwikłać otwartą, nierozwiązaną sprawę, to musisz. Roboty
się nie unika. Takie sprawy wymagają zaangażowania. Starań i mozołu. Trzeba
czytać każdą kartotekę. Słuchać taśm. Wypytać wszystkich świadków. Odn-
leźć najmniejsze dowody. I powtarzać to, aż w końcu coś zaskoczy, dopóki
w głowie nie zacznie się rozjaśniać. Trzeba działać. A los się uśmiechnie.

– Jak ważna jest tu rola szczęścia? – zacięła się Stevie.

– Szczęście zawsze jest istotne – odparł Larry. – Widzę, że coś cię gryzie.

– Tylko szkoła.

– Nie; czuję, że nie tylko. Dręczy cię coś, co wiąże się Majorem. Na pewno nie
jest to smutek.

– Nie może pan tego wiedzieć.

– Po dwudziestu latach w zawodzie detektywa nie mam cienia wątpliwości.

Stevie siadła wygodniej, gotując się do walki z Larrym.

– Powie mi pan, co wie o śmierci Hayesa, no i w ogóle o tym, co się stało?

– Chodzi ci o szczegóły? – spytał Larry.

– Mhm.

– Wszystkich podać ci nie mogę. Podam kilka. Suchego lodu skradziono bar-
dzo dużo. W pojemniku było dziesięć jednostek, ogółem ponad sześćdziesiąt
centymetrów kwadratowych, a siedem jednostek zniknęło. Każda kostka waży-
ła dwadzieścia kilka kilogramów. Na identyfikatorze Janelle i na wózku golfo-

wym znaleźliśmy odciski palców Hayesa. Używając identyfikatora Janelle, ktoś dostał się do pracowni artystycznej o pierwszej dwanaście w nocy. Znaleźliśmy pojemnik, w którym przeniesiono suchy lód. Wiemy, że Hayes wszedł do pracowni, gdy byliście na lekcji jogi. Jak wynika z naszych badań, suchy lód leżał po ziemią mniej więcej osiemnaście godzin i stężenie dwutlenku węgla było tam bardzo wysokie. Szczęście, że wchodząc, nie zginęliśmy. Drzwi były otwarte, więc pomieszczenie się trochę przewietrzyło. Gdyby Hayes zamknął drzwi za sobą, a do środka wszedłby ktoś z naszych, on też przypłaciłby to życiem.

– Czyli Hayes wszedł do pomieszczenia, w którym wcześniej zostawił suchy lód – orzekła Stevie. – Więc zmarł od razu?

– Prawdopodobnie natychmiast, a w każdym razie stracił przytomność. Śmierć nastąpiła szybko. Znalazł się w pułapce. To przykre, ale tak wyglądało.

– Jest pan przekonany?

Larry pochylił się nad biurkiem i splótł dłonie.

– Skąd ta pewność? – dopytywała Stevie.

– Czemu wątpisz? Masz jeszcze jakieś informacje?

„Ach skąd, tylko miałam sen o zbrodni, gdy na ścianie w moim pokoju pojawił się upiorny liścik...”

– Nie – odparła. – Tylko dziwne przeczucie.

Dłużej przyjrząwszy się Stevie, Larry wysunął górną szufladę biurka i wyjął z niej plaster.

– To na rękę – powiedział. – Jesteś taka dzielna.

„Dzielna. Jest więc ktoś, komu mogę ufać”.

– Dziękuję – odparła, zaklejając skaleczenie. – Fajnie się rozmawiało.



Beth Brave siedziała w swojej scenografii, to jest w mieszkaniu, przed ścianą udekorowaną dziełami licznych wielbicieli. Traktując tę twórczość z większym niż Hayes nabożeństwem, poustawiała oprawione grafiki na białych półkach bez wsporników.

Była przepiękna. Miała lśniące, proste jak druty blond włosy i wielkie rzęsy,

sztuczne, jak stwierdziła Stevie. Długie paznokcie, które Beth (zapewne nerwowo) lustrowała ciągle podczas ich rozmowy, stanowiły znakomity przykład sztuki stylizacji. Na palcach obu rąk Beth widniały wszystkie cztery domy Hogwartu; na kciukach miała twarzyczki Harry'ego. „Czegoś takiego nie robi się samemu, trzeba się wybrać do salonu i nie dość, że zapłacić Bóg wie ile, to jeszcze przesiedzieć tam cierpliwie kilka godzin”.

Wbrew przypuszczeniom Stevie, nawiązanie kontaktu z Beth okazało się nietrudne. Choć miała ona ponad milion obserwujących, cały wysiłek Stevie sprowadził się do wysłania wiadomości z informacją, że poznała Hayesa w Akademii, współpracowała z nim przy serialu, a teraz – tu kłamstewko – ma powstać poświęcony mu dokument, z udziałem Beth, gdyby wyraziła zgodę. Odpowiedź nadeszła nawet nie w godzinę, a po kwadransie Beth i Stevie patrzyły na siebie przez Skype'a.

– Dzięki, że się do mnie zwróciłaś – rzekła Beth. Jej zęby, wielkie i równe jak rząd kuchennych szafek, oślepiały bielą. – Ciężko mi. Na pewno wam tak samo.

– Oczywiście – przytaknęła Stevie.

– Miło, że robicie ten film – odparła Beth. – Na pewno by go ucieszył.

Spod ekranu Skype'a domagało się uwagi Stevie niedokończone – a ściślej: niezaczące – wypracowanie. „Napiszę. Zdam na jutro. Nie zawalę. Muszę tylko zamienić parę słów z Beth”.

– Jest coś... – rzekła Stevie. – Pewna sprawa... Jak by to ująć... Chciałabym cię pocieszyć, ale tak się boję...

– Słucham?

– Czuję, że ktoś musi ci powiedzieć, bo wyjdzie i tak... Pewnie znasz ten serial...

– Chodzi ci o tę dziewczynę? – zapytała Beth.

– Tak... tę Maris...

– Ale ja wiem.

– I nie przeszkadza ci to?

– Posłuchaj. Ale teraz nie nagrywasz?

– Nie – zapewniła Stevie z myślą: „Przecież nie nagrywam wcale”.

– Naturalnie randkował z kimś w szkole. Też mam kogoś. Bycie singlem to

żaden przymus. Zejdziemy się... mieliśmy się zejść, gdy przyjedzie do LA. Ale ustaliliśmy, że w trakcie rozłąki możemy umawiać się z innymi. Jednak fani nie mogą o tym wiedzieć; byłoby im przykro. Wiedzieliśmy, jak żyć na odległość.

– Wspominał – spytała ostrożnie Stevie – o szkolnym filmie? Że do pewnego efektu potrzebuje suchego lodu?

– Nie – odrzekła Beth. – A wielka szkoda, bo rozmawialiśmy w dniu, gdy zwiędził to paskudztwo.

Po karku Stevie przemknął dreszcz.

– Czekał, czekał; rozmawiałaś z nim w czwartek?

– No – odrzekła Beth. – Zwykle skajpowaliśmy przed snem. Pewnie jestem ostatnią osobą, z którą rozmawiał tamtej nocy.

– Rozmawialiście w nocy?

– Mhm.

– Pamiętasz, kiedy?

– Nie. W każdym razie późno.

– Bo widzisz... – odparła Stevie – byłoby niesamowicie, gdybyście rozmawiali wtedy późną nocą... Można by z tego zrobić... romantyczną kulminację dokumentu. Dasz radę sprawdzić godzinę?

– Niech spojrzę. – Beth pochyliła się i Stevie zobaczyła jej nos w powiększeniu. – Już mam... Dwadzieścia po dziesiątej.

„Bez sensu. Hayes był wtedy z Maris. Nie, głupia!!! Beth gadała z Kalifornii. W nocy, dwadzieścia po pierwszej. A identyfikatorem Janelle posłużono się o pierwszej dwanaście. Niemożliwe, by Hayes go użył i zdążył wrócić do pokoju na pierwszą dwadzieścia. Albo wszedł wtedy do warsztatu, albo gadał z Beth, obu rzeczy nie mógł robić naraz. A to, co wtedy robił, zostało podpatrzone. Czyli ktoś włożył suchy lód do tunelu, ale tak, by wyglądało to na sprawkę Hayesa. Morderstwo jak nic” – skonkludowała Stevie.



27

Tej nocy padał deszcz. Nie cichy, jaki tulił Stevie do snu. Był to deszcz zacięty, wściekły, zalewający ściany, okna i dach. Deszcz, który wydobywał poczucie pustki w jej pokoju.

A w końcu obudził w niej czujność.

„W dochodzeniach brakuje zwykle czasu. Z każdą godziną traci się dowody. Miejsca zbrodni tworzą ludzie i żywioły. Rzeczy zmieniają miejsce, przeobrażają się i zamazują. Organizmy ulegają gniciu. Wiatr rozwiewa kurz i nieczystości. Wspomnienia przekształcają się i nikną. Człowiek, oddalając się od zdarzeń, oddala się od rozwiązania. Dlatego nie udało się zapobiec śmierci Iris i Dottie. Zwlekali. Gdyby ktoś zadzwonił wtedy na policję... może ocalono by rodzinę Ellinghamów. Ale nie zadzwonił”.

Stevie wreszcie miała informacje – prawdziwe informacje. „Mogę pójść z nimi do Larry’ego, ale on zabronił mi się bawić w detektywa. Powinam mu przynieść coś sprawdzonego. Okej, trzeba to spisać”.

Fakty:

Ktoś wyniósł identyfikator Janelle z pracowni artystycznej, gdy byliśmy na jodze.

Ktoś użył identyfikatora, by dostać się do warsztatu o 1:12 w nocy. W tym samym czasie wyjęto z pojemnika siedem kostek suchego lodu.

Na identyfikatorze były odciski palców Hayesa.

Hayes skajpował wtedy z Beth.

Hayes kłamał na temat *Kresu*.

Wysokie prawdopodobieństwo:

Hayes nie napisał *Kresu*, a już na pewno nie zrobił tego samodzielnie.

Wnioski:

W którymś momencie Hayes miał przy sobie identyfikator, ale to nie on wszedł do warsztatu.

Pytania:

Dlaczego Hayes zawrócił i poszedł do tunelu?

Czy wiedział, że jest tam suchy lód?

Czy prosił kogoś o jego przyniesienie?

Siedząc rano na anatomii, w najstarszym tiszercie i bluzie z kapturem, Stevie patrzyła szklanym wzrokiem, jak Pix krząta się przy szkielecie. Pomału się budziła. Z myślą, że głowa kości udowej przypomina grzyb, usiłowała ogarnąć jej pozostałe elementy. Krętarz większy. Krętarz mniejszy. Głowę, która stawowo łączy się z panewką i guz siedzeniowy miednicy...

Trochę się śliniła. Wsparłszy podbródek na dłoni, ogarnęła spojrzeniem stronę zeszytu z przepisanyymi odruchowo z tablicy nazwami kości. „Bełkot”. Przypomniła jej się Hayes, jego kolana i jak zobaczyła jego stopy na podłodze.

Na literaturze przysnęła, a zbudziło ją szarpnięcie, gdy została wywołana do odpowiedzi na temat *Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka*.

– Co chciał przekazać Eliot, pisząc, że zmierzch rozpościera się na niebie jak pacjent uśpiony eterem?

– Że... jest zmęczony?

Zjadłszy obiad samotnie, wysłuchiwała dyskusji o planowanym na ten dzień cichym party.

Obijała się tak do wieczora, próbując przetwarzać zgromadzone informacje. Kiedy dowlokła się na jogę, resztką sił starała się nie zasnąć. Wzięła ze stosu w kącie podśmierdującą fioletową matę i zajęła obok siebie miejsce dla Janelle, ale ktoś je podebrał. Janelle widząc, że Stevie rozłożyła się bez niej, spuściwszy głowę, poszła ćwiczyć na drugim końcu sali.

Po lekcji oddaliła się, nim Stevie zdążyła ją dogonić.



Stevie opuściła kolację i znów pochłonęły ją fakty. Deszcz walił o szybę, a jej

burczało w żołądku.

Janelle i Ellie poszły na zabawę do Wielkiego Domu. Co u Nate'a i Davida, nie wiedziała.

„Myśl, Stevie, musisz się skupić”.

Ale mózg odmawiał jej współpracy. „Dotarłam już tak daleko, a nic się nie wyłania”. Włożyła słuchawki i włączyła muzykę, głośno, próbując kierować myśli w inną stronę, zmienić perspektywę. Nie usłyszawszy pukania, zdumiała się, gdy stanął przed nią Nate w koszuli w kratę, krawacie i luźnych sztruksach. Mówił, ale nic nie słyszała, bo jego słowa zagłuszała muzyka i tłumił kaptur na jej głowie. W sekundzie więc ściągnęła kaptur i wyjęła słuchawki z uszu.

– Tak? – spytała.

– Idziesz – odpowiedział – ze mną.

– Serio? A niby dokąd?

– Na tańce.

– Tańce?

– Owszem – przytaknął. – Dziś jest zabawa. Idziemy razem. Nie razem, ale idziesz ze mną.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – odrzekła Stevie.

– O zabawę. W Wielkim Domu. Dla wszystkich. Tam. Więc się już pośpiesz.

– Nie mogę.

Nate wszedł do pokoju, zostawiając drzwi uchylone.

– Posłuchaj. Troszkę świrujesz. Normalnie to nigdy w życiu nie poszedłbym tańczyć. Ale idę, bo jesteś moją przyjaciółką, okej? No i coś z tobą nie tak. Wiadomo, że nie mam ochoty. I ty też nie. Robię to dla ciebie, dla twojego dobra. Proponuję ci to po raz pierwszy i ostatni. Czasem trzeba zostawić to cholerne Shire, Frodo. Skoro się przyjaźnimy, wstawaj i chodź ze mną. No i mnie nie zlekceważ, bo ciągle tracisz przyjaciół.

Wyciągnął do niej rękę.

– Serio? – upewniła się.

– Serio.

Spojrzała na zapiski i na Nate'a.

– Założyłeś krawat – zauważyła.

- No tak.
- Na pewno tańce?
- Skąd mam wiedzieć? Wyglądam na bywalca zabaw?

Stevie miała nogi jak z betonu i jakby wrosła w podłogę. Ale widząc, jak Nate się stara, zaczęła się rozluźniać. Była nieumalowana, w tenisówkach i przykurzonej bluzie.

- W takim stroju? – spytała Nate’a.
- Wyglądasz dobrze. Nie żebym się zachwycał. Chodźmy wreszcie, bo stracę cierpliwość.



Stevie czuła się niepewnie, idąc do Wielkiego Domu. Za oknami sali balowej lekko pulsowały światła.

- Od czego – spytał Nate – tak zdziwaczałaś?
- Szukam mordercy Hayesa. – Wsunęła ręce głębiej do kieszeni bluzy.
- Powtórz.
- Szukam mordercy Hayesa.
- Zaleeewasz.
- Nie.
- Urżnęłaś się?
- Nie, co ty? Wiem, że nie on przeniósł suchy lód do tunelu i mogę to udowodnić.
- Jak?

Stevie posadziła Nate’a pod portykiem i opowiedziała mu o swych odkryciach.

- A – podsumował. – Dlatego się tak dziwnie zachowujesz.
- Poniekąd. – Podniosła wzrok na coś, co przeleciało nad altaną. „Pewno nietoperz – pomyślała. – W posiadłości roi się od nietoperzy”. Nate też to widział i z miejsca zerwał się na równe nogi.
- Powiesz o tym Larry’emu, czy jak mu tam? – spytał Nate po chwili.

– Na razie jeszcze się wstrzymam.

– Jak to? Po co?

– Jak mi nie wyjdzie, jeśli się pomylę, to mogą nawet zamknąć Akademię. A jak się okaże, że to był wypadek i wina Hayesa, wtedy żyjemy. Jeśli sprawca gdzieś się tutaj kryje, możemy wszyscy zapomnieć o spokoju.

– Ale masz dowód, że to nie sprawka Hayesa. Chcesz tego kogoś znaleźć, żebyś nie musiała wracać...?

– Chcę go znaleźć, bo tak mi się podoba. No i nie chcę wracać do domu. A na razie idę potańczyć. Potańczyć z przyjacielem. – Ścisnęła jego ramię. – Dzięki tobie – powiedziała z mocą.

– Owszem, ale nie rób z tego sprawy. Tylko jak mam teraz tańczyć po tym, co usłyszałem?

– Wchodźmy – odparła Stevie. – Bo mnie zaprosiłeś, a poza tym może się tu kryć odpowiedź.

– Serio nie żartujesz? – spytał cicho. – Nie nabijasz się ze mnie, Stevie?

– Nie nabijam się z ciebie – zapewniła.

– Myślisz, że wykryli, że to nie wypadek, a morderstwo?

– Tego... – Napotkawszy jego spojrzenie, Stevie poczuła, że się poci – ...nie wiem.

– Więc możemy zatańczyć dziś z mordercą?

– Tak – potwierdziła Stevie.

– I nadal chcesz z tym czekać?

– Daj mi chociaż ten wieczór, żebym się mogła rozejrzeć. Obiecuję już nie długo porozmawiać z Larrym.

Nate ciężko westchnął.

– Okej – zgodził się – skoro tak wolisz. Wyjście na tę imprezę to chyba druga najgłupsza rzecz, jaką zrobiłem od przyjazdu tutaj.



13 sierpnia 1937

Pierwszy domyślił się rzeźnik. To właśnie on zauważył, że miejscowy anarchista, Anton Vorachek, zaczął nagle kupować lepsze mięso. Dotąd brał zwykle resztki i podroby – to, co najtańsze – i w skromnych ilościach. Któregoś dnia jednak poprosił o trochę steku krajanego w kostkę.

A może kelnerka z baru spostrzegła to pierwsza. Zeznała, że Vorachek przychodził tam raz w tygodniu na jajecznicę z jednego jajka – zawsze w niedzielę, żeby pogawędzić i zwerbować ludzi. Tamtej niedzieli zamówił dwa jajka, smażone tarte ziemniaki, górę bekonu i grzanekę. Nawet wypił kawę. Zostawił też suty napiwek, bo „człowiek pracy zasługuje na większy udział w zyskach”.

A może pierwszy zorientował się kierowca autobusu, bo Vorachka niespodziewanie było stać na bilet.

Całe Burlington powiadomiło policję o istnieniu człowieka, który, nie mogąc równać się z Rockefellerami, mimo wszystko znacznie się wzbogacił.

Nie był powszechnie lubiany. Wszczywał strajki i rozdawał wywrotowe broszury. Słyszając nazwisko Ellingham, wykrzykiwał: „Śmierć tyranom!”. Alberta Ellinghama uwielbiano; wspierając finansowo policję, szkoły, straż pożarną, szpital i rozmaite szczytne cele, budził wdzięczność i szacunek wielotysięcznej społeczności Burlington. On to zadbał o darmowe lody dla dzieci z ubogich rodzin – a teraz właśnie otworzył własną szkołę.

Na wezwania, by odebrać mu życie, mieszkańcy reagowali więc gniewem.

Jak podano, policja zrewidowała dom Vorachka, bo według zeznań jednego ze świadków, szukał on budki telefonicznej. Później pojawiła się osoba, która utrzymywała, że Vorachek dzwonił z budki wieczorem czternastego kwietnia o dziewiętnastej siedem. Siedmiu niepowiązanych z sobą świadków zdarzeń tegoż wieczoru, którym za informacje zapłacono po pięćdziesiąt centów, miało

widzieć, jak Vorachek zmierza w stronę Rock Point. Nikt nie uznał za cokolwiek dziwne, że ludzie ci przypominają sobie, co widzieli, po upływie kilku miesięcy, ani też, że ich relacje są sprzeczne. Dwie z tych osób zgłosiły pisemnie, że Vorachek jechał do Rock Point czarnym samochodem. Dwie, że udał się tam pieszo. Jedna, że taksówką. Inna, że rowerem. A jeszcze inna nie umiała wskazać jego środka transportu.

Niemniej na tej podstawie policja przeszukała dom Vorachka – znajdując stertę banknotów oznaczonych sporządzonym przez Leonarda Holmesa Naira świecącym w ciemności atramentem, a nawet banderolę z niewidzialnym odciskiem palca Ellinghama. Co jednak znacznie poważniejsze, policjanci znaleźli też u Vorachka dziecięcy but pasujący do porzuconego na Rock Point.

Vorachek został aresztowany i oskarżony o porwanie Iris i Alice Ellingham oraz zamordowanie Iris i Dottie Epstein.

– Zrobiłem to – rzekł, gdy go skuwano. – Tyrania padnie. To dopiero początek!



Machina prawa ruszyła. Przeanalizowano materiał dowodowy z jesieni i zimy, sprowadzono ekspertów. Vorachka reprezentował pewien słynny adwokat. Gdy na wiosnę proces miał się już rozpocząć, doszło do opóźnień. Do miasta przyjechali anarchiści, kontestując jego aresztowanie. Pojawiły się pogłoski o przesunięciu sprawy, lecz je zdementowano.

Początek procesu zaplanowano wreszcie na piętnastego lipca, akurat kiedy Burlington ogarnęła fala upałów. Miasto omal się nie załamało pod ciężarem zdarzeń. Gdy zajęto wszystkie hotele, Ellingham kupił dom w sąsiedztwie sądu. Koczujący na trawniku reporterzy zniszczyli trotuar ciągłą bieganiną. Sprawa nie schodziła z nagłówek. Amerykańskich. Światowych. Spod gęstwy kabli telegraficznych wokół sądu czasem nie było nawet widać nieba. Tłumy gapiów zablokowały Church Street. W restauracjach codziennie brakowało potraw. Ludzie przebywali jezioro tylko po to, by zobaczyć Vorachka na ławie oskarżonych. Pod sądem, jak przed meczem baseballa, rozstawili się sprzedawcy zimnego piwa, lemoniady i popcornu.

Robert Mackenzie przesiedział ten koszmaryny miesiąc na sali sądowej obok Ellinghama. Śledząc ujawniany tam materiał dowodowy, notował wszystko, czy trzeba, czy nie trzeba – lecz jako prawa ręka chlebodawcy koniecznie musiał jakoś się wykazać. Policjanci pokazali fotografie znalezionych pod podłogą pieniędzy, specjalnie oznaczonych przez Leo. Przedstawiono też banderolę, na której Albert odcisnął palec niewidzialną farbą – niezbity dowód pochodzenia banknotów. Zeznając, że to on sporządził farbę, Leo wskazał, jak się ją wykrywa.

Sala sądowa posłużyła Vorachkowi za arenę płomiennych protestów. Krzyczał, że przemysłowcy są zakałą świata, więc teraz płaci im złem za zło. Gdy huknął, że tacy jak Ellingham poniosą już niedługo karę, anarchiści zaczęli wiatować i wyproszono ich z sądu. Tłum westchnął na to i zaszlochał, pojadając popcorn.

Ellingham śledził wszystko z martwą twarzą. Posiwały, nieruchomy, skupiony. Tylko co dzień powtarzał Robertowi: „Może dziś powiedzą, gdzie jest Alice”.

Vorachka uznano za winnego wszystkich zarzucanych mu czynów.

W noc przed ogłoszeniem wyroku Ellingham zjawił się u Mackenziego.

– Idziemy do sądu – rzekł krótko. – Chcę się z nim rozmówić.

Robert chwycił kapelusz i prędko ruszył za nim. Zaskoczyli dziennikarzy, których wielu posilało się na trawie. Gdy weszli w Church Street, masa ludzi deptała im po piętach, zarzucając ich gradem pytań.

Przez wzgląd na zainteresowanie procesem i jego wagę, Antona Vorachka nie przetrzymywano w zwykłym więzieniu. Zbudowano dla niego celę w suterenie imponującego gmachu urzędu celnego i poczty, opodal sądu – w pomieszczeniach, gdzie składowano papiery.

Na Ellinghama i Mackenziego czekał przy wejściu George Marsh.

– Jest tam. – Wskazał wiodący ku schodom zaciemniony korytarz.

Wprowadzeni do środka Robert i Ellingham minęli sortownię z workami listów, zagłębiając się w mroczną czeluść. Na jej krańcu, za okratowanymi drzwiami stał skazaniec. Drobny, miał spiczastą bródkę i pogodne oczy. Był w brunatnym stroju więziennym – jak spostrzegł Robert, dawno niepranym. Już z daleka śmierdziały mu nogi. W celi stało łóżko polowe, drewniana ławka i wiadra do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Nie było okna, więc jedyne

światło dochodziło z ciemnego korytarza.

– Dobrze cię tu pilnują – przywitał się Ellingham.

Vorachek zamrugał na to i siadł na ławce, przyciskając kolana do piersi. Jeden ze strażników przyniósł krzesło dla Ellinghama i ustawił je tuż przed kratą.

– Mów, gdzie ona jest – nakazał Ellingham. – Powiedz, kto ci pomógł. Nie możliwe, żebyś zrobił to sam.

Vorachek nie zareagował. Siedział w milczeniu przez godzinę, a Ellingham mu się przyglądał. Robert palił z George'em i strażnikami. Przysuwając się raz po raz do drzwi, nie zdołali przerwać ciszy.

– Posadzą cię na krześle elektrycznym – rzekł w końcu Ellingham, odchylając się od kraty.

Vorachek wstał z ławy, podszedł do krat i chwycił za nie mocno.

– Co ja znaczę? – spytał. – Twoje plemię codziennie niszczy moje.

„Co ja znaczę? – pomyślał Robert. – Ciekawa perspektywa”.

– Następnej szansy nie dostaniesz – rzekł Ellingham.

– Co z tego? – odparł Vorachek.

– Co z tego?! – Ellingham cały zadygotał. – Jak powiesz nam, gdzie jest Alice, porozmawiam z sędzią. Pojdę do niego. Wstawię się za tobą. Ocalisz życie. Nawet kiedy zdradzisz, gdzie ukryłeś ciało... – Lekko zadrżał przy ostatnim słowie.

Vorachek wpatrzył się w niego, jakby porzucając butę. Po chwili maska opadła i objawił im się jako człowiek. Współczujący...?

– Idź do domu, koleś – odezwał się wreszcie. – Nic dla ciebie nie mam.

– Skoro tak – odrzekł Ellingham – to będę patrzeć, jak zdychasz.

Wstał. Gdy szli na górę, George Marsh objął go ramieniem, mówiąc:

– Wiedziałem, że nie pęknie. Jutro to się skończy.

– Nie skończy się – odparł Ellingham. – Rozumiesz? Dopiero się zacznie.

Tej nocy Mackenzie spał gorzej niż w ostatnich tygodniach. Jeśli dotąd choć na parę godzin wymykał się lękowi i spiekocie, to dziś rzucał się na łóżku do rana.

Podszedł do okna i spojrzął na księżyc nad miastem i jeziorem Champlain. Nedorzecznie było teraz myśleć, że coś jest nie tak, gdy wszystko toczyło się fatalnie, niemniej czuł, że szykuje się coś złego.

O świcie ubrał się i ochlapał zimną wodą. Jego chlebodawca też był już gotów. Do sądu przybyli wcześniej i stojąc w holu, czekali na Vorachka, na zakończenie sprawy.

Ostatni dzień przebiegał inaczej. Miast wprowadzić Vorachka od tyłu tak jak zwykle, policja wprowadziła go od frontu. Vorachek szedł na śmierć z wysoko uniesioną głową. Stłoczeni reporterzy, którzy siłą wdarli się do gmachu, przy wtórze fleszy wyrzucali z siebie zapytania.

Robert wspominał później, że nie dobiegł go żaden dźwięk, bo odgłos zlał się kompletnie z krzykami i hałasem fleszy. Vorachek skulił się i chyba potknął. Tłum zawrzał i rozległ się wrzask: „Na ziemię!”.

Marsh złapał Ellinghama i wciągnął go do westybulu. Mackenziego porwała fala panicznie uciekających ku drzwiom. Usłyszał, jak wołają: „strzał!”, „rewolwer!”. Wkoło wszyscy biegali, krzycząc.

Vorachka zawleczono na korytarz. Miał krew na koszuli, twarzy, rękach. Leonard Holmes Nair, który też był wtedy w sądzie, uwiecznił go jako obryzganą czerwienią drobną postać.

Policja odepchnęła ludzi, przepuszczając lekarza, choć było jasne, że już nic to nie da. Gdy w ostatnich chwilach Vorachek chciał przemówić, z jego ust popłynęła krew z płwociną. Robert jednak stał na tyle blisko, że posłyszał: „Ja nie...”.

Vorachek oddał ducha.



28

Stevie stała w progu sali balowej, muskając nogą kamienną szachownicę. Światło było przyćmione, bo włączono tylko kilka kinkietów i nastawiono je tak aby dawały poblask. Wokół wirowali w tańcu jej koledzy w migoczących różowo-zielonych słuchawkach – w rytm muzyki, której ona nie słyszała.

– Jakbym weszła w metaforę – powiedziała do Nate’a.

– Hej! – zbliżył się do nich Kaz. Ubrany w czarną marynarkę, miał w butonierce czerwony kwiat. – Fajnie, że przyszliście! Proszę. – Wręczył im po parze migoczących słuchawek. – Włączcie je tylko i tańczcie!

Nałożywszy słuchawki, Stevie i Nate weszli do sali. Stevie zachwyciła się grą świateł, które odbijając się w szkle luster, mieniły się przedziwnie, sennie. Ze ścian uśmiechały się do nich maski o niewidzących oczach.

Stevie wyłączyła muzykę, więc to, co słyszała, było lekko przytłumione przez słuchawki. Nate rozglądał się nerwowo, tańcząc na wstydliwie ugiętych kolanach. Wzruszona Stevie naśladowała go przez chwilę, by dodać mu otuchy.

Omiatając wzrokiem salę, wypatrzyła Janelle i Vi, które kołysały się, przytulone, z boku. Tuż przy niej Maris w kosmatej sukni wykonywała skomplikowane wolne ruchy z Dashem, zaraz jednak zaczęli tańczyć jak inni.

Gretchen, porzucona eks, stała skromnie z garstką drugorocznych w kącie. A w przeciwległym końcu sali Stevie zobaczyła Ellie i Davida. Ellie była w czymś czarnym i lśniącym, co przy bliższym oglądzie okazało się głupkowatą kreacją złożoną ze spódnicy z worków na śmieci i krótkiej halki na ramiączkach. Tańczyła jak w jakimś obłędzie, wymachując ramionami. David, oparty o ścianę, obserwował, co się dzieje. Tak jak Stevie, nie przebrał się na tańce. Miał na so-

bie te co zawsze złachane džinsy i obstrzępiony zielony tiszert.

Na widok Stevie z Nate'em odepchnął się od ściany i podszedł do nich, zdejmując słuchawki.

– Ładny krawat – zwrócił się do Nate'a.

– Nate'a się nie czepiaj – powiedziała Stevie.

– Nie czepiam się – odparł David. – Nate, masz ładny krawat. I przebrałeś się. Za Banksy'ego czy Unabombera?^[12]

– A ja za śliczną dziewczynę – mruknęła Stevie. – Która bardzo lubi spokój.

Vi też zauważyła jej obecność i pociągnęła Janelle w ich stronę. Stosownie do okazji włożyła koszulę i żółty krawat w białe grochy. Janelle miała białą bluzkę i żółtą spódnicę. „Nieźle się dobrały”. Choć strój ten przekraczał wyobraźnię Stevie, im niewątpliwie pasował.

– Patrzcie! – Vi wymusiła radość. – Przyszła cała szkoła!

Janelle spuściła oczy.

– Rzeczywiście – przytaknęła Stevie. – Chciałam, chcieliśmy się zabawić.

– Jestem stworzony do tańca – rzekł Nate.

– Więc – podjęła Vi – zatańczymy.

Stevie nie umiała tańczyć. „Inni mają to już w genach, po prostu przychodzą z tym na świat”. Zdumiewało ją, jak ludzie chwytają rytm w jednej chwili. „Ja nie. Ale skoro Janelle chce, bym potańczyła, no a Nate specjalnie mnie tu po to przyprowadził, a na dodatek wszystkich tutaj podpatruję, to znaczy, że... zatańczę”. Gdy na początek spróbowała zgiąć kolana, nawet Nate spojrzał na nią z litością. Postanowiła więc uruchomić ręce, wymachując ramionami tak jak Ellie.

Nie wiedziała, co na to David, który stał i się przyglądał. „Nieważne. I tak już nie mam nic do stracenia”.

Janelle wybuchnęła nieopanowanym śmiechem, aż musiała oprzeć się o ukochaną. I objęła Stevie za szyję.

– Zaraz padnę – powiedziała.

– Ja też – odparła Stevie.

Znowu przytulone, Vi i Janelle zaczęły tańczyć wolniej. Kiedy Stevie zerknęła na Davida, odwrócił się i odszedł pod ścianę. „Przykre – pomyślała urażona – ale w sumie co tam!”

Przypomniało się jej, że na końcu każdej książki Poirot zbiera podejrzanych, aby im się przyjrzeć. „Skoro dzisiaj jest tu cała Akademia, przeskanuję sobie wszystkich naraz. Może znajdę kogoś, kto miał powód wsadzić ten suchy lód do tunelu i się nie ujawnić... Może się dowiem, czemu Hayes zawrócił”.

Krążąc, chłonęła salę – swoisty hołd złożony maskaradom i intrygom. Blask kinkietów, aktorzy na panneau, maski... wszystko powielalo się w lustrach.

„Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma...”

Ellingham domagał się, by wyteńczyła myśli.

„Czy to Gretchen? Gretchen, która otwarcie wyznała, że Hayes ją wykorzystywał i jest wściekła? Gretchen, która pewnie nie odzyska tych pięciuset dolarów?”

– Chodź!

Janelle zaszła Stevie od tyłu, wzięła ją za rękę i jeszcze raz porwała do tańca. Stevie starała się nadażać, poruszać się jak najlepiej, ucieszona, że Janelle znowu się uśmiecha, a Vi kiwa głową na znak, że będzie dobrze.

„Może nie trzeba mi nic więcej. Po prostu być z przyjaciółmi. Żyć zwyczajnie. Przestać myśleć, że wykryło się morderstwo. Przymknąć oczy i tańczyć”.

Janelle ścisnęła dłoń Stevie, uciskając leciutko skaleczenie.

Przez głowę Stevie przemknęła nagła myśl.

„Dłoń. Coś z nią nie tak. Ból w dłoni. Zadrapanie”. Stevie skupiła się na grzbiecie dłoni, jakby oświetlając ją punktowcem. „Dłoń przemówi. Opowie swą historię – tylko muszę baczenie się w nią wsłuchać”.

Dłoń przywołała wspomnienia. „Ostry chłód metalu. Ciepło wnętrza kieszeni bluzy. Dotyk skóry Davida...”

– Zaraz wrócę – powiedziała Stevie. – Muszę wyjść do... łazienki.

Zmieniła się muzyka i nagle wszyscy zaczęli szaleć. Stevie ściągnęła słuchawki, dyskretnie się rozglądając. Chciała znaleźć osobę, która jak wieczny satelita zawsze kręciła się w pobliżu. Była i tu, zajęta komórką, siedziała na jednej z ław pod oknem.

– Potrzebne mi są twoje zdjęcia z tamtego dnia w ogrodzie – rzekła Stevie, podchodząc do Germaine.

– Do czego? – zapytała Germaine.

– Potrzebne i już – odparła Stevie. – Odwdzięczę się. Proszę.

– Miło, że się odwdzięczysz. – Germaine przejrzała komórkę i podsunęła ją Stevie. Stevie przewertowała zdjęcia, znajdując to, o co jej chodziło – wyraźne zdjęcie, na którym Hayes udawał, że pracuje przy laptopie. Powiększyła je.

Serce zabiło jej gwałtownie.

– Ej. – Od tyłu podszedł Nate.

– Czekał – poprosiła. – Moment.

Chwilę stali bez słowa, otoczeni tłumem tancerzy.

Sterie otworzyła swoje zdjęcia pokoju Hayesa. Dzieła fanów, komoda, biurko, laptop...

Bezgłośnie zakłęła.

Na zdjęciach Germaine z soboty laptop Hayesa był nieskazitelny. A na zdjęciach, które zrobiła Stevie, przeszukując jego pokój, miał na przedzie trzy zadrapania, jakby od pazurów kota. „Identycznie zadrapałam sobie rękę, gdy sięgałam w pierwszym dniu pod wannę”.

– Co się stało? – zapytała Germaine, przyglądając się uważnie Stevie.

„Ktoś wziął komputer Hayesa i schował go pod wanną. W jakim celu? Myśl, Stevie. Może czegoś szukał... Dowodu, że napisał serial, który – przerobiony na film – miał przynieść Hayesowi zaszczyty. Może chciał mu utrzcę nosa i zabił go przez przypadek. No a potem musiał zatrzeć ślady. Dopilnować, by nic w laptopie nie wskazywało, że to on naprawdę jest autorem. Janelle i Nate’a mogę wyeliminować. W zeszłym roku nie było ich w Akademii. Zostają Ellie i David. Nieźle. Ellie, która kocha sztukę, bywa w Paryżu i się tatuuje. Ellie, ta śmieszna i beztroska, która czasem zbyt się stara. David, który kłamie. Który nie ma już rodziców. Skryty David, który czepia się ludzi”.

Światła w sali rozbłysły różem i, pulsując, muskały sufit. Rozjarzyły się oczy masek.

„Oboje mogli wyjść po zmroku. A odciski palców na identyfikatorze? Proste. Wystarczyło dać potrzymać go Hayesowi. Determinacja. Planowanie. Może chodziło tylko o wykopanie go ze szkoły, tymczasem wyszło na opak. Z tych dwojga David jest bardziej rozgarnięty. To umysł ścisły, więc pewnie wiedziałby, że tyle dwutlenku węgla może zabić. A Ellie mógł zaświtać pomysł, że taki obłok mgły to cudo. Czy więc sprowadza się to wszystko do paru zadrapań

na laptopie?

- Co się dzieje? – spytał Nate.
- Jeszcze główkuje – odparła Stevie.
- Pogadajmy od razu z Larrym – odpowiedział. – Niech wezwie policję.
- Policja do tego nie doszła. Doszłam ja. Więc chyba wolno mi to skończyć.
- Nie mów tak, bo czuję się, jakbyś chciała, żebyśmy zginęli.
- Skąd – odrzekła Stevie. – Trzeba kiedyś wrócić do domu.



Zabawa dobiegła końca o północy. Gdy wracali, Stevie pilnowała, by mieć Minnerwian w zasięgu wzroku. Ona szła z Nate'em i Janelle, na czele zaś David z Ellie. David czasem się za nią oglądał, obrzucając ją zaciekawionym wzrokiem.

„Czyżby całował mnie morderca? Ciekawe, jak morderca się całuje. Może być gorący jak David? Czy dlatego mi się tak podoba? Czyżbym wyczuła to już w chwili, gdy zetknęłam się z nim po raz pierwszy, kiedy wyraz jego twarzy przywołał coś, co znam, a z czym chcę walczyć? Albo Ellie, która teraz w swoich workach podskakuje jak kopnięta baletnica? Czy mogłaby butelką wina skusić Hayesa do wejścia do tunelu...?”

Od jakiegoś czasu śledziła ich Germaine Batt. Milcząc, szła kilka kroków w tyle. Stevie czuła, jak pilnie podsłuchuje. I pewnie gdyby przy kamiennych głowach nie napotkali współlokatorów Germaine, skręcających ku Junonie, a Stevie nie życzyłaby jej wtedy głośno dobrej nocy – to chyba nigdy by się jej nie pozbyli i zaszłyby za nimi do Minerwy. Germaine zmrużyła gniewnie oczy, ale odeszła z tamtymi.

- Co taka cisza? – odezwała się Janelle.
- To z podniecenia – rzekł chłodno Nate. – Od tańca.
- Pierwszy raz dziś tańczyliście?
- Taaak – odparli chórem.

Noc miała w sobie coś z teatralnego spektaklu. Zawisły nisko na bezchmurnym niebie księżyc w pełni płonął wściekle jak wielki reflektor.

- Masz jakiś pomysł, co dalej? – Nate zapytał cicho Stevie.
- Mam – odparła. – Ale tobie się raczej nie spodoba.



29

Gdy wrócili, Pix sumiennie odfajkowała, że są wszyscy, i oddaliła się na górę. Gdy Ellie i David kierowali się do swych pokoi, Stevie rzuciła:

– Kto chce pograć?

– W co? – spytała Ellie.

– W „Nigdy nie” – odparła Stevie.

– Uwielbiam – ucieszyła się Ellie. – David, chodź. Przyniosę wino. Nie da się w to grać bez wina.

– To zagrajmy u kogoś w pokoju – odrzekł.

– Chodźmy do mnie – zaproponowała Ellie.

Nate spojrzał niepewnie na Stevie, ale ona dała mu kuksańca: „no chodź”.

Pokój Ellie miał wprawdzie kształt i rozmiar pokoju Stevie, mimo wszystko był jednak innym światem. Jego ściany pokrywały aż po sufit szkice i ulotki po francusku. Na podłodze leżał skołtuniony chodnik wydający silną woń kadzi-dła. Wokół wały się naczynia z kuchni, wszystkie brudne lub zarosłe pleśnią. Podłogę zaścielały długopisy, kartki, a na meblach były zaschnięte plamy z wosku.

– Znacie to? – Ellie uśmiechnęła się na jednej z poduch, wyjmując wino spodziej nocnej szafki a łóżka. – Zaczyna się od powiedzenia, czego się nigdy nie robiło. Wtedy ci, co tego nie robili, nie piją. A jak ktoś robił, to pije. Prosta sprawa. Pokażę wam. Nigdy nie całowałam się w tym pokoju. – Uśmiechnęła się szeroko, popatrując na Davida. David spojrzał na nią nieprzyjemnie.

Stevie i on nie poruszyli się, jednak chwilę później Stevie sięgnęła po butelkę i wypila łyczek, ledwie tyle, by poczuć zapach wina. Gdy odstawiła butelkę, wol-

nym ruchem sięgnął po nią David.

Ellie się zaśmiała.

– Na tym to polega. Twoja kolej – zachęciła Nate’a.

– Dobra – odparł. – Do dziś nigdy nie byłem na tańcach.

– Już to wiemy – upomniała go Janelle.

– W zasadach nie ma nic o faktach stwierdzonych – obruszył się Nate.

Wzdychając ciężko, Janelle się napiła. Potem Ellie, a potem David.

Następna była Janelle.

– Nigdy nie rozpalałam ognia – powiedziała.

Napiła się tylko Ellie. Pociągnęła sporo. David, który miał się teraz zwierzyć, oparł się o łóżko i przez moment drapał się po brodzie.

– Nigdy nie myszkowałem po cudzym pokoju.

Stevie z wahaniem się napiła. Popatrzyli na nią bez słowa. Nadeszła właśnie jej kolej.

– Nigdy nie wzięłam cudzej rzeczy – rzekła.

Janelle i Stevie nie tknęli wina. Nate tylko uniósł butelkę.

– Udałem – wytłumaczył.

– Ej, nie – rozczarowała się Ellie. – Masz się napić. Co wzięłeś?

– A kto nie wziął? – odparł Nate. – Biorą wszyscy. Na ma siły, żeby komuś czegoś nie wziąć, choćby nawet przez przypadek.

– Racja. – Janelle sięgnęła po butelkę. – Ta gra wymaga mocnej głowy, a ja właściwie nie piję, więc... chyba dam sobie spokój.

– Skoro tak, to coś wam zagram – rzekła Ellie, wyjmując z za pleców Rootę.

„Roota. Jak to powiedziała o niej Ellie? «Stwierdziłam, że musi być moja. Nie miałam wtedy forsy, więc musiałam coś wymyślić. Namalowałam obrazek, sprzedałam i kupiłam Rootę»”.

– Ile za nią dałaś? – spytała Stevie, gdy Ellie już-już miała włożyć ustnik do ust. – Myślę, czy by nie kupić sobie jakiegoś instrumentu.

Wszyscy spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

– Jakieś pięćset dolców – odparła Ellie. – Ale było warto. Jest mi przyjaciółką.

– A kiedy ją kupiłaś? Na wiosnę?

– Mhm – przytaknęła nieco niespokojnie Ellie.

– Mówiłaś, że za kasę z obrazków? Jakich?

Teraz Ellie poruszyła się nerwowo.

– A, coś tam nabazgrałam – odrzekła.

– Obrazki za pięćset dolarów. Nieźle. Ile sprzedałaś tych dzieł?

– Kilka. Wiecie co? Jak mamy nie grać i nie pić, to może idźcie.

Nate podniósł wzrok na Stevie.

„Wie. Rozumie”.

Janelle zaczęła się zbierać, ale Stevie dała jej znak, by została.

– Pogadajmy chwilę o Hayesie – zaproponowała Stevie. – Warto by go, wiecie, powspominać.

– Może, ale nie mam na to ochoty – odparła Ellie.

– Stevie, co ty wyrabiasz? – Wbrew ironicznemu uśmieszkowi, głos Davida pobrzmiwał troską.

– Chodzi o to, że... sobie coś przywłaszczył – zaczęła Stevie. – Tak więc wtedy musiałby się napić. Koleś wciąż wysługiwał się ludźmi. Mną tak samo. Nate'em. Gretchen. A ty, Ellie, też robiłaś coś dla Hayesa?

Napotkała spojrzenie Ellie. Jej piwne oczy były tak świetliste, że aż złote.

– O co ci chodzi? – zapytała Ellie.

– Właśnie, Stevie – wtrącił David. – O co?

– Ciekawostka – odrzekła Stevie. – Hayes mi mówił, że *Kres* kręcił na Florydzie na początku zeszłego lata. Kłamał. Kręcił czwartego czerwca, a szóstego zamknęli szkołę na wakacje.

– Co? – zdumiała się Ellie. – Ja...

– Wiem, bo przeszukałam jego pokój. Przeszukuję pokoje. Straszna jestem. Ciekawi mnie, gdy coś się nie zgadza. A to i owo już udało mi się wykryć. Wykryłam na przykład kłamstwa Hayesa. Serial zrobił tutaj i nie samodzielnie. A zeszłej wiosny pożyczył od Gretchen, swojej eks, pięćset dolarów i nigdy ich jej nie oddał. Raptem ty dostajesz tyle samo za obrazki i kupujesz Rootę...

– Świrujesz – odparła Ellie roztrzęsionym głosem. – Wynoś się stąd. Wszyscy wypad!

– To nie wszystko – dorzuciła Stevie. – W czasie między śmiercią Hayesa a moją wizytą w pokoju ktoś wyniósł jego komputer. Ta osoba wsunęła go pod wannę i wtedy powstały na przedzie trzy rysy. Przedtem ich nie było. Mam dowód.

– Stevie... – odezwała się lekliwie Janelle. – Co się dzieje?

W Stevie coś się dokonało. Śmierdzący farbą i zastarzałą paczulą ciemny pokój był nieznośnie, klaustrofobicznie duszny... „Ta noc zostanie we mnie już na zawsze. Noc, kiedy nagle przejrzałam Ellie, prześwieciłam życie i śmierć Hayesa. Jeśli nie mam racji, będę musiała się spakować i wyjechać. Wysoka gałąź, po której chodzę, chwieje się przy każdym kroku. I jest cudnie”.

– Byłabym zapomniała. Beth Brave. Skajpowała z Hayesem, gdy rzekomo wynosił suchy lód z warsztatu. Czy wiedział o suchym lodzie? Czy to był jego pomysł?

Twarz Ellie przybrała kształt jednej z masek na ścianie sali balowej – poszerzyła się, wydłużyła w emocji, rozciągnęła.

– Wyjdźcie – powiedziała Ellie. – Nie chcę was tu widzieć.

David podniósł się i przykucnął. Janelle oparła się o ścianę. Tylko Nate, nieruchomy jak skała, obserwował wszystko, założywszy ręce.

– Stevie – rzekł wolno David – wiesz, że to, co mówisz, jest trochę nie z tej ziemi?

– Owszem – odparła Stevie.

– Musiałabyś być pewna...

– Jestem.

– Więc pomagałam mu przy serialu – oświadczyła Ellie. – Niech będzie, że pomagałam!

„Czyli już się poddaje”.

– Planował jechać do Hollywood – podjęła Stevie – i zrobić film z P.G. Eddertonem, a potem zbierać laury.

– Co z tego? Myślisz, że chciałam, by ktokolwiek wiedział, że pomagam przy serialu o zombie? Zależało mi tylko na forsie na saksofon.

– Więc dlaczego wyniosłaś laptop? – spytał Stevie. – Przyjechała policja... Musiałaś sprawdzić, czy jest w nim jakiś dowód twojego udziału, bo wiedziałaś...

– Zrobiło się nieciekawie. Hayes... wygadywał głupoty. Robił głupoty, zginął, jest mi przykro, a teraz się stąd wynoście.

Nikt nie drgnął, więc sama wstała, porywając z podłogi torebkę.

– Ellie. – David ruszył za nią. – Dokąd się wybierasz?

Próbował ją zatrzymać, ale się wyrwała. Pomknęła korytarzem do świetlicy i schowała się za drzwiami.

Stevie podniosła się i poszła za nią. Ellie pchnęła drzwi i wpadła...

Na Larry'ego.

– Piętnaście minut temu wysłałem mu esemesa – rzekł Nate, wyłaniając się zza pleców Stevie. – Nie chciałem, żeby ktoś z nas zginął.

– Słusznie. – Stevie osunęła się pod ścianą. – Słusznie.



Minerwian zabrano do Wielkiego Domu i władowano do gabinetu Alberta Ellinghama. Dom ogarnęła ciemność, więc Larry zaciągnął grube zasłony.

Charles, który wyglądał, jakby go właśnie zbudzono, miał na sobie dzinsy i kaszmirowy sweter. Zjawiła się też doktor Quinn, w prostej czarnej sukni, jakby oderwana od innej sprawy. Pix, która do nich dołączyła, nadzorowała postępowanie, ubrana w za duży sweter i spodnie wojskowe.

Ellie skuliła się na jednym ze skórzanych krzeseł, chowając głowę między kolanami. Stevie opisała ostatnie zdarzenia. Gdy skończyła, w gabinecie zaległa długa cisza.

– Element – przemówił w końcu Charles – pomagałaś Hayesowi pisać serial?

– Jasne – odparła Ellie. – Pomagałam przy serialu. I co z tego?

– Czy serial dużo zarobił? – spytał Larry.

– Nie wiem – odrzekła. – Mam gdzieś kasę. Wychowywałam się w komunie. Dla mnie nie chodzi tu o forszę.

– Co znaczy „tu”? – nie zrozumiał Charles.

– No... tu. Nieważne.

– Wzięłaś laptop Hayesa? – pytał dalej Larry.

- Nie chcę o tym gadać. Pieprzenie.
- Wzięłaś jego komputer? – powtórzył Larry. – Pytanie jest proste.
- Zaglądnęłam – odrzekła Ellie.
- W jakim celu?

Cisza.

- Umieściłaś w tunelu suchy lód? – zapytał Larry.
- Nie – odmruknęła spomiędzy kolan.
- Coś ukrywasz – stwierdził Larry. – Masz nam wyjaśnić, o co chodzi. To poważna sprawa.

Raptem Ellie siadła prosto. Łzy popłynęły jej z oczu.

- Był taki tępy. Boże, co ja w nim widziałam?
- Co masz na myśli? – naciskał Larry.
- Całe to miejsce... – Kręcąc głową, uśmiechnęła się ponuro. – Ta szkoła i w ogóle. Hayes z jego dennymi pomysłami. Te jego durne pomysły; to one go zabiły.
- Obawiam się, że powinniśmy przerwać. – Doktor Quinn podniosła rękę. – Ellie, nie odpowiadaj, dopóki nie załatwimy ci adwokata. Chodźmy – zwróciła się do reszty.

– Racja – przytaknął Charles. – Poproszę naszego radcę prawnego o konsultację. Larry, zaprowadź, proszę, ich do Minerwy...

Larry podszedł do doktor Quinn i Charlesa i powiedział coś do nich cicho.

– Okej – odparł Charles. – Pani doktor – zwrócił się do Pix – proszę zaprowadzić wszystkich do pokoju nauczycielskiego. Przespać się można w razie czego w którymś z pokoi gościnnych.

- Nie możemy wrócić do domu? – zapytał Nate.
- Zatrzymamy tu wszystkich na jakiś czas – powiedziała doktor Quinn. – Dopóki nie wyjaśnimy sprawy.
- Co, jestem aresztowana? – spytała Ellie. – Larry mnie aresztuje?
- Nie – odrzekł Larry. – I zgadzam się; zaczekajmy na adwokata. Czekać tutaj, dobrze? Siedź i się stąd nie ruszaj.

Sytuacja zmieniła się więc radykalnie. Przed chwilą grupka uczniów opowia-

dała dyrekcji rozmowę w bursie. Teraz rozmawiano oficjalnie i miał przybyć adwokat. Ellie nagle zrobiła się małeńka. Miała wystraszone, przekrwione oczy.

– Idę – oznajmiła, wstając.

– Element – rzekł Larry ostrzegawczym tonem.

– Nie możecie mnie tutaj trzymać.

– Ellie – włączył się Charles. Jego głos brzmiał spokojnie. – Rozumiem, że się boisz. Ale załatwiemy ci pomoc. Najlepiej uspokój się i usiądź. Jeśli zaczekasz na adwokata, zadziałasz na swoją korzyść. A jeśli teraz pójdziesz...

– Nie ma dokąd – dokończyła doktor Quinn. – Jesteśmy na górze w środku nocy. – Siadaj, Ellie.

Ellie usiadła.

– Przyniesiemy ci coś do jedzenia – zaproponował Charles. – I do picia. Masz ochotę? Przydałoby ci się... Pix, możesz...

Z gabinetu dochodził dziwny szelest, jakby nie było do końca jasne, w jakim stanie jest Ellie. Wielki Dom zaskrzypiał i jęknął, owiany jesiennym wiatrem. Ellie została w gabinecie. Gdy wszyscy poza nią wyszli, Larry przekręcił klucz w zamku.

– Zamykasz ją? – zdziwił się Charles.

– Tak. Balkon zabezpieczyłem od zewnątrz.

– Nie jest skazana – rzekł Charles.

– Ale może kogoś zabiła. Nic tu jej nie grozi.

– Przyniosę jej jedzenie i wodę.

– Rób, co uważasz – odpowiedział Larry.

Kiwnął na ochroniarza, by stanął przy drzwiach.

– Ty – rzekł do Stevie. – Ze mną.

Zaprowadził ją do biura ochrony i zamknął drzwi.

– Siadaj.

Zadzwoił, by natychmiast przysłano radiowóz. Rozłączywszy się, spojrzał poważnie na Stevie.

– Trzeba było przyjść do mnie.

– Z czym? – odparła Stevie.

– Gdy się dowiedziałas, że Hayes telefonował, kiedy miał być w warsztacie.

– Przepraszam – odpowiedziała. – Sądziłam, że to za mało.

– Żeby co? Nie ty miałaś decydować. Zdajesz sobie sprawę, co się mogło zdarzyć? Element ewidentnie coś ukrywa. Możliwe, że zabiła Hayesa. Bardziej niż możliwe. To nie zabawa.

– Wiem.

Larry potarł oczy.

– Masz tu czekać na przyjazd policji. My się tym zajmiemy.

Wstał i wyszedł, zostawiając Stevie wpatrzoną w monitory, na których było widać tylko ciemność, zarys drzew i – czasem – lśniąca oczy zwierząt. Siedziała chwilę jak w transie.

Odtwarzała w myślach list zobaczony na ścianie. Słowa wolno nabierały kształtu.

„Zagadka na ścianie mruga... mokra robota przydługa... Tak to brzmiało. Może list mi się nie przyśnił? Może to sprawka Ellie? Może to tylko wiersz, obiekt artystyczny. Bo przecież bez sensu ogłaszać, że planuje się zabójstwo...”

Za drzwiami rozległy się krzyki. Stevie zerwała się z krzesła i wyjrzała. Przy otwartych drzwiach biura stał Charles z owocami i wodą. Do drzwi podbiegli ochroniarze.

– Jak to? – mówił Larry. – Jeśli się zapanuje zbyt daleko, może zginąć...

– Jak się to stało? – zapytała doktor Quinn.

– Musiała wymknąć się przez panneau – odparł Larry. – Tylko skąd o nim wiedziała? Dennis – do piwnicy. Przejście wiedzie do piwnicy. Lauren, Benny – przed dom, sprawdzić wszystkie okna...

„Panneau. Czytałam o tym. Między gabinetem Ellinghama a salą balową było tajne przejście, którego używali podczas zabaw. Tak sprytnie wbudowane w ścianę, że prawie nie do zauważenia”.

Ellie zniknęła.



30 października 1938

Ranek był olśniewający. Na bezchmurnym błękitnym niebie rysowały się korony drzew, mocno przerzedzone, ale wciąż złociste.

Robert Mackenzie siedział przy biurku, słuchając tykania zegara. Poza tym słyszał tylko krzątającą się na korytarzu służbę albo stłumione głosy uczniów przechodzących z budynku do budynku. Gdy spoglądał na nich przez okno, spłoszeni odwracali głowy.

Mackenzie nie mógł narzekać na brak miejsca, odkąd – po zakończeniu procesu – przeniesiono go z gabinetu Ellinghama do jednej z oszklonych werand.

– Stoi wolna – powiedział chlebowdawca. – Niech się więc przyda tobie.

Ale Mackenzie wiedział, że tak naprawdę chlebowdawca chce mieć spokój. Ellingham nie wychylał nosa z gabinetu. Rzadko jadał. Prawie nie przyjmował gości. Niemal oderwany od świata, niezmiennie liczył na to, że kiedyś jeszcze ujrzy Alice.

Córki nie odnaleziono, wciąż więc była nadzieja.

Mówił o Alice w czasie teraźniejszym. Przygotowywał cały dom na jej powrót. Regularnie trzy razy do roku zamawiał u kupca w Nowym Jorku najmodniejsze ubrania, dbając o to, by na nią pasowały. Stosy sukienek i fartuszków, różnobarwne sweterki i pończochy, piżamy, palta, kapelusze, lakierki, futrzane szaliki, rękawiczki... Wszystko to wypakowywała z pudeł i układała w szafach, zatrudniona nadal osobista pokojówka Iris. Nieużywaną odzież Ellingham oddawał na cele dobroczynne. Kupował córce prezenty urodzinowe i gwiazdkowe – wspaniałe radioodbiornik Stewart Warner, konia na biegunach z Londynu, biblioteczkę klasyki literackiej, porcelanowy zestaw do herbaty z Paryża i zachwycający dom dla lalek – miniaturę Wielkiego Domu Ellinghamów.

Sprawunki te były tak przygnębiające, że załatwiając je, służba nieraz płaka-

ła, rzecz jasna nigdy przy Ellinghamie. Przy nim zawsze wyrażała się o Alice ciepło. „Nowe wiosenne sukienki na pewno spodobają się panience”. „Cudowne radio dla panienki, sir. Będzie zachwycona”.

To nadzieja, że zobaczy Alice, natchnęła Ellinghama do osuszenia jeziora w czerwcu poprzedniego roku. Autor anonimowego donosu sugerował, że ciało Alice spoczywa na dnie. Choć było to nieprawdopodobne, Ellingham kazał spuścić wodę z jeziora. W odczuciu Roberta chciał w ten sposób wziąć symboliczny odwet na jeziorze, które tamtej straszliwej nocy przysporzyło mu tylu obaw. Pozbawione wody, nieustannie przypominało mu o stracie.

Kiedy rano odezwał się brzęczyk na biurku Roberta Mackenziego, w Wielkim Domu panowała duszna atmosfera. Mackenzie wziął notes i ołówek i udał się do gabinetu Ellinghama. Tego dnia ściana okien była odsłonięta, ukazując widok na opróżnione jezioro. Nierealny, bo Robert dotąd nie przywykł do zięjącej w ziemi rany.

– Wybieram się do jachtklubu – oznajmił Ellingham. – Jest tak pięknie. Zabieram Marsha. Przyda się nam pobyt na powietrzu. Za długo siedzimy w ciemności.

– Świetny pomysł – odpowiedział Robert. – Potrzebujesz prowiantu?

Albert Ellingham pokręcił głową.

– Nie, nie. Spójrz. Napisałem dziś zagadkę. – Co o niej sądzisz?

Podał mu blankiet depeszy. Dawno nie napisał nic nowego, więc Robert był zadowolony.

– „Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma? – przeczytał Robert. – Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba”.

Spojrzał na chlebodawcę z dziwnym napięciem w oczach.

– Nie napisałem chyba lepszej – rzekł Ellingham. – To moja Zagadka Sfinksa. Kto zgadnie, przechodzi. A kto nie... – Urwał, odebrał mu papier i położył go na biurku. – Mam dziś dla ciebie ważne zadanie. – Przycisnął papier szklaną kulą. – Odpuść dziś sobie. Wyjdź na powietrze. To rozkaz.

– Tak zrobię. Ale najpierw przejrzę tonę listów.

– Nalegam, Robercie. – Ton Ellinghama był surowy. – Wkrótce przyjdzie zima i zatęsknisz za takimi dniami.

Uwaga brzmiała tak dwuznacznie, że Robert nie odpowiedział.

– Poczciwiec z ciebie – rzekł Ellingham. – Życzę ci tyle szczęścia, ile mnie spotkało. Baw się. Pamiętaj o grach. Nie zapominaj o grach.

Mackenzie wspominał później, że mówiąc to, Ellingham miał pogodną minę. Dziarski, sprawiał wrażenie, jakby chciał pogrzebać smutek. Zacząć żyć na nowo. Od procesu minął rok, więc już chyba nadeszła na to pora.

Robert nie wyszedł jednak z domu i pracował przez całe popołudnie. Wykonywał telefony do Nowego Jorku i nowego studia filmowego w Los Angeles. Przeglądając niezliczone listy, spostrzegł, że zapada zmrok. Pierwszy raz od dawna był w niezłym nastroju. „Może – myślał – Albert znajdzie ukojenie. Nie jest stary. Ma energię. Ma pieniądze. Mógłby jeszcze się ożenić i mieć dzieci. Może da się zdjąć ciężącą na tym domu kłutwę. Może jeszcze jego los się poprawi”.

Robert skończył o dziewiętnastej trzydzieści, zadowolony ze wszystkiego, co zrobił. Na biurku przed nim leżał schludny stos dokumentów. Taca na listy była pusta. Nastął mrok, a wiatr, który zerwał się przed chwilą, gwizdał po kątach i w kominie.

Robert rozpalil ogień i zadzwonił po kolację. Kucharka cieszyła się, gdy ktoś jadł to, co gotowała, wkrótce więc stanął przed Robertem talerz kotletów, szpinaku ze śmietaną i ziemniaków. Robert włączył radio i rozsiadł się za stołem. Nie mógł się doczekać słuchowiska. Ostatnio nadawano na żywo z Mercury Theater świetne adaptacje *Sherlocka Holmesa* i *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*. Tą rozrywką zwykle wieńczył tydzień.

Gdy zabrzmiała muzyka i głos spikera: „Zapraszamy do Grover’s Mills w New Jersey”, zadzwonił telefon. Robert odłożył serwetkę, ściszył radio i podniósł słuchawkę.

– Robert Mackenzie – powiedział, ścierając z kącika ust szpinak.

– Tu sierżant Arnold. – Robert usłyszał zdyszany i łamiący się głos. – Albert Ellingham... łódź... wziął łódź?

– Tak – potwierdził Robert. – Kilka godzin temu. Z George’em Marshem.

– Jeszcze nie wrócił?

– Nie – odparł Robert. – Miał chyba zostać w Burlington. Czy coś się stało?

– Nieopodal South Hero zatonała łódź... – odrzekł sierżant. – Wybuch...

Usłyszawszy coś jak głuchy odgłos, Robert doznał wrażenia, że leci, a kolejne

słowa policjanta, dźwięki z radia, bicie serca – nałożone, rozniosły mu się po ciele. Potem wyznał, że jakby unosząc się pod sufit, przez moment patrzył z góry na pokój.

Nieraz wspominał dziwną rozmowę, którą odbył tego dnia z Ellinghamem. Zagadkę Sfinksa. Nakaz radości.

Ellingham jakby przeczuwał, że tego dnia czeka go śmierć.

Zagadka dręczyła Roberta do końca życia, nie rozwiązał jej jednak nigdy.



30

Noc ciągnęła się w nieskończoność.

Podczas rewizji Minerwy lokatorzy nie mogli do niej wchodzić. W Wielkim Domu było kilka pokoi zarezerwowanych dla nauczycieli lub gości na wypadek, gdyby posiadłość została zasypana śniegiem. Skorzystali z nich Nate i Janelle. David spał na kanapie w pokoju nauczycielskim. Stevie czuwała na wielkich schodach. Gdy mijały kolejne godziny, w głowie jej aż się gotowało.

„Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba. A ja właśnie siedzę na tym stopniu. Całą noc na stopniu”. Patrzyła na wchodzących i wychodzących ochroniarzy, policjantów, Charlesa, doktor Quinn, szkolnego radcę prawnego. Przeszukiwano posiadłość, z uwagi na mrok z wielkim trudem. Las był ciemny, głęboki.

„Miały być łosie; gdzie te łosie? W piwnicy pod uchylonym oknem stało jedna na drugiej kilka skrzynek. Zwiała. W góry. Z góry. Za górę? Kto to może wiedzieć?”

I tak Stevie siedziała w sercu Wielkiego Domu, drugi już raz przeszukiwanego nocą. Zmęczona, rewidowała w myślach wydarzenia minionych tygodni – docierając znów do listu zobaczonego tuż przed śmiercią Hayesa. „Zagadka na ścianie mruga... Dużo tych zagadek”.

Potarłszy twarz, zakryła ją dłońmi. Przysnęła, nie wiadomo, na jak długo. Zbudził ją zapach kawy, którą ktoś jej podsunął.

– Nie powinnaś tak odpoczywać – rzekł Larry. – U ochroniarzy jest łóżko polowe, a na górze więcej kanap.

– Nie chcę spać.

– Nie wszystko polega na chceniu.

Stevie pokręciła głową.

– Znaleźliście Ellie? – spytała.

– Rozjaśnia się. Helikopter zaraz tu będzie.

– Mogę wyjść? Trochę pooddychać?

Larry zakolysał się na piętach.

– Ale tak, żebym cię widział.

Stevie przysiadła więc z kawą na wilgotnej trawie i, wpatrzona w Wielki Dom, na sekundę przestała myśleć. Dniało. Róż nad Akademią Ellinghama przechodził w blady błękit. Patrzyła, jak na niebo ponad rezydencją wpływa świetlisty krąg słońca. Niebawem z Wielkiego Domu wyłonił się ktoś jeszcze.

W jej stronę, z rękoma w kieszeniach, ruszył długim krokiem David. Po chwili klapnął obok, ale się nie odezwał.

Wczesnym rankiem zmienia się percepcja. W ciszy świtu człowiek jest do końca sobą. Rzeczywistość niczego nie wymaga i nie trzeba się jeszcze zbroić.

Zaszcłości między Stevie a Davidem w tym momencie nie istniały. Teraz świat składał się tylko z rosy, kawy instant i maślanożółtego słońca.

– No to po szkole – rzekł wreszcie David.

Stevie wzięła długi łyk kawy. Za mocna i pełna grudek mleka w proszku, kawa jednak podniosła jej ciśnienie.

– Jeden uczeń nie żyje. – David podniósł głowę na nikły odgłos śmigłowca. – Drugi, który chyba tamtego zamordował, zaginął. Niełatwo to wszystko będzie rozgryźć.

– Mhm – odparła Stevie, znów upijając kawy.

Po górach rozniósł się gromki podmuch, niczym westchnienie natury. Helikopter był tuż-tuż.

– Pewnie – powiedział David – przeczesują okolicę.

– Hm.

– Jesteś bardzo rozmowna jak na kogoś, kto właśnie rozwiązał pierwszą sprawę. Nie cieszysz się? Powinnaś skakać z radości.

Stevie odstawiła kubek z kawą na trawę. Czekwała, kiedy się przechyli i popa-

rzy ją, ale się nie przechylił.

– Chcę o coś spytać – rzekła. – Tamtej nocy, gdy suchy łód znalazł się w tunelu, byłeś z Ellie, prawda?

– Mniej więcej do dwunastej. Ale skłamałem. Nie paliliśmy trawy. Tylko gadaliliśmy.

– Więc dodałeś to...

– Tak dla hecy – odpowiedział David.

Było już widać helikopter; krążył w dali nad lasem.

– Wciąż nie mieści mi się to w głowie – rzekł David. – Ellie nie jest tak podła. Wiem, że dzieje się tu coś, czego nie rozumiem, ale ona... nie skrzywdziłaby nikogo. A już na pewno nie rozmyślnie. Dziwne. Może jestem głupi.

– Złapałeś, o co chodziło jej na końcu? – zapytała Stevie. – Gdy mówiła o „całym tym miejscu” i pomyśle Hayesa?

– Nie.

Długo rozcierając źdźbło trawy, Stevie poplamiała palce na zielono. „Może za mało spałam... Na pewno sobie z tym poradzę. Ellie przyznała się do napisania scenariusza. Ellie zwiąła. Czemu, skoro nie jest winna?”

Przypomniał jej się Herkules Poirot, jak długo wahał się, gdy łącząc fakty, uznał, że coś jednak nie gra. Odwoływał się do psychologii zbrodni. „Coś się nie zgadza, coś mi tutaj bruździ. Jak z tym Vorachkiem. Miał tę forszę i nawet się przyznał do morderstwa. Ale na sto procent był niewinny”.

Zza drzew od strony Minerwy wyłonili się dwaj policjanci. Jeden niósł jakieś pudło.

– Przeszukali już jej pokój – orzekł David. – Możemy wracać.

Podnieśli się, zmęczeni, zeszywniali, w ubraniach poplamionych mokrą trawą.



Minerwę rano wypełniała cisza, blade światło i widma dawnych woni. Łoś miał łagodniejszą minę i nawet czerwona tapeta wyglądała mniej groźnie. Dom zdawał się opuszczony. W tej chwili nie było tu nikogo, a dwie osoby miały nig-

dy nie wrócić. Może nikt już nie miał wrócić.

Drzwi pokoju Ellie były uchylone. Stevie zatrzymała się i zajrzała do środka przez szparę. David stanął tuż za nią. Poczowała emanujące z niego ciepło.

– Wchodzisz, tak? – zapytał. – Twoja rzecz.

Nie odpowiedziała.

– Tym razem nie będę się kłócił – odparł, otwierając drzwi szerzej.

Sceneria ich gry sprzed kilku godzin została mocno zakłócona. Policjanci odsunęli łóżko od ściany i zostawili je krzywo na środku pokoju. Zerwali z niego pościel. Książki walały się, zepchnięte z półek, albo ustawione były w zgrabne stosy. „Szuflady są zamknięte, a więc przetrząsnęły wszystkie – w nocy były powysuwane albo półotwarte, bo z co drugiej coś wystawało.

– Po rewizji jakoś tu porządniej – stwierdził David.

Nim siadł, poszperali przy krawędzi łóżka. Stevie zmierzyła Davida wzrokiem. „Jego twarz w świetle poranka wygląda tak łagodnie. Jest w nim coś... anielskiego. Duże oczy i lekko kręcone włosy” – pomyślała Stevie. „Gdy tu jechaliśmy, mama powiedziała o posągach, że to dziwne anioły, a ja ją poprawiłam, że sfinksy. Anioł czy sfinks? Rzeczywiście powinnam się przespać”.

Usiadła na łóżku przy Davidzie i zapatrzyła się w rzeczy Ellie. Płócienny plecak. Sterta brudów w kącie. Rozrzucone na podłodze długopisy. Cytaty zapisane na ścianach. Przy łóżku stało zdjęcie w ramce, przedstawiające parędziesiąt osób. „To pewnie ta jej komuna”. Oparta o komodę Roota połyskiwała samotnie w słońcu.

– Przepraszam – powiedziała Stevie. Niby do Rooty, a tak naprawdę do Davida.

– Proszę?

– Że gmerałam ci w rzeczach. Od początku strasznie się z tym czuję. Po prostu... Sama nie wiem. Byłam ciekawa. Ciebie. Dziwnie się zachowa...

– Ładne mi przeprosiny.

– Dobrze – zaczęła od nowa. – Mój błąd.

Usłyszeli nad sobą łomot śmigła tłukącego powietrze. „Akademia zaraz się zbudzi, nie będzie Ellie i znów powstanie zamęt”.

– Tak – odezwał się po chwili David.

– Tak?

Wzruszył ramionami.

– Skoro zamykają szkołę, nie powinniśmy się na siebie gniewać.

– Chyba nie – odparła.

Długo milczeli. Potem David ujął ją za rękę i zakreślił palcem kóleczo na jej dłoni. Zdrętwiała pod jego dotykiem, z myślą: „Czy wypada całować się tak w chłodnym świetle ranka, kiedy wszystko widać? I to na łóżku zaginionej koleżanki? Która może kogoś zabiła?”.

Gdy się przysunął, też przysunęła się leciutko. Wtem natrafiła ręką na coś twardego schowanego w pościeli.

Zadarłszy kołdrę, ujrzała pudełko. Czerwone, metalowe, dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów, o zaokrąglonych bokach. Czas mocno dał mu się we znaki, było poobijane i zardzewiałe. Na jego bokach widniał napis „Tradycyjna angielska herbata ekspresowa”, a na wieku obrazek parującej filiżanki. „Stary rupieć”.

Rozległ się pomruk. „I to jaki”.

Helikopter leciał tak nisko, że już nie dało się go zignorować. David zerknął w stronę okna, po czym puścił rękę Stevie i wstał, żeby spojrzeć.

Stevie wzięła głęboki oddech, by ostudzić emocje. Obejrzała osobliwe pudełko, zdjęła wieko i wysypała na łóżko zawartość: szczątki białego pióra, strzęp materiału obszytego paciorkami, szminka w złotym etui, kwadratowy kryształowy klips i emaliowane pudełeczko na pigułki w formie pantofelka. Stevie otwierała i zamykała pudełko, wpatrując się w jego spatynowane wnętrze.

– Dziwne to – powiedziała. – Chodź, zobacz.

– Zaczekaj.

Stevie nadal szukała. W bok pudełka wciśnięte były złożona pomarszczona kartka i kilkanaście czarno-białych fotografii różnej wielkości, o postrzępio-nych brzegach. Stevie najpierw spojrzała na papier. Był dość kruchy w zgięciach, ale bardzo nie poźółkł. Widniały na nim następujące słowa, napisane starannym, acz swobodnym charakterem pisma:

Ballada o Frankie i Edwardzie

2 kwietnia 1936

Frankie i Edward mieli srebro

Frankie i Edward złoto mieli

Ale gdy grę przejrzeni

Oboje prawdę ujrzeli

Frankie i Edward królom się nie kłaniali

Żyli sztuką i żyli miłością

Władcę z tronu strącili

Wzięli

Król błazen na wzgórzu mieszkał

Chciał więc zwycięzcą zostać

Edward i Frankie z nim zagrali

I świata nie dało się poznać.

Zdjęcia przedstawiały dwoje nastolatków w coś Stevie przypominających lub zaskakujących pozach. Chłopak, w garniturze i kapeluszu, miał poluzowany krawat. Dziewczyna była w obcisłym sweterku, spódnicy, w berecie nasuniętym na oko. Na jednym ze zdjęć pozowali przed samochodem. Na innym dziewczyna trzymała cygaro. Na kolejnym stali naprzeciwko siebie i dziewczyna wstrzymywała chłopaka, wyciągając rękę. Stevie przerzuciła zdjęcia. Na odwrocie jednego była data „11/4/35”.

Stevie wpatrywała się w zdjęcia, gdy w końcu zaskoczyła. Pozowali jak Bonnie i Clyde, słynna para przestępców z lat trzydziestych. Przebrali się.

Jedno zdjęcie różniło się od reszty; było grubsze i cięższe. Przyjrząwszy mu się bliżej, Stevie odkryła, że są to dwa sklezione zdjęcia. Zignorowała lądujący na skwerze helikopter. Dziwaczny zbiór zdjęć był niezwykle ważny. Spróbowała rozdzielić zdjęcia delikatnie, a gdy to się nie powiodło, postanowiła użyć siły. Zaczęły ustępować. Coś między nie wetknięto. Wyglądało jak...

„Wyraz? Z czasopisma?”

Było to wycięte słowo „my”, jaskrawoczerwone na żółtym tle. Małeńkie. Wielkości ledwie kilku milimetrów.

Stevie zadrzała ręką.

„Litera wycięta z czasopisma w pudełku różności z 1935–1936. Zdjęcia dwojga moich rówieśników przebranych za Bonnie i Clyde’a. I fragment listu zbliżonego do listu Nieodgadnionego, napisanego kilka dni przed nadejściem jego listu. Prosty krótki wiersz o zabawie z mieszkającym na wzgórzu królem... To sprawka Nieodgadnionego. Bez względu na to, kto pisał list i kim byli Frankie i Edward”.

Stevie gorączkowo przetrząsała pamięć, rozrywając pudła, zaglądając do szuflad. Oddaliła się od przedziwnego ranka, od Davida i pokoju Ellie. „Mam! Nareszcie”. Przywołała w pamięci zapis w zeznaniu Leonarda Holmesa Naira, poświęcony nieźle rokującym chłopcu i dziewczynie. „Byli parą. On miała kruczoczarne włosy, a on przypominał Byrona, no i ona interesowała się Dorothy Parker. Dwójka pierwszorocznych z Akademii!”

To oni napisali ten list. Miała dowód w ręku.

„Czyżby oni zamordowali Iris? Czy Dottie zabili jej koledzy? Czy tu chodzi o Dottie?” W mózgu Stevie wrzało.

– David... – powiedziała z drzeniem w głosie. W odpowiedzi David się oddalił. Odszedł tak raptownie, że Stevie pogubiła się na moment. Zamrugawszy, ruszyła za nim, ściskając zdjęcia. Skierował się do skweru, gdzie właśnie wylądował helikopter. Kręcili się ludzie. Akademia już nie spała.

Nie był to helikopter policyjny. Ciemnobrązowy odblaskowy napis głosił...

„King?”

David stanął jak wryty u stóp ścieżki i wpatrywał się w helikopter.

– Co się tu, cholera, dzieje? – spytała, doganiając go, Stevie. – Czy to jest to, co myślę?

David nie zareagował, ale też nie musiał. Drzwiczki helikoptera otworzyły się i wysiadł z niego jakiś człowiek.

Edward King nie był tak wysoki, jak wydawał się w telewizji. Minę miał bardziej udręczoną, a jego włosy rozwiewały się na wszystkie strony. Na próżno usiłował je przygładzić.

David ani drgnął. Jakby zmienił się w jeden z wielu posągów Ellinghama,

w kamienną replikę siebie.

„W mitologii gdy ktoś spojrział Meduzie w oczy, w jednej chwili kamieniał”.

– Jak się to dzieje? – spytała Stevie. – Czemu? O co tu chodzi?

David milczał.

Wtem wszystko jej się połączyło. Fakty w głowie Stevie ułożyły się jak trzeba. Wykonując kilka drobnych obliczeń, ustaliła proporcje jego twarzy. Wróciła myślą do tamtej chwili w jurcie – gdy poznał go, poczuła się nieswojo. Nękało ją to; zarys jego nosa, układ ramion...

„Wtedy nie skojarzyłam. Bo i jak? Nie mieściło się to w głowie”.

Przez skwer szedł w ich stronę Edward King.

Przez mózg Stevie przebiegały myśli. „Uniki Davida... jego nieobecność w Internecie, brak zdjęć, przeprowadzka do Kalifornii, porysowany rolex...”

– David – powiedziała cicho. Nie obrócił się, by na nią spojrzeć. – David? – powtórzyła na koniec.

Zerknął na nią krzywo. Bezradny, przyłapany.

– Pamiętasz, kiedy rodzice dostali tę posadę? – rzekł w końcu. – U niego. Mówiłem ci, że chciałem pomóc.

Stevie ścisnęła w rękę zdjęcia, bezwiednie, bo o nich zapomniała.

– David? – zapytała. – Co jest grane?

David silił się na uśmiech, tak jak ona na spotkaniu z rodzicami. Z każdą chwilą traciła nadzieję, aż, próbując nad sobą zapanować, odpłynęła.

– To mój nieżyjący ojciec – poinformował David.

Ciąg dalszy nastąpi...



Podziękowania

Wielu osobom jestem winna podziękowania.

Przede wszystkim Katherine Tegen. Bez niej nie byłoby *Nieodgadnionego*.

Dziękuję tym, którzy pracowali nad tą książką – mojej redaktorce Beth Dunfey, Mabel Hsu i całej ekipie Katherine Tegen Books. Dziękuję Anice Rissi, która wprowadziła mnie do odczarni Katherine Tegen.

Moja agentka, Kate Schafer Testerman, utrzymuje mnie przy życiu. Towarzyszyła w tej pracy mojej asystentce Felicity Disco (Kate Welsh, jak się ją czasem nazywa). Bez nich kto wie, co by się stało. Nie śmiem spekulować.

Z ręką na sercu powiem, że bez pomocy mojego przyjaciela Robina Wassermana ta książka nie powstałaby. Nie mogę też przecenić wsparcia i pomocy, jakie otrzymałam od Cassandry Clare, Holly Black i Sarah Rees Brennan.

Dziękuję Danielowi Sinkerowi, który nalegał, abym stworzyła podcast „Kto to mówi?”. To świetnie wpłynęło na moje samopoczucie.

Dziękuję dr. Jasonowi Sutuli i Erin Wert za pomoc naukową i medyczną.

Dziękuję Oscarowi i Zeldie. Kocham was.

Dziękuję mojej mamie za to, że pielęgnowała mnie w długotrwałej chorobie w trakcie pisania.

Są jeszcze niezliczone osoby, które codziennie poprawiają mi nastrój. Jeśli dotarłeś do tych słów, jesteś jedną z nich. To podziękowanie jest dla Ciebie.

Przypisy

[1] Tajny bar – w latach 1920–1933 w USA obowiązywała prohibicja, zakaz produkcji i sprzedaży alkoholu. Kwitł wówczas przemyt i działały nielegalne bary (wszystkie przypisy są autorstwa tłumacza).

[2] Spanx – bielizna wyszczuplająca.

[3] Lexapro – lek antydepresyjny, ativan – przeciwlękowy.

[4] MIT – Massachusetts Institute of Technology, najślynniejsza politechnika w USA.

[5] Liga Bluszczowa (Ivy League) – osiem najstarszych i najbardziej prestiżowych uniwersytetów amerykańskich (Brown, Columbia, Cornell, Dartmouth, Harvard, Princeton, Yale, University of Pennsylvania).

[6] Maszyna Rube'a Goldberga – przesadnie rozbudowane urządzenie lub seria mechanizmów działających na zasadzie domina, które w złożony sposób wykonują bardzo proste czynności (za Wikipedią). W Stanach organizowane są konkursy (również uczelniane), w których zadaniem jest zbudowanie takiej maszyny.

[7] Fragment wiersza Walta Whitmana *A child said, What is the grass?* (w przekładzie Pawła Łopatki).

[8] Gina Torres – amerykańska aktorka filmowa i telewizyjna.

[9] *Après le déluge. Les parents* – fr. Po potopie. Rodzice.

[10] „Dobrej nocy, Westley. Rano pewnie mnie zabiją” – cytat z powieści Williama Goldmana *Narzeczoną księżca*.

[11] Zodiak – wielokrotny morderca o nieznanym tożsamości. Grasował na prze-

łomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku w północnej Kalifornii. Tej sprawie poświęcony jest m.in. film Zodiak Davida Finchera (2007).

[\[12\]](#) Banksy – działający anonimowo brytyjski graficiarz, aktywista polityczny i reżyser. Unabomber – Theodore John Kaczynski, amerykański matematyk i terrorysta.